

Władysław Stanisław Reymont

ZIEMIA OBIECANA

TOM DRUGI

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	2
I [XVII]	3
II [XVII]	42
III [XIX]	58
IV [XX]	82
V [XXI]	90
VI [XXII]	99
VII [XXIII]	116
VIII [XXIV]	128
IX [XXV]	135
X [XXVI]	142
XI [XXVII]	158
XII [XXVIII]	170
XIII [XXIX]	175
XIV [XXX]	186
XV [XXXI]	193
XVI [XXXII]	210
XVII [XXXIII]	224
XVIII [XXXIV]	230
XIX [XXXV]	237
XX [XXXVI]	245
XXI [XXXVII]	250
XXII [XXXVIII]	261
XXIII [XXXIX]	266

I [XVII]

A teraz go w grzbiet, a teraz z drugiej strony, a teraz w głowę. Ot i jeszcze raz, i jeszcze jeden razik, dobrodzieju mój kochany.

– Walisz ksiądz kartami jak cepem – szepnął z goryczą stary Borowiecki.

– To mi przypomina jedno zajście. Było to u Migurskich w Sieradzkim...

– Cepem, nie cepem – przerwał ksiądz przymrużając z lubością oczy – a ślicznymi atucikami, dobrodzieju mój kochany. Chowam ja jeszcze damusię, żeby grzmotnąć twojego królika, Zajączkowski.

– To się pokaże! Ale ksiądz ma paskudny zwyczaj przerywania; ust otworzyć nie można, bo ksiądz zaraz przerywasz. Oto, jak rzekłem, u Migurskich...

– U Migurskich czy nie u Migurskich, ale to już słyszeliśmy, dobrodzieju mój kochany, ze sto razy, nieprawda, panie Adamie? – zwrócił się do starego.

– E, co mi tu ksiądz będziesz uwagi ciągle robił. A, jak Pana Boga kocham, czego za wiele, tego i zanadto. Myślałbyś ksiądz lepiej o nabożeństwie, a nie o tym, czy kto co mówił lub nie mówił.

Rzucił karty na stół i porwał się zirytowany.

– Tomek, huncwocie jeden, a zakładaj konia – huknął potężnym basem przez okno na podwórze.

Szarpał mocno wyczernione wąsy i sapał zapalczywie.

– No, widzicie go! Smyk jeden, ja mu po ludzku zwracam uwagę, a ten zaraz na mnie jak na swojego parobka: huru buru! Jasiek, bo mi fajeczka zgasła.

– No, sąsiedzie, bo pan Baum rozdaje karty.

– Nie będę grał, jadę do domu. Już mam dosyć jegomościnych kazań. Wczoraj u Zawadzkich opowiadałem o koniunkturach politycznych, a ksiądz mi zaprzecza publicznie i wydrwiwa – burczał szlachcic przemierzając wielkimi krokami pokój.

– A boś jegomość, dobrodzieju mój kochany, gadał rzetelne głupstwa. Jasiek, a ty smyku jeden, daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– Ja gadałem głupstwa! – wykrzyknął Zajączkowski przyskakując z pasją do księdza.

– A głupstwa – odszepnął ksiądz pykając z długiej fajki, którą mu mały chłopak zapalał przyklękawszy na podłodze.

– A, Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami – zawołał ze zgrozą Zajączkowski rozkrzyżowując ręce.

– Ksiądz dobrodziej jest na ręku – rzekł Maks Baum, podsuwając mu karty.

– Siedem pik – zawołał ksiądz. – Zajączkowski, jesteś na ręku.

– Idę na ciemno – zawołał szlachcic i siadł spieszenie do stolika, ale nie zapomniał jeszcze urazy do księdza, bo rozejrzawszy się w kartach mówić zaczął:

– I jak tu może być co, jak tu ogół może mieć jasne pojęcie o polityce, kiedy jego naturalni przewodnicy są tak ciemni.

– Osiem trefli, bez atu – licytował ksiądz.

– Przejdę się. Dobrze, zaraz ksiądz zobaczysz, co będzie za gra. Bo jak ksiądz nie masz żołędzi, to księdza mocno zaswędzi.

– Zaswędzi, nie zaswędzi, ale jak ci pan Baum wyciągnie te żołędziki, jak cię asikiem wytnie, to kichniesz. A co, syneczku, a co, a nie chwal się. a nie mów amen przed in saecula saeculorum, dobrodzieju mój kochany, ha, ha, ha! – śmiał się na całe gardło z miny Zajączkowskiego i tak był rad, że trzepał cybuchem po sutannie i poklepywał Maksa obok siedzącego. – Górą miasteczko Łódź, górą fabrykanci. A niechże ci, dobrodzieju mój kochany, Pan Bóg bliźniateczki da za to, żeś tak Zajączka oporządził. Poleżysz bez nóżki, poleżysz. Jasiiek, a daj no, smyku, ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– Ksiądz jak poganin jaki tak się z cudzych nieszczęść cieszysz.

– Już tam temu daj spokój, a co leżysz, to leżysz. Cały rok nas obłupiał ze skóry, to niechże teraz grosiki zapłaci.

– Po dwadzieścia groszy na tydzień wygrywałem. Po dwadzieścia groszy, słowo honoru panu daję! – szepnął Zajączkowski przez stół do Maksa.

– „Poszły panny na rydze! na rydze! na rydze!” – zaczął nucić stary Borowiecki przytupując do taktu w stopień fotelu, na którym siedział i jeździł, bo był w połowie sparaliżowany.

Cisza na chwilę zapanowała w pokoju.

Cztery świece stojące po rogach stolika jasno oświetlały zielone pole walki i twarze walczących.

Zajączkowski milczał, był zły na księdza, z którym od lat dwudziestu kłócił się przynajmniej dwa razy na tydzień.

Muskał wyczernione wąsy i rzucał groźne spojrzenia spod ogromnych krzaczastych brwi na Maksa, który go „kładał bez trzech”, a czasami traskał się ze złością w łysinę, po której muchy spacerowały.

Ksiądz wychudłą, ascetyczną i dobrotliwą twarz pochylał nad stołem, czasem pykał z fajki i okrywał się dymem, a wtedy zapuszczał ostre spojrzenie czarnych, bardzo żywych oczów w karty przeciwnika, z czego zresztą nigdy nie korzystał.

Maks ze skupioną twarzą grał bardzo uważnie, bo przeciwnicy byli mistrzami w preferansie, i w przerwach leciał oczami po oknach, którymi księżyc zaglądał i do dalszych pokojów, skąd go dochodziły głosy Anki i Karola.

Pan Adam zaś ciągle nucił, wybijał takt, szarpał bujną, choć przeredzoną czuprynę i przy każdej nowej grze wołał:

– Śliczny kolor, długi kolor. Dam ja wam teraz, basałyki. Król z damą, a dwór za nią. Zaczniemy bić do ataku.”Hej, Mazury, bijcież z góry, a kosami, osękami, ra, ra, ra, ta, ta!” Szlusuj z prawego! – komenderował energicznie i z rozplomienioną twarzą, ruchem, jakby się rzucał do ataku, bił kartami w stół.

– A to byś, jegomość, grał po ludzku. A te twoje przyśpiewki to tylko rozpusta żołnierska i nic więcej, dobrodzieju mój kochany. Jasiek, a daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła.

– To „szlusuj” – przypomina mi bardzo ciekawe zajście, jakie miało miejsce...

– U Migurskich, w Sieradzkim, słyszeliśmy już i to, słyszeli, dobrodzieju mój kochany.

Zajączkowski spojrzał groźnie na uśmiechniętą twarz księdza, ale nie rzekł nic, tylko odwrócił się do niego bokiem i grał dalej.

Maks raz jeszcze rozdał karty i po licytacji poszedł do Karola.

– Jasiek, a otwórz no okienko, bo tam ptaszeczki boże tak śpiewają.

Chłopak otworzył okno na ogród i pokój zalały chóry słowiczych głosów i fale zapachów bzów kwitnących pod oknami.

W pokoju, do którego poszedł Maks, nie było lamp, natomiast świecił księżyc sunący po tafli ciemnego szafiru niebios.

Okna były otwarte i wpływał nimi czerwcowy, rozśpiewany wieczór.

Siedzieli w milczeniu.

– Ładna kolekcja mamutów – szepnął Karol do Maksa, bo w pokoju gry znowu wybuchła burza i Zajączkowski krzyczał przez okno, żeby mu konie zakładali natychmiast, a pan Adam śpiewał na całe gardło:

– „A choć chłodno i głodno, żyje sobie swobodno!”

– Często grywają ze sobą?

– Co tydzień i przynajmniej dwa razy na tydzień się kłócą i rozjeżdżają bez pożegnania, co im zresztą wcale nie przeszkadza żyć w wielkiej przyjaźni.

– Pani ich godzić musi nieraz?

– O nie, bo raz spróbowałam, a ksiądz zaperzony krzyknął na mnie: „Niech jegomościanka pilnuje udojów!” Zresztą, oni nie mogliby żyć bez siebie, a będąc ze sobą, nie mogliby się nie kłócić.

– Ale co twój ojciec w Łodzi pocnie bez nich? – zwrócił się Maks do Karola.

– A bo ja wiem, również w ogóle nie wiem, po co ojcu chce się do Łodzi?

– Pan nie wie?... – szepnęła Anka zdziwionym głosem i byłaby coś mówiła więcej, ale dzwonek zadzwieczał u furtki.

Wyszła i powróciła z depeszą dla Karola. Karol apatycznie wziął, ale nie doczytał do końca, tylko zmiął ze złością i schował do kieszeni.

– Może zła wiadomość? – zapytała trwożnie Anka stojąc przed nim.

– Nie, tylko głupia!

Machnął ręką, zniecierpliwiony jej współczującym spojrzeniem i ciekawością.

Poszedł do pokoju grających i czytał po raz drugi. Depesza była od Lucy.

– Bardzo się pan nudzi u nas?

– Ani słowa nie odpowiem na podobną insynuację. Wie pani, jestem zdumiony życiem państwa. Nie przypuszczałem, żeby mogło gdzieś istnieć życie dziwnie spokojne, dziwnie proste i takie jakies wyższe. Dopiero u państwa poznałem, że ja nie znałem Polaków, dopiero teraz rozumiem wiele właściwości Karola. Szkoda, że się państwo wyprowadzają do Łodzi.

– Dlaczego?

– Bo nie będę mógł już tutaj nigdy przyjechać.

– A w Łodzi pan nie zechce nas odwiedzać? – zapytała ciszej i nie wiedziała, dlaczego serce jej zabiło silniej, jakby obawą, że może on nie zechce.

– Dziękuję pani bardzo, uważam to już za zaproszenie, można?

– A można, ale za to pozna mnie pan ze swoją matką.

– Kiedy pani tylko rozkaże.

– Zostawię pana samego, bo muszę pomagać do podania kolacji.

Pobiegła do drugiego pokoju, w którym Jagusia już nakrywała.

Maks spacerował wzdłuż pokoju, ale dlatego, żeby przechodząc obok drzwi otwartych spojrzeć na Ankę.

Patrzył z podziwem na jej wysmukłą, doskonale uformowaną figurę, gdy się pochylała nad stołem; na jej twarz o niezbyt regularnych rysach, ale pełną dziwnego wdzięku i ciepła, zakończoną szerokim czołem o gładko rozczesanych pośrodku włosach kasztanowatych. Szarobłękitnawe oczy patrzyły spod zupełnie czarnych brwi jasno, spokojnie, ale z pewną surowością.

Maks przypatrywał się jej z wielkim zajęciem i tak mu się bardzo podobała, że poczuł prawie niechęć do Karola, gdy tamten przyszedł.

– Jutro wieczorem jechać do Łodzi muszę – powiedział szorstko.

– Po co ci tak pilno. Trzy święta mają robotnicy, to i my użyjmy odpowiednio Zielonych Świątek.

– Jeśli czujesz się tutaj dobrze, zostań, ale ja muszę wyjechać.

– Pojedziemy razem – mruknął Maks siadając na parapecie okna.

Było mu tutaj tak dobrze, że się zdumiewał nad sobą, a ten chce go stąd zabierać.

Patrzył z gniewem i żalem na Karola.

– Mam bardzo pilne interesa i mam dosyć wsi, za wiele nawet – mówił i chodził wzburzony, zaglądał do pokoju grających, zamieniał po kilka obojętnych słów z Anką, ale rozdenerwowania i niepokoju, który był nudą zarazem, stłumić nie umiał.

A do tego przybył jeszcze ten telegram Lucy, o której myślał z trwogą, bo mu zapowiadała w najbardziej stanowczych słowach, że jeśli się we wtorek nie pokaże, to ona potrafi go znaleźć i u narzeczonej, niechaj się co chce stanie potem.

Wiedział, że Lucy dotrzymuje słowa swoim namiętnościom, więc jechać musiał.

Tak mu ciężył ten stosunek, tak znienawidził już i jej piękność, i te więzy miłości, że mu życie brzydło.

A potem Anka.

Czuł, że mu jest najzupełniej obojętną, że zaczyna chwilami nienawidzić, gdy spotykał się z jej jasnym, ufającym wzrokiem.

A musiał udawać miłość, musiał zmiękczać ton głosu wtedy, gdy mu się kłąć chciało, musiał być uprzejmym, uśmiechniętym, przewidującym, słodkim, jak przystało na narzeczonego.

Ta rola była mu wstrętna nad wyraz, a grać ją musiał dla ojca; grał ją i dla niej, i dla siebie już, bo użyciem posagowych pieniędzy Anki związał się na zawsze.

– Ożenię się prędko i wszystko się skończy – myślał. – Przecież tyle małżeństw zawiera się bez miłości! – kończył apatycznie, ale równocześnie jego dumna ambicja pożerała mu duszę.

Burzyło się w nim wszystko na myśl, że przez to małżeństwo zjedzie do roli pionków, że jeśli zechce co mieć, to musi pracować lata całe, musi wyciskać maszyny, ludzi, wszystko, żeby coś wycisnąć dla siebie – i to teraz!

Teraz, gdy mu stary Muller dosyć wyraźnie powiedział, że mu odda Madę i zarząd fabryki, od razu milionową fortunę, od razu wielkie interesy i możliwość robienia jeszcze większych.

Od pewnego czasu czuł wstręt do małych interesów, czuł wstręt do tej własnej fabryki, jaką od wiosny budował, do tych oszczędności groszowych, których rezultatem były setki rubli zaledwie.

Tyle lat chodził w kieracie pracy, ciągłej walki i twardego zdobywania każdego rubla, tyle lat tłumił w sobie najrozmaitsze zachcianki i pragnienia, których nie mógł zaspokoić, tyle lat był głodnym szerokiego, niezależnego życia – i teraz, kiedy to wszystko mógł mieć żeniąc się z Madą – musiał się ożenić z Anką i przez to musiał wrócić do jarzma mierności...

Buntował się przeciwko tej konieczności wszystkimi siłami.

I gdy Anka przyszła prosić na kolację, spojrział na nią gniewnie i nic nie odpowiedziawszy na jej zapytanie poszedł przysunąć ojca z fotelem do jadalnego pokoju.

Kolacja była bardzo ożywiona, bo ksiądz z Zajączkowskim kłócili się o politykę, pomagał im pan Adam i Karol, który drwił niemiłosiernie z Zajączkowskiego i z jego koniunktur politycznych, drwił z optymizmu księdza i ze złością zrobił uwagę ojcu, że spraw dzisiejszej polityki nie rozstrzygają armaty, a rozum stanu.

– Ta, ta, ta! – przedrzeźniał stary z gniewem. – Ty mi tego nie mów, bo ja cię zawsze przekonam, że ten miał rację, kto miał armat więcej i wojska. Rozum państw – to wielkie armie, gotowe do wyruszenia w pole, to ich dusza, która rządzi.

– Nie, panie Adamie, duszą państw jest sprawiedliwość, jaką się rządzą.

– Państwami kieruje żołądek i jego wymagania – zawołał Karol umyślnie, aby sprawić przykrość księdzu, który się rzucił na te słowa i zaczął dowodzić, że wszystko wypływa z woli Bożej i że ta wola jest sprawiedliwością i że na tym stoi wszystko.

Karol już nie odpowiadał, bo go znudziły te bezpłodne rozumowania, ale gdy ksiądz, ojciec i Zajączkowski zaczęli mu dowodzić, że wszystko się dzieje za wolą Boga, nie mógł już wytrzymać i zawołał z gniewem:

– Tłumaczycie, panowie, sobie świat przy pomocy katechizmu; nie przeczę, że to łatwe, a miejscami dowcipne nawet.

– Bluźnisz, dobrodzieju mój kochany, bluźnisz i obrażasz nas. Jasiak, smyku jeden, daj no ogieńka, bo mi fajeczka zgasła! – wołał drżącym z oburzenia głosem i fajka latała mu w rękę ze wzruszenia.

Pykał, ale że nie mógł dociągnąć się dymu, bo chłopak nie mógł zapalić, trzasnął go cybuchem przez plecy i znowu zaczął przekonywać, ale teraz już z całą pasją.

– Nie będzie pani żal opuszczać tego raję, jaki sobie pani stworzyła w Kurowie? – mówił cicho Maks do Anki, bo oboje nie mieszała się do rozmowy ogólnej.

Maksa nic nie obchodziły poruszane kwestie, a Anka była smutna.

Karol był taki inny przez te kilka dni, tak jej prawie unikał, że dziewczynę zaczął trapić głuchy niepokój, przeczuwanie jakiegoś nieszczęścia, więc teraz nie odpowiedziała Maksowi, tylko pochylając się nad stołem zapytała cicho, nie podnosząc oczów:

– Nie wie pan, czy Karola nie spotkało co złego?

– Nie. Czy pani co zauważyła?

– Tak mi się zdawało. Prawda, zapomniałam, że musi mieć dosyć kłopotów z fabryką, prawda... – dodała ciszej, jakby dla siebie, jakby dla stłumienia

podejrzeń i niepokojów.

Podniosła głowę i oczami pełnymi troski serdecznej ogarnęła jego twarz schmurzoną i gryzące spojrzenia, jakie rzucał na księdza.

– A co państwo robią z ziemią?

– Dziadek chciał sprzedać, ale pan Karol opiera się temu, za co jestem mu bardzo wdzięczna, bo tak się zżyłam z tym domem, że nie mogłabym bez przykrości pomyśleć, że to już nie nasze. Prawie wszystkie drzewa w ogrodzie, wszystkie żywopłoty sadziła albo matka

pana Karola, albo ja. Więc niech pan pomyśli, jak by to było ciężko rozstawać się z tym na zawsze.

– No, przecież można gdzie indziej kupić ładniejszą posiadłość.

– Tak, można, ale ona nie będzie Kurowem – odpowiedziała do-
tknięta, że nie rozumiał i nie odczuwał jej przywiązania do tego kawał-
ka ziemi, na którym się wychowała.

Umilkli, bo kłótnia zawrzała znowu pomiędzy Zajązkowskim i
księdzem, który zirytowany bił cybuchem w podłogę i zawołał:

– Dobrodzieju mój kochany, ja ci tylko powiem,

że ty jesteś Zajązkowski, herbu barania skórka. Jasiek, ognia!

– A, Panie Jezu Chryste, co ten ksiądz wygaduje. Tomek, huncwo-
cie jeden, a zakładaj konie – ryknął do kuchni, gdzie jego stangret jadł
kolację, i nie żegnając się wybiegł, ubrał się w ganku i poleciał, ale
powrócił za chwilę, bo zapomniał czapki, której szukał po wszystkich
pokojach, a znalazłszy ją przybiegł do stołowego pokoju, huknął pię-
ścią w stół i zawołał wściekle:

– Jegomość podziękuj Bogu, że cię ochrania sukienka kapłańska,
bo inaczej ja bym jegomościa nauczył, co to jest mówić: Zajązkowski
herbu barania

skórka, ja bym nauczył – krzyczał bijąc raz po raz w stół.

– Nie wylewaj waść herbaty, dobrodzieju mój kochany – rzekł spo-
kojnie ksiądz Szymon.

– Usiądźcie no, o co tu się gniewać, no, siadajcież, sąsiedzie – za-
praszał pan Adam.

– Nie usiądę! Noga moja tutaj więcej nie postoi, gdzie mnie obraża-
ją.

– Nie wylewaj waść herbaty i jedź z Bogiem – szeptał ksiądz uno-
sząc swoją szklanę, która tańczyła po stole, wstrząsanym uderzeniami
pięści.

– Jezuita, jak Boga jedyne go Kocham! – wrzasnął Zajązkowski,
huknął raz jeszcze w stół i poleciał.

Na podwórzu i na drodze jeszcze słyhać było jego głos łączący się
z turkotem bryczki, którą odjeżdżał.

– Rozgrzana pała, o! Słyszane to rzeczy, żeby się o byle słowo tak
obrażać!

– A bo mu też ksiądz dojechałeś do żywego mięsa.

– To czego gada głupstwa.

– Każdemu wolno mieć swoje zdanie.

– Pod warunkiem, żeby było poparciem naszego – odezwał się ironicznie Karol.

– Dobrodzieju mój kochany, a to ten smyk naprawdę odjechał. Jasiak, kanalio, daj no ogieńka – zawołał oburzony i poszedł do ganku wyglądać za Zajączkowskim. – No, widzicie, co to za awanturnik. Nakrzyczał, nawymyślał mi i pojechała sobie bestia.

– Wróci, przecież to nie pierwszy i nie ostatni raz – odezwała się Anka.

– Hm, wróci? Już cię, że wróci, ale zawsze co sobie o nas pomyśli pan Baum.

– Pomyśli, że panowie dobrze śpicie, dobrze się odżywiacie i dużo macie czasu, skoro go zużywacie na takie dziecinne kłótnie – szepnęła ironicznie Karol.

Książd popatrzył na niego groźnie, ale oczy mu się rychło rozjaśniły, wytrząsnął popiół z fajki, nabił w nią tytoniu i podstawiając do zapalenia Jaškowi, szepnęła:

– Drażnią cię kły, dobrodzieju mój kochany, to na pluchę...

Pożegnał się wkrótce i poszedł do domu.

Milczenie długie zapanowało.

Stary drzemał na swoim fotelu.

Anka ze służącą sprzątała ze stołu, a Karol zatopił się w głębokim fotelu i palił papierosa spoglądając z ironią na Maksa, który biegał błyszczącymi oczami za każdym ruchem Anki.

Zaraz się też rozeszli spać.

Maks miał łóżko w saloniku od ogrodu.

Noc była cudowna, słowiki rozśpiewywały się coraz tęskniej, aż im zaczęły odpowiadać z nadrzecznych gąszczów kosa, i polał się wtedy nieporównanie piękny deszcz dźwięków, który się rozlewał w tej cichej, czarownej nocy czerwcowej, pełnej ciepła bijącego z rozgrzanej ziemi, gwiazd na niebie i zapachu bzów, których były pełne klomby, stojące przed oknami.

Maks nie mógł spać. Otworzył okno i patrzył w okręcony mgłami świat.

Myślał o Ance, gdy naraz usłyszał przyciszony jej głos.

Wychylił się oknem i zobaczył ją siedzącą w oknie swojego pokoju, w oficynie przystawionej do dworu pod kątem prostym.

– Czemu mi nie chcesz powiedzieć, co cię męczy? – prosił głos zwrócony do okna naprzeciw.

– Nic mnie nie męczy, jestem zdenerwowany – odpowiedział głos drugi.

– Zostań dni kilka, to się trochę uspokoisz. Niewyraźne mruknięcie było odpowiedzią. Potem głos pierwszy mówić zaczął tak cicho, że Maks nic słyszeć nie mógł, natomiast usłyszał chór żab rechoczący gdzieś w łąkach i turkot wozów jadących szosą, i głosy ptaków śpiewających coraz głośniejsze.

Księżyc świecił tak jasno, że powłóczył warstwą srebrną mokrą od rosy liście, a mgły czynił podobne do zwojów srebrnej gazy.

– Jesteś romantyczka – rozległ się znowu głos męski z akcentem gniewu.

– Czy dlatego, że cię kocham? Czy dlatego, że każdą twoją troskę biorę w serce tak mocno, mocniej niż swoje własne, że chciałabym, abys był zupełnie szczęśliwym?

– Nie, nie dlatego, ale dlatego, że bez względu na możliwy katar chce ci się ze mną mówić przez okno, prawda, że to i przy księżycu, i przy śpiewie słowika.

– Dobranoc.

– Dobranoc pani.

Okno trzasnęło i biała firanka zasłoniła wnętrze pokoju, rozświecone teraz.

Karol nie odszedł, bo rozległ się trzask zapalki i cienka struga sinego dymu wypłynęła z pokoju i darła się o słomiany okap dachu, palił papierosa.

Maks również zapalił, ale po cichu, żeby nie zauważono, iż słucha.

Był bardzo ciekawym, czy Anka wróci jeszcze i co mówić będą.

Gniew Maksa na Karola rósł co chwila.

Ale okno Anki wciąż było zamknięte, dostrzegł tylko, że za firanką cień jej się ukazywał co chwila i przystawał przy oknie, byłby może nawet usłyszał szelest jej kroków, ale słowiki przeszkadzały i wiatr, który wstał gdzieś z łąk i bagnisk, przyczółgał się po zbożach, co stały czarną ścianą, wdarł się pomiędzy drzewa i zaczął szumieć i trząść bzami, i dmuchał w słomiane poszycie domu, i owiewał mu twarz wilgotnym, przesyconym zapachem zbóż i ciepła oddechem.

– Jutro będzie Karczarek, ten, co chce kupić od nas – odezwał się znowu głos.

Maks zapatrzył się tak w ogród, że nie widział otwierania okna.

– Przecież ojciec nie sprzeda.

– Ale tobie może potrzebne te pieniądze.

– Tak, potrzeba mi milion – zaszemrał głos drwiący.
– Karczmarek chce wydzierżawić chociażby, potrzebuje majątku dla zięcia.

– To się jutro umówimy.

– Cugowe konie weźmiesz do Łodzi czy sprzedasz?

– A po cóż bym brał stare klaki.

– Ale dziadek się do nich tak przyzwyczaił – mówił smutnie sopran.

– To się odzwyczai. Dzieciństwa zawsze ci się trzymają. To może i przeplancować pół ogrodu do Łodzi, może byś chciała zabrać i krowki swoje, i kureczki, i gąski, i prostaczki – byłby cały komplet.

– Jeśli sądzisz, że drwiny powstrzymają mnie od zabrania tego, bez czego obyć bym się nie mogła, to się mylisz.

– Nie zapomnijże zabrać i portretów rodzinnych. Senatorom Rzeczypospolitej musi być tęskno, tam na strychu, do znalezienia się w Łodzi – brzmiał szydarczy głos.

Sopran nic nie odpowiedział.

Słysząc było jakby bardzo ciche łkanie, ale tak ciche, że wydawało się Maksowi jakby bełkotem strumienia płynącego za ogrodem.

– Anka, przebacz mi! Nie chciałem robić ci przykrości. Taki jestem zdenerwowany. Przebacz mi, Anka, nie płacz.

Maks ujrzał, że Karol wyskoczył do ogrodu, no i to również zobaczył, że dwa białe ramiona wyciągnęły się do niego z okna i że ich głowy bardzo blisko były siebie.

Nie patrzył i nie słuchał więcej.

Zamknął okno i położył się spać, ale sen nie przychodził; przewracał się na wszystkie strony, kłął, palił papierosy, ale zasnąć nie mógł, bo słowiki tak głośno śpiewały w bzach i ciągle mu się wydawało, że słyszy głosy Anki i Karola.

– Co oni mogą sobie opowiadać tak długo? – myślał irytując się coraz bardziej, i aby się przekonać, czy są jeszcze, wstał.

Karol stał pod oknem Anki, ale rozmawiali tak cicho, że nic słyszeć nie było.

– Spać nawet nie można od tych amatorów – mruknął ze złością i zatrzasnął okno z hukiem.

Nie usnął jednak, nie dała mu spać ta noc czerwcową, kipiącą potężnym życiem wiosny.

Księżyc wisiał wprost okien, napełniał pokój niebieskawym pyłem i rozlewał potoki łagodnego światła na uśpione miasteczko, na puste

uliczki i na szerokie pola, pokryte lekko falującymi zbożami, nad którymi rozwłóczyły się szkliste mgły i wisiały spokojnie; z łąk i oparzelisk podnosiły się białawe opary niby dymy z kadzielnic i były kłębamiki ku granatowym przestrzeniom; a z mgieł, ze zbóż sennie szumiących, operlonych rosą, wznosił się coraz potężniej chrzęst świerszczyków polnych, płynący przytłumionym i rozdrzanym na miliony dźwięków rytmem bezustannie rozbrzmiewającym w powietrzu; odpowiadały im chóry żab, które podnosiły z bagnisk rechot i wołały ostro: „Rade, rade, rade!”

Milkły po chwili, aby dać głos innym chórom, usadowionym na dalszych błotach, po stawach zarośniętych, przeblaskujących lustrami wody, przez które wlokły się promienie księżyca niby ostrza złote; po brzegach strumieni obrośniętych pochylonymi pod ciężarem rosy tatarakami, po rowach pełnych żółtych kaczeńców i niebieskich niezapominajek, nad którymi stały popróżniałe wierzby o wielkich głowach, pokrytych niby włosem gęstymi młodymi pędami.

Ze wszystkich stron zrywały się hymny, śpiewane z upojeniem w tę noc wiosenną, pełną czaru nieopowiedzianego, krzyków głębokich, śpiewów, drgań ledwie odczuty i miłości.

Słowiki śpiewały w każdej kępie bżów i odpowiadały im tysiączne głosy ptactwa, klekot bocianów zrywający się czasami z wielkiego modrzewiu, stojącego w szczycie dworu, krzyki jękliwe czajek na moczarach, słodki szczebiot jaskółek po gniazdach, chrzęsty zbóż, huczenie chrabąszczów goniących się po drzewach, ryki krów po oborach i rzenie dalekie koni pozostawionych na noc po pastwiskach.

A chwilami milknął świat i robiła się cisza tak głucha a przeogromna, że słycać było kapanie rosy spływającej z liścia na liść i bełkot rzeczułki za dworem, i jakby głęboki oddech ziemi.

Ale po tej chwilowej ciszy wszystkie głosy zerwały się w tym mocniejszym chórze, wszystkie drzewa, trawy i stworzenia śpiewały przejmujący hymn miłości i jakby wyciągały do siebie gałęzie, kwiaty, ramiona i oddawały się sobie z pożerającym uniesieniem.

Cała ziemia we wszystkich głosach śpiewów, bełkotów i szumów, we wszystkich tętnach roślin i tworów, we wszystkich skrzeniach blasków i promieniowań, we wszystkich zapachach przenikających powietrze – skłębiała się w przeogromny, nabrzmiały żądzą miłości wir, który jakby porwany rozszaleniem tej wiosennej nocy i pożerającą tęsknotą wieczności, rzucał się na oślep w objęcia bezdni, zewsząd rozwartej,

ciemnej, błyszczącej zimną rosą gwiazd i miliardami słońc i planet, głuchej, tajemniczej, strasznej.

Nie, Maks usnąć nie mógł.

Słowik, który śpiewał pod oknem, tak go rozdrażnił, że chciał go spłoszyć – ale ptak nie słyszał, siedział na kołyszącej się pod nim gałązce i śpiewał cudowne trele, lał całe potoki dźwięków, rozsypywał tony jak perły, które spływały na ogród, na kwiaty, niby kaskada rozsiewająca czar niewysłowiony. Samiczka gdzieś z głębi drzewa odpowiadała mu sennym i apatycznym ćwierkaniem.

– Ażeby cię diabli wzięli z twoim piskiem! – zawołał zirytowany i rzucił kamaszem w krzak, ptak sfrunął na inny krzew, a gdy Maks zamknął okno i powrócił do łóżka, słowik powrócił na dawne miejsce i śpiewał dalej, co Maksa tak rozgniewało, że odwrócił się do ściany, głowę okręcił w kołdrę i zasnął dopiero nad ranem.

Prócz pana Adama nikt dobrze nie spał tej nocy we dworze kurowskim.

Szczególniej Anka, której ta długa rozmowa z Karolem nie uspokoiła, a przeciwnie, zaczęła budzić w niej jeszcze ciemne podejrzenia, że coś przed nią ukrywa – ale ani przez mgnienie nie przypuszczała, że ukrywał obojętność, że już z trudem i wysiłkiem udawał miłość.

Nie podejrzywała go, bo sama kochała całą potęgą namiętnego, dwudziestoletniego serca.

A potem i dlatego spać nie mogła, że marzyła – marzyła o tym łódzkim życiu, o przyszłości niedalekiej, o tym, że za miesiąc opuścić musi Kurów, gdzie tyle lat przemieszkała.

– Co ja w Łodzi będę robić? – snuło się jej uporczywie w myśli, ale rano przerwały jej te majaczenia na pół senne hałasy podwórza, wypędzanie krów na pastwisko i krzyki gęsi.

Wstała zaraz.

Pan Adam już jeździł na swoim wózko-fotelu, popychany przez wyrostka; jeździł po podwórzu, zaglądał do obór, krzyczał na pastucha, pogwizdywał na gołębie, które całą bandą opadły z gołębnika na niego, siadały na ramionach, wisiały na poręczach, trzepały się nad nim rozgruchaną, hałaśliwą chmurą i wydzierały sobie groch, jaki im sam codziennie rozsypywał.

– Waluś, stać w szeregach! Razem do ataku!..Jeden ruchu, drugi ruchu” tra la la la – podśpiewywał i komenderował śnieżnej rozgruchanej hołocie, która ze wszystkich stron zlatywała się do niego.

– „Miała babuleńka kozła rogatego. Tych bych, tych bych, kozła rogatego.”

– Waluś, do ogrodu! – komenderował ostro, oganiając się od gołębi kapeluszem, bo leciały za nim i opadały na wózek. – A ruszaj no się, bestio!

– Adyc się rucham! – odpowiadał sennie wyrostek wtaczając wózek do ogrodu, pomiędzy szereg jabłoni pokrytych kwiatem tak gęstym, że na tle trawników stały podobne do olbrzymich stożkowych bukietów, owianych różowym pyłem i chmarą rozbrzęczonych pszczół, co jak rdzawe kule przelatywały z kwiatu na kwiat.

Wilgi śpiewały na wiśniach, a bocian stał w gnieździe, przewracał szyję aż na grzbiet i klekotał zawzięcie.

– Waluś, a jabłuszka będą, co?

– Jużcić, że być będą.

– A ruszaj no żwawo.

– Adyc się rucham!

– A gruszczeni będą, co?

– A będą, co ni mają być.

– A oberwiesz, bestio, co?

– Ja tam nie obrywam – burknął chłopak, nierad z przypomnienia.

– A przeszłego roku kto to zjadł „panny”, he?

– Franciszków Michał, a nie ja!

– Wiem, wiem, bo dostałbyś tak, że niech cię ręka boska broni! „Miała babuleńka kozła rogatego.” Kosiu, kosiu! – zawołał i zaczął gwizdać na kosa, siedzącego w klatce na zewnątrz okna.

Kos wyjął głowę spod skrzydła, otrzepał się, nasłuchiwał chwilę to jednym, to drugim uchem, skoczył na wyższy pręcik i wesoło odgwizdywał swojemu panu, ale umilkł zaraz, bo się rozlewał w powietrzu świegotliwy, dźwięczny głos sygnaturki z klasztoru, którego wieże i szereg okien widać było z ogrodu nad płaskimi dachami miasteczka.

– Waluś, do klasztoru! odwiedzimy księdza Liberata, a żwawo, bestio.

– Adyc się rucham, jaze mi kulasy stergły.

Pojechali ścieżką, biegnącą z ogrodu nad rzeką, pomiędzy łąkami, znad których zwłóczyły się resztki mgieł niby poszarpane strzępy muślinów, wskroś których migotały fantastyczne skrety jaskółek, świegocących w szalonym locie.

Drugi bocian chodził z wielką powagą po łąkach i raz po raz zanurzał ostry dziób w zielonej trawie, wyciągał żabę, podnosił szyję do góry i połykał z namaszczeniem.

Rzeczka płynęła bystro wąskim pasem błękitu, po którym rozpryskiwały się co chwila srebrne łuski drobnych fal i obmywały długie linie żabieńców i niezapominajek, co żółtymi i błękitnymi oczami patrzyły w wodę, na korowody płowych kiełbików goniących się na mierzniach, na wąskie zielonawe grzbiety i ostre głowy szczupaków, przyczajonych pod liśćmi grzybieni, co jak zielone ręce leżały na wodzie, na tych łupieżców cichej rzeczki, które, niby kule, leciały wskroś rybiego tłumu, połykały w przelocie kiełbia lub płotkę i nim gromada zdążyła się rozbiec, znikwały w gąszczach brzegów, pomiędzy czerwonymi liśćmi pomórników, pod cieniem rozkwitłej czeremchy, duszonej przez ramiona dzikiego chmielu, które drgały na wartkim prądzie niby rozsypane zielone warkocze.

Potem jechali tyłami miasteczka, ścieżką biegnącą przez zagony ogrodów warzywnych i sadów, pełnych kwitnących drzew i zapachów cebuli, gdzie na miedzach pasły się brodate kozy, a na krzewach zielonego agrestu, na połamanych płotach wietrzyła się pościel.

Przejechali ogród, jaki się rozciągał tuż za murami otaczającymi klasztor, i Waluś pchał wózek do wnętrza klasztoru, na korytarz.

W klasztorze pusto było i cicho.

Oknami wdzierał się wiatr i zaglądały zielone gałęzie krzewów, bo w pośrodku murów był niewielki ogródek.

Kilka drzew orzechowych pięło się do słońca i zaglądało do cel pierwszego i drugiego piętra, a resztę ogródka zajmowały trawy i chwasty, na tle których migotały białe, smutne główki narcyzów.

– Niech będzie pochwalony! – zawołał pan Adam przystając przy jednym z okien.

– Na wieki wieków! – odpowiedział Liberat, który w swoim białoczarnym habicie dominikańskim, chudy, zgarbiony, włókł się nad ścianą.

Podniósł wybladłe i jakby nieprzytomne oczy, patrzył długo, nim poznał, kto do niego zagadał.

– Jakże zdrowie? Bo wczoraj mówił ksiądz Szymon, że ojciec zdrowszy.

– Nie, nie... nie zdrowszy – szeptał ksiądz bladymi ustami.

Jego szara wyschnięta twarz, podobna w tonie do tych otaczających murów, rozjaśniła się jakby uśmiechem.

– Może ojciec będzie łaskaw przyjść dzisiaj do nas na obiad?

– Nie, nie! Nic już jeść nie mogę, żyję oczekiwaniem, bo dziś lub jutro umrę...

– Co też ksiądz mówi – zaprotestował energicznie pan Adam, ale ksiądz Liberał uśmiechnął się i głaszcząc się po twarzy gałązką bzu kwitnącego, odetchnął tym zapachem i szepnął głucho:

– Śmierć już stoi przy mnie! Śmierć już jest we mnie! – powtórzył mocniej, aż się pan Adam cofnął nieco, a Waluś przeżegnał się ze strachu.

– Był u mnie dzisiaj w nocy przeor – dodał cicho.

– Jezus, Maria! Przywidzenie, mój ojciec, i nic więcej. Przeor, toż on umarł z piętnaście lat temu.

– Był. Widziałem go! Modliłem się na chórze i kiedym schodził do celi, zobaczyłem, jak szedł przede mną korytarzem, do każdej celi pukał i z każdej celi odpowiadał mu głos jakiś, a on szedł dalej, jakby zwołując wszystkich. Zniknął mi na zakręcie, a gdym się już położył, usłyszałem pukanie. Podniosłem się i otworzyłem drzwi: stał na środku korytarza, rękę podniósł do góry, patrzył na mnie długo i powiedział:

– Pójdź!

Poszedłem za nim, wiódł mnie przez wszystkie korytarze, a ze wszystkich cel wychodzili ojcowie i szliśmy razem do refektarza, tam już było pełno i ciągle wchodzili nowi, wszyscy, jacy byli od samego początku naszego klasztoru. Jakiś bardzo stary ojciec odczytywał z wielkiej księgi nazwisko, wywoływał po kolei, po kolei podchodzili do niego, a on wtedy kartę z nazwiskiem wydzierał i rzucał w powietrze, zapalała się i kula ognista wypływała oknami w świat, a każdy wyczytany zniknął. Zostałem tylko sam, a on przeczytał moje imię: Ojciec Liberał.

– Pójdź! – szepnął mi przeor.

– Ostatni! – zawołał czytający i wolno wydzierał moją kartę, tak wolno, że czułem, iż mi wydziera życie.

– Ostatni! – powiedział przeor, popatrzył na klasztor, na mnie, pocałował mnie w czoło i szepnął:

– Pójdź!

– Idę, o Panie! kiedy mnie wołasz do siebie.

Idę!... – szeptał ksiądz zapatrzony w płat błękitu wiszący nad ogródkiem, skrzyżował ręce na piersiach i stał, podobny ze swej siności do posagów.

Jaskółki biegały nad nim jak szalone, wróble ćwierkały po drzewach, nie słyszał nic i nic nie widział, zatopiony w modlitwie i w wizji tej przeczuwanej śmierci.

Cały zakon wymarł i on, ostatni z szeregu niezliczonego, czuł, że umiera. Pan Adam przynaglał do pośpiechu Walusia, bo

chciał jak najprędzej znaleźć się w domu. Ksiądz Liberat przejmował go strachem zawsze, a dzisiaj zatrząsł nim do głębi opowiadaniem tego widzenia nocnego.

Pan Adam oddychał powietrzem pól i kwiatów, patrzył na zieleni i na ludzi, próbował gwizdać i przyśpiewywać, ale głos mu wiązał w gardle, oglądał się za siebie jakby z obawą, że ujrzy te umarłe korowody zakonne, i krzyczał:

– Waluś, a ruszaj no się, bestio!

– Adyć się rucham.

Na ganku zastał Ankę; siedziała na niskim stołeczku, otoczona chmarą młodziutkich kurcząt, którym dawała jeść. Maks stał w drzwiach i z podziwem przypatrywał się sielankowej scenie.

– Gdzie ojciec był?

– U księdza Liberata.

– Zdrowszy?

– Ale, on już zupełnie *mente captus*, zupełnie.

Opowiadał mi niestworzone rzeczy i twierdzi, że dzisiaj lub jutro najdalej umrze.

– Czy to ten ksiądz, który był wczoraj u państwa? – zapytał Maks.

Nie. Ksiądz Szymon jest naszym proboszczem, a ten zaś, to ostatni z dominikanów, jacy byli w naszym klasztorze. Ojciec Liberat to człowiek wielkiej nauki i pobożności, ale... chory. Prawie obłąkany. Przez całe tygodnie nieraz nie sypia, nie jada, od ludzi stroni, a tylko modli się rozciągnięty na podłodze dawnego chóru zakonnego i nocami odwiedza puste cele i rozmawia z dawno umarłymi. A przy tym wszystkim...

Nachylił się do Maksa i coś szeptał, ale Anka mu przerwała.

– Tasiuchny, taś, taś, taś! – wołała na stado kacząt, trzępiących się zapamiętałe w sadzawce, nie zważając na rozpaczliwe krzyki i bieganię kury, która je wysiedziała.

Kwoka krzyczała jakby na ratunek, podfruwiała na wodę i cofała się z przestachem.

– Pani codziennie i sama karmi wszystkich drób?

– Codziennie.

– Przecież to duża praca!

– Skoro się samo nic nie robi, więc trzeba robić – odpowiedziała wesoło i zwoływała przed ganek coraz nowe stada, które ściągały ze wszystkich kątów podwórza, rzucały się na żer chciwie i napelniały powietrze wesołym krzykiem.

Anka siadła na progu ganku i raz po raz czerpała ze stojących obok niej przetaków to garść kaszy jaglanej, to jęczmienia, to pszenicy i rzucała na ruchliwą, rozkrzyczaną hołotę ptasią, kłębiącą się zapamiętałe i bijącą się pomiędzy sobą.

Były kurczątka pokryte żółtym puchem, które różowymi dziobkami z nadzwyczajną zwinnością wybierały jagły i co chwila biegły do kwoki, raz wraz nawołującej dzieci do nowego żeru, jaki odkrywała na ziemi; były indyczki wysmukłe, białe, na zielonych niby z brązu nóżkach, delikatne, kapryśne, które biegnąc podnosiły krótkie skrzydełka i krzyczały jękliwie; były kaczęta już w pierzach, ale tak brudne, umazane w błocie, że nie miały barwy, te szły gromadą zbitą i hurmem w milczeniu rzucały się na żer i połykały łapczywie, trzęsąc dziobami w powietrzu, nadziejąc się po prostu kaszą; przyszła na końcu banda gęsiąt z gąsiorem, które kołysały się niezgrabnie, trzęsły obwisłymi brzuchami i gęgały niespokojnie, ale pierwsze rzuciły się na jęczmień i tratowały własne dzieci; ta gromada robiła najczęściej wrzawy, bo co chwila podnosiły dzioby, wyciągały zmijowate szyje i krzykliwie rozmawiały ze sobą, a gestor szczypał kwoki podskakujące niezgrabnie, gonił za kaczorami, syczał na indyczki i przybiegał do gęsi, głośno ciesząc się ze zwycięstwa.

Potem zrobił się przed gankiem pisk i zamęt, bo wszystko się pomieszało ze sobą i zaczęło się bić.

Stare gęsi syczały na indyczki, które z rozczapierzonymi skrzydłami błyskały groźnie ślepiami i jeszcze groźniej, bulgotały, a indor w tęczy rozwachlarzonego ogona, o rozczzerwienionych od gniewu koralach, skakał ostrymi pazurami na kaczorów o zielonych, pawich łbach, które chyłkiem uciekały, po drodze porywając jedzenie.

Na domiar złego gołębie, zwabione piskiem ptasim widokiem pana Adama, krążyły nad domem i jak kule śnieżne spadały w środek stada, gruchały, kręciły się odważnie, kradły ziarna spod dziobów, uciekały gonione przez kwoki i od syków gęsi i powracały niestrudzenie, uwiłajając się zapamiętałe.

Anka bawiła się wesoło tą walką, jaka wrzała u jej nóg, i wciąż sypała nowe garście ziarna na głowy i skrzydła ptactwa.

– Podobna jest teraz pani do Mickiewiczowskiej

Zosi.

– Z tą wielką różnicą, że Zosia bawiła się gospodarstwem, karmiła drób dla przyjemności.

– A pani robi to dlaczego?

– Aby dobrze wykarmione sprzedać w Łodzi. Mniej się to panu podoba, co?

– Więcej jeszcze, bo mogę podziwiać pani praktyczność.

Praktyczność z musu.

– Nigdy prawie ta praktyczność nie powstaje dla czego innego. Ale pani dziwnie umie łączyć praktyczność z czymś zupełnie innym, z czymś, czego nazwać nie umiem, bo...

Przerwał mu pan Adam, bo zaczął gwizdać przeciągle, i natychmiast indory nastroszyły się i zaczęły bulgotać, gęsi krzyczały głośno, a kwoki ogarniały swoje małe, rozstawiając nogi i skrzydła, i kwakały zestrachane jakby przed jastrzębiem, gołębie wzbily się w górę i jak obłąkane uciekały do gołębnika, wpadały do stodół, a nawet kilka uciekło do ganku, a w całej gromadzie podniósł się taki krzyk, pisk, rwetes, tak wszystko uciekało, tratowało się, że pan Adam śmiał się na całe gardło.

– A co, tom zrobił figla! – wołał.

– Cóż ta za gęsia idylla? Spać nie mogłem przez nią – zawołał Karol wchodząc na ganek.

– Wyśpisz się w Łodzi.

– W Łodzi mam co innego do roboty – szepnął niecierpliwie, zimno przywitał Ankę i znudzonym wzrokiem przyglądał się niebieskim dymom, bijącym wielkimi słupami nad miasteczkiem.

– Koniecznie musicie panowie jechać dzisiaj? – zapytała nieśmiało Anka.

– Koniecznie i chociażby zaraz.

– Więc jedźmy, jestem już gotowy – powiedział ostro Maks, zirytowany tym „koniecznie”.

– Nie, nie. Pojedziecie panowie po południu, teraz ja nie pozwalam. Pójdziemy do kościoła na sumę. musimy odwiedzić księdza Szymona. Potem zjemy obiad. bo umyślnie prosiłam na niego pana Zajączkowskiego i księdza, a wreszcie musi się pan, panie Karolu, rozmówić z Karczmarkiem, ma być o trzeciej. A przed wieczorem odprowadzimy panów.

– Dobrze, dobrze! – rzucił prędko Karol i poszedł do pokoju jadalnego, bo podano śniadanie, po czym narzekając na gorąco wyniósł się do ogrodu i siedział pod kwitnącymi jabłoniąmi, obsypywany co chwila lśnieniem płatków padających za najmniejszym powiewem wiatru.

Pszczoly brzęczały na jabłoniach jak w ulu, a po całym ogrodzie rozplwał się słodki, duszący zapach bzów. Jabłoni i głosy wilg śpiewających.

Pan Adam poszedł się przespać, jak zwykle to robił po śniadaniu, bo wstawał o świtaniu; Anka ubierała się do kościoła, a Maks chodził zarośniętymi trawą alejkami, okrążał ze wszystkich stron Karola, czasem się zapuszczał na drugą stronę dworu od rzeki i powracał, a przechodząc obok niego nie mówił nic, unikał nawet jego wzroku i szedł w głąb ogrodu, bo mu się wydało, że tam mignęła jasna sukienka Anki, a przekonawszy się, że to różowieje jabłoń pokryta kwiatami, stanął przy parkanie i patrzył na szeroką roztocz zbóż zielonych, kołyszących się z jednostajnym szmerem, przez które ścieżyną biegnącą od dalekiej wsi snuł się długi łańcuch czerwono ubranych kobiet i chłopów w białych kapotach, dążących do kościoła; patrzył a nasłuchiwał chciwie, czy się też nie odezwie gdzie głos Anki.

Nie mógł zdać sobie sprawy, co się w nim działo.

– Nie wyspałem się czy co? – myślał ściskając sobie głowę rozbolałą. – Do diabła ze wsią.

Poczuł się tak raptownie zdenerwowanym, że poszedł do Karola.

– Nie moglibyśmy wyjechać wcześniej?

– I ty masz już dosyć?

– Rzeczywiście, że wyleciałem ze wszystkich trybów, czuję się jak kalosz rozdeptany. W nocy spać nie mogłem, teraz nie wiem, co robić ze sobą.

– Połóż się na trawie, oddychaj wonią kwiatów, nasłuchuj szmerów traw, rozkoszuj się śpiewem ptaków, pław się w słońcu, a w interwałach myśl o piwie albo o czarnej Antce – drwił Karol.

– Daję słowo, że nie wiem, co ze sobą robić. Dwadzieścia razy obejrzałem ogród; no i cóż? widzę, że piękny, że drzewa kwitną, że trawa zielona, ale co to dla mnie za „papier”? Byłem na łące – przesłiczna.

Byłem w stajni, byłem wszędzie, wszystko widziałem, ale mam tego już dosyć. Panna Anka zachwalała mi las – zobaczyłem, że drzewa wielkie, że wilgoć i że nie ma na czym usiąść.

– Czemuś nie powiedział, byłaby ci kazała tam zanieść kanapkę.

– A przy tym jestem niespokojny o matkę i... – urwał i nie dokończył, tylko ze złością rozbijał nogą kretowisko świeżo wytoczone na trawniku.

– Pociesz się, pojedziemy, muszę tylko tę całą przykrą pańszczyzną odbyć przecież przykładnie.

– Pańszczyznę? – zapytał zdziwiony Maks. – Narzeczona i ojciec – to pańszczyzna?

– Nie miałem ich na myśli, a tylko tych bałwanów, którzy mają być na obiedzie, i wizyty – zacierał gorąco niebacznie powiedziane słowo, ale Maks, jakby na przekór, zaczął go przekonywać, że Zajączkowski jest niesłychanie sympatyczny, ksiądz bardzo rozumny itd., aż Karol zdziwiony podniósł na niego oczy.

– Cóż ty za koziołki wyprawiasz? Wczoraj zachwycałeś się wsią, dzisiaj ziewasz i chcesz uciekać do Łodzi; wczoraj tych dwóch nazywałeś ludźmi z operetki, dzisiaj zaś bronisz ich.

– Bo mi się tak podoba! – zawołał rozczzerwieniony Maks i ruszył w głąb ogrodu, ale zawrócił natychmiast pośpiesznie, bo Anka z ganku wołała:

– Panowie, czas iść do kościoła.

Zapomniał o zdenerwowaniu, o złości, o nudzie, tylko patrzył na Ankę, która stała na ganku i naciągała długie białe rękawiczki.

Była dzisiaj prześliczną w jasnokremowej sukni bardzo lekkiej, zarzuconej niesłychanie delikatnym deseniem bladofiołkowym, pasek i kołnierz miała tak

samo bladofiołkowe, kapelusz wielki, płaski, ubrany niezapominajkami i gazą białą.

Była tak prześliczną, takim dziwnym urokiem młodości, siły i szlachetności promieniały jej szare oczy, że Maks nie wiedział, co mówić dalej.

Szedł obok czas jakiś i uspokoiwszy się nieco, obrzucił wzrokiem fabrykanta jej suknię i szepnął bardzo poważnie:

– To twoja „Brylantyna”, Karol! Doskonała w kolorze.

– I świetnie się pierze – dodała Anka, rozśmieszona jego słowami.

Poczuł się dotkniętym jej śmiechem, więc się odsunął nieco i patrzył na szeroką uliczkę miasteczka, przez którą szli do kościoła.

Miasteczko było nędzną osadą, zamieszkałą przeważnie przez Żydów tkaczy, bo co okno prawie stał warsztat tkacki, a po sieniach długich, zabłoconych, czarnych siedziały stare Żydówki i zwiąjały na

kołowrotekach przedzę; suchy monotony turkot warsztatów bił od każdego okna i drżał w cichym, przesłonecznionym powietrzu.

Nędzne sklepiki miały drzwi poprzywierane, jakby broniły się od kłębów kurzawy.

Na środku głównej ulicy czerniały wielkie kałuże nigdy nie wysychającego błota, po których gromadami żerowały kaczki.

Na wprost klasztoru, w rynku, który stanowiła piaszczysta wydma obstawiona szczytami domów wspartych na drewnianych kolumnach, było kilka domów świeżo spalonych, z których tylko wśród rumowisk i ścian porozdzieranych sterczały nagie kominy.

Przez porozpadane mury ogrodzenia klasztornego, zarośnięte chwastami i kępami popielatego ligustru i obsadzone wielkimi brzożami o zwistych gałęziach i białej korze, widać było odrapany fronton kościoła i wysmukłą dzwonnice, ukrytą w rogu cmentarza.

Pod samym murem, w cieniu brzoż, stało kilkadziesiąt chłopskich fur i bryczek, nieco dalej, na środku rynku, pod płóciennymi dachami tuliło się kilkanaście straganów, a poza tym pusto było zupełnie, bo słońce prażyło coraz mocniej.

Zostali na cmentarzu, bo z powodu natłoku nie było możebnym dostać się do wnętrza kościoła.

Anka usiadła na schodach prowadzących do zakrystii i modliła się, Maks zaś i Karol poszli pod brzozy i przysiedli na jakiejś starej ozieleńniętej płycie grobowej, których cały szereg tulił się pod murami.

Nabożeństwo było już rozpoczęte. Z wnętrza kościoła przez otwierane drzwi brzmiały przytłumione dźwięki organów, a czasem wznosił się głos organisty, czasem chór głosów dźwięczał uroczyście, czasem słaby głos księdza przedarł się po tej ruchomej fali głów, jaka parła się od drzwi, biła o kraty prezbiterium i cofała się ze szmerem modłów, westchnień i kasztan; a czasem przycichało wszystko i wtedy ostre i przenikliwe głosy dzwonek śpiewały spiżem i odpowiadało im wielkie, głębokie westchnienie, wyrwane ze wszystkich piersi, a wszyscy znajdujący się na cmentarzu przyklękali, bili się w piersi i powracali znów pod brzozy i w rumowiska murów, gdzie siedzieli.

– Nasze chustki! – szepnął Maks wskazując na kilka kobiet, które jak maki jaskrzyły się na piasku i słońcu, siedząc z podwiniętymi nogami i przesuując ziarna różańca.

– Już wypęzłe – odpowiedział z ironią nieco Karol.

– Te wypełzłe to pabianickie; mówię o tych amarantowych z zielonym deseniem, te nigdy nie wypełzną, można wygotować w słońcu i nie wygryzie.

– Wierzę, ale co mnie to obchodzi?

– Dzień dobry panom! – rozległ się przytłumiony głos z boku.

Stach Wilczek, z cylindrem w ręku, elegancki, pachnący, stał przy nich i wyciągał rękę jak dobry znajomy.

– Co pan robi w Kurowie? – zapytał Maks.

– Przyjechałem na święta do rodziny. To mój rodzic w tej chwili dudli na organach – powiedział

z pogardliwą pobłażliwością i bawił się przekręcaniem licznych pierścionków na palcach.

– Długo pan tu zabawi?

– W nocy wyjeżdżam, bo mój Żyd nie dał mi dłuższego urlopu.

– A gdzież pan teraz pracuje?

– W kantorze Groszlika, ale to chwilowo tylko.

– Puścił pan węgiel?

– Nie. Mam kantor na Mikołajewskiej, bo Groszlik swój czarny interes sprzedał Kopelmanowi, a u tego parcha nie chciałem być. Czy panowie macie już dostawę węgla do swojej fabryki? – zapytał ciszej, pochylając się ku Karolowi.

– Jeszcze nie – odpowiedział Maks.

– Jakie pan daje warunki? – zapytał Karol chłodno.

Stach przysiadł na grobie obok niego i szybko zaczął pisać w notesie i obliczać, aż w końcu podsunął papier pod jego oczy.

– Za drogo! Brauman o siedm i pół kopiejki daje taniej na korcu.

– Złodziej i oszust! Da panu za to na wagonie dziesięć korcy mniej – zawołał cicho Stach.

– Pan myślisz, że się tego węgla nie będzie sprawdzać u mnie, czy co?

– Wyważy się nawet więcej, bo przecież Brauman nie na próżno zlewa węgiel wodą przed wysyłką.

– Być może, ale kto mi zaręczy, że pan tego samego nie będziesz robić?

– Dobrze, dam panu po cenie takiej, jaką Brauman deklarował. Nie zarobię prawie nic, ale idzie mi bardzo o tę dostawę. Mówiłem już o tym z panem Weltem, ale mi powiedział, że pan Borowiecki decyduje. Więc jakże? – zapytał uprzejmie, nie zważając na poprzednie słowa Karola i na jego chłodny, pogardliwy ton mowy.

– Przyjdź pan jutro do nas, to się rozmówimy.

– W jakiej mniej więcej ilości będziecie panowie potrzebowali węgla? – pytał Maks.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Umilkli wszyscy, bo przy odgłosie dzwonów bijących poważnie i śpiewów całego ludu procesja wyszła z kościoła i niby długi wąż o czerwonej głowie baldachimem, pod którym szedł ksiądz, wysuwała się z wielkich drzwi i migotała łuską czerwonych, żółtych i białych ubiorów kobiet, popstrzonych czarnymi kapotami chłopów i złotymi płomykami świec zapalonych, pełzała pomiędzy szarymi murami kościoła a zielonym wałem brzeziny i okręcała długim ciałem kościół.

Ogromny chór głosów bił w rozpalone powietrze i rwał się do białawego nieba, aż chmury gołębi zrywały się z wieżyc kościoła, ze zrzuconych dachów klasztoru i kołowały wysoko.

Procesja wróciła do kościoła, głosy umilkły, tylko liście brzoźszemrały i chwiały się sennie w rozpalonym powietrzu, od zabudowań klasztornych dochodziły gęgania gęsi, a wewnątrz kościoła rozbrzmiewało głosami śpiewów, dzwonek i organów.

Upał potęgował się coraz bardziej, słońce lało ogień na gontowe dachy miasteczka i jakby wypijało wszelką moc, taka cisza bezwładna leżała w rozdrzanym powietrzu, nad obręczą pól zielonych, ogrodów stojących bez ruchu, łąk zielonych, jakby przysłoniętych opaloną mgłą, i nad lasami, co wstęgą ciemną opasywały miasteczko i żółciły się łysynami piasków i wydmy górzystych.

– Nie słyszał pan, czy Neuman położył się? – zapytał Maks Stacha.

– Już.

– Zupełnie?

– Nie, boczkami tylko, na jakie trzydzieści procent. Panowie tracą?

– Mamy na nim cośkolwiek – i machnął niecierpliwie ręką.

– Może bym znalazł kogo, co by pańskie pretensje nabył, ma się rozumieć, jeśli tanio i z dobrym procentem dla mnie.

– Cóż, u diabła, we wszystkim pan „robi”?

– I w niektórych innych rzeczach! – zawołał głośniejszym i ze śmiechem Wilczek.

– Pan dobrze zna Kurów? – zagadnął Maks, aby odwrócić rozmowę z interesów, bo Karol niechętnie spoglądał na Wilczka i milczał uparcie.

– Ja się tutaj urodziłem, tutaj pasłem ojcowskie gęsi i bydłatka, tutaj brałem po grzbiecie postronkiem, ksiądz Szymon mógłby o tym ob-

szerniej pomówić. A, pan może nie wierzy, że ja pasalem bydło? – zapytał ironicznie, widząc zakłopotaną minę Maksa.

– Trudno mi w to uwierzyć patrząc na pana.

– Ha, ha, ha! to mi pochlebia. Pasało się bydłatka, pasało! brało się postroneczkiem po plecach, kalikowało się ojcu na organach, czyściło się ojcom w klasztorze buty, zamiatało się nie tylko kościół! różnie bywało. Nie wstydzę się tego zupełnie, bo i co to pomoże, fakt pozostaje faktem, a zresztą, doświadczenie to kapitał umieszczony na procent składany.

Maks nic się nie odezwał, a Karol dość lekceważąco oglądał go ze wszystkich stron i uśmiechał się ironicznie, bo był wyelegantowany przesadnie, a nawet śmiesznie; jasne kratki, lakierki, jedwabna kamizelka biała, jasny krawat z ogromnym brylantem, wykwintna żakietka, cylinder błyszczący, długi złoty łańcuszek od zegarka, złote binokle, których nie używał, kilka kosztownych pierścionków na palcach, którymi bawił się ustawicznie – nie harmonizowały z jego pucułowatą twarzą pokrytą pryszczami i małymi oczkami chytrze świeącymi ani z tym niskim, pofałdowanym czołem, nad którym leżały rozczesane na środku dużej płaskiej głowy włosy nieokreślonego koloru; długi ostry nos i wywinięte tłuste wargi robiły jego twarz podobną do pyska mopsa, którego ucharakteryzowano na bociana.

Nie zważał, że mu nie odpowiadali, uśmiechał się chwilami patrząc na ich głowy jakimś uśmiechem wyższości i politowania, a gdy po nabożeństwie tłumy zaczęły się wylewać z kościoła i przechodzić obok nich, prostował swoją kwadratową figurę, przysunął się bliżej do Karola i dumnie a chłodno patrzył na szeregi łyczek i łyków kurowskich, na swoich rówieśników i przyjaciół z pastwiska, którzy spoglądali na niego z podziwem i nie śmieli podejść do przywitania.

Przyszła i Anka, przywitał się z nią unieżenie, a gdy go zapraszała na obiad, rozczzerwienił się z radości i głośno, bardzo głośno, żeby go słyszeli przechodzący, dziękował:

– Muszę być w domu, bo wszystkie moje siostry się zjechały. Bardzo mi szczerze żal, że muszę się pozbawić takiej przyjemności, ale to już chyba kiedy indziej.

– Idziemy teraz do księdza Szymona – szepnęła Anka.

– Odprowadzę tam państwa, bo i ja muszę go odwiedzić.

Szli wolno przez zatłoczony cmentarz. Grupy chłopów w cajkowych kapotach i w czapkach ze świeącymi daszkami i kobiet wiejskich w jaskrawych chustkach i wełniakach – kłaniały się im unieżenie,

ale przeważająca część tłumu, złożona z robotników fabrycznych przybyłych na święta do rodzin, stała twardo i wyzywająco patrzyła na „fabrykantów”, jak ich nazywano.

Ani jeden kapelusz się nie uchylił przed Karolem, chociaż poznawał twarze wielu robotników z dawnego swego oddziału u Bucholca.

Tylko do Anki często podchodziły kobiety, całowały ją po rękach lub – jak niektóre – podawały tylko rękę i zamieniały po słów kilka.

Karol szedł za nią i oczami roztrzącał tłum, Maks ciekawie się przypatrywał, a Wilczek szedł na ostatku i głośno, łaskawie mówił do niektórych:

– Jak się macie? Jak się macie?

Ścisnął wyciągające się do niego ręce i zapytywał to o robotę, to o dzieci, to o zdrowie.

Kłaniali mu się prawie wszyscy i patrzyli na niego z życzliwością i z dumą, że przecież oni tego pana znają jeszcze z tych czasów, gdy na tym samym miejscu bijał się z nimi lub pasał bydło, i że to ich człowiek.

– Ależ oni wszyscy pana znają – powiedział Maks, gdy weszli do księżego ogrodu.

– Znają. Pana Wilczka całe miasteczko kocha, szczycą się nim – ozwała się Anka.

– Tyle skorzystałem na tej miłości, że moje jasne rękawiczki przez tę przyjaźń brudne i spocone na nic.

To mówiąc ścisnął i ostentacyjnie rzucił je w krzaki.

– Z powrotem je zabierze – zauważył półgłosem Karol.

Wilczek usłyszał uwagę i przygryzł usta ze złości.

Ksiądz Szymon mieszkał w klasztorze na dole, w kilku narożnych pokojach, przerobionych z cel zakonnych, których okna wychodziły na wielki i doskonale utrzymany ogród owocowy,

Duży ganek drewniany, niedawno wystawiony, bo drzewo było jeszcze żółte, prowadził do mieszkania.

Wino zasłaniało całą ścianę i zwieszało się zieloną frędzlą nad oknami, a olbrzymie krzaki bżów stały tak blisko, że wielkie bukiety kwiatów zaglądały do wnętrza mieszkania.

Ksiądz Szymon ledwie co wrócił przez klasztor i przyjmował ich z całą serdecznością w narożnej salce wybielonej wapnem, spod którego przebijały się przymglone barwy i roztarte kontury dawnych fresków, pokrywających sklepienia,

W salce panował ton fioletozielony od bzów rozkwitłych i od zieleni ogrodu.

Chłód, przejęty wilgocią, owionął ich na samym wstępie.

– Jak się masz, Stachu? A cóż to, smyku, nie byłeś wczoraj u mnie, he?

– Nie mogłem, przyjechały moje siostry i ani na krok nie ruszałem się z domu – tłumaczył się Wilczek całując księdza w rękę.

– Mówił mi twój ojciec. Nie mogłeś go to zastąpić na chórze, he? Stary ledwie nogami włóczy. Jasiek,

Jasiek! a daj no, smyku, fajeczkę i papierosików dla panów.

– Zapomniałem grać zupełnie, ale jeśli ksiądz pozwoli, to już umyślnie nauczę się jakiej pięknej mszy i wtedy przyjadę ją zagrać.

– A dobrze, dobrze!... Anka, Anusiu! a chodźże do mnie, dziecko, pomagać przyjąc gości. Widzisz ją, myślała, że jej pozwolę próżnować – śmiał się ksiądz krzątając po pokoju i wysuwając stół na środek.

– Pan dawno zna księdza? – zapytał Wilczka Maks.

– Od dziecka. Pierwsze litery razem z pierwszymi cybuchami wzięłem od księdza i nie zaprzeczam, że było tego dosyć – śmiał się Stach.

– Przesadzasz, dobrodzieju mój kochany, przesadzasz, tych cybuchów nie było wcale za wiele.

– Przyznaję otwarcie, że było ich znacznie mniej, niż mi się należało.

– A widzisz! Sprawiedliwy jesteś dla siebie, to będzie jeszcze z ciebie człowiek, ho, ho, człowieczek niezgorszy! Jasiek! Jasiek! gdzież ten smyk się podział.

A nie mogąc się go doczekać, sam przynosił z drugiego pokoju różne specjały i rozstawiał na stole.

– Moje dzieci, moi dobrodzieje kochani, panie Karolu, panie Baum, Stachu, po kieliszeczku wiśniaczkę. Ma sześć lat, słodki jak miód, a co za kolor, to proszę patrzeć – czysty rubin.

Podsunał kieliszek pod światło, w którym istotnie wiśniak mienił się czysto rubinowym fioletem.

– Zagryźcie no teraz tym placuszkiem z serem, mówię wam, że rozplywa się w ustach. No, jedzcież, bo obrazicie Ankę, ona go robiła sama i przysłała mi.

– Księżę Szymonie, przecież zaraz idziemy na obiad.

– Nie masz głosu, dziewczyno, bądź cicho. Widzisz ją, będzie się tu rządzić jak szara gęś. Pijcież, panowie.

– Czekamy na księdza dobrodzieja.

– Nie piję, moi dobrodzieje kochani, nie piję. Anusia, wyręcz no mnie, dziewczyno.

Wybiegł i po chwili powrócił z dosyć dużym gąsiorkiem pod pachą, zapinając równocześnie sutannę, która mu się odpiłała ustawicznie.

– A teraz na zakończenie napijemy się winka, no, napijemy się, i basta. Patrz no, dziewczyno, to poziomkowe, to samo, któreśmy razem trzy lata temu robili. Patrzcie, jaki ma kolor. Czyste słońce o zachodzie, czyste słoneczko, a jaki zapach, o, powąchajcie no!

I podtykał im pod nos butelkę, która buchała zapachem poziomek.

– Ależ, księżę! Ksiądz mi tak gości uraczy, że nie będą mogli jeść obiadu.

– Cicho, Anka, z bożą pomocą zjemy i twój obiadek, zjemy! Słuchajcie no, dzieci... a gdybyśmy tak spróbowali wędlinek, co? tak z majowymi grzybkami, he? No, moi dobrodzieje kochani, moje dzieciątka. zróbcie mi tę przyjemność. Nie przyjmę was ananasami, bo nie mam, biedny sługa Chrystusów jestem, ale co mam, to bierzcie. Anka, a prośże za mną. Stachu, bo cię cybuchem przemierzę, jak będziesz taki niemrawy, ruszajże się, chłopcze.

– Ale ksiądz ma takie zapasy, że nie powstydziliby się ich i najlepsza gospodyni.

– A to twoja Anka zrobiła wszystko. No, nie piecz raczków, dziewczyno, nie wstydz się. Nic nie miałem, mój dobrodzieju kochany, ale to nic, niech Stach powie, żyło się czasem na bórg, ale jak mi dziewczyna zaczęła dogadywać: „A sadź ksiądz drzewa owocowe, a prowadź pszczoły, a pilnuj ogrodu, a rób to, a rób tamto” – tak i wyterkotała wszystko, bo któż się oprze niewiastce! Ho, ho, Anka to złoto! Żebym ja wam pokazał zakrystię, co tam bielizny kościelnej, jakie kapy, jakie ornaty, jakie stuły, to i katedralny kościół nie powstydziliby się, a to wszystko ona własnymi rękami robiła, ona, moje dzieciątko kochane!

Rozczulił się, objął ją za głowę i pocałował w zarumienione czoło.

– Tylko tego nie mogłam zrobić, żeby sobie ksiądz nową sutannę kupił.

– A po co mi to! Cicho, dziewczyno! Jasiek, a daj no ogieńka, bo fajeczka zgasła – zakrzyczał, zarumieniony jak panna i silnie stukał cybuchem w podłogę.

– Siedźcież sobie, panowie, a ja idę do domu szykować obiad. Niechże ksiądz długo ich nie trzyma i jak najprędzej przyprowadzi.

Zaraz poszła.

Wilczek także się pożegnał i poleciał do domu, bo przyszedł po niego młodszy brat.

– To zuch chłopak – szepnął ksiądz po jego wyjściu.

– Doskonała łódzka kanalia.

– Za ostro, panie Karolu. Muszę się przecież ująć za moim wychowankiem. Ja go znam od dziecka. Twarda sztuka, nie da się zjeść w kaszy, dobrodzieju mój kochany. Wola jak stał, przebiegły, sprytny, ale poczciwy, bo swoją rodzinę kocha namiętnie.

– Co mu wcale nie przeszkadza drwić z niej.

– To już natura taka przekorna. Wyśmiewał się kiedyś jeszcze w dzieciństwie z jakiejś biednej chorej kobieciny. Przekropiłem go za to cybuchem i chciałem zmusić, aby ją przeprosił. Gdzie tam! Cybuchy przyjął, ale z przeproszeniem ani rusz. Później się dowiedziałem, że chłopak matce ściągnął kaftan i spódnicę i zaniósł babie. Z własnej woli zrobi wszystko, przez mus – nic. Kpi on ze swoich, co już cię że nie jest pięknie, ale cóż mu mówić, kiedy wszystkim pomaga. Młodszego brata utrzymuje w gimnazjum, rodzicom pomaga, będzie jeszcze z niego pociecha.

– Dla kryminału – szepnął Karol, którego irytowały te pochwały księżowskie.

– No, to już chodźmy na obiad, bo panna Anna musi się niecierpliwić.

– Chodźmy. Idźcie, jegomoście, ja was dogonię, zajrzę tylko do księdza Liberata.

– Nieoceniony ten wasz ksiądz Szymon, nigdy jeszcze podobnego nie spotkał. Ależ to uosobienie poczciwości, dobroci i abnegacji.

– Bo w Kurowie najlepszy interes robić można na poczciwości, a szczególnie jeszcze wtedy, gdy ta poczciwość obleczona jest w sutannę. Spróbuj żyć tutaj ze szwindłów.

– Mówisz jak Moryc – rzekł niechętnie Maks.

– Chłopaki, dobrodzieje moi kochani, a zaczekajcie no. A to smyr-gacie jak jelonki, gonię i gonię, ażem się zakasał – wołał ksiądz pędząc za nimi z sutanną w garści, żeby mu nie przeszkadzała.

Poszli razem, ale milczeli.

Ksiądz miał twarz posmutniałą, wzdychał chwilami i z melancholią spoglądał w przestrzeń.

Widok księdza Liberata omroczył mu duszę smutkiem.

W ganku kurowskiego dworu zastali już Zajączkowskiego, który coś pilno opowiadał panu Adamowi.

– A, jest ten bisurmanin – szepnął ksiądz. – Jak się masz, dobrodzieju mój kochany! – a co to, do kościoła nie chodzisz, o swoim proboszczu już zapomniałeś, he?

– Nie zaczynałbyś ksiądz na nowo, bom i tak zły – mruknął szlachcic niechętnie.

– A to ugryź psa w ogon. Widzisz go, będzie mi tu złością parskał jak kot.

– A, Panie Jezu Chryste, jeżeli zaczął, bijże mnie – krzyknął rozkładając ręce Zajączkowski.

– No, cicho, cicho. Daj gęby, dobrodzieju mój kochany.

– I chodźcie, panowie, bo obiad na stole – zapraszała Anka.

– Nie mogłeś, dobrodzieju, zacząć od tego, ale z księdza wieczna przekora.

Ucałowali się i w największej zgodzie siedli przy sobie do obiadu, który ciągnął się w milczeniu, bo Anka posmutniała i goniła oczami spojrzenia Karola milczącego uparcie, Maks przyglądał się obojgu, pan Adam nawet mówił niewiele, a ksiądz z Zajączkowskim zajęci byli jedzeniem.

– Ostatni to raz jemy obiad w Kurowie w takim towarzystwie – zauważył stary dość smutno.

– Ale możemy jeszcze jadać w Łodzi w takim samym komplecie. Sądzę, że ksiądz proboszcz ani pan Zajączkowski nie zapomną o nas – powiedział Karol.

– O, nie, nie, przyjedziemy obaj. Poświęcę ci fabrykę, dobrodzieju mój kochany, bo kto z Bogiem, z tym Bóg, a potem dam wam ślub, a potem przecież nie kto inny będzie wam dzieciąteczko chrzczył, tylko ja. O, Anka uciekła, wstydzi się, a rada by, żeby to jak najprędzej. Anka, Anusiu – wołał rozbawiony.

– Nie wstydźże mi ksiądz dziewczyny.

– Mój dobrodzieju kochany, panny się takich rzeczy tyle wstydzą co koziołeczek w kapuście. Jasiu, a nałóż no fajeczkę.

– Panie Karolu, może pan przyjdzie do ganku, bo tam czeka Socha i koniecznie chce się z panem widzieć.

– Socha? Czy to ten protegowany pani, którego umieściłem u Bucholca?

– Tak, przyszedł z żoną.

– Anka, czemu to tak wielkie rumieńce? – zapytał idąc z nią do ganku.

– Niedobry – szepnęła odwracając głowę, ale ją objął ramieniem i zapytał szeptem:

– Bardzo niedobry? no, powiedz, Anka, bardzo niedobry?

– Bardzo niedobry, bardzo niegodziwy i bardzo...

– I co bardzo? – pytał przechylając jej głowę i całując w przy-
mknięte oczy.

– I bardzo kochany – szepnęła wysuwając mu się z objęć i weszła na ganek, przed którym stali Sochowie, ale tak zmienieni, że nie poznał ich na razie.

Socha zamiast białej kapoty miał czarny surdut, pokapany woskiem na połach, czarne za krótkie spodnie, wyciągnięte na cholewy, czapkę z daszkiem, gumowy kołnierzyk, który mu zjeżdżał na kark i odsłaniał brudną szyję.

Zapucił brodę, która mu niby ostra szczecinowa szczotka pokrywała szczęki i łączyła się przy uszach z krótko obciętymi włosami, wysmarowanymi pomadą.

Z żółtej, pomiętej i zmizerowanej twarzy patrzyły dawne niebieskie, poczciwe oczy. Pochylił się również po dawnemu do kolan Karola.

– Ledwie was poznał, wyglądacie jak fabrykant.

– I... ściarachał się ino człowiek między ciarachami, i tyła.

– Robicie wciąż u Bucholca?

– A robi, wielmożny derektorze, robi, ino...

– Cicho, kobito, ja rzeknę – przerwał jej z powagą. – Powiadali w miasteczku Łodzi kolegi, co wielmożny dziedzic otwiera fabrykę, tośwa z żuną tak wykalkulowali...

– Coby nas wielmożny derektor, a nasz dziedzic kochany, wziun do siebie, bo zawždy...

– Cicho, żuno, bo zawždy milej robić u swojaka. Jo robotę znom i przy parówce, i w falbierni, i czy w lapryturze, ale jakby dziedzic potrzebował do kuni, to dopraszałbym się łaski pańskiej, bo mi do bydłat ckno.

– Z kuniami się zna, co i wielmożna paninka zaświadczyć może, bo bez tyle...

– Zawrzej gembe – burknął – bo bez tyle roków człowiek się wzwyczał do kunisków, to mu tera przez nich nijak.

– I nie szpiluje mu fabrykanckie życie, bo bez te fetory...

– Bo bez te fetory to mam bolenie w piersiach i ciągiem mi odmiata i jak nieraz zamroczy, to jakby me kto cepem zdiełił w łeb. Wielmoż-

ny dziedzicu nasz kochany – zawołał rozrzewniony obejmując go za nogi.

– Sirotyśmy bidne! Niechta i paninka wstawi się za bidnymi – szeptała przez łyzy kobieta i całowała ich po rękach i obejmowała za nogi. No, dobrze, przyjdźcie na święty Jan, to się rozmówimy. Przyjmę was do koni.

Zaczęli raz jeszcze dziękować z uniesieniem.

– Jak oni się zmienili! – szepnęła Anka przyglądając się Sochowej, bo kobieta zrzuciła wełniak i cały strój wiejski.

Miała na sobie niebieską bawełnianą suknię, czerwony stanik do figury, przez który jej nieforemny korpus zdawał się przelewać, mosiężna broszka pod szyją, żółta chusteczka na głowie zawiązana pod brodę, i duża ruda parasolka w ręku.

– Trzy czy cztery miesiące i Łódź ich przerobiła na innych ludzi.

– Nie, panie Karolu. Łódź ich tylko przebrała w inną garderobę. Dać im dzisiaj z dziesięć morgów gruntu, to za tydzień najdalej ani śladu w nich nie pozostanie łódzkiego życia.

Wrócili do pokoju stołowego akurat na kłótnię, jaka wybuchnęła pomiędzy księdzem Szymonem a panem Adamem, który bił nogą w stopień fotelu i krzyczał:

– Gorgoy zdrajca! zdrajca od paznokcia do łysiny! Łajdak, pieski syn, psubrat.

– A ja ci mówię, dobrodzieju mój kochany, że nie zdrajca, tylko człowiek dalej widzący niż rurę swojej strzelby. On przecież uratował Węgry.

– I sprzedał po judaszowsku.

– Te, te, te! u ciebie rozsądni zawsze są zdrajcami i Judaszami. Co mu pozostawało, jak nie ocalić resztę?

– Bić się do ostatniego tchu, do ostatniego żołnierza.

– Już was nie było, boście przedtem uciekli! Jasiek, a daj no ogieńka, smyku, bo mi fajeczka zgasła.

– Co, co? Myśmy uciekali? Na rany Chrystusowe, co ksiądz mówisz! Myśmy uciekali, kiedy, my? – krzyczał unosząc się w fotelu i twarz mu się rozpalila strasznym oburzeniem, oczy ciskały pioruny, głos mu chryplł, zęby szczękały i gdy nieco się uspokoił, tak drżał cały, że nie mógł pić kawy, bo mu się ręce trzęsły i kawa chlapała na surdut i na gors.

Karol wyszedł z Maksem pakować się do wyjazdu, a oni kłócili się dalej z całą pasją zawziętości.

Zajączkowski pomagał panu Adamowi i od czasu, do czasu uderzał pięścią w stół, zrywał się z krzesła, szukał czapki, biegał po pokoju i siadał znowu, ale ksiądz się nie dał, mówił coraz ciszej i coraz częściej wołał na Jaśka o ogień, i coraz częściej uderzał cybuchem w podłogę, był to znak, że się zapalał.

Przerwał im rozprawy Karczmarek, który szurgał nogami w ganku i głośno nos wycierał, a wszedłszy do pokoju, bat postawił w kącie, zatarł ręce i witał się poważnie ze wszystkimi.

– Spóźnił się pan na obiad, to chociaż kawy pan się napije z nami.

– Dziękuję dziadziowi. Jadło się już obiad, ale co kawy, to się napić nie zawadzi.

Usiadł obok pana Adama, spoconą twarz wytarł połą surduta, a potem dopiero jął się chłodzić fularową chustką.

– Gorąc jest rzetelny, ale burza będzie, bo się było gzi na pastwiskach. Dziękuję pani, a gorąca?

– O, bardzo, prawie wrzątek – odpowiedziała Anka podsuwając mu kawę i cukierniczkę.

– Bo kawa zimna warta grosz albo patyk złamany.

– Widzę, że pan się zna na kawie.

– I... przecież się ciągiem chłapie to paskudztwo! Do interesu, do pogadania, to nie ma jak czarna kawa, a jeszcze do tego kieliszek koniaku, to już całe wesele.

Anka przyniosła koniak.

Karczmarek nalał pół filiżanki kawy, a resztę dopełnił koniakiem, zmieszał, pogryzał cukrem i popijał wolno, rozglądając się równocześnie po obecnych.

– Dzień dobry, nie myślałem, że pana spotkam u nas – zawołał Karol wchodząc do pokoju.

– Znasz pana Karczmarka? – zapytał pan Adam.

– Przecież pan Karczmarski dostawia nam cegłę do budowy fabryki. Mówił mi ojciec o pańskich zamiarach na nasz Kurów, ale że wymienił inne nazwisko, nie domyślałem się, że to pan.

– Bo to jest tak, że na Łódź to ja mam insze nazwisko, a na wieś też insze – tłumaczył uśmiechając się chytrze. – Ludzie są głupie, bo najpierwej patrzą na obleczenie drugiego człowieka i na przezwisko. Powiadają, że jak się zwał, tak się zwał, aby się dobrze miał, ale to nieprawda. Jak się w Łodzi nazywałem po staremu, to byle parch albo Szwab, albo inny darach powiedział: „Karczmarek! chłopie, chodź no tutaj!” – a jak się przezwiałem po szlachecku, to mi mówią: „Panie

Karczmarski, może pan będzie łaskaw!” Po co mają mną pomiatać te parobki niemieckie, kiedy ja sroce spod ogona nie uciekłem i jestem gospodarski syn z dziada pradziada i kiedy moi już gospodarzyli, to te różne Niemcy jeszcze po lasach na czworakach chodziły i surowe kartofle jak świniaki jadały.

– Brawo, doskonale, panie Karczmarek – wołał Karol śmiejąc się.

– Prawdę mówię, bo przecież te łódzkie Mullery, Szulce to taka sielna szlachta, że jakby przyszło co do czego, to mógłby im być królem Karczmarek i jeszcze by dla nich był honor.

Dolał sobie kawy i koniaku i chciał dalej mówić, ale pan Adam dojrzał cień niezadowolenia na twarzy Maksa i rozmowę skrzył na tor inny, zapytując:

– Cegła idzie w tym roku dobrze?

– Nietęgo. Ale mi się widzi, że niedługo to zrobi się taki rwetes w Łodzi z budowaniem, jakiego nigdy jeszcze nie było.

– Dlaczego? Wszystko śpi, tyle bankructw jak nigdy, wiele fabryk stoi, a reszta robi połową ludzi. Jeszcze jeden sezon, a pół Łodzi klapnie.

– A te Żydki, co z Cesarstwa przyjechały, to one nie potrzebują robić geszeftu, co? Ja już widziałem, że one się coś kręcą po mieście, oglądają place i szukają cegielni. Zobacz pan, że zrobi się ruch. Dziesięć lat temu było tak samo. A cóż, że bez jedną zimę w Łodzi cicho, to i wół jak się napracuje, to leży potem i odpoczywa, i ino rusza gembą, a rusza. Mówiłby kto, że zdycha, a jużci, niech no odpocznie, to potem tak ciągnie, jaże się zatyka.

– Dawno pan prowadzi cegielnię? – zagadnął Karol.

– Sześć lat bez mała.

– A przedtem? – zapytała z uśmiechem Anka, bo Karczmarek częstował cygarami.

– Palcie, panowie, niezgorsze. Mam juchę Żydka, co mi przynosi szwarcowane.

Obciął ostrymi zębami koniec cygara, zapalił uważnie i dopiero odpowiedział:

– Przedtem panienko, to ja byłem głupim chłopem na półwłóczku. Miałem pół piasku i pół gliny szczerzej. W suchy rok to mi z piasku wywiało, a na glinie spaliło; a w mokry na glinie zgniło, a na piasku tyż nic nie było. Taką gospodarkę prowadziłem, że bydłatka jadły poszycie z obory, a człek marł z głodu. Głupi wtedy byłem, przyznaję się, bo

dlaczego miałem być mądry? Abo mnie to uczyli, abo mi miał kto poradzić. Mój dziadec taki był tłusty w rozum. Jaze go Niemcy zjadły, to i chłopu go nie użyczył. Więc biedowałem jak ojciec i dziadowie, jak Pan Bóg chłopskiemu narodowi przykazał. W Łodzi stawiali fabryki, niektóre komorniki i mniejsi gospodarze chodzili na robotę, furmanili – ja się nie ruszałem. Łódź była jeszcze daleko ode wsi. A że tu jednego dnia sprzed chałupy zobaczyłem komin jeden, bez rok widać ich było pięć. Łódź szła do wsi. Jak pamiętam, to z początku Łódź była o cztery wiorsty, potem zrobiło się ino trzy, a teraz nie ma i wiorsty. Łódź szła do wsi, ale i bida miała dłuższe nogi i chwyciła mnie tak, że już myślałem: sprzedam i wyniosę się dalej. Bałem się ino trochę i jeszcze czekałem. Razu jednego spotykam kuma z Chojnow, wiózł fureczkę piasku.

– A gdzie to wieziecie?

– A do miasta.

– A po co?

– Sprzedać.

– A co to warto?

Rubla, jak trafi na państwo, to więcej, a jak na Żydów – mniej.

Poszedłem z nim. Wziął półtora rubla. Jak to zobaczyłem, to mi się tak rozwidniło, jakby mi kto w łeb uczoną książkę wpakował.

Miałem górkę za chałupą, niczego była, miała cztery morgi, ziemia galanta, bo ją skowronki nawoziły od wieków i psy się na niej schodziły po sąsiedzku każdej wiosny. Przyleciałem do domu, narychtowałem wóz i na górce szukać piasku. Był jucha kiej złoto i paradniej mu na pańskich schodach niż pod zbożem.

Pojechałem z pierwszą furą; Żydy me zbiły na Starym Mieście, piaskarze nasze tyż, policjant i owszem na ulicy, alem sprzedał. Potem tom ino zrzynał tę górkę i fort wywoziłem do Łodzi bez całe dwa lata, dzień w dzień, a w trzecim jeździł i mój chłopak, jeździł i parobek, com go przynajął; woziliśmy piasek, a przywoziliśmy co inszego... Z początku to żona chciała me sprać, że ja to gront zapaskudzam i złe powietrze robię. Juźci, że to nie perfumy. A że to Łódź fort cała ku naszej wsi, to coraz przyjdzie jakiś pluderek, obejrzy moją gospodarkę i powiada:

„Sprzedaj!” Przychodziły też Żydy i mówią: „Sprzedaj, Karczmarek!” Nie sprzedałem, choć w końcu dawały po pięćset rubli za morgę. Zacząłem kalkulować, że w tym coś jest, kiedy one tak drogo chcą pła-

cię. Poszedłem się poradzić do adwokata, co nam działał prowadził. Rzetelny bardzo człowiek, bo mi wprost powiedział:

– Głupiś, Karczmarek, że tego nie wiesz, oni chcą twoją glinę kupić. Postaw cegielnię, a jak nie masz pieniędzy, to do spółki ze mną.

Postawiłem sam, najałem strycharza, sam pomagałem i żona, i dzieci, robiliśmy jak woły i grosz szedł. Przyjechał raz adwokat, obejrzał i powiada:

– Głupiś, Karczmarek, zamęczysz siebie i dzieci i na tym co najwyższej zarobisz tysiąc rubli na rok. Co trzeba robić? Postawić parową cegielnię.

Myślałem bez całą zimę, potem zrobiliśmy spółkę i jakoś tam idzie.

– A cóż się stało z górą? – zapytała Anka ciekawie.

– Zgolona do czysta, już ją tam ludzie na podszwach roznieśli po świecie.

– I mieszka pan jeszcze na wsi?

– Trochę przy cegielni, a trochę w mieście; bom sobie tam postawił chałupkę, żeby żona miała gdzie mieszkać z dziećmi, które chodzą do szkoły.

– Ładna chałupka! trzy piętra frontu i cztery oficyny – zauważył Karol.

– I... postawię sobie jeszcze jedną, bo mam plac i mieszkania będzie mi potra dla zięcia.

– A co panu po Kurowie?

– Syna najstarszego żenię, a że chłopak we szkołach nie był, do handlu też się nie zda ani na fabrykanta, to bym mu chciał kupić co niewielkiego i niedaleko, aby go mieć pod bokiem.

– Ja muszę zaraz jechać, ale niech się pan z ojcem umówi o wszystko, zgódźcie się na cenę i przyjedzie pan do Łodzi, to zrobimy akt. No, Maks, czas nam w drogę.

– Odprowadzimy was kawałek przez pole do szosy.

Pożegnanie nie zabrało wiele czasu, wszyscy prócz Karczmarka poszli przez ogród i szli wąską polną drogą, na której spod trawy gdzieśgdzie znać było wyżłobioną kolej wozów.

Przodem szła Anka, Karol i Maks; za nim Zajączkowski z księdzem, a w samym końcu jechał pan Adam, zostawał w tyle, bo wózek się opierał na wybojach i kretowiskach, aż Waluś kłął co chwila.

– Ażeby cię wciornoście! a to utyka kiej świnia. Przedwieczór już był nad ziemią, rosa obfita okiścią pokrywała zboża i trawy i wielka

cichość płynęła nad polami, szemrzącymi dziwnie przenikającym szelestem żytnich kiści, graniem świerszczyków i słodkim, szklanym brzęczeniem komarów, co całą chmarą kłębiły się nad głowami idących, a czasem przepiórki z głębi zielonych puszczy żytnich wołały: „Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć!” Albo jaskółka ze świergotem przeleciała w zygzakach, albo z owsów czarniawych, nakropionych żółtymi ognichami, wyrwał się skowronek, bił prosto ku niebu, trzepał skrzydełkami i dzwonił pieśnią lub pszczoły z brzękiem wracały do roboty.

– Dobrodzieju mój kochany, ale ten Karczmarek to dziwny człowiek.

– Jest takich w Łodzi więcej. Wie ksiądz, że on się nauczył czytać i pisać dopiero parę lat temu.

– Ale po co chamowi majątek, we łbie mu się przewróci i będzie myślał, że wszystkim jest równy.

– Albo nie jest równy? Mój Zajączkowski, mój dobrodzieju kochany, a czymże to lepsi jesteście od niego?

– Ksiądz niedługo każesz nam chamów całować po rękach.

– Jak tego będą warci, pierwszy to zrobię, dobrodzieju mój kochany. Jasiak, ognia.

Ale że Jaśka nie było, zapalił mu fajkę Maks, który do nich się przyłączył i słuchał nie słysząc, bo patrzył na Ankę idącą przodem z Karolem i łowił chciwie ich rozmowę, prowadzoną półgłosem.

– Nie zapomni pan o Wysockiej? – prosiła cicho.

– Jutro pójdę do niej. Czy ona naprawdę jest naszą kuzynką?

– Jest moją, ale myślę, że wkrótce będzie naszą.

Szli czas jakiś w milczeniu.

Ksiądz sprzeczał się z Zajączkowskim, a pan Adam śpiewał, aż się rozlegało po polach:

Hej z góry, z góry, jadą Mazury,

Puk, puk w okieneczko,

Otwórz, twórz, panienczko,

Koniom wody daj.

– Prędko pan przyjedzie?

– Nie wiem. Mam tyle roboty z fabryką, że nie wiem, co pierwszej robić.

– Mało ma pan dla mnie czasu teraz, bardzo mało... – dodała ciszej i smutniej, ciągnąc dłonią po młodych rdzawych kłosach, co rozkołysane kłaniały się jej do nóg i obrzucały rosą.

– Proszę się spytać Maksa, czy ja dla siebie mam choćby godzinę czasu dziennie. Od piątej rano na nogach do późnej nocy. Jaki z ciebie dzieciak, Anko! no, spojrzysz na mnie.

Spojrzała, ale w oczach miała smutek i usta drżały jej nerwowo.

– Przyjadę za dwa tygodnie, dobrze? – powiedział spieszenie, aby ją pocieszyć.

– Dobrze, dziękuję, ale jeśli ma na tym cierpieć fabryka, to proszę nie przyjeżdżać, potrafię znieść i tęsknotę, przecież to nie po raz pierwszy.

– Ale ostatni, Anka. Ten miesiąc zleci prędko, a potem...

– A potem?

– Potem będziemy już razem; boi się tego moje złote dziecko, co? – szepnął czule.

– Nie, nie! bo przecież to z tobą, z panem – poprawiła się rumieniąc i uśmiechała się tak słodko że miał ją ochotę pocałować.

Zamilkła i rozmarzonymi, zapatrzonymi w siebie oczami błędziła po zielonej płachcie zbóż, co niby wielki rozlew wody, kołysany wiatrem, marszczyło się w płowe koliska, w czarniawe gurby, kładło się nad ziemią, powstawało, leciało w tył do ugorów, odbijało się o nie i znowu z chrzęstem uderzało w drózkę, jakby chcąc się przelać przez tę tamę i rozlać po długim łanie pszenicy niskiej jeszcze i tak trzepiącej piórkami błyszczącymi, że cały łan był podobny do wielkiego stawu, migocącego miliardami złotych łuszczyk.

– Waluś, ruszaj się, bestio! – zakrzyknął pan Adam, bo dochodzili już do szosy.

– Ady ć się rucham, jaże mi mokro.

– To już? – szepnęła Anka spostrzegłszy konie czekające na szosie.

– Szkoda, że to już jest tak prędko – powiedział Maks.

– Prawda, jak tu pięknie? patrz no, dobrodzieju mój kochany, jak to Pan Bóg umalował wszystko śliczniutko, o! – wołał ksiądz wskazując na pola leżące ku zachodowi.

Słońce czerwone, ogromne zsuwało się nad lasy po perłowych przestrzeniach i rozsiewało po zbożach czerwonawą mgłę o fioletowych obrzeżach.

Wody stawów leżących niżej w łąkach paliły się jak tarcze miedziane mocno wypolerowane, a zygzakowata linia rzeczki, ciągnącej się przez łąki ku wschodowi, odcinała się od traw jak sina jedwabna wstęga, poplamiona gdzieś gdzie czerwonym złotem.

– Bardzo pięknie i żałuję, że nie mamy czasu przyglądać się dłużej.

– Prawda. No, jedźcie z Bogiem! A dajcież no gęby, chłopaki. Panie Maks, panie Baum, a tośmy cię, dobrodzieju mój kochany, polubili wszyscy jak swojego.

– Bardzo mnie to cieszy, bo przyznam się szczerze. że miłszego towarzystwa nie spotkałem jeszcze w życiu i serdecznie dziękuję za gościnność, i proszę, nie zapominajcie o mnie, Maks Baum!...

– Bardzo solidna firma, daje towar z sześciomiesięcznym kredytem – zawołał Karol ze śmiechem, żegnając się ze wszystkimi.

Maks zamilkł, był taki zły, że Ankę pocałował w obie ręce z dziesięć razy, pana Adama w oba policzki, a księdza w rękę, co tego ostatniego tak rozczyliło, że objął go za szyję, pocałował w głowę i przeżegnał go na drogę.

Ruszyli z miejsca klusem.

Anka stanęła na kopcu i powiewała za nimi chustką.

Pan Adam śpiewał marsza.

Maks długo przypatrywał się jasnym konturom Anki i gdy zniknęły mu w oddaleniu, usiadł i gniewnie powiedział:

– Ty zawsze musisz mnie ośmieszyć.

– Aby cię otrzeźwić. Nie lubię, jak się upijają moim winem, i do tego w moim własnym domu. Zamilkli obaj.

II [XVII]

– Blumenfeld, graliście w niedzielę u Malinowskiego?

– Graliśmy, zaraz powiem – szepnął wstając do okienka załatwić interesanta.

Stach Wilczek przeciągnął się ociężale i poszedł wyrzucić na ulicę.

Piotrkowska huczała zwykłym codziennym ruchem, olbrzymie platformy towarowe tak były kołami w bruk, że w kantorze szczękały ustawicznie szklane ścianki przepierzenia, osłonięte mosiężną siatką i poprzecinane okienkami, do których cisnęli się interesanci.

Przyglądał się bezmyślnie olbrzymim rusztowaniom budującego się domu naprzeciwko, to gęstej masie ludzi zatłaczającej trotuary i powrócił do swojego stolika ślizgając się oczami po kilkunastu głowach wciśniętych pomiędzy ścianę a szklane przepierzenie i porozgradzanych jeszcze pomiędzy sobą niskimi przegrodami.

– Coście grali? – zapytał znowu Blumenfelda, który przegarniał chudą, nerwową ręką jasnozłociste włosy, a niebieskimi oczami śledził Żydka, który na środku kantoru obracał się na wszystkie strony.

– Na prawo kasa! – zawołał wychylając się przez okienko.

– Graliśmy kawałek sonaty cis-moll Beethovena. Szło nam tak dobrze jak nigdy. Malinowski był...

– Blumenfeld, konto Eichner et Peretz? – zawołano z drugiego końca kantoru.

– Cztery, siedmnaście, pięć. Zajęte do sześciu tysięcy – odpowiedział szybko, przerzucając skorowidz.

– Potem robiliśmy próbę z tego, com skończył niedawno.

– Co to jest? Polka, walczyk?

– Dajże spokój z walczykami i polkami. Nie tworzę repertuaru dla katarynek i tanckrenchenów! – zawołał z pewnym oburzeniem.

– Więc cóż? operę? – pytał się ironicznie Stach.

– Nie, nie. Coś, co ma pewne formalne podobieństwo do sonaty, ale nie jest sonatą. Pierwsza część – to wrażenie miasta, które milknie i z wolna usypia. Rozumiesz, wielka cisza przesycona łagodnymi szmerami, które robią skrzypce, a na tym tle flet zaczyna przejmującą pieśń,

jakby jęk drzew marznących, ludzi bezdomnych, maszyn spracowanych, zwierząt, które jutro będą zabite.

Zaczął nucić bardzo cicho.

– Blumenfeld, do telefonu wołają.

Przerwał i pobiegł natychmiast, a gdy powrócił, nie mógł dokończyć, bo musiał załatwić dwóch interesantów, czekających przed okienkiem.

Potem zapisywał w wielkiej księdze, ale bezwiednie przebierał palcami, wystukując melodie.

– Długoś pisał?

– Blisko rok. Przyjdź w niedzielę, to usłyszysz wszystkie trzy części. Dałbym dwa lata życia, żebym mógł usłyszeć to własne dzieło wykonane przez dobrą orkiestrę, dałbym pół życia – dodał po chwili, oparł się o stół i zasłuchany w siebie wiódł martwym, cofniętym w tył wzrokiem po głowach kolegów, czerniejących się w otworach okienek.

Wilczek zaczął pisać, a w kantorze zaszemrały rozmowy, leciały dowcipy z okienka do okienka, czasem wybuch śmiechu, który milknął, ilekroć trzasnęły drzwi frontowe, zadzwonił telefon albo brzęczały szklanki, bo pito herbatę, gotującą się w rogu kantoru nad gazem.

– Sztil, panowie, stary przyjechał! – rozległ się ostrzegający głos.

Umilkli natychmiast wszyscy, spoglądając na Groszlika, który wysiadł z powozu i stał przed kantorem rozmawiając z jakimś Żydkiem.

– Kugelman, prosz dzisiaj o urlop, stary w dobrym humorze, śmieje się – szepnął Stach do sąsiedniego przedziału.

– Mówiłem wczoraj, powiedział, że po bilansie.

– Panie Szteiman, niech pan przypomni dzisiaj o gratyfikacji.

– Żeby on zdechnął jak ten czarny psa! – zaklął ktoś za kratą.

Zaczęli się śmiać dyskretnie z tego „czarny psa”, ale umilkli natychmiast, bo Groszlik wszedł.

Ze wszystkich okienek wychyliły się kłaniające z pokorą głowy i wielka cisza, przerywana tylko syczeniem wody na gazie, zapanowała w kantorze.

Woźny odebrał kapelusz i z namaszczeniem ściągnął palto z bankiera, który zatarł ręce i gładząc palcem kruczo czarne bokobrody odezwał się:

– Wiecie, panowie, straszny wypadek się zrobił. – Broń Boże, nie panu prezesowi? – ozwał się jakiś głos lękliwy.

– Co się stało?! – zawołali wszyscy udając zaniepokojenie.

– Co się stało? Stało się wielkie nieszczęście, bardzo wielkie nieszczęście – powtórzył płaczącym głosem.

– Straciliśmy co na giełdzie? – zapytał ciszej prokurent firmy wychodząc zza przepierzenia.

– Spalił się kto niezaasekurowany?

– Umarł kto panu prezesowi?

– Ukradli może te śliczne rysaki amerykańskie?

– Nie mów pan głupich rzeczy, panie Palman – rzekł z powagą.

– Ale co się stało, panie prezesie? bo mnie się już słabo robi – błagał Szteiman.

– No, zleciał'...

– Kto zleciał? Skąd? Gdzie? Kiedy? – leciały strwożone zapytania.

– No, zleciał z pierwszego piętra klucz i wybił sobie zębów... Ha, ha, ha! – śmiał się serdecznie.

– Co za witz, jaki witz! – wołali, zanosząc się od śmiechu, chociaż słyszeli ten głupi dowcip po dziesięć razy na sezon.

– Błazen! – mruknął Stach Wilczek

– Może sobie pozwolić, stać go i na to! – odpowiedział szeptem Blumenfeld.

Grosplik poszedł do swojego gabinetu, położonego za kantorem od podwórza.

Pokój umeblowany był z wielkim przepychem. Czerwone obicie ścian ze złotymi lamperiami harmonizowało z mahoniowymi meblami suto ozdobionymi brązami.

Wielkie weneckie okno, przysłonięte ciężkimi draperiami, wychodziło na długie podgórze, otoczone olbrzymimi oficynami i zamknięte czteropiętrowym gmachem fabrycznym.

Grosplik patrzył chwilę na transmisje przerzucone z –jednej strony podwórza na drugą i biegnące nieustannie i na długą linię kobiet i mężczyzn tłoczących się do jednych z drzwi z wielkimi tobołami wełnianych chustek na plecach. Byli to tkacze, którzy brali przędzę z fabryki i tkali chustki v siebie, na ręcznych warsztatach.

Potem otworzył wielką kasę wmurowaną w ścianę, przejrzał jej zawartość, wy dobył pliki papierów na biurko pod okno, które przysłonił żółtawym ekranem, usiadł i zadzwonił.

Natychmiast zjawił się prokurent firmy z teką pełną papierów.

– Cóż słyhać, panie Szteiman?

– Prawie nic. Palił się w nocy A. Weber.

– Znane. Cóż więcej? – zapytywał przeglądając kolejno i bardzo uważnie papiery.

– Przepraszam pana prezesa, ale już nie wiem nic więcej – tłumaczył się pokornie.

– Mało pan wiesz – mruknął bankier odsuwając: papiery i naciskając guzik elektryczny dwa razy. Zjawił się drugi urzędnik, główny inkasent.

– Cóż nowego, panie Szulc?

– Zabili dwóch robotników na Bałutach; jeden miał przecięty cały brzuch.

– Co mi to szkodzi, tego towaru nigdy nie braknie. Co więcej?

– Mówili rano, że Pinkus Meyersohn chwiać się zaczyna.

– Jemu się chce położyć na dwadzieścia pięć procent. Przynieś pan jego conto. Szulc spieszenie przyniósł. Bankier przejrzał uważnie i szepnął ze śmiechem:

– Niech się kładzie zdrów, nam to nie zaszkodzi. Ja od pół roku czułem, że on się męczy że on ma ochotę usiąść.

– Prawda, sam słyszałem, jak pan prezes mówił do Szteimana.

– Ja mam nos, ja zawsze mówię, że lepiej się raz dobrze wyczesać niż dwadzieścia razy podrapać. Ha, ha, ha! – roześmiał się wesoło, tak mu się podobał własny koncept.

– Cóż więcej?

– Nic, mnie się tylko zdaje, że pan prezes trochę źle wygląda dzisiaj.

– Pan jesteś taki głupi, że ja panu muszę zmniejszyć pensję! – zawołał zirytowany i zaraz po wyjściu Szulca oglądał twarz bardzo szczegółowo w lustrze, obszcypywał delikatnie pulchne policzki i długo przyglądał się językowi.

– Niewyraźny, muszę się poradzić doktora – myślał dzwoniąc trzy razy.

Wszedł Blumenfeld z paczką korespondencji i rachunków.

– Co słyhać w szerokim świecie, panie Blumenfeid?

– Wiktor Hugo umarł wczoraj – rzekł nieśmiało muzyk i zaczął odczytywać głośno jakieś sprawozdanie.

– Dużo zostawił? – zapytał bankier w przerwie, oglądając sobie paznokcie.

– Sześć milionów franków.

– Ładny grosz. W czym?

– W trzyprocentowej rencie francuskiej i w Suezach.

– Doskonały papier. W czym robił?
– W literaturze, bo...
– Co? W literaturze?... – zapytał zdziwiony, podnosząc oczy na niego i gładząc faworyty.
– Tak, bo to był wielki poeta, wielki pisarz.
– Niemiec?
– Francuz.
– Prawda, ja zapomniałem, przecie to jego ta powieść *Ogniem i mieczem*. Mnie Mery ładne kawałki z niej czytała.

Blumenfeld nie przeczytał, przeczytał listy, wynotował odpowiedzi, pozbierał papiery i chciał odchodzić, ale bankier zatrzymał go skinieniem.

– Pan podobno gra na fortepianie, panie Blumenfeld? – Skończyłem konserwatorium w Lipsku i klasę fortepianową u Leszetyckiego w Wiedniu.

– Bardzo mi przyjemnie. Ja bardzo lubię muzykę, a szczególnie te śliczne kawałki, jakie śpiewała Patti w Paryżu. Dobrze pamiętam, o... – i zaczął nucić dyskretnie jakąś uliczną arietkę operetkową. – Ja mam dobre ucho, nieprawda?

– Istotnie zadziwiająco – odpowiedział Blumenfeld przypatrując się olbrzymim, sinawym uszom bankiera.

– Mnie przyszła myśl, żebyś pan dawał lekcje mojej Mery. Ona dobrze gra i to nie będą lekcje, bo pan usiądzie sobie przy niej i będzie tylko patrzeć, żeby się nie omyliła. Co pan bierzesz za godzinę?

– Daję teraz lekcje u Mullerów, płaci mi trzy ruble.

– Trzy ruble! Ale pan chodzisz na koniec miasta, siedzisz pan w chałupie, no, i rozmawiasz pan z Mullerem, a to cham; co to za przyjemność mieć do czynienia z takimi ludźmi. A u mnie pan będziesz siedział w pałacu.

– I tam w pałacu także – szepnął od niechcienia Blumenfeld.

– Mniejsza z tym, zgodzimy się, bo jak Bóg Kubie, tak Kuba Bóg – zakończył.

– Kiedy mam przyjść?

– Przyjdź pan dzisiaj po południu.

– Dobrze, panie prezesie.

– Poproś pan do mnie Szteimana.

– Dobrze, panie prezesie.

Szteiman przyszedł zaraz i z niepokojem czekał rozkazów.

Groszlik wsadził ręce w kieszenie, spacerował po pokoju, gładził długo bokobrody i dopiero w końcu rzekł uroczyście:

– Ja chciałem panu powiedzieć, że mnie denerwuje ten ciągły brzęk szklanek w kantorze i to ciągle syczenie gazu.

– Panie prezesie, przychodzimy tak wcześnie, że wszyscy śniadania jadają w kantorze.

– Na gazie gotują herbatę. Kto gaz płaci? Ja płacę. Ja płacę gaz na to, żebyście, panowie, mogli cały dzień pić herbatę! Gdzie tu jest sens! Od dzisiaj będziecie, panowie, płacili.

– I pan prezes pija przecież...

– Pijam, nawet zaraz się napiję. Antoni, daj mi herbaty – zawołał głośno do przedpokoju, z którego było wyjście do bramy. – Mam myśl. Pijecie herbatę, pijcie i płacicie za gaz, na tyle ludzi to niedrogo wyjdzie, a mnie dawajcie herbatę w procencie, bo przecież urządzenia gazowe są moje, w moim kantorze i pijacie w godzinach zajęcia.

– Dobrze, powiem kolegom.

– Ja to robię dla panów dobra, no bo teraz to oni się wstydzą pić herbatę, ich gryzie sumienie, że to na moim gazie, a jak każdy zapłaci gaz, to on będzie śmiały, on będzie mi mógł patrzeć prosto w oczy. To jest bardzo moralne, panie Szteiman, bardzo.

– Miałem jeszcze prośbę do pana prezesa w imieniu kolegów.

– Mów pan, ale prędko, mam mało czasu.

– Pan prezes obiecał dać gratyfikację przy zamknięciu półrocza.

– A bilans jak stoi?

– Robią go w godzinach pozabiurowych, będzie na czas z pewnością.

– Panie Szteiman – rzekł poufale bankier wstając. – Usiądź pan trochę, pan jesteś zmęczony.

– Dziękuję panu prezesowi, muszę zaraz iść, bo mam dużo roboty.

– Robota nie gęś, ona się nie wytopi. Siądź pan, ja panu co powiem. Czy oni bardzo czekają na gratyfikację? – Zasłużyli na nią uczciwie.

– To ja wiem, pan mi tego nie potrzebujesz powiadać.

– Przepraszam pana prezesa, bardzo przepraszam – szeptał uniżając się w pokorze i onieśmieleniu.

– Pogadamy po przyjacielsku. Co ja mógłbym im dać?

– To już pan prezes sam zadecyduje.

– Więc przypuśćmy, że dałbym im tysiąc rubli, więcej nie mógłbym, rok zamkniemy z grubą stratą, ja to czuję.

– Mamy dotychczas zdwojony obrót w porównaniu do roku zeszłego.

– Cicho pan bądź, ja mówię, że ze stratą, to inaczej być nie może. Więc weźmy tę okrągłą cyfrę tysiąc rubli. Ile mamy ludzi w kantorze?

– Piętnastu jest nas razem.

– Ile w filii?

– Pięciu.

– To razem dwadzieścia osób. Co każdy może dostać z tych pieniędzy? Jakies trzydzieści do pięćdziesięciu rubli, bo trzeba odtrącić procent na kary. Teraz ja się pana zapytam, co może komu przyjść z takiej marnej sumy? Co ona może komu pomóc?

– Przy takich małych płacach jak u nas to i te kilkadziesiąt rubli będą bardzo wielką pomocą.

– Głupi pan jesteś i źle pan liczysz! – zawołał z gniewem i zaczął prędko chodzić po pokoju.

– My pieniądze rzucimy w błoto, panie Szteiman, jak my je rozdamy. Ja panu zaraz powiem, co się z nich robi. Pan swoje ulokuje w loterii, bo pan grasz, ja wiem o tym. Perlman kupi sobie nowy garnitur, żeby się spodobać weberkom. Blumenfeld kupi sobie różne głupie kawałki muzyczne. Kugelman sprawi żonie wiosenny kapelusz. Szulc pójdzie do szansonistek. Wilczek, no, ten jeden nie zmarnuje, on komu pożyczy na dobry procent. A reszta! Wszyscy stracą co do jednego grosza. I ja mam dawać swoje pieniądze na zmarnowanie, ja tego zrobić nie mogę jako dobry obywatel! – zawołał uderzając się w piersi.

Szteiman uśmiechnął się ironicznie. Bankier spostrzegł to, usiadł przy biurku i zawołał:

– No, zresztą, co to długo gadać, nie chcę dać i nie dam, a za te pieniądze kupię sobie ładny garnitur do stołowego pokoju. Panowie będziecie mieli tę przyjemność mówić na mieście: „Pan Groszlik, nasz szef, ma stołowy garnitur za tysiąc rubli” – to dobrze robi! – zawołał wybuchając drwiącym śmiechem.

Szteiman utkwiał w nim blade, jakby wygryzione atramentem oczy o czerwonych obwódkach i długo patrzył, aż się bankier poruszył niespokojnie, przeszedł parę razy gabinet i powiedział:

– No, dam gratyfikację, dam, niech wiedzą, że ja umię ocenić pracę.

Zaczął prędko przerzucać w kasie stosy papierów i wyciągnął w końcu paczkę pożółkłych weksli i bacznie je przeglądał.

– Tu jest weksli na tysiąc pięćset rubli, proszę pana.

– Firmy Wasserman i Spółka, to ony akurat warte są cały grosz – mówił Szteiman oglądając weksle.

– Nic nie wiadomo. Pan wiesz, że firma jest w likwidacji, że oni mogą jeszcze się podnieść i zapłacić sto za sto.

– Żeby oni chcieli zapłacić pięć za sto, ale nie zapłacą ani grosza.

– Masz pan weksle, ja panu życzę, żebyś pan wycisnął z nich sto pięćdziesiąt za sto, sceduję je zaraz na pana.

– Dziękuję panu prezesowi – szepnął smutnie i cofnął się do wyjścia.

– Zabierze pan swoje weksle.

– Papieru nie brakuje w kantorze.

Zabrał jednak weksle i wyszedł.

Bankier wziął się do roboty i przede wszystkim w książce trzymanej w kasie przekreślił tytuł „gratyfikacja” i wpisał u dołu cyfrę 1500 rs. jako wypłaconą.

Uśmiechał się po tej operacji długo i z lubością gładził faworyty.

Wsunął się wkrótce do gabinetu bardzo elegancki Żydek, wysoki, szczupły, w złotych binoklach na garbatym nosie, z bródką rudawą w ostry klin przyciętą, z włosami kręcącymi się jak wełna i przedzielonymi przez całą głowę; z niespokojnymi, biegającymi ustawicznie z przedmiotu na przedmiot oczami oliwkowymi; wywinęte mocno wargi popękane i sinawe obcierał ustawicznie językiem i wykrzywił lekceważąco.

Był to Klein, kuzyn bliski bankiera i powiernik zaufany.

Wszedł tak cicho, że bankier nie usłyszał, obiegnął pokój oczami, rękawiczki rzucił na fotel, kapelusz na krzesło, a sam usiadł niedbale na otomanie.

– Jak się masz, stary? – mruknął zapalając papierosa.

– Ja się mam dobrze, ale ty mnie, Bronek, przestraszyłeś, kto tak wchodzi po cichu!

– Nic ci nie zaszkodzi!

– Co słyhać?

– Dużo słyhać, bardzo wiele słyhać. Fiszbina już dzisiaj skończył.

– Niech mu będzie na zdrowie! Co to był Fiszbina! To był muzykant, co grał na dziesięciu instrumentach – głową, łokciami, kolanami, rękami i nogami! Co to za interes? jeden dał dziesiątkę zarobić, a drugi wyrzucił go za drzwi!

– Mówią, że w tym tygodniu potrzebuje się spalić Goldberg – szepnął cicho.

– Takie nieszczęście nie zaszkodzi i najbogatszemu.

– Cóż słyhać z Motlem?

– Ty o nim nie wspominaj, to łajdak, to złodziej, plajciarz, chce płacić trzydzieści procent!

– I on potrzebuje żyć!

– Ty głupi jesteś, Bronek, ty się nie śmiejesz, kiedy ja tracę ze trzy tysiące rubli.

– Akurat mu tyle potrzeba, żeby się ożenić, ha, ha, ha!

Zaczął się śmiać i spacerując po gabinecie rzucał ciekawe spojrzenia do wnętrza otwartej kasy.

Groszlik podchwycił te spojrzenia, kasę zamknął i zawołał ironicznie:

– Bronek, ty się patrzysz na kasę, jakby ona była twoja narzeczona! Ja ci daję słowo, że ty się z nią nie ożenisz, ty ją nawet nie pocałujesz, ha, ha, ha!

Roześmiał się serdecznie z miny Kleina, który usiadł obok niego i zaczął mu po cichu coś opowiadać.

Groszlik długo słuchał i w końcu rzekł:

– Wiedziałem już o tym. Muszę się z Weltem rozmówić. Panie Blumenfeld, proszę zatelefonować do pana Moryca Welt, że ja go proszę do siebie, że jest bardzo ważny interes! – zawołał przez drzwi do kantoru.

– Bronek, o tym szał! My zjemy Borowieckiego, nim się ugotuje!

– Ja ci mówię, że wy go nie zjecie, on ma za sobą...

Nie dokończył, bo wszedł do gabinetu jeden z urzędników.

Był tak pomieszany i zestraszony, że bankier zerwał się z krzesła.

– Panie prezesie, panie prezesie, ten łajdak, co on zrobił, ten gałgan Tuszyński, ten!

– Co zrobił? Mów pan ciszej, tutaj nie bóżnica

– On wczoraj zainkasował czterysta rubli i uciekł. Byłem w jego mieszkaniu, nie ma nic, zabrał rzeczy i w nocy pojechał! Pojechał do Ameryki. – Aresztować go, okuć w kajdany, wsadzić do kryminału, wysłać na Sybir! – krzyczał bankier grożąc pięściami.

– Ja to chciałem zrobić, chciałem już depeszować, chciałem dać znać policji, ale że to wszystko będzie kosztować, to potrzebowałem upoważnienia od pana prezesa.

– Niech kosztuje, niech ja stracę cały majątek, a tego złodzieja złapać, niech on zgnije w kryminale za mnie czterysta rubli!

– To może zaraz pan prezes każe otworzyć konto na tę sprawę.

- Co to będzie kosztować? – zapytał już spokojniej.
- Ja nie wiem, ale zawsze kilkadziesiąt rubli kosztować musi!
- Co, co? Ja mam jeszcze dokładać do tego złodzieja. A niech on zdechnie! Kto go wysłał za inkasem? – zapytał po chwili.
- Ja, ale pan prezes upoważnił mnie do tego – tłumaczył się nieśmiało.
- Pan go wysłałeś – to pan odpowiadasz. Ja nic słuchać nie chcę. Moje czterysta rubli nie mogą przepaść, pan odpowiadasz.
- Panie prezesie, ja jestem biedny człowiek, ja nie jestem nic winen, ja pracuję uczciwie u pana prezesa już dwadzieścia lat, ja mam ośmioro dzieci! Pan prezes mnie upoważnił do wysyłania tego gałgana po pieniądze – jęczał i błagalnymi spojrzeniami włożył się u nóg bankiera.
- Pan odpowiadasz za kasę, pan powinieneś znać ludzi, ja raz jeszcze mówię: pieniądze muszą być. Możesz pan sobie iść! – zawołał groźnie, odwrócił się do niego plecami i dopijał herbatę.
- Urzędnik stał chwilę, wpatrzony osłupiałymi oczyma w szerokie plecy bankiera i w smugę dymu, jaki się wznosił z cygara, leżącego na kancie biurka, westchnął ciężko i wyszedł.
- On myśli, że ja taki głupi, podzielił się z Tuszyńskim, stare kawały.
- Pan Welt! – zameldował woźny.
- Proś, proś! Bronek, idź za tym bałwanem i powiedz, że jeżeli pieniądze nie znajdą się zaraz, to ja go wsadzę do kryminału. Panie Welt, proszę do mnie! – zawołał ujrawszy Moryca, rozmawiającego z Wilczkiem w kantorze.
- Moryc przywitał się, przejrzał twarz bankiera i rzucił krótko:
- Prezes telefonował po mnie, a ja również się tutaj wybierałem.
- Interes, co? to załatwimy go prędko, bo ja mam z panem pogadać w pewnej bardzo delikatnej sprawie.
- Interes taki: Adler et Comp. potrzebuje wielkiej partii wełny, zwrócili się do mnie o to. Ja wełnę mam, ale potrzebuję na nią pieniędzy.
- Dam panu pieniędzy, zrobimy do spółki, dobrze?
- Ano jak zwykle, zarobimy na tym piętnaście procent.
- Ile panu potrzeba?
- Trzydzieści tysięcy marek, na Lipsk.
- Dobrze, wyślę panu telegraficznie. Kiedy pan pojedzie?

- Dzisiaj w nocy, za tydzień będę z powrotem.
- Interes załatwiony! – zawołał wesoło bankier, odsunął się nieco od biurka, zapalił cygaro i długo przypatrywał się Weltowi, który gryzł gałkę laski, poprawiał binokle i również patrzył badawczo.
- Jakże bawelna poszła? – zapytał pierwszy Grosplik.
- Sprzedaliśmy połowę.
- Wiem, wiem, zarobiliście podobno siedmdziesiąt pięć procent, a cóż z resztą?
- Resztę sami przerobimy.
- Fabryka rośnie?
- Za miesiąc będzie pod dachem, za trzy umontują maszyny, a w październiku puszczaemy w ruch.
- Lubię taki pośpiech, to po łódzku, ślicznie! – dodał ciszej i uśmiechał się dyskretnie. – Borowiecki to mądry człowiek, ale...
Zawahał się, uśmiechnął ironicznie i zakrył twarz kłębem dymu.
- Ale?... – podchwycił Moryc ciekawie.
- Ale on lubi za bardzo romanse z mężatkami, to nie wypada na fabrykanta.
- To mu nic nie przeszkadza, a przy tym ożeni się niedługo, bo ma już narzeczoną.
- Narzeczoną to nie weksel, to zwyczajny rewers, który można nie zapłacić w terminie, za to nie ogłoszą bankructwa. Ja bardzo lubię Borowieckiego, ja go tak lubię, że gdyby on był nasz, to ja dałbym mu moją Mery, ale...
- Ale... – podchwycił znowu Moryc, bo bankier zrobił długą przerwę.
- Ale ja mu muszę zrobić przykrość, co mnie jest tak nieprzyjemne, tak bardzo nieprzyjemne, że muszę pana prosić, abyś mnie przed nim wytłumaczył.
- Cóż takiego? – zapytał Welt niespokojnie.
- Ja mu musiałem cofnąć kredyt – szepnął bankier z bolesną miną i udawał szczerze zmartwionego, młaskał ustami, gryzł cygaro, wzdychał, a obserwował Moryca, który na próżno usiłował wsadzić binokle i zapanować nad sobą.
- Wiadomość ta zrobiła na nim piorunujące wrażenie, uspokoił się jednak szybko, pogładził brodę i sucho zawołał:
 - Znajdziemy kredyt gdzie indziej.
 - Ja wiem, że znajdziecie, i dlatego mnie jest bardzo przykro, że z wami nie będę mógł robić interesów.

– Dlaczego? – zapytał prosto Moryc, bo twarz bankiera i jego słowa nie domówione zaniepokoiły go silnie.

– Nie mogę, tak mam kapitały zaangażowane, że nie mogę, a przy tym ja się muszę liczyć ze wszystkim... ja nie mogę się narażać... na straty... na przykrości... – tłumaczył się niejasno, urywał, kręcił, a chciał, aby Moryc pierwszy zapytał go otwarcie.

Ale Moryc milczał, przeczuwał, że w tym cofnięciu kredytu musi być jakiś nacisk uboczny na Groszlika, pytać się nie chciał, aby mu nie dać poznać, jak bardzo go to obchodzi.

Groszlik zaczął spacerować po gabinecie i mówił nieco przyciszonym, przyjacielskim głosem:

– Bo tak mówiąc pomiędzy nami, po przyjacielsku, panie Maurycy, po co panu spółki z Borowieckim? Czy pan nie możesz sam otworzyć fabryki?

– Nie mam pieniędzy! – rzucił krótko i słuchał uważnie.

– To nie przyczyna, bo pieniądze mają ludzie, a pan masz wielkie zaufanie i wielkie zdolności. Dlaczego ja z panem robię interesy? Dlaczego na jedno słowo daję panu teraz trzydzieści tysięcy marek? bo ja pana znam dobrze i wiem, że na tej ufności zarobię z dziesięć procent.

– Siedm i pół! – poprawił Moryc skwapliwie.

– Mówię tylko dla przykładu. Każdy z panem zechce robić interes i pan możesz prędko stanąć na mur, więc po co panu ryzykować z Borowieckim? On jest mądry, bardzo mądry kolorysta, ale on nie jest macher. Po co on gada po Łodzi, że trzeba uszlachetnić i podnieść produkcję łódzką! To jest bardzo niemądre gadanie! Co to jest uszlachetnić produkcję? Co to jest „czas skończyć z tandetą łódzką!” – to jego własne słowa, bardzo głupie słowa! – zawołał mocniej ze złością. – Żeby on myślał, jak taniej produkować, gdzie nowe rynki otworzyć dla zbytu, jak podnieść stopę procentową, to byłoby mądre, ale jemu się chce reformować przemysł łódzki! On go nie zreformuje, a może łatwo kark skrócić. Żeby to nie szkodziło nikomu, nikt by i słowa nie powiedział. Chcesz ryzykować – ryzykuj! Włazisz na dach – złam sobie ząb. Po co jemu fabryka!

Knoll chciał mu dać dwadzieścia tysięcy, a to śliczny grosz, ja tyle może nie zarabiam. Nie chciał, jemu się chce fabryki, jemu się chce „uszlachetniać produkcję”, jemu się chce psuć interesy Szai, Zuckerowi, Knollowi, całej bawełnie łódzkiej. A wiesz pan dlaczego? Żeby Polacy mogli powiedzieć: „Wy robicie tandetę, szachrujecie, wyzyskujecie

robotników, a Borowiecki, a my prowadzimy interes porządnie, uczciwie, solidnie!”

– Prezes daleko widzi! – szepnął Moryc ironicznie.

– Pan się nie śmieje, ale ja bardzo daleko widzę. Jak Kurowski zakładał fabrykę, przeczułem, co z tego będzie, i mówiłem Glancmanowi: „Założ taką samą, załóż zaraz, bo on cię zje” – nie słuchał mnie i dzisiaj co? Stracił wszystko i jest w kantorze Szai, bo Kurowski bierze tylko swoich i tak stanął, że z nim nie może być konkurencji, a za rok, ile zechce brać, tyle będzie brał za swoje farby. Ale to nie o to idzie, idzie o to, że jak się jednemu Polakowi uda, to zaraz całą kupą przychodzą inni. Pan myślisz, że Trawiński nie robi konkurencji Blachmanowi i Kesslerowi, co? On im psuje interesy. Sam nie zarabia nic, dokłada co rok, ale psuje wszystkim, bo zniża cenę za towar i podnosi płacę majstrów i robotników! On się bawi w filantropię, za którą inni drogo płacą; wczoraj u Kesslerów cała przedzalnia stanęła. Dlaczego? Dlatego, że majstrowie i robotnicy powiedzieli, że robić dotąd nie będą, dopóki im nie zapłacą tak, jak w fabryce Trawińskiego płacą! Ładne położenie dla fabryki, która jest tak skrupowana terminowymi obustalunkami, że na wszystko zgodzić się musiała! Jak Kessler będzie miał w tym roku o dziesięć procent mniej, to musi podziękować za to Trawińskiemu! Tfy, to jest już nie tylko świństwo, ale to jest sto razy głupie! A teraz powstaje Borowiecki i także obiecuje „uszlachetnić produkcję”, ha, ha, ha! mnie się bardzo chce śmiać. Jak Borowieckiemu pójdzie, to za dwa lata założy znowu jaki Sosnowski interes do „uszlachetnienia”, za cztery lata będzie ich ośmiu uszlachetniało i psuło ceny, a za dziesięć to cała Łódź będzie ich!

Moryc zaczął się śmiać z przerażenia bankiera. – To nie jest śmiech, moje przypuszczenia to nie jest ten wiatr, ja ich znam dobrze, ja wiem, że z nimi nie wytrzymamy konkurencji, bo oni będą mieli za sobą cały kraj. Dlatego trzeba Borowieckiego zjeść, trzeba wszystkim zrozumieć to położenie i iść ręką w rękę, solidarnie!

– A Niemcy? – zapytał krótko Moryc poprawiając binokli.

– Z tym się nie ma co liczyć, ich i tak prędzej czy później diabli stąd wezmą, ale my zostajemy! o nas tu idzie! Pan mnie rozumie, panie Moryc?

– Rozumiem, ale jeśli mój kapitał da mi więcej procentów u Borowieckiego, to ja idę z nim – szepnął cicho, gryząc łaskę.

– To jest po kupiecku powiedziane, ale ja panu z góry ręczę, że ten kapitał nie da nic i że pan może stracić wszystko.

– Zobaczymy!

– Ja panu dobrze życzę, powiedziałem to, co myślę, co myśli cała nasza Łódź. Pan sam powiedz, po co im fabryki! Nie mogą oni siedzieć na wsi, trzymać wyścigowe konie, jeździć za granicę, polować, roman-sować z cudzymi żonami, robić politykę i wielki szyk po świecie! Im się zachciało fabryk i „uszlachetniania produkcji”, im się zdaje, że to angielski koń, co jemu można dać prostą chamską kobyłę za żonę, a ona zaraz urodzi samego lorda! – wołał z politowaniem i zgrozą.

– Żeby oni mogli siedzieć na wsi i bawić się, to by z pewnością nie było w Łodzi ani jednego Polaka.

– Niech przychodzą! jest tyle miejsc... stróżów, woźnych, stangretów, oni takie rzeczy dobrze robią, oni są do tego specjaliści, ale po co im się brać do

nie swoich rzeczy, dlaczego oni nam mają psuć interesy?

– Do widzenia, dziękuję prezesowi za zwrócenie uwagi.

– Ja myślę, panie Maurycy, bo te wszystkie nasze to bidło, parchy, oni tylko patrzą, żeby dzisiaj zrobić geszeft, a w sobotę zjeść dobrą kolację i wyspać się pod pierzyną! Co pan zrobisz?

– Zobaczę. Więc Borowiecki nie ma ani grosza kredytu u pana?

– Ja nie mogłem stracić wszystkich naszych fabrykantów dla niego!

– Zmowa! – szepnął bezwiednie Moryc.

– Jaka zmowa? co pan gadasz, to tylko obrona! Żeby to był kto inny, nie Borowiecki, to by się jego przydeptało nieznacznie i zdechłby prędko, ale pan wiesz, jak on podparł Bucholca, pan wiesz, co to jest za kolorysta! no i to pan wiesz, że w niego wierzą, że on ma stosunki, że on jest znany na rynkach.

– To wszystko prawda, ale jemu może pójść! – zakończył Moryc i wyszedł.

W kantorze poszedł za przepierzenie do Stacha.

– Panie Wilczek, stary Grunspan chce z panem pomówić choćby zaraz.

– Mógłbym panu powiedzieć, o czym chce mówić ze mną. Może mu pan powiedzieć, że mnie się nie spieszy ze sprzedaniem placu, bo zakładam gospodarstwo.

– Jak pan chce! – rzucił mu Moryc wychodząc.

– Zmowa! – myślał idąc Piotrkowską. Był tak zamyślony, że nie spostrzegł Zygmunta Grunspana, który kiwał na niego z powozu i przyzywał do siebie.

– Moryc, czy ty już nie poznajesz znajomych! – zawołał Zygmunt przystępując do niego.

– Jak się masz i do widzenia, bo czasu nie mam.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś przyszedł w niedzielę, bo Mela przyjeżdża.

– Czy ona jeszcze siedzi we Florencji?

– Z Różą, to dwie wariatki. Rózie się nie chciało pisać do Szai, to ona cały list telegrafowała, cały list, ze dwieście wierszy!

– Muszą się tam dobrze bawić?

– Róża się nudzi, a w Meli zakochał się jakiś włoski książę i ma za nią przyjechać do Łodzi.

– Po co?

– Chce się z nią żenić. Tak pisała Róża.

– Głupstwo.

– Autentyczny książę! – wykrzyknął Zygmunt rozpinając mundur.

– Taką firmę możesz sobie kupić w każdym hotelu włoskim.

Rozstali się, Morycowi spieszyło się bardzo. Szedł do fabryki, jak to robił codziennie, bo lubił patrzeć, jak mu w oczach wzrastały mury, ale dzisiaj szedł wolno, słowa Groszlika obciążały go, rozmyślał nad nimi, pomimo że horoskopy bankiera wydały mu się przesadzonymi, niemożliwymi prawie do urzeczywistnienia.

Spoglądał na miasto, na długie sznury domów, na setki kominów, co niby pnie sosen czerwieniły się W rozstłonecznionym upalnym powietrzu i wielkimi słupami dymów biły w górę, wsłuchiwał się w gwar miasta, w przygłuszony a nieustanny szum fabryk pracujących, w turkot ciężkich platform pełnych towarów, krzyżujących się we wszystkich kierunkach.

Rzucał badawcze spojrzenia na szyldy sklepów niezliczonych, na tablice domów, na tysiące nazwisk powypisywanych na balkonach ścianach i oknach domów.

„Motel Lipa, Chaskiel Cokolwiek, Ita Aronsohn, Józef Reinberg” itd., itd., same nazwiska żydowskie, poprzątkane gdzieś nazwiskami niemieckimi.

– Sami nasi! – szepnął jakby z pewną ulgą i lekceważący uśmiech przewijał mu się po ustach i bił Z oczów, gdy spostrzegł polskie nazwisko na szyldziku jakiego szewca lub ślusarza.

– Groszlik ma bzika! – myślał ogarniając spojrzeniem to morze domów, sklepów i fabryk żydowskich. – On ma ładny kawałek choroby – dodał wesoło prawie i już nie myślał o jego obawach spolszczenia

Łodzi, bo czuł w tej chwili, patrząc na żydowską potęgę miasta, że jej nic i nikt złamać nie potrafi. – A szczególnie Polacy! – myślał oddając ukłon Kozłowskiemu, który w jasnych jedwabiach, w żółtych lakierkach i z gałką laski przy lśniącym cylindrze, który spychał na tył głowy, spacerował po drugiej stronie ulicy i zaglądał w oczy przechodzącym kobietom.

Nie, już nie myślał o obawach bankiera, ale ta zmowa na Borowieckiego skłopotowała go mocno.

Był zaangażowany w tym interesie, tylko z tej strony go obchodziła ich fabryka, bo czy Karol straci, nic go to nie obchodziło, ale sam nie lubił nawet ryzykować, a teraz czuł, że jeśli się zmówili na niego, to go ogryzą do ostatniej kosteczki.

– To jest kein geszeft! – myślał i teraz dopiero zobaczył jasno przyczyny najrozmaitszych przeszkód, jakie ich spotykały.

Zrozumiał, dlaczego przedsiębiorca, który miał im prowadzić roboty mularskie – cofnął się. Oni mu zabronili robić!

Kwestionowano im plany i zwlekano z ich zatwierdzeniem. Ich robota!

Komisja budowlana przerywała im robotę i zmusiła do zgrubienia ścian. Ich denuncjacje!

Niemieckie nadreńskie firmy odmówiły im kredytu na maszyny. To również oni zrobili!

A te wieści fałszywe, złe, głupie, jakie krążyły o Borowieckim po Łodzi, a które źle musiały oddziaływać na ich przyszły kredyt. Któż je rozpuszczał?

Ludzie Groszlika, Szai i Zukera.

– To jest sto razy kein geszeft! Oni go zjedzą! – myślał coraz posępniej, ale wchodząc w ulicę, na której była ich fabryka, zaczynał już pracować nad sposobami wycofania się z tego interesu.

Szukał przyzwoitych pozorów, bo zrywać zupełnie z Borowieckim nie chciał.

III [XIX]

Budynki po fabryce Meisnera, które Borowiecki kupił i przerabiał dla swojej fabryki, stały z boku Konstantynowskiej, na jednej z małych uliczek; była to dzielnica małych fabryczek i samodzielnych warsztatów, teraz już obumarła – zabita przez wielki przemysł.

Uliczki były krzywe, obstawione parterowymi domami o wielkich facjatach, nie brukowane, nędzne i brudne.

Domy powykrzywiały się ze starości i powoli zapadały w grząską ziemię, jakby przygniatałe wielkością gmachów fabryki Mullera i olbrzymimi kominami innych fabryk, które gęstym, kamiennym lasem chwiały się dookoła.

Resztki trotuarów ciągnęły się obok obszarpanych domów, zagłędały w niektórych głębiej zapadniętych do okien i tworzyły szereg dołów i wybojów, zasypanych śmieciami.

Na środku ulicy leżały miejscami wielkie kałuże nigdy nie wysychającego błota, nad którymi snuły się gromady dzieci, podobnych przez wynędznienie i brud do wielkich stonóg wyległych w tych rudkach; gdzie zaś nie było błota, tam leżała gruba warstwa węglowego miazgu, który rozbijany kołami wozów, podnosił się i czarnym tumanem wisiał nad uliczkami, oblepiał domostwa i żarł nędzną zieloność drzew anemicznych, pokrzywionych, które poskręcane i narosłe guzami gałęzie wychylały zza parkanów lub ciągnęły się przed domkami szeregiem połamanych szkieletów.

Monotonny, suchy stukot warsztatów tkackich, trzęsących się szarymi szkieletami za przepalonymi szybami okien, przepępiał powietrze i łączył się z potężnym szumem fabryki Mullera.

Moryc Welt przeszedł szybko umierającą dzielnicę, bo go przejmowała wstrętem nędza rozpadających się domów i denerwował go ten suchotniczy stukot warsztatów i to życie tętniące tak słabo, jakby ostatkami sił.

Lubił gwar potężnych maszyn; huk potwornych organizmów fabrycznych przenikał go słodkim uczuciem siły i zdrowia, a sam widok wielkich fabryk usposabiał wesoło.

Uśmiechnął się bezwiednie do gmachów Mullera huczących robotą, spojrział życzliwie na przedziałnię Trawińskiego stojącą obok i długo ślizgał się oczami po czerwonych, cichych pawilonach fabryki starego Bauma, stojącej naprzeciwko, której okna, zasnuwane kurzem i pajęczyną, patrzyły tak martwo jak umierające oczy.

Za Trawińskim, przedzielony tylko kilkoma pustymi placami, budował Borowiecki, a raczej przebudowywał starą meisnerowską fabrykę, którą kupił za bezcen, bo kilkanaście lat stała bezczynną.

Cały front obstawiony był rusztowaniami, bo nadbudowywano piętro, rusztowania zakreślały również wielki czworobok dziedzińca, a spoza nich czerwieniły się wznoszone pawilony i migotały sylwetki robotników.

– Dzień dobry, panie Dawidzie – zawołał Moryc spostrzegłszy Halperna, który z parasolem pod pachą, z zadartą do góry głową stał na środku podwórza i przypatrywał się robocie.

– Dzień dobry! Ładny kawałek fabryki nam przybędzie! A jak się to prędko robi, to aż przyjemność patrzeć. Ja jestem chory, mnie doktor powiedział:

– Panie Halpern, pan się lecz, pan nic nie rób.” To ja się leczę, ja nic nie robię, tylko sobie chodzę po Łodzi i patrzę, jak ona mi rośnie, to jest najlepsze lekarstwo na moją chorobę.

– Jest Borowiecki?

– W przedziałni widziałem go przed chwilą. Moryc wszedł do niskiego budynku o powyginanych w długie przyzmy dachach oszkolonych, przeznaczonego na przedziałnię.

Bardzo widne sale były literalnie zapchane częściami maszyn, cegłą do podmurówki fundamentów, zwojami papy do krycia dachów, ludźmi i hałasem montowanych maszyn, których długie szkielety, podobne do szkieletów przedpotopowych jaszczurów, ciągnęły się w poprzek sal, pokryte kurzem; zapach świeżego wapna i ostry, gryzący zapach asfaltu gotowanego i wylewanego w jednej z sal przesyczał powietrze.

– Moryc, przyślij mi Jaskólskiego! – krzyknął Maks Baum.

W niebieskiej bluzie, z fajką w zębach, zasmolony, stał wśród robotników ustawiających maszyny i robił razem z nimi.

Jaskólski, którego od początku budowy przyjął Borowiecki do rozmaitych zajęć, nadbiegł z pośpiechem.

– Hej; szlachcic, przysłać czterech tęgich ludzi do windy, a prędko! – krzyknął Baum i dalej składał z monterami maszynę, która miała być

podniesiona przez windę i ustawiona na podmurowaniu, i gdy mu coś Moryc krzyczał ze środka sali, nie mogąc się bliżej dostać, odkrzyknął mu krótko:

– Nie zwracaj mi głowy, powiesz w niedzielę. Karol jest w podwórzu!

Karol był w podwórzu przy olbrzymich dołach, w które zsypywano wapno zwożone i lasowano zaraz; tumany białego wapiennego kurzu przysłaniały białe sylwetki robotników i kontury wozów i ludzi.

Borowiecki był prawie biały od pyłu, zjawił się na chwilę, przywitał z Morycem i szepnął mu do ucha:

– Wiesz, nie przysłali farbiarek, wykręcają się brakiem gotowych.

– Nie chcą dać na kredyt, cóż teraz zrobimy?

– Pisałem już do Anglii, będzie trochę później, trochę drożej, ale będzie! Psiakrew, te Szwaby! – zaklął ze złością.

Moryc Welt nic się nie odezwał, przyglądał mu się uważnie, patrzył również uważnie na całą fabrykę, na robotników, na część maszyn stojących pod grubymi oponami na dziedzińcu, pokręcił się po wszystkich kątach, zajrzał raz jeszcze do Maksa, do składu cementu, gdzie Jaskólski rezydował, przypatrywał się wszystkiemu ze zdwojoną uwagą i coraz mniej mu się podobało.

– To ciasto, a nie wapno – powiedział przypatrując się murowaniu.

– Niech sobie inni murują na piasek, ja nie chcę, żeby mi się na łeb wszystko zważyło – odpowiedział Borowiecki.

– Wczoraj obliczałem, że te sklepienia Montera będą nas kosztowały o dwa tysiące rubli więcej niż zwyczajne.

– Ale warte są co do wytrzymałości o cztery tysiące więcej. W razie wypadku ogień ich nie przepali.

– Dlatego tylko je zaprowadzasz? – zapytał Moryc cicho, wsadzając binokle.

– I dlatego, że jeśli się spali, to przynajmniej jedno piętro, a nie wszystko.

– Pi... czasem to nie jest takie... straszne. Karol mu nic nie odpowiedział, bo odszedł spieszenie, a Moryc pochodził jeszcze po fabryce i z irytacją spostrzegał wszędzie, że buduje się porządnie, że buduje się bardzo drogo.

Przeglądał w kantorze listę płac robotników i zwrócił uwagę prowadzącemu roboty na niesłychaną, według niego, wysokość płac, przyrzepiał się do wielu rzeczy i wszystko znajdował za dobrym i za drogim.

- Wiem, co robię – odpowiedział mu Karol na uwagi.
- To będzie pałac, nie fabryka, dla nas zresztą taki komfort za drogi!
- To nie jest komfort, to jest trwałość, która taniej kosztuje niż tandeta. Zobacz u Blohmanów, postawili tanio i corocznie muszą poprawiać, bo chce im się wszystko zwalić; nie cierpię żydowszczyzny w niczym, wiesz o tym dobrze.
- Zobaczymy, co to da to polnische Wirtschaft – szepnął Moryc z ironią.
- Przekonasz się, a tymczasem bądź zdrow, Moryc, nie wyspałeś się i nudzisz.

– Trzeba się zabezpieczyć! – pomyślał Welt wychodząc z fabryki.

Karol poszedł na rusztowania oglądać robotę, biegał na boczny plac, gdzie składano cegłę, uwijał się wśród kup ziemi, pomiędzy dołami z wapnem, pomiędzy stertami cegły, drzewa budulcowego, wśród dziesiątek wozów wjeżdżających i wyjeżdżających; wydawał polecenia Jaskólskiemu, który zadyszany, z wiecznie przestraszoną twarzą, biegał je wypełniać, zjrzał kilka razy do Maksa i krążył ustawicznie po obrębie fabryki, która podbudzana jego energią niestrudzoną, jego obecnością ciąglą, rosła nadzwyczaj szybko.

Nie zważał na kurz, na słońce, które zalewało wszystkich coraz mocniejszym żarem, na zmęczenie nawet, tylko od świtu razem z robotnikami był już na robocie i razem z nimi schodził o zmroku.

Podbudzał go jeszcze do tej pracy Maks, który z wielką przyjemnością pracował przy ustawianiu maszyn z robotnikami i razem z nimi szedł wieczorem do knajpy, wypijał niezliczone ilości piwa, sypiał tylko parę godzin i rzucił w kął wszystkie swoje leniwe przyzwyczajenia.

Od przyjazdu ze wsi stosunki pomiędzy nimi ochłodziły nieco z powodu fabryki, która ich absorbowała zupełnie, i z powodu tego odezwania się Borowieckiego, gdy wyjeżdżali z Kurowa.

Maks nie mógł tego zapomnieć, tym bardziej że o Ance myślał coraz częściej i że coraz więcej irytował go Borowiecki ciągłymi wizytami u Mullerów.

Widział w tym podwójną grę, która jego prostą naturę oburzała do głębi.

Oddalali się od siebie coraz bardziej, mocą coraz silniej ujawniających się wewnętrznych przeciwieństw, cech rasowych i intelektualnych; Karol myślał chwilami o tym i uśmiechał się z rezygnacją trochę

sztuczną; Maks zaś odczuwał głęboko, zwał ją winę na niego i oburzał się bardzo szczerze.

Dwunasta już dochodziła, gdy Borowiecki opuścił fabrykę i poszedł przez długi ogród, ciągnący się z tyłu, do drugiej ulicy, gdzie stał wielki parterowy dom, również przebudowany do gruntu z wielkim pośpiechem, bo za kilka tygodni miała się sprowadzić Anka z panem Adamem.

Mieszkał tymczasowo na facjacie, w jednym pokoju, żeby być bliżej fabryki, przebrał się już, gdy fabryki zaczęły gwizdać na południe.

Przeczytał raz jeszcze list Lucy, która naznaczała mu spotkanie w parku Helenowskim przy grocie, na czwartą godzinę po południu.

– Mam już tego dosyć – myślał drąc list na strzępy.

I rzeczywiście miał już tego dosyć; już mu się sprzykrzyły i te schadzki tajemnicze, codziennie gdzie indziej, i wybuchy zazdrości, i nawet jej wielka miłość nudziła go, bo była mu zupełnie obojętną i zabierała wiele czasu tak potrzebnego dla fabryki.

Nieraz, wśród pozornego rozszalenia w jej ramionach, wśród pocałunków i uścisków namiętnych, w takich momentach, w których widział, że nie tylko go ubóstwia, nie tylko kocha, ale że wprost przepadała w tej miłości, szukał sposobów zerwania i to go irytowało coraz silniej, że ona nie nastęczała mu powodów.

Stołował się u Baumów, ponieważ było blisko od fabryki, ale nie poszedł teraz przez ogród i swoje place, tylko wyszedł na ulicę, na której stał pałac Mullerów, a przechodząc obok domku, w którym mieszkali, zwolnił kroku i włókł oczami po oknach.

Nie zawiódł się, bo jasna twarz Mady błysnęła w jednym oknie, potem wychyliła się w drugim i ona sama ukazała się w ganku, jaki tworzyło czworokątne wgłębienie w domu.

– Pan już na obiad? – zawołała wesoło, podnosząc na niego swoje porcelanowe niebieskie oczy.

– Już. A pani jeszcze nie po obiedzie?

Wyciągnął do niej rękę.

– Jeszcze. Zaraz panu podam rękę, muszę ją wytrzeć, bo gotowałam obiad sama – wołała ze śmiechem, wycierając ręce o długi niebieski fartuch.

– W saloniku jest teraz kuchnia? – zauważył złośliwie.

– Bo, bo.... ja sprzątałam! – powiedziała cicho, oblewając się krwawym rumieńcem obawy, że mógł zauważyć jej oczekiwanie na niego przy oknie.

– Gdzie się pan tak poczernił? – zawołała głośno, aby odzyskać równowagę.

– Ja poczerniony? gdzie?

– Pod oczami, o tu! Ja wytrę, dobrze – prosiła nieśmiało.

– Czekam.

Pośliniła róg chusteczki i bardzo starannie wytarła poczernienie.

– Jeszcze tutaj muszę być poczerniony! – wołał, nieco rozbawiony sceną, wskazując na skroń.

– Nie, słowo daję, że nie!

Obejrzała mu starannie twarz.

Pocałował ją w rękę, chciał to samo zrobić z drugą, ale cofnęła się gwałtownie w tył, przysłoniła złotymi rzęsami pociemniałe ze wzruszenia oczy i stała chwilę, bezradnie szarpiąc palcami fartuch.

Karol uśmiechnął się z jej pomieszenia.

– Pan się ze mnie śmieje, to ja pójdę sobie – szepnęła z przykrością.

– Dobrze, to i ja pójdę.

– Niech pan wieczorem przyjdzie z panem Maksem, to panom upiekę ciastek z jabłkami.

– Maks sam przyjść nie może? – pytał podstępnie.

– Nie, nie, to wolę, żeby pan sam przyszedł – zawołała prędko i czując, że ją oblewa rumieniec, uciekła w głąb domu.

Karol z uśmiechem popatrzył za nią i poszedł na obiad.

U Baumów od zimy zmieniło się wiele.

Było jeszcze smutniej i posepniej.

Wielkie pawilony fabryczne stały w dziwnej ciszy obumierania, bo zaledwie czwarta część ludzi pracowała.

Po pustym dziedzińcu, zarastającym trawą, łąziły kury i stare psy, których nikt już na dzień nie wiązał, i monotony, słaby stukot warsztatów lał się sennym szmerem od zasnutych pajęczyną i kurzem okien, poza którymi nie trzęsły się warsztaty, nie migotały sylwetki robotników, nie wrzał ruch, a leżała jakaś grobowa cisza i obumieranie.

Nawet ogród, otaczający dom, miał wygląd pustki; wiele drzew poschniętych wyciągało nagie konary ku niebu, a reszta stała zaniedbana wśród bujnych chwastów, jakie pokryły nie uprawione i nie obsiane zagoniki.

Dom mieszkalny również robił smutne wrażenie, bo z jednej strony poodpadały tynki, schody prowadzące na werendę pokrzywiły się i weszły w ziemię, a wino pnące się po werendzie uschło nie wiadomo dlaczego zaraz po ozielenieniu i wisiało niby żółte, zabrudzone łachmany,

Kwatery kwiatowe przed oknami zarastały bujną trawą i chwastami, z których tylko gdzieniegdzie patrzyły białe oczy narcyzów i żółciły się ostromlecze.

Żwirowane uliczki zarastały trawą i pokrywały się kretowiskami i śmieciem, jakie wiatr nanosił.

W domu było również niewesoło; pokoje stały w ciszy, pełne stęchlizny i opuszczenia.

Kantor był prawie pusty, bo Baum poodprawiał pracujących zostawiając tylko Józia Jaskólskiego i kilka kobiet w podręcznym składzie towarów.

Fabryka pachniała bankructwem, a cały dom przesiąknięty był zapachem lekarstw, bo Baumowa chorowała od kilku miesięcy.

Berta z dziećmi odjechała do męża. pozostała tylko frau Augusta ze swoimi kotami chodzącymi za nią i z wieczną fluksją w twarzy obwiązanej i stary

Baum, który całe dni przesiadywał samotnie w swoim kantorku na pierwszym piętrze fabryki, i Józio jeszcze bardziej onieśmielony niż dawniej.

Borowiecki poszedł prosto do pokoju, w którym leżała Baumowa, aby z nią zamienić słów kilka.

Siedziała na łóżku otoczona stosem poduszek, bezmyślnie wpatrzona martwymi, wypłowiałymi oczami w okno, za którym chwiały się drzewa.

Pończochę trzymała w rękę, chociaż jej nie robiła, i uśmiechała się jakimś smutnym, rozdzierającym uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedziała cicho na przywitanie. – Maks przyszedł? – dodała.

– Jeszcze nie, ale przyjdzie zaraz.

Zaczął się wypytywać o zdrowie, jak spała tej nocy, jak się czuje itd., bo jej stan przejmował go jakąś dziwną czułością i rozrzewnieniem.

– Dobrze, dobrze! – odpowiadała po niemiecku i jakby się budząc z długiego uśpienia wlokła oczami po pokoju, patrzyła długo na fotografie wnuków i dzieci wiszące na ścianach, gonila wzrokiem wahadło zegara, potem próbowała robić pończochę, która się wysunęła zaraz z jej rąk wychudłych i bezwładnych.

– Dobrze, dobrze! – powtórzyła bezmyślnie i znowu zapatrzyła się w długie liście akacji, chwiejące się za oknem.

Nie zwróciła nawet uwagi na frau Augustę, która kilkakrotnie przechodziła przez pokój, poprawiała poduszki i szła dalej, ani na męża, który stanął przy łóżku i długo patrzył przekrwionymi oczami na jej twarz wychudłą, szarożółtą.

– Maks! – szepnęła i jej trupia twarz ożywiła się na chwilę na odgłos zbliżających się kroków syna. Maks wszedł i pocałował ją w rękę.

Przycisnęła mu głowę do piersi i pogłaskała, ale gdy poszedł na obiad, patrzyła znowu w okno.

Obiady bywały krótkie i milczące, bo wszystkim ciężła ta atmosfera smutku.

Stary Baum zmienił się do niepoznania, wychudł jeszcze bardziej i zgarbił się, twarz mu szerniała i pocięła się w długie fałdy koło nosa i ust, które wyglądały jakby wycięte w drzewie.

Usiłował rozmawiać, zaczynał pytać, jak im idą roboty przy fabryce, ale zwykle nie kończył, urywał i wpadał w stan zamyślenia, przestawał jeść i patrzył przez okno na mury Mullera albo się ślizgał oczami po szklanych, błyszczących w słońcu dachach przedzalni Trawińskiego.

I zaraz po obiedzie wychodził do fabryki i obchodził puste sale, przypatrywał się nieczynnym warsztatom, a potem zamknięty w kantorzce patrzył na miasto, na tysiące domów, fabryk, kominów i nasłuchiwał z goryczą nieopowiedzianą ech potężnie wrzącego życia.

Nie bywał już teraz nigdzie, zamknął się w obrębie fabryki i razem z nią umierał.

Bo fabryka była na skonaniu, jak określał Maks.

Pomimo największych wysiłków nic jej nie mogło uratować.

Musiała paść w walce z parowymi olbrzymami, ale Baum jeszcze tego nie widział, a raczej widzieć nie chciał i walczył dalej, i postanowił walczyć do końca.

Nie pomogły perswazje Maksa ani zięciów, ani tej reszty znajomych starych, którzy mu radzili przerobić fabrykę ręczną na parową, a nawet, jak niektórzy. chcieli mu pomóc kredytem lub gotówką.

Nie chciał słuchać o tym.

Prawie nic nie sprzedawał, bo sezon wiosenny był straszny dla całej Łodzi, odprawiał robotników, ograniczał produkcję, ograniczał własne potrzeby, a w uporze trwał nieugięty.

Robiła się też dookoła niego pustka głucha, a po Łodzi mówiono głośno, że stary Baum ma bzika, i drwiono z niego, i zapominano z wolna.

Borowiecki zaraz po obiedzie wyszedł i po wrażeniach tego grobowo nastrojonego domu odetchnął dopiero na Piotrkowskiej.

Do spotkania z Lucy miał czas jeszcze, więc wstąpił do Wysockiego.

Wysocki był bardzo zajęty, bo w poczekalni siedziało kilku chorych; przywitał się z roztargnieniem.

– Przepraszam pana na chwilę, skończę z pacjentem i pójdziemy razem do mamy.

Borowiecki usiadł pod oknem i rozglądał się po małym gabinecie, zapchanym sprzętami i przepelnionym zapachem karbolu i jodoformu.

– Pójdźmy! – zawołał wreszcie Wysocki, wyprawiawszy starego Żyda, któremu długo tłumaczył, co ma robić.

– Panie doktorze, panie doktorze! – zawołał błagalnie Żyd wracając od drzwi.

– Słucham, czego pan jeszcze chcesz?

– Panie doktorze, czy ja się mam bać? – pytał cichym, roztrzęsionym głosem i głowa trzęsła mu się ze wzruszenia.

– Powiedziałem panu, że nie ma nic groźnego, potrzeba tylko wszystko robić, co poleciłem.

– Dziękuję bardzo, wszystko będę robić, ja chcę być zdrowy, bo ja mam interes i żonę mam, i dzieci mam, i wnuki mam. Ale ja się boję i dlatego bardzo proszę pana doktora, czy ja się mam bać?

– Powiedziałem już raz panu!

– Ja pamiętam, ale mnie się coś przypomniało. Ja mam córkę, ona też chorowała, ja nie wiem, co jej było, nie wiedzieli tego i doktorzy w Łodzi. Ona była bardzo delikatna, bardzo blada jak te ściane, co to ściane, jak czyste wapno; ją bolało w kościach i w skórze, i w rękach też. Zawiozłem ją do Warszawy. Doktor powiada: „Ciechocinek!” Dobrze, co będzie kosztować ten Ciechocinek? „Dwieście rubli.” Skąd ja mogę wziąć tyli majątek! Poszedłem do drugiego doktora. On powiedział, że jej trzeba robić takie wygniatanie. Kazał mi wyjść z pokoju. Wyszedłem i trochę sobie słucham, a moje Rój ze krzyczy. Nu, ja ojciec jestem, to mnie to przestraszyło, to ja grzecznie mówię przez drzwi: „Panie konsyliarzu, tak nie można!” On mi powiedział, że jestem głupi! Sza, dobrze! Ale jak ona znowu zaczęła wykrzykiwać na cały głos, to ja się trochę rozgniewałem i powiadam głośno: „Panie doktorze, tak nie można, ja zawołam policji, to jest porządna dziewczyna!” To on mnie kazał bardzo grzecznie wyjść za drzwi, co ja przeszkadzam tej gniecionej medycynie. Zaczekałem na schodach, a jak

Rojze wyszła, to była czerwona jak barchan i mówiła, co ma wielką przyjemność w kościach. Przez miesiąc to ona była zdrowa jak gęś, jej tak dobrze robiła ta gnieciona medycyna, jak się to nazywa, ja nie wiem.

– Masaż, kończ pan prędzej, bo nie mam czasu.

– Panie doktorze, może i mnie potrzeba takiej gniecionej medycyny? Ja zapłacę, ja panu doktorowi zaraz dam rubla, niech pan powie. Do widzenia, ja przepraszam, już idę, już mnie nie ma – wołał spiesznie wychodząc, bo Wysocki szedł ku niemu tak groźnie, jakby go miał zamiar wyrzucić za drzwi.

Ale zaraz wsunęła się otyła Żydówka i już od drzwi jęczała przeciągle:

– Panie konsyliarzu, ja mam zatkanie, ja mam wielkie zatkanie w piersiach.

– Zaraz! Może pan przejdzie do mamy, do saloniku, jak tylko załatwię się z chorymi, przyjdę.

– Ależ to ciekawa kolekcja.

– Bardzo ciekawa, ten, co wyszedł, mordował mnie przez godzinę, a w końcu, korzystając z pańskiego wejścia, zapomniał mi zapłacić.

– No, to niewesołe, ale przypuszczam, że takie wypadki zapomnień bywają nieczęste.

– Żydzi zawsze są gotowi zapomnieć, trzeba im przypominać, co nie jest przyjemnym – mówił dosyć smutnie Wysocki, przeprowadzając go do matki.

Wysocką znał Borowiecki od czasu przyjazdu ze wsi, bo miał do niej list od Anki i przychodził kilka razy w interesach narzeczonej.

Zastał ją teraz siedzącą w fotelu pod oknem, w jaskrawej smudze światła, jakie wpływało do zaciemnionego pokoju, bo pozostałe okna były przysłonięte roletami i portierami.

– Bardzo czekałam, bardzo – powiedziała wyciągając do niego długą, wykwinną rękę o cienkich stożkowych palcach.

– Spóźniłem się i pani mi daruje to opóźnienie, bo istotnie wczoraj przyjść nie mogłem. Przywieźli maszyny i musiałem być przy ich wypakowywaniu całe popołudnie.

– No, trudno, ale pan mi daruje prośbę o odwiedziny i zabieranie sobie czasu.

– Jestem na pani rozkazy.

Usiadł przy niej na niskim taborecie, ale cofnął się w cień, bo słońce zalewało żarem ten pas świetlisty i jej wysmukłą postać i kładło ru-

dawe tony na jej czarne włosy i twarz w oliwkowym odcieniu, jeszcze bardzo piękną, i skrzyło się złotym pyłem w jej wielkich orzechowych oczach.

– Pani się nie obawia słońca – zauważył mimo woli.

– Kocham słońce i lubię się w nim pławić. Czy u Miecia dużo chorych?

– Widziałem kilka osób oczekujących w przedpokoju.

– Żydzi i robotnicy?

– Zdaje mi się.

– Niestety, on innych pacjentów nie ma, i co gorsza, że mieć nie chce.

– Przedkłada widocznie ilość nad jakość. Pracy więcej, ale rezultat materialny podobny.

– Nie o to mi idzie, zupełnie mi nie chodzi, czy Miecio zarabia wiele, bo w rezultacie, czy jest tak lub owak – żyjemy z resztek osobistego majątku. Idzie mi tylko o to, żeby się tak wiele nie zajmował może nieszczęśliwym, ale straszliwie brudnym tłumem tych Żydów i rozmaitych nędzarzy, jacy się cisną do niego. Jużci, że powinno się coś robić dla ulżenia cierpień i niedoli nieszczęśliwych, ale czemuż tego nie robią inni doktorzy, z odpowiedniej sfery, z mniejszą wrażliwością, przyzwyczajeni od dzieciństwa do tych łachmanów i brudów.

Wstrząsnęła się nerwowo i po jej pięknej twarzy przeleciał błysk wstrętu i obrzydzenia; podniosła koronkową chusteczkę do nosa, jakby w obronie przed jakim wstrętnym zapachem, który się jej przypomniał.

– Na to nie ma rady, tym bardziej że pan Mieczysław kocha swoich pacjentów, to jego utopia – odpowiedział z lekką ironią.

– Na utopię zgoda. Przypuszczam nawet, że każdy wyższy umysł powinien mieć jakąś utopię, jakąś piękną chimere, która by mu czyniła znośniejszym to dzisiejsze obrzydliwe życie – rozumiem nawet, że dla takiej chimery można poświęcić życie, ale nie rozumiem, jak można kochać chimere chodzącą w łachmanach i brudzie!

Zamilkła na chwilę, rozsunała seledynowy ekran

jedwabny, malowany w złote ptaki i krzewy, bo słońce odbite od cynkowych dachów rzucać poczynało zbyt jaskrawe i ostre promienie.

Siedziała jeszcze chwilę w milczeniu i pochylając głowę ku niemu, cała teraz w dziwnych refleksach zielonawego złota, jakie się przesączało przez ekran, zapytała cicho:

– Zna pan Melanię Grunspan?

Nazwisko wymówiła z subtelnym obrzydzeniem.

– Znam, ale tylko z widzenia, z towarzystw, a osobiście bardzo niewiele.

– Szkoda! – szepnęła wstając.

Przeszła kilka razy z majestatyczną powagą pokój.

Posłuchała chwilę u drzwi gabinetu synowskiego, skąd dochodził przytłumiony gwar rozmowy.

Patrzyła chwilę na ulicę huczącą olbrzymim ruchem i zalaną upalną pożogą.

Karol z ciekawością śledził jej królewskie ruchy i choć w mroku, jaki zalegał pokój, nie mógł dobrze dojrzeć wyrazu jej twarzy, czuł, że jest wzruszoną

– Pan wie, że ta panna Mela kocha się w Mieciu? – zapytała prosto.

– Pogłoski podobne słyszałem na mieście, ale nie zwracałem na to uwagi.

– To już o tym mówią! Ależ to kompromitujące! – dodała silniej.

– Przepraszam, wyjaśnię. Mówią na mieście, że kochają się oboje.

Przewidują małżeństwo.

– Nigdy! Daję panu słowo, że dopóki ja żyję, to się nie stanie! – zawołała przyciszonym, namiętym

głosem. – Mój syn miałby się ożenić z Grunspanówną!

Orzechowe oczy nabrały połysku miedzi, a dumna, piękna twarz rozpalila się oburzeniem.

– Panna Mela cieszy się w Łodzi opinią bardzo zacnej i rozumnej, a że przy tym jest bardzo bogata i zupełnie przystojna, więc...

– Więc nic z tego, bo to tylko Żydówka! – szepnęła z mocną, prawie nienawistną pogardą,

– Prawda, to tylko Żydówka, ale jeśliby ta Żydówka kochała i była nawzajem kochaną przez syna pani, to kwestia jasna i przeciwieństwa wyrównane – mówił dosyć twardo, bo go irytował ten protest i wydawał mu się śmiesznym.

– Mój syn może się kochać nawet i w Żydówce, ale nie może myśleć o połączeniu naszej krwi z krwią obcą, z rasą wstrętną i wroga.

– Pozwolę sobie widzieć wielką przesadę w tym, co pani mówi.

– A dlaczegoż pan się żeni z Anką? Czemu pan sobie nie wybrał żony spośród łódzkich Żydówek lub Niemek, co?

– Bo mi się żadna z Żydówek i Niemek nie podobala aż do stopnia małżeństwa, ale gdyby się tak stało, nie wahałbym się ani chwili. Nie mam żadnych kastowych ani rasowych przesądów i uważam je za przeżytki – powiedział zupełnie serio.

– Jacy wy ślepi jesteście, jak wy tylko patrzycie oczami zmysłów, jak wy nie dbacie o jutro, o własne przysze dzieci, o przysze całe pokolenia – zawołała załamując ręce w grozie, oburzeniu i politowaniu.

– Dlaczego? – zapytał krótko, patrząc na zegarek.

– Dlatego, że możecie wybierać Żydówki na matki waszych dzieci, dlatego, że nie czujecie wstępu do nich. że nie widzicie, iż te kobiety są nam obce zupełnie, że nie mają religii, nie mają etyki, nie mają tradycji obywatelskiego życia, nie mają zwykłej kobiecości, są puste, pyszne, bezduszne handlarki własnych wdzięków, lalki poruszane sprężynami najpierwotniejszych potrzeb, kobiety bez przeszłości i bez ideału.

Borowiecki podniósł się do wyjścia, bo go śmieszyła i oburzała zarazem ta rozmowa.

– Panie Karolu, chciałam się z panem widzieć, aby prosić go o pomoc, o wytłumaczenie Mieciowi tego małżeństwa. Wiem, że pana poważa, a jako naszego kuzyna prędzej może posłucha, pan mnie rozumie i odczuje, że ja nie mogę pomyśleć nawet o tym bez bólu, że jakaś pachciarka, córka nędznego aferzysty mogłaby panować tutaj, wśród pamiątek i wspomnień żywych czterowiekowej przeszłości rodu naszego. Cóż by oni na to powiedzieli! – wykrzyknęła boleśnie, szerokim ruchem wskazując szereg portretów, szereg głów rycerskich i senatorskich, majaczących żółtymi plamami w zmroku.

Borowiecki uśmiechnął się zjadliwie i trącąc palcem w starą broję zardzewiałą, stojącą pomiędzy oknami, rzekł prędko i dobitnie:

– Trupy. Archeologia ma swoje miejsce w muzeach; w życiu dzisiejszym nie ma czasu na zajmowanie się upiorami.

– Pan się śmieje! Wy wszyscy się śmiejecie z przeszłości, zaprzędaliście duszę złotemu cielcowi. Tradycje nazywacie trupami, szlachectwo przesądem, a cnotę zabobonem śmiesznym i godnym politowania.

– Nie, tylko rzecz zbyteczna, jak na dzisiaj. Cóż mi pomoże cześć tradycji do zbytu perkalików! Cóż mi pomogą moi kasztelańscy przodkowie, gdy stawiam fabrykę i muszę szukać kredytu! Dają mi go Żydzi, a nie wojewodowie. A cały ten balast rupieci, jak tradycja, jest jak cierń w nodze, przeszkadza do szybkiego chodzenia. Człowiek dnia dzisiejszego, który nie chce zostać cudzym parobkiem, musi być wolnym od więzów, przeszłości, szlachectwa i tym podobnych przesądów, to kępuje wolę i obezsila w walce z przeciwnikiem bez skrupułów – bo bez tradycji; z przeciwnikiem dlatego strasznym, że jest sam

sobie przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, środkiem i celem.

– Nie, nie! ale dajmy temu spokój. Może pan ma rację, ale ja swojej nie ustąpię nigdy. Pokażę panu list panny Grunspan do Miecia, pisany z Włoch. Nie jest to niedyskrecja, bo jest tam kilka wierszy do mnie.

List był bardzo długi, pisany równym, kupieckim charakterem i pełen nieco przesadnych zachwyków nad Włochami.

Ale miejscami, gdy mówiła o sobie, o domu i o przyszłym widzeniu się z Wysockim, pełen był tkliwości, tłumionego uczucia i tęsknoty.

– Bardzo ładny list.

– Śmieszny przez przesadę i banalny. Zachwyty brane są z Baedekera, to jest tylko poza, aby się wydać bardziej interesującą.

Wpadł Wysocki zmęczony, blady, z przekręconym krawatem i z włosami w nieładzie.

Usprawiedliwiał się, że przyjść nie mógł, ale zaraz pobiegł, bo go wzywano telefonem do fabryki do robotnika, któremu maszyna zgniotła rękę.

Borowiecki korzystając z tego również chciał wyjść.

– Zrobi pan to, o co prosiłam – zaczęła ściskając mu silnie rękę.

– Muszę się pierwej rozpatrzeć w sytuacji, bo może nie ma takiego niebezpieczeństwa, jakie pani przewiduje.

– Dałby Bóg, żeby to były tylko przywidzenia. Kiedy pana zobaczę?

– Anka przyjeżdża za dwa tygodnie, to natychmiast ją przyprowadzę pani.

– A może w niedzielę będzie pan u Trawińskich? To jej imieniny.

– Będę z pewnością.

Szła przed nim, aby go wyprowadzić, ale otworzywszy drzwi do poczekalni syna, cofnęła się spieszenie i zadzwoniła gwałtownie na służącą.

– Marysiu, pootwieraj okna, niech trochę wywietrzeje. Wyprowadzę pana innym wyjściem,

I przeprowadziła go przez kilka pokoi przyciemnionych opuszczonymi storami i wypełnionych meblami o staroświeckich kształtach, obwieszonych portretami i obrazami historycznej treści, pełnych wypłowiałych i podartych makat na ścianach, melancholii i klasztornej prawie nastroju.

– Wariatka! – pomyślał znalazłszy się na Piotrkowskiej, ale pomimo to współczuł z nią i zaczynał przyznawać rację w wielu punktach.

Upał jeszcze się potęgował, nad Łodzią wisiały dymy na kształt szarych baldachimów, przez które słońce przesączało war i zalewało miasto ukropem nie do wytrzymania.

Ludzie wlekli się ociężale trotuarami, konie stały z popuszczanymi łbami, wozy toczyły się wolniej, w sklepach ruch był mniejszy, tylko fabryki huczały z nieustanną potęgą, dysząc setkami kominów i rozlewając po rynsztokach strugi kolorowych odpływów niby strugi potu ściekającego z przepracowanych organizmów.

Borowieckiemu tak dokuczyło gorąco, że wstąpił na mazagran, aby się nieco ochłodzić.

W cukierni było chłodno i pusto, tylko pod werendą płócienną siedział Myszkowski i zaspane, ociężałe spojrzenie podniósł na Borowieckiego.

– Gorąco, co? – rzekł wysuwając do przywitania spoconą rękę.

– Ba! czekaliśmy, zdaje się, tego.

– Może byś pan pojechał ze mną na piwo gdzie za miasto. Samemu się nie chce, a tak we dwóch byłoby różniej.

– Nie mam czasu, chyba w niedzielę.

– Mam pech. Siedzę tutaj od sześciu godzin i nikogo namówić nie mogę. Był Moryc, wykrecił się interesami, był ten fioł Kozłowski, nie chciała kanalia. Co ja pocznę sam i w taki upał? – jęczał tak komicznie, że Karol się roześmiał.

– Pan się śmieje, a ja się już roztapiam z gorąca i umieram z nudy.

– Czemuż nie pójdziesz pan spać?

– Ba! spałem całe trzydzieści godzin i w końcu znudziło mnie to. Nie mam się nawet z kim kłócić! Idziesz pan już? Przyszli j mi pan kogo, dzisiaj nawet na Leona Cohna się zgodzę, a nawet czym większy parch, tym lepiej, bo może mnie prędzej zirytować.

– Do fabryki pan nie idziesz?

– Po co? Pieniądzy mi jeszcze nie potrzeba ani kredyt jeszcze nie wyczerpany zupełnie, mogę poczekać. Chłopiec, daj no te szóste lody! – zawołał i gdy Karol wyszedł, opadł w krzesło i sennym wzrokiem przyglądał się przez bluszczowe ścianki werendy koniom dorożkarskim, oganiającym się energicznie przed muchami.

Borowiecki poszedł spiesznie do Helenowa.

W parku było bardzo cicho i chłodno.

Młode drzewka piły wszystkimi liśćmi słońce i okrywały ruchomymi cieniami białe stoły przy pawilonie restauracyjnym.

Trawniki lśniły się młodą zielenią jak dywanem poplamionym klombami czerwonych i żółtych tulipanów i obramowanym żółtym szlakiem ścieżek i uliczek wyżyrowanych, nad którymi przelatywały jaskółki, Wzdłuż klatek menażerii, w których drzemały zmęczone upałem zwierzęta, biegła gromada dzieci i wybuchami wielkiego zadowolenia drażniła mały w narożnej klatce, które wrzeszczały i rzucały się po klatkach jak szalone.

Wąskie alejki, oplecione dzikim winem, tryskały młodą, jasną zielenią i odbijały się w długiej sadzawce, której gładką, atlasową toń perłową darły w ciemne pręgi grzbiety ryb i kaleczyły ostre skrzydła jaskółek.

A w głębi wody pod perłową powierzchnią snuły się niby złote plamy karpie całymi gromadami.

Karol wszedł w alejkę, aby obejść wodę i cieniem przejść do górnego parku, i zobaczył Horna z Kama, siedzących nad brzegiem wody i osłoniętych winem.

Karmili karpie.

Kama była bez kapelusza, z rozsypanymi po twarzy włosami, zarumieniona i wesoła jak szczygieł, rzucała kawałki bułek i śmiała się głośno radosnym, dzieciennym śmiechem, krzyczała na ryby wysuwające z żarłocznością na powierzchnię okrągławe pyszczki, straszyla je długą wierzbową różgą i co chwila zwracała rozradowaną twarzyczkę do Horna, który siedział trochę w głębi oparty plecami o kraty podtrzymujące wino i również wesoło i serdecznie bawił się rybami.

– Cacy, dziateczki, cacy! – zawołał Karol przystając za nimi.

– Ciociu, no! – zakrzyzczała bezwiednie i zamilkła chowając w dłonie rozrurzoną twarz.

– Cóż, karpie jedzą?

– Bardzo! Za całe dziesięć kopiejek zjadły bułek! – zawołała żywo i jeszcze żywiej zaczęła opowiadać różne sceny z nimi.

Opowiadała bezładnie, bo nie mogła ukryć i stłumić pomieszania, jakim ją przejął.

– Opowie mi to wszystko Kama przy cioci, dobrze? Bawcie się dalej, bo ja muszę iść – powiedział złośliwie, widząc, jak Kama na wspomnienie cioci pobladła i nagłym ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy.

– Tak, pan myśli, że nie opowiem, otóż opowiem przy cioci, wszystko, wszystko...

– Panie Horn, idź pan chociażby jutro do Szai, bo przyjechał i miejsce pan dostanie u niego. Mówił mi już o tym Muller.

– Dziękuję panu serdecznie, bardzo się cieszę... Ale się nie ucieszyłem, bo był zakłopotany, że Borowiecki złapał go na takim dzieciństwie jak karmienie ryb

– Snujcie dalej tę sielanekę, nie przeszkadzam. Poszedł, ale dopędziła go Kama, zastąpiła mu drogę i zdyszany, niespokojnym głosem zaczęła prosić, poprawiając równocześnie pomietą sukienkę.

– Panie Karolu... mój złoty panie Karolu... niech pan nic cioci nie mówi...

– A cóż miałbym powiedzieć, przecież ciocia pozwoliła iść Karnie na spacer.

– Tak, tak, bo, widzi pan, Horn taki nieszczęśliwy... taki biedny... pogniwał się z ojcem, nie ma pieniędzy... więc ja chciałam, żeby się rozerwał trochę... Ciocia mi pozwoliła... ale...

– Nie wiem, czego Kama chce? – udawał złośliwie.

– Bo ja nie chcę, żeby się ze mnie później śmiali, a jak pan powie, to wszystkie będą mnie prześladować i ja będę bardzo, ogromnie... strasznie... nieszczęśliwa, tak jak Horn... bo on nie ma miejsca, nie ma pieniędzy i pogniwał się z ojcem.

Mówiła prędko, bezładnie i już łzy nabiegały jej do oczów, a usteczka coraz boleśniej się krzywiły i drgały.

Karol czuł, że jeszcze chwilę, a Kama wybuchnie płaczem.

– A jak powiem, to co? – zapytał żartobliwie, odgarniając jej czarną czuprynę za uszy.

– To i ja powiem, że pan był w Helenowie na schadzce, aha! – zawołała radośnie i łzy obeschły natychmiast, a czupryna spadła na czoło.

Zacząła poruszać różowymi chrapkami jak źrebiec, gdy ma wierzgnąć, oczy rozbłysły, a cała twarz zajaśniała figlarną przekornością.

– Z kimże to ja byłem na schadzce? – zapytał z uśmiechem.

– Nie wiem. Ale jeśli pan o takiej godzinie jest w Helenowie, to przecież nie dla świeżego powietrza.

Zaśmiała się wesoło.

– Karna jest dzieciak wesoły, to już nic cioci nie powiem, że przychodzi do Helenowa pocieszać bardzo nieszczęśliwego Horna.

– Dziękuję. Ja pana kocham, ja pana bardzo kocham! – wykrzyknęła rozradowana.

– Więcej niż Horna, co?

Ale już nic nie odpowiedziała i pobiegła do ryb. Z drugiej strony stawu, z górnego parku widział jeszcze ich głowy pochylone nad wodą, a czasami dźwięczny śmiech wydierał się z zielonej ściany wina i drżał nad jasną powierzchnią wód.

Lucy jeszcze nie było.

Zaczął spacerować po wąskich alejach, osłoniętych gąszczem drzew i krzewów, cienistych i pustych zupełnie.

Ptaki sennie ćwierkały w gęstwinach, sennie szemrały liście i senne głosy leciały od miasta.

Płaty czystego nieba widział nad sobą wiszące lub patrzył na wody błyskające pomiędzy drzewami albo na czerwone sukienki dziewczynek migające wśród drzew, albo na chrabąszcze łażące z opuszczonymi skrzydłami po liściach.

Usiadł w głównej alei przy zejściu do stawów i przypatrywał się dzieciom, które dziwnie cicho bawiły się pod okiem bon drzemiących na ławkach.

Drzewa chwiały się nad nimi sennie i rozsypywały krople światła migotliwego i barwiły w coraz inne desenie trawniki. Głuche echa miasta dopływały czasami i nikły, rozlewając się w ciszy parku, czasem ryk zwierząt z menażerii rozdarł powietrze na chwilę, czasem jakieś głosy rozbitą gamą wpadały w zalane upałem aleje.

Ale rychło ucichało wszystko.

Tylko jaskółki niestrudzenie przelatywały nad parkiem, przecinały aleje węzowymi skrętami, obiegały dzieci, wymijały ludzi i drzewa i wciąż przewijały się w kółko.

Karol ocknął się nagle z sennego rozmarzenia, bo suchy i ostry szelst sukni obudził jego uwagę; podniósł oczy i bezwiednie postąpił naprzód kilka kroków.

Na prost niego szła Likiertowa.

Biało-fioletowa parasolka chwiała się nad nią i obrzucała ciepłym refleksem jej twarz smutną i szeroko otworzone oczy.

Spostrzegli się prawie równocześnie i bezwiednie wyciągnęli ku sobie ręce.

Jej blada twarz buchnęła radością, oczy strzeliły płomieniem szczęścia, usta zaszły krwią, rzuciła się naprzód, jakby chcąc mu paść w ramiona, ale nagle jakaś chmura przysłoniła słońce i jej cień rzucił na

park szarość i pokrył ich dusze jakby brudnym łachmanem; drgnęła nerwowo, wyciągnięta do uścisku ręka opadła martwo, twarz jej zagaśła, usta pobladły i zacięły się w bólu, oczy cofnęły się w głąb i rzuciły ponury ton, spojrzała na niego zimno i przeszła szybko, schodząc powoli ze schodków ku stawom,

Postąpił za nią automatycznie kilka kroków z jakimś uczuciem, które go przeniknęło dziwnym wzruszeniem,

Odwróciła się na mgnienie i obrzuciła go surowym jeszcze, a pełnym już łzawych blasków spojrzeniem i poszła dalej.

Usiadł i bezmyślnie patrzył w to miejsce, skąd przed chwilą świeciły jej oczy, przesunął palcami po powiekach ociążałych nagle i piekących, wstrząsnął się cały, bo te oczy przejęły go strasznym zimnem, i nie wiedząc dlaczego, stanął znowu przy schodach i długo patrzył na jej wysmukłą figurę opłyniętą powietrzem, od której długi cień włókł się po szybie stawu.

Usiadł znowu i siedział bez ruchu i bez myśli, patrzył w głąb własnego serca i coraz boleśniejszy blask wydobywał mu się spod przymkniętych powiek.

Cień zsunął się ze słońca niby płaszcz nie przytrzymywany i światło znowu załało park, w gęstwinach ptaki zawrzały kipiącym gwarem, dzieci zaczęły z krzykiem gonić się po alejach, a drzewa szemrały sennie i jakby dla igraszki rzucały liście, które falistą, miękką linią leciały na trawniki i kładły się cicho na puszystych trawach, a czasem potężne echa miasta wpadały niby kanonada daleka.

Karol patrzył w smugę słońca drżącą na żółtym żwirze, pełną drgań i skrzeń.

– To się nazywa – pogarda! – myślał widząc jeszcze oczy Emmy i przypominając sobie jej opadnięcie ręki i ten gwałtowny ruch oprzytomnienia.

Chciał się roześmiać, ale ten uśmiech nie wydobył się na zewnątrz i rozlał się w nim goryczą i jakimś nagłym, ciężkim znużeniem.

Podniósł się i ociążale poszedł do groty.

Lucy już tam czekała i zobaczywszy go przy sobie rzuciła mu się na szyję, na nic nie zważając.

– Ostrożnie! pełno ludzi! może kto zobaczyć! – syknął ze złością, oglądając się na wszystkie strony.

– Przepraszam! bardzo przepraszam. Czy dawno czekasz? – zapytała bardzo pokornie.

– Od godziny i miałem już iść, bo nie mam czasu.

– Chodźmy za oranżerię, pod jabłonie, tam nigdy nie ma nikogo! – prosiła bardzo cicho. Dał się prowadzić.

Ujęli się głęboko pod ramiona i szli tak przyciśnięci do siebie, że obcierali się biodrami.

Lucy co chwila zaglądała mu w oczy, przyciskała się jeszcze mocniej i uśmiechała się słodko nasiąkłymi pragnieniem pocałunków ustami, dyszała żarem południowego słońca i namiętnością spragnionej rozkoszy.

Była dzisiaj kusząco piękną; jakiś lekki, denerwujący miękkością fałdów i chrzęstem jedwab bordo obciągał figurę i uwydatniał wspaniałe ramiona, mocno rozwinięte piersi i biodra cudowne.

Z wielkiego kołnierza a la Medicis, obrzeżonego koronkami, wychylała się twarz o gorącym tonie oliwkowym, jaśniejąca pięknnością, zdrowiem i młodością, a fiołkowe cudowne oczy z tła czarnych rzęs i brwi paliły się takim blaskiem i siłą, że Karol czuł ślady tych spojrzeń namiętnych na twarzy, przejmowały go żarem i zmiękczały te silne postanowienia zerwania; żal mu było stracić nabrzmiałe rozkoszą usta, które tak paliły pocałunkami, żal mu było spojrzeń i oddechów gorących, które mu paliły twarz, i tych szeptów namiętnych, i uścisków, tej rozkoszy nie wyczerpanej jeszcze do dna.

W nagłym porywie namiętności, pod wpływem jeszcze tej goryczy, jaką mu wlało w duszę spotkanie z Likiertową, zaczął ją całować z uniesieniem.

Oddawała mu pocałunki tak długo, mocno i namiętnie, że zbladła śmiertelnie i na pół omdlała obsunęła mu się w ramiona.

– Karl, umieram, umieram! – wyszeptała posiniałymi wargami, na których jeszcze jaśniał cały ogrom uniesienia miłosnego.

Oplotła go sobą i po dłuższej chwili odpoczynku szepnęła rozchylając oczy i oddychając chciwie:

– Kocham cię! Nie całuj mnie, jest mi tak niedobrze, tak niedobrze! – skarżyła się cicho.

I gdy się znaleźli za oranżerią, osłonięci od oczów ciekawych nisko zwieszającymi się gałęziami drzew,

usiadła na taczkach stojących pod murem, oparła głowę o jego ramię, bo siadł przy niej, i długo milczała.

Trzymał ją wpół i gładził jej twarz pobladłą i kładł lekkie pocałunki na ciężkie, przymknięte powieki, spod których zaczęły się wydobywać łzy.

– Co ci jest? dlaczego płaczesz?

– Nie wiem, nie wiem – odpowiedziała i te łzy coraz obficie sypały się po twarzy i coraz głębsze łkanie wstrząsało jej piersiami.

Obcierał jej oczy, całował, uspokajał, ale nic nie pomagało, płakała jak dziecko rozżalone i nie mogła się uspokoić.

Chwilami już się uśmiechała, ale nowa fala łez przyciemniała jej fiołkowe oczy i zalewała uśmiech.

Karol zaczął się niepokoić, a później niecierpliwieć.

Jego namiętne wzruszenie zginęło bez śladu pod tymi łzami, siedział już zimny i zakłopotany do najwyższego stopnia tym atakiem histerii czy zdenerwowania zwykłego.

Na próżno się wypytywał, co jej jest.

Nic nie odpowiadała, tylko ukryła twarz na jego piersiach, objęła go ramionami i płakała spazmatycznie.

Wiatr prześlizgiwał się pomiędzy jabłoniami i otrząsał z nich resztę powiędłych, szerniałych kwiatów, które rdzawymi płatkami leciały na głowy siedzących i na trawniki, chwiały gałęziami nad ich głową, szemrał coś tajemniczo w gęstwinie i poleciał dalej zostawiając za sobą wielką ciszę i pustkę, wśród drzew, których czuby kołysały się ostatnimi ruchami w słońcu.

Wróble zaczęły krzyczeć na dachu oranżerii, a od miasta zerwał się chór ostrych i wrzaskliwych świstów fabrycznych, głoszących podwieczerek, i zalał park dziką kanonadą.

Lucy przestała płakać, obtarła twarz z łez, przejrzała się w maleńkim kieszonkowym zwierciadelku, poprawiła kapelusz i ozwała się cicho, patrząc na jego twarz schmurzoną:

– Gniewasz się na mnie, Karl?

– Nie, cóż znowu, tylko mnie zaniepokoił twój płacz.

– Daruj mi, widzisz, nie mogłam wytrzymać, nie mogłam... Tyle dni czekałam na ciebie, tyle dni myślałam o tej chwili spotkania się z tobą, tak się cieszyłam... bo mnie jest źle, Karl, mnie jest bardzo źle w domu... Zabierz mnie stamtąd, zabij mnie, jeśli chcesz, a nie pozwól mi wracać do nich! – wykrzyknęła silnie, chwytając go za ręce ruchem rozpaczony, i wpiła się oczami w jego oczy, żebrząc zmiłowania i ratunku.

– Uspokój się, Lucy, jesteś rozdrażniona, zdenerwowana i nawet nie wiesz, czego żadasz.

– Wiem, Karl, wiem, ja chcę ciebie. Ja tam z nimi nie wytrzymam dłużej, nie wytrzymam! – zawołała namiętnie.

– Cóż ja na to poradzę? – rzekł dosyć niecierpliwie i twardy cień gniewu zamigotał w jego szarych oczach.

Porwała się na te słowa z miejsca i jakby przepaść ujrzała przed sobą, patrzyła długo na niego jakimś wzrokiem osłupienia i trwogi.

– Karl, ty mnie nie kochasz! tyś mnie nigdy nie kochał – wykrztusiła cicho trzęsącymi się ustami i czekała z zamarłym sercem jego słów.

Ale on, pomimo że już miał na ustach straszną dla niej odpowiedź, powstrzymał się jakby pod wpływem litości i uśmiechając się objął ją wpół i zaczął całować te przerażone, pełne łez oczy, które były powiekami niby skrzydła motyla konającego, i usta drgające w strachu.

– Jesteś dzisiaj bardzo zdenerwowana, bardzo rozdrażniona. Trzeba się uspokoić, Lucy, i nie trzeba takich rzeczy mówić ani myśleć o nich, bo mnie one bardzo boją, dobrze, Lucy? – szeptał siląc się na pieszczotliwość głosu.

– Dobrze, Karl, dobrze! Przebacz mi! Ja cię tak strasznie Kocham i tak się boję o ciebie, że nie mogłam wytrzymać, chciałam się przekonać.

– A teraz wierzysz mi już i jesteś spokojną, nieprawdaz?

– Wierzę ci, Karil bo komuż ja będę wierzyć, jeśli nie tobie! – zawołała szczerze i głęboko.

– Czy w domu spotkała cię jaka przykrość?

– Czy jedna! Mam ich tysiąc codziennie, ale dzisiaj przyjechała ciotka z Częstochowy i cały czas tylko wyrzekła, że nie mamy dzieci! Słyszysz, Karl? Cała rodzina się tym martwi i ciągle mi wymawiają, ciągle... On powiedział, że się ze mną rozwiedzie, bo mu wstyd przed swoimi za mnie. Dzisiaj uradzili, że ciotka ma mnie zawieźć do Brodów, do jakiegoś cadyka, który ma na to poradzić...

– Zgodziłaś się?

– Oni mogą mnie zmusić!... Nie mogę się przecież opierać, bo się nikt za mną nie ujmie... Muszę... – szeptała cicho, zaciskając zęby w odczuwanej silnie bezbronności, i patrzyła w niego błagalnymi oczami, jakby żądając ratunku, ale Karol poruszył się niespokojnie i oglądał zegarek.

– Wiesz, zagrozili mi, że jeśli się nie zgodzę, to dadzą mi rozwód i wywiozą do małego miasteczka! Słyszysz, wywiozą daleko od ciebie i już bym cię nigdy... nigdy nie zobaczyła.

I jakby w strachu nagłym, oslepiającym, że może go stracić na zawsze, rzuciła mu się w ramiona, oplątywała go sobą, przyciskała się

silnie i pełna jakiegoś lęku i miłości pochwyciła jego ręce i okrywała pocałunkami.

– Musimy już iść, bo muzyka w parku grać zaczyna, ludzi będzie więcej i mogliby nas zobaczyć.

– Niech zobaczą, ja cię kocham, Karl, i przed całym światem mogę śmiało wołać, że kocham. Co mi tam ludzie, gdy ty jesteś przy mnie!

– Musimy jednak zachowywać pozory.

– A co byś zrobił, gdybym tak pewnego dnia przyszła do ciebie i została na zawsze? – zapytała żywo, przyciskając się do niego miłośnie, i twarz jej rozjaśnił potężny płomień szczęścia. – I bylibyśmy razem zawsze, zawsze... zawsze... – powtarzała pieszczotliwie, przeplatając słowa gorącymi pocałunkami.

– Dzieciak jesteś, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz... a to są szalone myśli...

– A czy miłość nie jest także szaleństwem, Karl?

– Jest, jest, ale musimy się już rozejść – mówił prędko, nasłuchując dalekich odgłosów muzyki, przesączonej się przez gęstwinę i mrok opadający.

– Ty mnie nie kochasz, Karl? – zagadnęła żartobliwie, a równocześnie wysunęła usta, aby zaprzeczył pocałunkami.

Ale on spojrzał na nią zimno i ostro i takim ostrym głosem odpowiedział, że zadrzała, puściła jego ramię i szła obok zmieszana, zaniepokojona i smutnym wzrokiem wodziła po gąszczach, w których czaiły się smugi mroku, podarte przez ostre, miedziane połyski zachodzącego słońca.

I chociaż zapewniał ją o swojej miłości głosem, jak mógł, najłagodniejszym, chociaż całował na pożegnanie bardzo serdecznie, odeszła strwożona i smutne spojrzenia rzucała z oddali na stojącego pod drzewami.

Muzyka grała jakiegoś melancholijnego walca, który po wielkim obszarze parku rozlewał się słodkim szmerem i poruszał obwisłe w przedzachodniej chwili drzewa i zamykające się kielichy kwiatów.

Alejami snuły się tłumy ludzi, gwar rozmów, śmiechy, chrzęst żwiru pod nogami, jasne stroje kobiet. Sznury drzew, stojących w wielkiej ciszy, owiewały opalowe mroki pełne drgań melodyjnych i smug krwawo zachodzącego słońca, które zsuwało się za lasy i pryskało strumieniami miedzianego światła na Łódź pełną dymów i czarnych sylwetek kominów, na puste pola – roztaczające się za parkiem, pełne drzew samotnych, cegielń, domków niskich, drózek piaszczystych i

zielonych zbóż, co jak fale kołysały się i biły w miasto z bezsilnym uporem.

Karol poszedł górną aleją poza menażerię, aby się nie spotkać ze znajomymi, ale zwolnił kroku, bo zobaczył przed sobą Horna z Kama: szli trzymając się za ręce i cicho nucili jakąś piosenkę kołysząc w takt głowami, Kama kapelusz trzymała w ręku, włosy wicherzyły się jej na głowie i przeświecały promieniami słońca niby złotymi szpilkami, bo szli pod zachód i stanąwszy na szczycie wzgórza przypatrywali się miastu.

Karol wyminął ich boczną uliczką i spiesznie pojechał do miasta.

IV [XX]

– Niech pan wstąpi na herbatę, bo ciocia będzie się gniewać, że puściłam pana – prosiła Kama, gdy ją odprowadził na Spacerową.

– Nie mam czasu, muszę teraz iść szukać Malinowskiego, trzy dni już nie był w domu, jestem o niego bardzo niespokojny.

– No, dobrze, a jak go pan znajdzie, to przyjdźcie obaj na herbatę.

– Dobrze!

Uścisnęli sobie ręce po przyjacielsku i rozeszli się.

– Panie Horn! – zawołała za nim Kam z bramy.

Odwrócił się i czekał, co powie.

– Ale się pan teraz lepiej czuje, co? Nie jest pan już nieszczęśliwy, co?

– Lepiej, znacznie lepiej i dziękuję za ten spacer całym sercem.

– Trzeba być zdrowym, trzeba nie być nieszczęśliwym i trzeba iść jutro do Szai, dobrze? – mówiła cicho i jakimś matczynym ruchem pogłaskała go po twarzy.

Pocałował ją w końce palców i poszedł do domu, ale szedł wolno i apatycznie, pomimo że szczerze niepokoiła go długa nieobecność Malinowskiego, z którym mieszkał i z którym zżył się mocno przez te kilka miesięcy oczekiwania na posadę.

Malinowskiego w domu nie było, mieszkanie wionęło pustką i znać było na każdym kroku, że tędy przeszła bieda, a przeszła niemała, bo Horn pogniewał się z ojcem, który mu wstrzymał pensję, chcąc tym sposobem zmusić upartego do powrotu.

Ale nie zmusił, bo Horn się zaciął i postanowił iść dalej o własnych siłach, a tymczasem żył pożyczkami, kredytem i sprzedażą stopniową mebli i sprzętów oraz miłością, jaką czuł do Kamy, miłością, która owiewała całą jego przyrodę słodkim tumanem jak ten wieczór czerwcowy, zapadający na miasto, pełny ciszy głębokiej i gwiazd skrzących się w głębiach strasznych, niby marzeń-błysków, drżących na fali powietrznej, jak ona wiecznej i jak ona nigdy nieuchwytniej.

Przestał myśleć o sobie, bo postanowił iść na miasto i odszukać przyjaciela.

Malinowski urządzał nieraz takie tajemnicze zniknięcia, po których wracał błądy i zdenerwowany, nie mówiąc, gdzie był, ale nigdy nie bawił tak długo jak obecnie.

Horn obszedł znajomych, gdzie spodziewał się czegoś dowiedzieć, ale nikt Malinowskiego nie widział od dni kilku; u jego rodziców się nie dowiadywał, bo nie chciał ich niepokoić, a zresztą pozostawiał to na ostatek.

Przyszło mu na myśl dowiedzieć się u Jaskólskich, do których Malinowski bardzo często zaglądał. Jaskólscy mieszkali teraz na jednej z nowo powstających uliczek, pomiędzy linią drogi żelaznej, lasem i fabrykami Scheiblera.

Uliczka była jeszcze na wpół polem, pół śmietnikiem, a pół miastem, bo ciągnęła się porwaną linią wśród zbóż zielonych, wzgórz usypianych z wywożonych z miasta rumowisk i olbrzymich dołów, z których czerpano piasek.

Czteropiętrowe domy, z nie tynkowanej cegły, ordynarne, ledwie sklezione, czerwieniły się obok małych domków drewnianych i prostych bud skleconych z desek na składy.

U stóp lekkiego wzniesienia, na którym ciągnęła się uliczka, włókł się kolorowy strumień, zanieczyszczony odpływami z fabryk i zarażający dookoła powietrze strasznymi wyziewami. Stanowił on granicę pomiędzy właściwym miastem a polami i obmywał krętymi liniami długie parkany i kupy wywożonych z miasta śmieci.

Jaskólscy mieszkali pod samym lasem, w drewnianej ruderze o kilkunastu oknach frontu i pełnej przystawek i facjat na skrzywionym piętrze. Teraz mieli się znacznie lepiej, bo on zarabiał pięć rubli tygodniowo przy budowie fabryki Borowieckiego, ona zaś prowadziła sklepik z wiktuałami na rachunek piekarza, za co miała mieszkanie i dziesięć rubli miesięcznie.

Przed sklepikiem Jaskólskich siedział poobwijany w kołdry Antoś i rozmarzonym, tęsknym wzrokiem przypatrywał się sierpowi księżyca, który wylał się zza chmur i osrebrzał blaszane, wilgotne od rosy dachy i kominy miasta.

– Józio jest w domu? – zapytał Horn ściskając mu wyschniętą, suchotniczą rękę.

– Jest... jest... – szeptał z trudem chory nie puszczając jego ręki.

– Lepiej ci teraz niż zimą?

– Czy tam się nikt nie dostanie? – zapytał wskazując rozszerzonymi oczami księżyc.

– Chyba po śmierci... – rzucił Horn, prędko wchodząc do sklepiku.
– Ja czuję... jak tam jest strasznie cicho... – szeptał chory wzdrygając się całym ciałem i uśmiech okrutnej, nieprzeparłej, bolesnej tęsknoty rozjaśnił jego twarz wychudłą.

Zamilkł, opuścił ręce bezwładnie jak łachmany, oparł głowę o drzwi, przy których siedział, i utonął całą duszą w tych przerażających głębiach, po których ślizgał się srebrny sierp księżycy.

Józio siedział za sklepem, w małej, ciasnej izdebce, pełnej łóżek i gratów i tak dusznej, że otworzone drzwi i okna niewiele odświeżały rozpalone powietrze.

– Dawno widziałeś Malinowskiego?

– Ze dwa tygodnie nie był u nas, a nie widziałem go od niedzieli,

– A Zośka dawno była u was?

– Zośka już do nas nie przychodzi. Mama się na nią pogniewała... Maryśka, bo wybijesz szyby! – krzyknął przez okno do małego ogródka, w którym majaczyła się jakaś postać kobieca.

– Co ona tam robi? – zapytał patrząc na ciemną ścianę lasu stojącego o kilkadziesiąt kroków od domu, tak że blask lampy, padający przez okno długim złotym pasem, połyskiwał na pniach sosen.

– Kopie ziemię, to Maryśka, weberka, pochodzi z naszych stron. Mama odstąpiła jej nasz ogródek i ona zawsze po fabryce przychodzi tutaj gospodarować. Taka głupia, zdaje się jej przez to, że jest na wsi.

Horn nie słuchał, myślał, gdzie znaleźć Adama, obleciał bezwiednie oczami pokój i sklepik pełen błyszczących blaszanek od mleka, odetchnął kilka razy dusznym, przesyconym kurzem, dymem i zapachem chleba powietrzem i zegnając się zapytał żartobliwie:

– Cóż, nie dostałeś znowu jakiego miłosnego listu?

– Dostałem... tak... Zaczerwienił się gwałtownie.

– Bądź zdrow...

– To i ja pójdę.

– Może na schadzkę, co? – zapytał żartobliwie.

– Tak, tak... Ale niech pan tak głośno nie mówi, jeszcze mama usłyszysz.

Ubrał się śpiesznie i wyszli na ciemną ulicę. Ciepły wieczór czerwcowy wyciągnął ludzi z domów i z nor mieszkalnych, siedzieli w czarnych sieniach, na progach, przed domami, w piasku drogi lub w otwartych oknach, przez które widać było niskie, ciasne izby pełne tapczanów i łóżek, huczące rojem ludzkim jak ule.

Uliczka nie miała latarni, oświetlał ją księżyc i smugi światła bijących od okien i od pootwieranych szynków i sklepików.

Na środku drogi tarzały się z krzykiem gromady dzieci, a od jednego z dalszych szynków buchał chór pijackiej piosenki i łączył się z dźwiękami harmonijki, rozlewającej z jakiegoś poddasza skoczne tony krakowiaka, i z hukiem pociągów przelatujących niedaleko.

– Gdzież masz to rendez-vous? – zapytał Horn, gdy wyszli na uliczkę i szli ścieżką biegnącą w poprzek szerokiego pola kartofli do miasta.

– Niedaleko, przy kościele.

– Życzę ci powodzenia!

Horn poszedł do rodziców Adama, żeby się dowiedzieć o niego, i trafił na wielką burzę.

Matka stała na środku pokoju i krzyczała na cały głos. Zośka, płakała spazmatycznie pod piecem, a Adam siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach; stojąca na komodzie lampa oświetlała całą scenę.

Horn wszedł, ale natychmiast się cofnął zmieszany.

Adam wybiegł za nim.

– Mój drogi, poczekaj na mnie kilka minut w bramie, proszę cię o to bardzo! – szepnął gorączkowo i wrócił do mieszkania.

Matka krzyczała ostrym, podniesionym głosem:

– Ja raz jeszcze pytam, gdzieś była przez te trzy dni?

– Mówiłam już mamie, byłam na wsi pod Piotrkowem u znajomej.

– Zośka, nie kłam! – rzucił krótko Adam i jego zielone, słodkie oczy zapaliły się gniewem. – Ja wiem, gdzieś była! – dodał ciszej.

– No gdzie? – zawołała dziewczyna z niepokojem, podnosząc nań zapłakane oczy.

– U Kesslera! – szepnął cicho, ale z taką mocą bólu, że matka rozkrzyżowała ręce, a Zośka zerwała się z krzesła, stała czas jakiś na środku pokoju, wodząc hardym, buntowniczym wzrokiem dokoła.

– A więc tak, byłam u Kesslera! jestem jego kochanką, a więc tak! – zawołała ostro i z taką determinacją w głosie, że matka cofnęła się pod okno, a Adam zerwał się z krzesła, a ona stała chwilę w milczeniu, patrząc na nich hardym wzrokiem, ale po chwili fala zdenerwowania zatrzęsała nią tak silnie, że nogi się pod nią ugięły, upadła na dawne miejsce i wybuchnęła wstrząsającym płaczem.

Matka oprzytomniała, skoczyła do niej, pochwyciła za ręce i przyciągając do lampy zaczęła prędko, gorączkowo mówić:

– Ty jesteś kochanką Kesslera? Ty, moja córka?

Chwyciła się za głowę i zaczęła biegać po pokoju z rykiem strasz- nego bólu.

– Jezus, Maria! – wołała załamując ręce w rozpacz.

Przypadła znowu i trzęsąc nią z całych sił, szeptała ochryplym, zduszonym przez wzruszenie głosem;

– Więc te wyjazdy do ciotki, te spacer, te chodzenia z przyjaciół- kami do teatru, te stroje – to wszystko. A, rozumiem teraz, rozumiem! I ja na wszystko pozwalałam, byłam tak ślepa! Jezus, Maria! A nie karz mnie, Boże przedwieczny, za ślepotę, a nie karz mnie, Panie miłosier- ny, za dzieci moich winy, bom ich niewinna! – błagała nieprzytomnym głosem padając w wielkiej skrusze przed obrazem Matki Boskiej oświeconym oliwną lampką.

Cisza zapadła na chwilę.

Adam ponuro patrzył w lampę, a Zośka stała pod ścianą skulona, złamana, nieszczęśliwa, łzy wielkimi perłami sypały się z jej oczów i zalewały twarz całą. drgała ustawicznie, wstrząsana łkaniem, włosy się jej rozsypały na ramiona i na czoło, odgarniała je

automatycznym ruchem i nie widziała nic już, co się działo dokoła.

Matka podniosła się z kolan, twarz jej blada i obrzękła pełna była surowości nieubłaganej i grozy.

– Zdejm zaraz te aksamity! – zawołała. A gdy Zośka zawahała się nie rozumiejąc, matka zaczęła zrywać z niej aksamitny stanik i darła go w kawały.

– To twoja hańba, ty ulicznico! – krzyczała i wpadła w szal niszc- zycielki, zerwała z niej całą garderobę i porwała ją w strzępy, pode- ptała z nienawiścią i rzuciła się do komody, i wyrzucała z niej, i darła wszystko, co należało do Zośki, która ogłupiałym wzrokiem przypa- trywała się zniszczeniu i szeptała urywanymi słowami:

– On mnie kocha... on obiecał się ze mną ożenić... ja nie mogłam już wytrzymać w fabryce – ja nie chcę umierać w przędzalni... ja nie chcę być weberką całe życie... Mamusi droga, matuchno moja jedyna, przebacz mi, mamusi, miej litość nade mną! – krzyknęła gwałtownie, rzucając się do nóg matki. Zerwała się w niej resztką świadomości i mocy panowania nad sobą.

– Możesz iść sobie teraz do Kessiera, ja już córki nie mam – szepnęła matka sucho, otwierając drzwi szeroko i wyrywając się z jej objąć.

Zośka zalana nagłym, oślepiającym strachem, jaki wionął ze słów matczynych i tej czarnej gardzieli kurytarza, jaki ujrzała przed sobą,

cofnęła się w tył i runęła do nóg matki z niehumanicznym okrzykiem trwogi strasznej; czepiała się jej rąk, jej sukni, jej kolan, czołgała się za nią na kolanach i żebrała nieprzytomnym, przełamionym głosem litości i przebaczenia.

– Zabij mnie, a nie wypędzaj! Zabijcie mnie, ludzie, bo już nie wytrzymam! Adam, bracie mój. Ojczyźnie mój, miejcie litość nade mną.

– Wynoś się natychmiast i nie pokazuj się nigdy tutaj, bo cię jak psa wypędzę i oddam policji! – syczała matka nieubłaganie, skamieniała w gniewie, bo wszystko w niej nagle z wielkiego bólu zamarło, nawet litość.

Adam również nieporuszony słuchał i patrzył, tylko jego zielone oczy straciły ostry połysk gniewu i mroczyły się łzami.

– Precz mi! – krzyknęła ostro raz jeszcze matka. Wtedy Zośka przystanąła na mgnienie na środku pokoju i rzuciła się z obłąkanym krzykiem w korytarz, aż sąsiedzi zaczęli drzwi otwierać i wychylać głowy, przebiegła cały dom rodzinny, zbiegła na dół, na podwórze, i wcisnęła się w ciemny kąt pod akacje kwitnące, i zemdląła z dzikiego, zwierzęcego strachu.

Adam wybiegł za nią, a przywróciwszy do przytomności szepnął miękko, braterskim głosem:

– Zośka, chodź do mnie! Ja cię nie opuszczę. Nic nie odpowiedziała tylko chciała mu się wyrwać z rąk i uciekać w świat.

Z trudem ją uspokoił, okręcił w jakąś chustkę, którą przyniósł z domu, bo dziewczyna cały była w strzępach, ujął mocno pod rękę i poprowadził do dorożki.

Horn, który czekał w bramie, przyłączył się do nich.

– Tak się stało, że Zośka chwilowo będzie mieszkać u mnie, nie moglibyście sobie poszukać mieszkania na kilka dni?

– Dobrze. Pójdę do Wilczka, on ma duże mieszkanie.

Jechali w milczeniu, tylko przejeżdżając obok pałacu Kesslera Zośka przycisnęła się silnie do brata i zaczęła cicho płakać.

– Nie płacz, to się wszystko da załagodzić! Nie płacz, matka da się przeprosić, z ojcem sam się rozmówię! – pocieszał ją i całował po zapłakanych oczach, i gładził jej włosy roztargane.

Tak odczuła te pocieszenia i jego miłość, że objęła go ramionami, ukryła mu twarz na piersiach i jak dziecko skarżyła się cichym, urywanym szeptem na

swoją dolę nieszczęśliwą, nie zważając na obecność Horna.

Urządzili jej zaraz mieszkanie z pokoju brata, który się przeniósł do pokoju Horna, zamknęła się w nim, nie chciała wyjść na herbatę, jaką zagotował Horn.

Adam sam jej zaniósł.

Wypiła trochę; rzuciła się na łóżko i zasnęła natychmiast. Adam zaglądał do niej co chwila, pookrywał ją, czym mógł, wytarł chusteczką jej twarz, bo łzy pomimo snu płynęły spod zamkniętych powiek, potem powrócił i szepnął cichym głosem:

– Domyślcie się, co się stało?

– Nie, nie, i proszę was bardzo, nie mówcie mi, bo widzę, jak was to boli. Ja zaraz wychodzę.

– Zostańcie jeszcze chwilę. Słyszeliście, musieliście słyszeć, co mówili o Zośce?

– Na plotki nigdy nie zwracam uwagi, nigdy ich słuchać nie chcę – rzekł Horn wymijająco.

– To nie plotki, to prawda! – rzekł ostro, wstając z miejsca.

– Więc cóż poczniecie? – zapytał z wielkim współczuciem.

– Idę w tej chwili do Kesslerów! – szepnął twardo i zielone oczy błysnęły mu takim tonem jak szmelcowana lufa rewolweru, który schował do kieszeni.

– To na nic się nie przyda, z bydlęciami nie można spraw ludzkich załatwiać.

– Spróbuję, a jak mi się nie uda, to...

– To co – podchwycił spieszenie Horn, przestraszony akcentem groźby, jaki brzmiał w jego głosie.

– To pomówimy inaczej... to się pokaże... Horn chciał mu tłumaczyć, ale Adam nie chciał słuchać, tylko gdy się rozstawali przed bramą, uściśnął mu silnie rękę i pobiegł do pałacu Kesslera.

Nie zastał i nikt nie umiał go objaśnić, gdzie w tej chwili może być młody Kessler.

Popatrzył z całą nienawiścią na wspaniałe mury pałacu, na błyszczące przy księżycu jego wieżyczki i złożone balkony, na zasłonięte białymi storami okna i poszedł do fabryki do ojca.

Stary Malinowski, jak zwykle, niby żuraw niestrudzony obchodził to olbrzymie koło rozpędowe,

które jak ptak potworny rzucało się w mrocznej, roztrzęsionej ruchem wieży, zapadało się w ziemię wybiegało z cieniów, połyskiwało roziskrzonym, zimnym tumanem stali i okręcało się dookoła z taką szaloną szybkością, że żadnego konturu nie można było pochwycić.

Taki szalony krzyk maszyny huczał w wieży, że stary szeptem zapytał syna:

– Znalazłeś Zośkę?

– Przywiozłem ją dzisiaj wieczorem.

Stary popatrzył nań długo i poszedł znowu obejść maszynę, naoliwił niektóre części, przyglądał się manometrowi, wytarł tłoki, które z sykiem pracowały ociekając oliwą, krzyknął przez tubę do maszynistów pracujących niżej i powróciwszy do syna powiedział zaciśniętym gardłem.

– Kessler!

Zęby mu się wyszczerzyły jakby do kąsania.

– Tak, ale on mój! Niech mu ojciec da spokój – zaczął gorąco Adam.

– Głupiś! Mam z nim ważne sprawy, ani mi się waż go tknąć, słyszysz?

– Słyszę, ale swojego nie odstąpię.

– Ani mi się waż! – zawarczał stary podnosząc czarne, olbrzymie pięście jakby do uderzenia. – Gdzie ona teraz?

– Matka ją wypędziła z domu. Syknął przez zaciśnięte zęby i bure oczy zapadły

mu głęboko pod brwi krzaczaste i rzucały tylko cień groźny na twarz szarą i suchą.

Zgarbił się i obchodził powoli to koło, które śpiewało rykiem szalony hymn siły uwięzionej, targającej się z wściekłością pomiędzy trzęsącymi się mu ramami.

Przez małe zakurzone okienka budynku lał się srebrny, księżycowy kurz, w którym niby sine widmo tańczyło z krzykiem bydlę olbrzymie.

Adam nie mogąc się doczekać więcej słów od ojca, powstał i zmierzzał do wyjścia.

Stary wysunął się za nim i już za progiem szepnął:

– Zajmij się tą... przecież to nasza krew...

– Wziąłem ją do siebie.

Pochwycił go i żelaznymi ramionami przycisnął do serca.

Zielone, słodkie oczy syna wpiły się z wielką miłością w bure, rozłzawione oczy ojca, patrzyli w siebie do głębi, na wskroś i rozeszli się bez słowa.

Stary spiesznie obchodził maszynę i zaoliwionymi palcami wycierał oczy.

V [XXI]

– Interes prosty, czyste złoto, powiadam wam. Kupiłem plac, który musi, uważacie, musi odkupić ode mnie Grunspan za taką cenę, jaką wziąć zechcę – tłumaczył nazajutrz rano Stach Wilczek Hornowi, który spał u niego.

– Dlaczego musi? – zapytał zaspanym głosem Horn.

– Bo mój plac otacza fabrykę jego z dwóch stron; z boku i z tyłu, z drugiego boku leżą place Szai Mendelsohna, a od frontu ulica. Grunspan chce powiększyć fabrykę, a nie ma u siebie miejsca. Ma być dzisiaj u mnie, zobaczycie, jaką ma minę. On ten plac targował przez trzy lata i przez trzy lata postępował dotychczasowemu właścicielowi po sto rubli na rok, chciał kupić tanio, czekał, nie spieszyło mu się. Cudem się dowiedziałem, postąpiłem chłopu grubo i po cichutku kupiłem, teraz ja będę czekał, teraz mnie się nie spieszy... ha, ha, ha! – śmiał się wesoło, zacierając ręce, oblizywał wywinięte wargi i mrugał oczami.

– Ileż macie tego placu?

– Całe cztery morgi! Pięćdziesiąt tysięcy rubli jakbym już miał w kieszeni.

– Jeśli się łudzić, to już mocno! – zaśmiał się Horn, nieco dotknięty tą cyfrą.

– Ja się nigdy w interesach nie mylę. Grunspan ma stawiać dwa pawilony, razem około dwóch tysięcy ludzi, i pomyśleć, że gdyby je musiał stawiać w innym miejscu, choćby o kilkaset kroków dalej, to koszty budowy, urządzeń i administracji podniosą mu się w dwójnasób. Pijecie jeszcze herbatę?

– A proszę, jeśli jest gorąca, ale jak na przyszłego milionera macie diabło wygryzione filiżanki! – zwrócił uwagę dzwoniąc łyżeczką w wyszczerbione fajansowe filiżanki.

– To głupstwo, będzie się jeszcze pijało na sewrskich – odpowiedział lekceważąco. – Zostawię was samych na parę minut – rzekł patrząc przez okno i wyszedł do sieni, bo kilka kobiet starych, wynędzniałych, z koszykami na ręku, ukazało się pomiędzy wiśniami na pół uschlými, jakie stały przed domem.

Horn tymczasem obejrzał się po pokoju, stanowiącym mieszkanie przysłego milionera.

Była to prosta chłopska izba o wykrzywionych ścianach, wybielonych wapnem; gliniany ubity tok, stanowiący podłogę, pokrywały kawały dywanu barchanowego w jaskrawe czerwone kwiaty; krzywe, małe okienko, przysłonięte brudną firanką, wpuszczało tak mało światła, że cała izba i nędzne, zbierane jakby ze śmietników graty tonęły w mroku, w którym tylko błyszczał jaskrawo wielki samowar, stojący na zwykłym chłopskim kominie, pod wielkim okapem.

Kilkanaście książek leżało na stole wśród kawałków starego żelastwa, rzemieni i cewek z próbkami różnokolorowej przędzy bawełnianej.

Horn zaczął przeglądać książki, ale że doszedł go przez szyby rozplakany głos kobiety, odłożył i słuchał.

– Pan mi pożyczycy dziesięć rubli! Pan wie, że Ruchla Wassermanowa jest uczciwa, jest biedna kobieta. Jak ja dzisiaj nie będę miała pieniędzy, to nie zrobię interesu i nie będę miała z czego żyć cały tydzień.

– Pieniądzy bez fantu nie dam.

– Panie Wilczek! ja oddam, ja panu przysięgnę na wszystkie świętości, że oddam... My jeść nie mamy; moje małe dzieci, mój mąż, moja matka... uny czekają, żeby ja im przyniosła kawałek chleba! A jak pan mi nie pożyczycy, to skąd ja im wezmę...

– Niech zdechną, co mi to szkodzi!

– Takie słowo, takie niedobre słowo pan powiedział – jęczała Żydówka.

Wilczek usiadł na ławce pod oknem i zaczął przeliczać pieniądze, jakie mu drugie kobiety oddawały.

Po rublu, po dwa, najwyżej po pięć, kładły przed nim miedziakami, po dziesiątce, wyciąganej z węzłów i skrytek.

Liczył uważnie i co chwila wyrzucał jakąś sztukę.

– Gitła, ta dziesiątka na nic, dawać inną!

– Na moje sumienie, to dobry piniądz. Ja ją mam od jednej obywatelki, co una zawsze kupuje ode mnie pomarańcz! Nu, dlaczego ma być niedobry! un sie świeci – wołała śliniąc dziesiątkę i wycierając ją fartuchem.

– Dawać prędko inną, bo nie mam czasu!

– Panie 'Wilczek, pan jest szlachetna osoba, pan mi pożyczycy... – prosiła Wassermanowa.

– Pani Sztein, brakuje 15 kop.! – zawołał zwracając się do małej, starej Żydówki z trzęsącą się głową, ubraną w zatłuszczony czepek.

– Brakuje! to nie może być! tam jest całe pięć rubli, ja dobrze liczyłam.

– Dołożyć, i basta! Szteinowa zawsze tak mówi i zawsze brakuje, znamy się dobrze.

Szteinowa zaczęła dowodzić, że nie brakuje, co tak zirytowało Wilczka, że zgarnął pieniądze i rzucił je w piasek pod jej nogi.

Szteinowa z wielkim lamentem zbierała je z piasku i układała z powrotem na ławce.

Wassermanowa przysunęła się znowu do Wilczka i dotykając jego łokcia końcami palców prosiła cichym, rozplakany głosem:

– Ja czekam!... ja wiem, co pańska osoba będzie litościwa...

– Bez zastawu nie dam ani rubla – rzekł. – Niech Wassermanowa pożyczycie sobie od zięcia!...

– Co pan wspomina tego łajdaka! Pan wie, ja jemu dałam za córkę, na stół, żywych pieniędzy całe czterdzieści rubli, to ten gałgan w niecałe pół roku wszystko wydał! Pan słyszy, wszystko wydał! Na co un wydał taki kapitał!

Wilczek nie słuchał narzekań, odbierał należności z procentami za tydzień ubiegły i pożyczyczał na następny, wpisując nazwiska i cyfry z wielką dokładnością w notes.

Obojętnie słuchał narzekań i z nie ukrywaną wcale pogardą traktował ten tłum kobiet wynędzniałych.

Nie wzruszały go ich oczy zaczerwienione, wypalone przez słońce i mrozy; te postacie w łachmanach; te twarze o wyrazie wiecznej troski i głodu, wychylające się spod peruk i brudnych chustek, ani ten cały chór nędzy, który lamentował w ostrym słońcu, wpośród drzew schnących, zmurszałych, gdzieniegdzie tylko zieleniejących, na trawnikach porośniętych chwastem, z którego dziewanny wysmukłe i wielkie łopiany wysuwały bladozielone liście.

Zaraz za drogą miasto rozlewało się morzem czerwonych domów, kominów i dachów, po których grało słońce blaskami; huki, turkoty, świsty napełniały ogródek ciągłą wrzawą i trzęsły drewnianymi, pokrzywionymi ścianami domu Wilczkowego.

Horn ze zdumieniem żywego współczucia przypatrywał się szeregom tej nędzy, stojącej przed domem i ze wzrastającym oburzeniem słuchał i wtajemniczał się w interesy Wilczka.

Nie mógł już dalej wytrzymać i gdy Wilczek załatwiwszy ostatnią sprawę powrócił do izby, Horn w milczeniu wziął kapelusz i skierował się do wyjścia.

– Nie chodźcie jeszcze.

– Muszę iść do Szai, a przy tym powiem prawdę, że to, co słyszałem i widziałem tutaj przed chwilą, przejęło mnie głęboką odrazą do pana, panie Wilczek... Zechce mnie pan uważać, a ze mną i całe nasze towarzystwo, za zupełnie sobie obce i nieznajome – powiedział ostrym głosem i obrzucając go pogardliwym spojrzeniem chciał wyjść.

– Nie wypuszczę pana, musi pan wysłuchać tego, co powiem! – zawołał Wilczek spiesźnie zagradzając mu sobą drzwi, spąsował od gniewu, ale mówił spokojnie.

Horn popatrzył mu prosto w oczy i nie zdejmując kapelusza usiadł i rzekł sucho:

– Słucham pana!

– Chcę pana tylko objaśnić. Nie jestem lichwiarzem, o co mnie pan prawdopodobnie posądził, a nie jestem dlatego, że ja pracuję u Groszlika i operuję na jego korzyść i na jego odpowiedzialność. Mówię to panu pierwszemu, bo nigdy przedtem nie potrzebowałem się usprawiedliwiać ani tłumaczyć z moich czynności.

– Czemuż to pan robi teraz? nic pana przecież nie zmusza! nie jestem sędzią śledczym!

– Dlatego to robię, aby nie być sądzonym fałszywie. Możecie mnie liczyć do swoich znajomych lub nie liczyć – to kwestia uboczna, ale nie chciałbym, aby mnie miano za lichwiarza.

– Możesz pan być pewnym, że się nim zajmować nie będziemy.

– Jak ja w tej chwili pogardą pana, którą słyszę w głosie.

– Więc po cóż mnie pan zatrzymuje?

– Zatrzymywałem! – rzekł z naciskiem. – Powiedziałem na usprawiedliwienie, że jestem tylko człowiekiem Groszlika i operuję jego pieniędzmi i na jego korzyść! Jużci, że nie robię tego za darmo.

– Żaden za największą pensję nie przyjąłby funkcji obdzierania nędzarzy.

– To się tak powiada w salonikach i przy pannach, bo taki frazes brzmi ładnie i do niczego nie obowiązuje.

– To jest zwykła ludzka uczciwość, a nie frazes, panie Wilczek.

– Można to i tak nazwać, nie będę się sprzeczał o dźwięki. Pan uważa mnie za łajdaka, że pomagam Groszlikowi do obdzierania nędzarzów, tak? Otóż ja pana przekonam, że ten łajdak robi więcej dla tej

nędzy sam niż wy wszyscy razem, inteligenci i różne resztki szlacheckie. Proszę, spojrzysz pan w tę książkę, jest to całoroczny rachunek sum wypożyczanych i procentów, jakie przyniosły za rok ubiegły. Książkę prowadził mój poprzednik, a tutaj jest moja książka, prowadzona od Nowego Roku. Porównaj pan cyfry pożyczek i dochodów.

Horn bezwiednie prawie rzucił okiem i zobaczył, że suma dochodów w drugiej książce była o połowę mniejszą niż w pierwszej.

– Cóż to znaczy, dlaczego?

– Znaczy to, że o sto pięćdziesiąt procent biorę mniej niż mój poprzednik. Znaczy to, że jak rachunki mówią, daję z własnej kieszeni nędzarzom od stu do dwustu rubli miesięcznie, bo właśnie te sto pięćdziesiąt procent stanowiły moje wynagrodzenie dodatkowe. Zrzekłem się go i nie szukam w tym chluby.

– Darowuje pan im ich pieniądze, wielka łaska, istotnie!

– Mówisz pan jak człowiek nie mający pojęcia o interesach.

– Nie, tylko jak człowiek, który nie uważa za bohaterstwo branie zamiast trzystu procent – sto pięćdziesiąt.

– Dobrze, nie mówmy o tym! – zawołał Wilczek i zniechęconym ruchem rzucił książki w głąb kasy ogniotrwałej stojącej w kącie i zaczął bębnić w stół, i patrzył na wiśnie kołyszące się za oknem.

Był bardzo ponury, bo się obawiał, że przez niego ta wieść o operacjach lichwiarskich rozleje się po Łodzi i zamknie mu drzwi w „kolonii” i w kilku innych znajomych domach.

Horn przypatrywał się uważnie i zapomniał o odejściu, oburzenie ustąpiło miejsca ciekawości, z jaką słuchał Wilczka, przedstawiał mu się teraz zupełnie inaczej, biła od niego jakaś siła potężna, której dotychczas nie zauważył, gdyż co prawda nigdy na niego nie zwracał szczególniejszej uwagi.

– Ach, ogląda mnie pan jak człowieka pierwszy raz widzianego.

– Przyznaję się, że pierwszy raz przyglądam się panu uważnie.

– Zadziwiający okaz, co? Cham o brudnych instynktach, zwykły parobek żydowski do wszystkiego; brzydki, marny i niegodziwy! Cóż robić, panie, nie urodziłem się w pałacu, a tylko w zwykłej chałupie; nie jestem piękny, nie jestem przyjemny, nie jestem wasz i dlatego nawet moje cnoty, jeśli je mam, są występkami, no, ale i dlatego pożyczacie pieniędzy ode mnie – dodał ze śmiechem i jego małe oczki zamigotały ironią.

– Panie, a to Wassermanowa przyszła! – zawołał chłopak przez drzwi.

– Wojtek, niech już wyjeżdżają na kolej, daj ten fracht Antkowi, za pół godziny będę na stacji. Każ Wassermanowej przyjsć.

Wassermanowa przyniosła świeczniki szabasowe i wielki bursztynowy garnitur na zastaw dziesięciu rubli, jakie jej natychmiast wypłacił Wilczek, odliczając z góry rubla procentu za tydzień.

– Pan powie, że to lichwa, co? A gdybym nie dał jej tych pieniędzy, umarłaby z głodu. A takich kobiet, żyjących z wypożyczonych od nas pieniędzy, jest kilkadziesiąt w Łodzi, każda z nich ma dzieci, matki, niezów, którzy się modlą lub są niedołączkami.

– Czyli że społeczeństwo powinno wam być wdzięczne za tak niestrudzoną dobroczynność.

– Mogłoby dać nam spokój, kiedy je uszczęśliwiamy bezinteresownie.

Roześmiał się serdecznie i bardzo cynicznie,

– Panie, ten Żyd Grunspan idą! – zawołał chłopak przez drzwi.

– Może pan zostanie jeszcze na chwilę, aby być świadkiem bardzo wesołej sceny.

Horn nie miał czasu protestować, bo w tej chwili wszedł Grunspan.

– Dzień dobry, panie Wilczek, pan ma gości, ja może przeszkadzam! – wołał już od progu, nie wyjmując cygara z ust i wyciągając rękę do powitania.

– Bardzo proszę, mój przyjaciel, pan Horn – przedstawiał.

Grunspan szybko wyjął cygaro z ust i przenikliwym spojrzeniem obrzucił Horna.

– Pan pracował u Bucholca? – zapytał dosyć wyniośle. – Pan syn Horn et Weber w Warszawie? – zapytał po raz drugi, nie otrzymawszy odpowiedzi na pierwsze.

– Tak.

– Bardzo mi przyjemnie. My z ojcem pańskim robimy interesy.

Wyciągnął rękę i bardzo łaskawie dotknął się końcami palców ręki Horna.

– A ja do pana, panie Wilczek, przyszedłem na spacer, po sąsiedzku.

– Bardzo przyjemne powietrze dzisiaj. Niechże pan siada – zapraszał gorąco Wilczek, nie mogąc ukryć radości, jaką mu sprawiła wizyta Grunspana.

Grunspan odgarnął delikatnie poły długiego chałata i usiadł, wyciągnął na izbę nogi obute w długie do kolan buty i podniósł chytrą, wypasioną twarz, świecąca tłuszczem.

Maleńkie czarne oczki biegały mu ustawicznie po izbie i wybiegały za okno w ogródek, czepiały się czerwonych murów fabryki stojących tuż z boku i powracały badając twarze Horna pobieżnie i Wilczka bardzo niespokojnie.

Okrywał się gęstymi kłębamii dymu, chrząkał, poprawiał się na krześle i nie wiedział, od czego zacząć.

Wilczek również milczał, spacerował po izbie, uśmiechał się, obliżywał łakomie wywinięte wargi i rzucał porozumiewające spojrzenia na Horna, który siedział nachmurzony i rozważał słowa i postępowanie Wilczka.

– Przyjemny chłód jest w pańskim domu – zaczął fabrykant wycierając kraciastą chustką spoconą twarz.

– Okna przysłonięte przez ogród nie puszczają słońca. Pan widział mój ogród, panie Griinspan?

– Nie miałem czasu. Kiedy ja miałem oglądać? Człowiek przy tylu interesach jest uwiązany jak ten kuń do woza.

– A jeśli panowie zechcą, to może byśmy wyszli na powietrze. Pokazałbym panom swoje pole i ogród, dobrze?

– Dobrze, bardzo dobrze! – zawołał żywo Grunspan i poszedł przodem.

Obeszli ciasne podwórze, pełne dołów zapełnionych gnojówką, kup nawozu, starych bali i desek i stosów starego żelastwa, blach i starych garnków, które dwóch ludzi ładowało na wielkie wozy.

Z jednej strony podwórza były nędzne szopy kryte słomą i zbite ze zmurszałych desek, w których stały beczki z cementem, a z drugiej również nędzne stajnie ciągnęły się pod murem fabryki Grunspana.

– Nie wyścigowe! – zawołał ze śmiechem Wilczek widząc, że Horn z przykrością patrzy do stajni na nędzne okaleczone wywłoki końskie, stojące ze zwieszonymi łbami przy żłobach.

– Tu nie jest przyjemny zapach – zauważył fabrykant pociągając delikatnym nosem powietrze.

Oglądali następnie kawał pustego pola, szczerego piasku, z którego wiatry wywiały wszystką roślinną ziemię, że żółcił się jak posypany ochrą.

Wielkie sterty śmieci wywożonych z miasta, po których grzebały wynędzniałe psy, rozwalały się wzdłuż fabrycznego muru, jaki się ciągnął do połowy długości pola.

– Złoto, nie ziemia? Cebula rośnie tutaj jak łby kocie! – zauważył Wilczek ironicznie się uśmiechając.

– No, i bardzo ładny krajobraz stąd widać – powiedział Horn wskazując na linię lasów miejskich, całą w niebieskawoopalowych mgłach słońca, i na płowe fale przeganiające się po żytach, spośród których wychylały się czerwone szyje kominów fabrycznych.

– Co pan mówi, jaki krajobraz? To są place do sprzedania! – zawołał Guinspan żywo, zirytowany ironią Wilczka.

– Ma pan rację, ale mój plac jest jeszcze fajniejszy, bo leży tuż przy pańskiej fabryce i prawie w mieście, można by założyć na nim śliczny park...

– Załóż pan, to moi robotnicy będą mieli gdzie odpoczywać w święto...

Powrócili przed dom i usiedli na ławce.

Horn pożegnał ich i poszedł, a oni siedzieli jakiś czas w milczeniu i udawali przed sobą, że się rozkoszują powietrzem przesyconym zapachem dymów i wyziewami głębokich rowów, pełnych gryzących odpływów fabrycznych.

Drogą ciągnęły nieprzerwanym łańcuchem wozy z cegłą i podnosiły duszący czerwony kurz, który osiadał na liściach wiśni i na trawach, a od fabryki Grunspana biły ustawiczne kłęby czarnych dymów i tłukły się pomiędzy drzewami ogródka, i rozpościerały nad nim brudny, szary baldachim, przez który z trudem przesączało się słońce.

– Miałem do pana mały interes – zaczął pierwszy Griinspan.

– Wiem nawet jaki, wspominał mi o tym mój. przyjaciel, Moryc Welt.

– Kiedy pan wiesz, to mówmy krótko i prędko – zawołał fabrykant z lekceważeniem.

– Dobrze. Ile pan dajesz za ten plac, który jest panu tak bardzo potrzebny.

– On mi nie jest potrzebny! Ja bym go kupił tylko dlatego, żeby tę brzydką chałupę zwalić i te drzewa wyciąć, mnie to przeszkadza, bo ja przez nie z mojego mieszkania nie widzę lasu. Ja bardzo lubię las.

– Ha, ha, ha!

– Pan się bardzo przyjemnie śmieje, dobry śmiech to ładny kawałek zdrowia – zauważył Grunspan hamując niecierpliwość. – Ale ja nie mam czasu, panie Wilczek – dodał powstając z ławki.

– I ja również czasu nie mam, bo muszę iść na kolej.

– Więc nasz interes?

– No – ileż pan dajesz?

– Ja lubię prędko załatwiać sprawy, dam panu dwa razy tyle za ten śmietnik, coś pan chłopu zapłacił – zawołał prędko, wyciągając rękę do zgody.

– Ja nie mam czasu, panie Griinspan, a pan żartuje sobie ze mnie.

– Dam panu pięć tysięcy rubli, no, gotowe?

– Bardzo panu dziękuję za sąsiedzkie odwiedziny, ale naprawdę jest mi pilno, bo moje wozy pojechały już dosyć dawno na stację i czekają na mnie.

– Ja panu powiem ostatnie słowo: dziesięć tysięcy rubli, zaraz, na stół, no, jakże, będzie zgoda? Pochwycił jego rękę i uderzył w nią na zgodę.

– Nie będzie zgody, bo nie mam czasu na zabawę.

– Panie Wilczek, to jest złodziejstwo! – wykrzyknął namiętnie, odskakując parę kroków.

– Panie Grunspan, pan nie jesteś zupełnie zdrowy!

– Bądź pan zdrow.

– Do widzenia! – rzucił Wilczek i z uśmiechem zadowolenia patrzył na fabrykanta, który rozwścieklony rzucił cygaro o ziemię i spiesznie szedł przez ogród, aż mu poły chałata fruwały jak skrzydła i biły o drzewa, i zaczepiały się o krzewy agrestu, rosnące przy ścieżce.

– Wrócisz ty jeszcze! – szepnął za nim ironicznie i zatarł z radości rękę.

Wypił herbatę, pochował stosy drobnej monety do kasy, przebrał się w elegancki garnitur, uperfumował, wycisnął sobie przed odrapanym lusterkim kilka węgrów z twarzy i elegancki, jaśniejący radością poszedł na kolej.

VI [XXII]

Wysoki, ujęty w kamienne słupy parkan żelazny, naśladowający gęstwę roślinną, pełną poplątanych łodyg, liści i kwiatów o złożonych płatkach, oddzielał fabrykę Szai Mendelsohna od ulicy. Poza tą doskonale stylizowaną roślinnością ciągnął się pas trawników o czarniawej zieleni, na której pstrzyło się jaskrawo kilka klombów rozkwitłych, amarantowych peonii.

Główny korpus fabryki wznosił się w głębi nieco olbrzymią masą czteropiętrowego budynku z nie tynkowanej cegły, zakończonego w rogach rodzajem średniowiecznych bastionów, gęsto ublankowanych.

Wielka brama wjazdowa, prawie arcydzieło ślusarszczyzny, umieszczona w parkanie z boku głównego korpusu, prowadziła na wielkie wewnętrzne dziedzińce, pocięte czteropiętrowymi pawilonami w olbrzymią kratę czworokątów, z których środka niby smukłe topole wznosiły się czerwone gardziele kominów, rozwłóczących nad tą potężną twierdzą fabryczną szarą oponę dymów.

Przy bramie, z frontem od ulicy, stał główny kantor fabryki.

Horn z pewną nieśmiałością wszedł do poczekalni i zapisawszy nazwisko i rodzaj interesu, jaki miał do Szai, na specjalnym szemacie podanym przez woźnego, usiadł oczekując kolei, bo poczekalnia zapchana była interesantami. Półmrok panował w pokoju pomimo bardzo słonecznego dnia, bo jedyne okno wychodziło na park i było przysłonięte krzewami akacji, zagładającej w szyby różowymi oczami kwiatów za każdym poruszeniem wiatru.

Przez otwarte drzwi, prowadzące do kantoru, w mętym żółtawym świetle gazu, widać było kilkadziesiąt głów pochylonych, a za nimi szereg wąskich okien, wychodzących na posępne czerwone mury fabryki.

Na tle ścian ciemnych, obciążniętych drzewem, stały szeregi czarnych szaf, podobnych do sarkofagów.

Ostry zapach surowej przędzy i chloru przesycił duszne, rozpalone powietrze.

Cisza panowała głucha.

Wszyscy poruszali się automatycznie, chodzili na palcach, szeptali półgłosem, tylko potężny, oddalony szum fabryk pracujących wstrząsał murami i chwiał światłami gazu.

Grupa obywateli stała na środku poczekalni szwargocąc po cichu i nie zwracając uwagi na tłum szary, siedzący na ławach, kryjący się w cieniu szaf, w głębokiej framudze okna, na cały tłum ludzi ze sfer najrozmaitszych, szukający roboty, którzy, ilekroć razy otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu Szai, zrywali się z siedzeń bezwiednie i rozpalonymi gorączką oczekiwania oczami rzucali w głąb gabinetu, gdzie królowały miliony.

Drzwi zamykały się szybko i bez szelestu, a oni znowu opadali na dawne miejsca, bezmyślnie patrząc w okno, na różowe kwiaty akacji, przez które widać było kontury pałacu Mendelsohna, błyszczące w czerwcowym słońcu złoceniami balustrad, balkonów i weneckimi oknami.

Co chwila woźny otwierał z gabinetu drzwi i wywoływał jakieś nazwisko, które zrywało się i biegło na wezwanie z gorączką nadziei lub odrywało się z grupy stojących i szło wolno, nie spiesząc się.

I co chwila z gabinetu wychodził jakiś interesant poważny, jakiś kupiec wielki, których odprowadza no do drzwi z całym uszanowaniem, należnym pieniądzom – i co chwila także wysuwali się z gabinetu nędzarze: którzy nie patrząc na nikogo, bladzi chwiejnym krokiem uciekali pośpiesznie.

Co chwila również przesuwali się przez poczekalnię różni urzędnicy i oficjaliści fabryczni i mknęli w kantorze.

Przez drzwi gabinetu słychać było niewyraźne szmery rozmów, czasem dzwonki telefonu, a czasem tuż za drzwiami rozległ się chrapliwy głos samego Szai – i wszystko wtedy w kantorze i w poczekalni tak milkło i kamieniało, że słychać było syczenie gazowych świateł i turkot wozów, wjeżdżających w obręb fabryki.

Drzwi gabinetu otworzyły się nagle i wybiegł stamtąd wysoki, o wielkim brzuchu, małej głowie i cienkich, pałukowatych nogach Stanisław Mendelsohn, najstarszy syn Szai i główny dyrektor fabryki; pobiegł do kantoru i napadł jakiegoś chudego oficjalistę.

– Ja pana się pytam, co to ma znaczyć! – krzyczał na cały głos, podsuwając pod załęcznioną, jakby zamszem obciążniętą twarz urzędnika książeczkę paszportową.

– Taki paszport wydał mi urząd dla pana dyrektora i taki przywiozłem.

– Pan nie masz rozumu! Pan nie masz delikatności! Pan mi umyślnie robisz szykany przywożąc podobne niedorzeczności! Co! nie czytałeś pan?

– Czytałem; ale jeżeli napisali: Szmul Szajewicz Mendelsohn, z żoną Ruchlą, ona że Regina, to przecież nie w mojej mocy zabronić im tego...

– Pan jesteś skończone bydlę, ja panu to mówię! Jedź pan natychmiast do Piotrkowa i przywieź mi pan paszport napisany po ludzku. Ja się nie pytam, co to będzie kosztować, mówię tylko, żebym go miał jutro w południe, bo jutro kurierem wyjeżdżam. Ruszaj pan natychmiast! No, moi panowie, czy nie uważacie tego faktu za oburzający, za śmieszny, wprost za nikczemny: abym ja, doktor filozofii i chemii, ja, Stanisław Mendelsohn – był przemianowany na Szmula, a moja żona Regina na Ruchłę! – wołał wzburzony do urzędników. – Szmul Szajewicz Mendelsohn z żoną Ruchlą, ona że Regina! – powtórzył bezwiednie i wielkimi krokami, kołyszając się jak słoń na cienkich nogach, przebiegał kantor i skarżył się namiętnie przed wszystkimi i każdym z osobna.

Najstarsi potakiwali mu półsłówkami, młodszy – tępy, bezmyślnym wzrokiem wpatrywali się w niego. Byłby dłużej rozwodził żale na niesprawiedliwość i krzywdę sobie wyrządzoną, ale zadzwieczał ostro dzwonek elektryczny i z gabinetu rozległ się głos Szai, przygłuszony nieco krzykiem czyimś:

– Woźni!

– Niech mnie ruszą tylko palcem, to im tak łby porozbijam jak i tobie, stary złodzieju! Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie zapłacicie wszystkiego! – krzyczał pełnym głosem jakiś niski, kwadratowy człowiek, wywijając metalową linią, schwyconą z biurka. Drzwi sobą zasłonił i nie dał ani ich zamknąć, ani się wyrzucić woźnym, którzy w pewnym oddaleniu stanęli, nie wiedząc, co począć.

– Zawołać policji! – rozkazał chłodno Szaja cofając się, bo przez otwarte drzwi kilkanaście par oczów przyglądało się tej scenie.

– Panie Piotrowski – mówił prędko Stanisław wpadając do gabinetu. – Pan nie krzycz, bo my się tego nie zlekniemy. Dostałeś pan, co się należy, za fuszerki więcej nie płacimy, a jak pan będziesz krzyczał. to mamy środki uspokajające.

– Oddaj mi pan moje piętnaście rubli.

– Jak ci się nie podoba, to zabierz z powrotem rynny i ruszaj, pókiś cały.

– Cóż ty mnie będziesz tykał, parchu jeden, ja z tobą ludzi nie okradam, ja jestem uczciwy rzemieślnik. Zgodziliście się czterdzieści rubli, a płacie dwadzieścia pięć, a jak nie, to mi każecie zabrać robotę. Złodzieje, pijawki.

– Za drzwi z nim i do cyrkułu! – krzyknął Stanisław.

Woźni rzucili się nagle na niego i obezwładnili, Rzucił się i szamotał jak zwierzę oplątane, ale uległ przeważającej sile i już przez poczekalnię szedł spokojnie, tylko na cały głos wymyślał bardzo dobitnie i barwnie.

W gabinecie zapanowało milczenie. Szaja patrzył przez okno na park zalany słońcem i na trawniki skrzące się, jak krwawnikami, kwiatami tulipanów.

Stanisław z rękami w kieszeni chodził i pogwizdywał.

– To było wszystko do ciebie, Stanisław – rzekł stary siadając przy biurku, stojącym na środku pokoju.

– Być może; ale to go kosztuje piętnaście rubli i ze dwa miesiące kozy.

Uśmiechnął się ironicznie i włożył binokle, bo woźny meldował Horna, na którego nareszcie przyszła kolej.

Horn ukłonił się i w milczeniu wytrzymał przenikliwe spojrzenie Szai.

– Od dzisiaj będziesz pan u nas. Muller dawał mi dobre referencje, damy panu miejsce. Pan umie po angielsku?

– Prowadziłem w tym języku korespondencję w firmie Bucholc.

– Będiesz pan to samo robił z początku u nas, później użyjemy pana do czego innego. Pierwszy miesiąc na próbę... co?

– Ale i owszem, zgadzam się – powiedział szybko, dotknięty tą zapowiedzią całomiesięcznej pracy za darmo.

– Pozostań pan, porozmawiamy trochę, ja znam firmę pańskiego ojca.

Ale rozmowę przerwał im Wysocki, który od kilku miesięcy był u Szai fabrycznym doktorem, wpadł jak zwykle pospiesznie i od razu przystąpił do interesu.

– Niech doktor siada, bardzo proszę – zaczął stary.

Ale Stanisław uprzedził go i usiadł sam, a więcej krzesel nie było w gabinecie.

– Ja wezwałem doktora w małej sprawie, ale co prawda bardzo poważnej – mówił Stanisław, kładąc głęboko ręce w kieszenie spodni i wyciągając z nich pęk pomiętych recept i długi rachunek. – Przysłali

mi dzisiaj rachunek i recepty za ostatni kwartał. A że ja lubię przeglądać wszystko, więc po przejrzeniu rachunków doszedłem do pewnych wniosków, stanowiących właśnie sprawę, dla której pana wezwałem.

– Bardzo jestem ciekawy.

– Rachunek jest pokaźny. Cały tysiąc rubli za kwartał! to mi się wydaje mocno za wiele.

– Jak to mam rozumieć? – zawołał żywo Wysocki, pokręcając wąsów.

– Niech się pan uspokoi, niech pan moje słowa bierze tak, jak powiedziane były, to jest, że rachunek jest za wielki, że wydano za wiele...

– Cóż ja na to poradzę! Robotnicy chorują, wypadki są częste, więc trzeba ich leczyć.

– Na to zgoda; ale kwestia w tym, jak leczyć?

– No, jak, to kwestia moja.

– Bezsprzecznie, że to pańska rzecz, dlatego pana trzymamy, ale mnie idzie o sposoby leczenia, o metodę, jakiej się pan trzyma – mówił podniesionym nieco głosem Stanisław nie patrząc na Wysockiego, tylko obwijając na palcu sznurek od binokli. – Wreszcie idzie o to, jakimi środkami pan ich leczy.

– Takimi, jakie są w rozporządzeniu medycyny – odpowiedział dosyć ostro Wysocki.

– Na przykład, recepta pierwsza z brzegu, zobaczmy, kosztuje rubel dwadzieścia kopiejek, to bardzo drogo, to stanowczo za drogo na robotnika, który zarabia pięć rubli tygodniowo, my tyle za niego płacić nie możemy.

– Gdybym miał środki również skuteczne a tańsze, to bym użył.

– Więc skoro za drogie, nie trzeba ich używać wcale.

– To lepiej zupełnie nie leczyć!

– Spokojnie, panie Wysocki, proszę, może pan usiądzie. Porozmawiajmy, jako ludzie dobrze wychowani, po dżentelmeńsku. Tu znowu zapisał pan oryginalną wodę emską. Robotnik wypił jej dwadzieścia butelek, to znaczy dziesięć rubli. Czy uważa pan, że mu pomogła ta woda? – zapytał ironicznie nieco, spacerując po pokoju i bawiąc się binoklami.

– Wyzdrowiał i od miesiąca już chodzi do fabryki.

– Bardzo pocieszające, bardzo, ale czy pan nie przypuszcza, że wyzdrowiałby tak samo bez opijania się wodą emską, co?

– Wyzdrowiałby, ale na to potrzebowałby dwa razy tyle czasu i wyjazdu na wieś.

– Trzeba mu było gorąco polecić wyjazd na wieś, nie kosztowałby nas dziesięć rubli więcej i również byłby zdrowym.

– Więc o co panu chodzi? – zapytał żywo Wysocki otrzepując kłapy i pokręcając wąsików.

– Przede wszystkim o to, że sam osobiście nie wierzę w te rozmaite środki apteczne, nie wierzę w medykamenty, nie wierzę w to pchanie w organizmy ludzkie obcych ciał, bo to nas kosztuje za drogo, to ważna rzecz, ale że nikomu nie pomaga, to ważniejsza! Chorego zostawiać naturze, bo natura to mistrzyni, taką zasadą radziłbym się panu kierować w przyszłości przy leczeniu naszych ludzi. Mam na myśli więcej ich dobro niż nasze.

– To wszystko mógł pan powiedzieć bez omówień aż tak dalekich! – szepnął zirytowany doktor.

– A więc panu powtórzę, że my nie możemy się bawić w filantropię.

– Ja zaś, że nie mogę chorych pozostawić tylko zbawczej naturze, że uważam za konieczne pomagać tej naturze, chociażby środkami kosztownymi, że sumienie nie pozwala mi pędzić do roboty nie wyleczonych jeszcze zupełnie, to mogę od tej chwili opuścić miejsce u panów.

– Ależ, doktorze! No, jaki z pana jest człowiek niewyrozumiały. Przecież można o wszystkim pomówić otwarcie i po przyjacielsku. Pan masz takie zdanie, ja mam drugie. Niechże pan siada, proszę, zapal pan papierosa – mówił Stanisław i odebrał mu kapelusz, posadził prawie na krześle, wetknął w rękę papierosa i podawał zapalki.

– Panie Wysocki, moja córka z panną Grunspan wracają dzisiaj. Przed chwilą otrzymałem depezę z Aleksandrowa, chcąc, żebyś pan na nich czekał na stacji – mówił radosnym głosem Szaja czytając depezę.

– Pośpieszyły się panie, bo, o ile wiem, miały powrócić w niedzielę dopiero.

– Wariatki – szepnął Stanisław.

– To jest niespodzianka, bo Mela chce być na imieninach u pani Trawińskiej.

– No, będziesz pan na stacji?

– Z całą przyjemnością.

– To może pan razem ze mną pojedzie na pociąg o piątej.

– Dobrze. Teraz pójdę do ambulatorium i powrócę zaraz.

Stanisław odprowadził go do drzwi i ścisnął mu bardzo mocno rękę na pożegnanie.

– Ty mu daj spokój, Stanisław, to jest protegowany Róży, ona ma do niego słabość.

– Niech ona ma do niego słabość, niech go przyjmuje, niech z nim jeździ na spacer, jeśli to ją bawi, ale po co my mamy jeszcze dokładać gotówkę do tego.

– No, sza! sza! Zatelefonuj do domu, niech mi przywiozą dzieci, wezmę je na kolej, przejadą się trochę i dam im zabawki.

Woźny zameldował uroczyście jakiegoś pana Starzę Starzewskiego, który wszedł bardzo cicho i przyciskając kapelusz do piersi kłaniał się bardzo wykwintnie.

Przyjemny uśmiech wił się po jego długiej i suchej twarzy pozbawionej wąsów, a ozdobionej płowymi faworytami a la księżę Józef, płowe, jakby wygotowane oczy podnosił z wyrazem głębokiego zdumienia, płowe i przeredzone mocno włosy oblepiały mu suchą, spiczastą głowę mchem ledwie widocznym; nawet głos miał płowy, bo tak rozlaży i bezdźwięczny, że z trudem można go było słyszeć.

– Jestem Starża Starzewski! Hrabia Henryk pisał już panu prezesowi o mnie...

– Niechże pan siada. A prawda! nie ma na czym, no to i stojąco załatwimy interes. Mój sąsiad, hrabia Henryk, pisał i mówił o panu... Co pan rozkaże?

– Pan prezes wie, że Henryk jest moim bliskim kuzynem, jest bowiem ciotecznym bratem mojej matki... – Zawiesił głos, przycisnął od ruchowo kapelusz do piersi obu rękami i spojrzał płowymi oczami na Szaję.

– Bardzo mnie cieszy...

– Mój Starżów leży obok majątków kuzyna; jest to złote jabłko, ale... że przyszedł cały szereg lat ciężkich bardzo dla rolnictwa... Pan wie, jaką konkurencję robi nam Ameryka?... Muszę wtrącić, że Starżów był w posiadaniu naszym lat czterysta.

– Długi zastaw! – mruknął Szaja, ogryzając paznogie, bo go niecierpliwiło to powolne gadanie, klejone z trudem.

Starża opowiadał dalej o nieszczęściach, o konieczności przebywania na południu przez lat kilka, wtrącał mimo woli szczegóły o domowym życiu i o zdrowiu swoim, przestępował z nogi na nogę, przycisk; kapelusz, mrugał powiekami pozbawionymi rze przytakując sam sobie.

– Więc... jaką pan ma specjalność i jakiego miejsca pan szuka? – przerwał mu Stanisław.

– Nie przeszkadzaj panu! Mój syn – przedstawił Szaja Starzy, który na ten ostry sposób mówienia podniósł zdumione oczy i wodził nimi po twarzach Stanisława i Horna, stojących pod oknem, ale po przedstawieniu uśmiechnął się anemicznie i z uznaniem skłonił głowę.

– Kształciłem się w Chyrowie w Galicji...

– U jezuitów! – szepnął Stanisław ojcu pochylając się nad biurkiem, aby wziąć papierosa.

– I aczkolwiek program tych szkół jest obszerny, ale tylko ogólny... Potem uczęszczałem na kilka fakultetów, ale że jakoś nie mogłem dobrać sobie specjalności, która by mnie mogła porwać, więc tak jakoś mi zeszło... – tłumaczył uśmiechając się dobrodusznie i znowu przeszedł do opowiadań o gospodarstwie, o konieczności, dla której majątek sprzedał, o poszukiwaniu odpowiedniego zajęcia, o hodowli królików itd.

– Bardzo żałuję, że nie mogę nic zrobić mojemu kochanemu sąsiadowi, hrabiemu Henrykowi, bo nie mamy żadnych odpowiednich dla pańskich zdolności, urodzenia miejsc w naszej firmie. Wakuje wprawdzie posada buchaltera, jest miejsce technika, ale to wszystko nie dla pana: pensje małe i specjalności, które trzeba znać. A może by się pan zgłosił za rok, bo będziemy na przyszlą wiosnę powiększali fabrykę, to może by się jakie miejsce znalazło...

– Doprawdy, żal mi... że... że... A może by to miejsce buchaltera... Widzi szanowny prezes, ja bardzo potrzebuję... obznajmienia się z buchalterią...

Rozcierwienił się i umilkł.

– Sześćset rubli rocznie i dwanaście godzin dziennie zajęcia. Nie, nigdy bym nie pozwolił na takie zapracowywanie się kuzyna mojego kochanego sąsiada, hrabiego Henryka! – mówił prędko Szaja i aby się pozbyć prędzej szlachcica, który przyciskał kurczowo kapelusz do piersi, bełkotał bez związku i ugotowanymi, przerażonymi oczami wodził po twarzach obecnych, wstał i odprowadził go bardzo uprzejmie do drzwi.

– A może by pan spróbował szczęścia u pana Borowieckiego; on buduje fabrykę i musi potrzebować ludzi... – radził mu życzliwie na pożegnanie, kłaniał się za nim ironicznie i wybuchnął drwiącym śmiechem siadając na dawnym miejscu.

– Czemu on nie pójdzie do swoich wychowawców?... Mogliby mu dać jakie miejsce w dyplomacji – drwił Stanisław.

– Pan wiesz, panie Horn, dlaczego my nie dajemy miejsc panom Starżom Starzewskim, a dajemy je panu, bo my jesteśmy demokraci. Taki hrabski kuzyn to jest wielki arystokratyczny kapcan, to jest ładny kawałek człowieka do obwożenia w powozie, do parady. A w fabryce trzeba robić i jest różnie, a jakby takiemu panu się co stało, niechby on sobie złamał paznogięć, z własnej winy, ale przy naszej robocie, to zaraz za nim gotowe reklamować wszystkie dwory europejskie. Po co nam taka dyplomatyczna afera! My lubimy ludzi skromnych, ludzi, którzy nie mają hrabiów kuzynów...

Weszły znowu damy, naprzeciw którym postąpił kilka kroków Stanisław, a Szaja podniósł się z krzesła.

Była to Endelmanowa z Trawińską, przychodziły z prośbą o wsparcie na kolonie letnie dla dzieci robotników.

Endelmanowa była szczytna w obrazowaniu nędzy tych tysięcy dzieci gnijących w suterynach bez słońca i bez powietrza.

Wachlowała mocno upudrowaną twarz, poprawiała złote bransoletki i włosy misternie nastroszone, a jej usta sine, podobne do stopni wydeptanych, nie zamykały się ani na chwilę nawet.

Trawińska, nadzwyczajnie dzisiaj piękna, wysmukła, jasna, w milczeniu przypatrywała się czerwonym, jastrzębim oczom Szai i jego pałkowatym palcom przebierającym z niecierpliwością po biurku albo rzucała spojrzenia na Horna.

– Rojza, a twój Berek dużo daje na biednych? – przerwał Szaja nie mogąc się doczekać końca. Imiona wymówił ze złośliwym naciskiem.

– Daje dużo, daje ciągle, tylko on się nie lubi chwalić! – wykrzyknęła zirytowana jego brutalnością.

– Ja znowu lubię, żeby ludzie wiedzieli, co ja daję. Dobrze, ja dam na te kolonie sto rubli. Za sto rubli to dużo świeżego powietrza mogą mieć te dzieci! Panie Horn, może pan przyniesie z kasy, ma pan notę.

– A gdyby pan zechciał dać jakie niepotrzebne resztki bawełniane na bieliznę dla dzieci, byłybyśmy bardzo wdzięczne – zaczęła Trawińska niskim, niesłychanie melodyjnym głosem.

– Po co im na wieś bielizna? Ja widziałem w moich dobrach chłopskie dzieci, to one chodziły prawie bez ubrania i było im bardzo zdrowo.

– Pan Knoll dał nam pięć sztuk kolorowego towaru.

– Knoll może dać pięćdziesiąt, jak mu się tak spodoba! a ja nie mogę dać więcej nad... sześć... no, nad pięć sztuk białego! Stanisław, napisz notę do magazyniera, żeby wydał cztery sztuki... – zawołał prędko i ze złością.

– Dziękujemy panu serdecznie w imię tych biednych dzieci.

– Nie ma co gadać! Daję sto rubli i cztery sztuki

białego towaru, ale proszę pań, niech wyraźnie stoi w pismach, że Szaja Mendelsohn dał na kolonie letnie sto rubli i cztery sztuki towaru. Ja się nie chwale, ale niech ludzie wiedzą, że ja mam dobre serce...

Endelmanowa znowu zaczęła deklamować patetyczne podziękowanie, a Nina zwróciła się do Horna, który zjawił się z pieniędzmi. – Posłałam dzisiaj do pana zaproszenie, ale raz jeszcze proszę na jutrzejsze popołudnie do nas. Nie zapomni pan? – Nie, i stawię się z całą przyjemnością.

Damy wyszły, a po chwili Stanisław powiedział do Horna:

– Pan ma śliczne znajomości! Ta pani Trawińska to całe pudełko cukierków.

– A ta Rojza to wygląda jak krowa upudrowana; żeby on miał tyle rozumu co ona gadania, to by mieli dwa razy tyle w majątku – zdecydował Szaja zwracając się do jakiegoś grubego kupca w marszczonej dokoła stanu kapocie i o przebiegłych, skośnych oczkach Tatara.

Szaja tak był uprzedzająco grzecznym dla niego, że odstąpił mu swój fotel, a Stanisław podsunął mu cygare i sam podawał ogień.

Po kupcu przesunęła się cała galeria figur.

Horn ledwie doczekał się końca i zaraz po wyjściu ostatniego interesanta, otrzymawszy pozwolenie od Szai na wejście w obręb fabryki, poszedł zobaczyć się z Malinowskim, aby dowiedzieć się o Zośce.

Znalazł go w olbrzymiej przedalni, przy maszynie naprawianej pośpiesznie, podczas gdy cała sala trzęsła się od pracy.

Delikatny kurz przysłaniał kontury maszyn i zapełniał sale szarym obłokiem, w którym widmowo majaczyły ludzie i rzeczy.

Słońce zalewało salę przez szklane dachy takim ukropem, że pot strugami spływał z twarzy robotników, gorąco było duszące i przesycone zapachem rozgrzanych smarów i oliwy.

– Od dzisiaj jestem w waszej fabryce – powiedział Horn.

– Tak, a to dobrze! – odpowiedział cicho Adam pochylając się nad jakąś częścią maszyny, którą przykręcał śrubami ślusarz, i już się nie odezwał, bo maszynę szybko zaczęli zestawiać, naoliwiać i próbować.

a po chwili, złączona z główną transmisją, zaczęła pracować razem z innymi.

Malinowski jakiś czas przypatrywał się jej ruchom, wstrzymywał na chwilę, oglądał przedzę, jaka się na niej wyciągała, i dopiero po takim sprawdzeniu odszedł długą ulicą pomiędzy maszynami, pociągając za sobą Horna.

– Cóż siostra? widzieliście ją w południe? – zapytał po chwili Horn do ucha, bo syk przedzalni, drgania. świsty transmisyj i ciężki łomot kół zalewał sale strasznym wrzaskiem, w którym nie słyhać było oddzielnych głosów.

– Nie, nie... nie... – szeptał boleśnie.

Weszli do małego pokoiku oszklonego, z którego widać było całą salę poprzecinaną u góry zwojami transmisyj, a u dołu ruchomymi konturami maszyn, przysłoniętych kurzem bawełnianym.

– Co wam jest? – zapytał zobaczywszy, że Adam zaciął usta i ponuro patrzy na salę.

– Nic... cóż mi ma być?

Pochylił głowę, oparł twarz na szybie i bezmyślnie patrzył na jakieś koło, rozszalałe w ruchu i migocące w słońcu niby tarczą rozpylonego srebra.

– Do widzenia. Czy prosto idziecie do domu z fabryki?

– Wiecie, jej już nie ma! – szepnął podnosząc twarz na niego.

Był spokojny, ale usta mu drgały w powstrzymywanym łkaniu i zielone słodkie oczy pociemniały.

– Nie ma? – zawołał odruchowo.

– Tak. Przychodzę z obiadu, stróżka oddaje mi klucz i mówi. że ta panienska, co była u mnie, kazała mi powiedzieć, żeby mnie nie szukał, bo nie znajdzie.

słyszycie! Uciekła do Kesslera, uciekła do kochanka! Niech idzie, niech sobie robi, co się jej podoba, nic Utnie już nie obchodzi, tylko mi trochę żal... tylko mi trochę żal... – przerwał nagle i wyszedł, bo znowu jakaś maszyna stanęła.

Pobiegł spieszenie do niej. aby ukryć nie tę trochę żalu, ale niepoko-nany ból, co mu gryzł duszę i wił się po niej jak ostrze.

Horn wyszedł za nim, ale musiał się cofnąć pod ścianę, bo wolną drogą pchano szereg wózków, napchanych rozpakowanymi z żelaznych obręczy belami bawełny, które jak góry śniegu brudnego zwalali przed drapaczami.

Malinowski nie przychodził, a że upał był straszny i ten denerwujący świst transmisji rozlegał mu się ze wszystkich stron nad uszami, więc już nie czekał, tylko wyszedł.

Dogonił go przy wyjściu Adam i szepnął prosząco, ze łzami w głosie:

– Nie mówcie o tym nikomu.

Uścisnął mu dłoń rozpalonymi rękami i odszedł w gąszcz maszyn; transmisji i pasów, aby pomiędzy nimi ukryć ból wstydu i żalości.

Horn chciał mu powiedzieć jakie słowo pociechy, ale nie znalazł nic w mózgu, poczuł, że na takie rany czas i milczenie jest najlepszym lekarstwem, że podobne bóle własną boleścią i łzami się żywią i przez nie umierają jedynie.

Na dziedzińcu spotkał Wysockiego, wychodzącego z ambulatorium fabrycznego.

– Będzie doktor w niedzielę u Trawińskich?

– Obowiązkowo będę. Jedyne miejsce w Łodzi, gdzie nie tylko plotki się uprawiają.

– No i jedyny salon, gdzie prócz fabrykantów przychodzą i ludzie.

Rozstali się pośpiesznie, bo już powóz Szai stał na ulicy przed kantorem.

Szaja siedział jeszcze w kantorze i bawił się z wnuczkami, córkami Stanisława, który coś pisał pilnie i tylko od czasu do czasu podnosił głowę i uśmiechał się do dziewczynek, których rudawe główki i różowe twarzyczki tuliły się do szerokiej piersi dziadka.

Szaja bawił się znakomicie, podnosił dzieci do góry, całował je i wybuchał co chwila wesołym śmiechem. Jego czerwone, jastrzębie oczy pełne były czułości i wesela.

– No, widzi doktor, co to za umęczenie być dziadkiem! – zawołał wesoło do Wysockiego.

– Śliczne dzieci!

– Prawda? Ja to zawsze mówię.

– Podobne są nieco do panny Róży!

– Z włosów tylko, bo zresztą są znacznie piękniejsze.

– Jedźmy zaraz, pociąg przychodzi za osiem minut. Bona, dyskretnie stojąca pod oknem, zabrała dziewczynki i zaraz pojechali.

Przyjechali jeszcze na czas, bo amerykańskie kłusaki Szai rwały jak wiatr, ale pociąg równocześnie wchodził na stację zapchaną ludźmi.

Przed Szaja jednak rozstępowali się wszyscy, czapki i kapelusze zrywały się z głów, głosy milkły, a wszystkich spojrzenia obejmowały

Róża na przemian całowała dziewczynki, pieściła się z małpką i opowiadała różne przygody z podróży, nie spostrzegając Meli i jej promieniejącej twarzy.

– Nie ma ciotki! Zgubiłyśmy ciotkę! – wykrzyknęła Róża zatrzymując powóz, bo w tej chwili dopiero spostrzegła brak ciotki Meli, która im towarzyszyła w podróży.

– Trzeba wrócić na stację. Zawracaj! – zawołał Szaja.

– To ja wysiądę i pójdę poszukać ciotkę pani – podchwycił żywo Wysocki i rad z tej okazji pozostania, wyskoczył natychmiast z powozu.

– Dobrze, ale musi nam pan ciotkę przywieźć do domu.

– Przyjdę w niedzielę, panie potrzebują odpoczynku... mógłbym przeszkadzać... – tłumaczył się spoglądając na Melę prosząco.

– A więc dobrze, kiedy się pan tak gorąco broni, ale w niedzielę o zwykłej godzinie czekamy pana w czarnym gabinecie. Zawiadom pan Bernarda i przyjdźcie razem.

– Bernard wyjechał do Paryża.

– No, mniejsza z nim; w ostatnich czasach był już mniej zabawnym.

– Kiedyż pani podobny wyrok wyda na mnie?

– Co do pana, to Mela decyduje...

– Tym gorzej dla mnie...

Nie usłyszał już odpowiedzi, bo konie poderwały z miejsca, ale schwycił takie spojrzenie Meli, które mówiło co innego i przepełniło mu duszę dziwnie przejmującym niepokojem.

Odnalazł ciotkę oczekującą wśród stosów waliz i pudełek na służbę, odbierającą grubsze bagaże; pomógł jej, w czym mógł, a nawet, wsadzając do dorożki, pocałował ją w rękę przez roztargnienie, potem długo stał na schodach przed stacją, zatrzymany głębokim wrzeniem duszy olśnionej widzeniem Meli, uściskiem jej rąk ciepłych i przenikliwym spojrzeniem.

A potem, nie zdoławszy jeszcze przerobić w sobie żadnego z uczuć na myśl jasną, pchany bezwiednym pragnieniem samotności poszedł za miasto jakąś ulicą świeżo wytkniętą w poprzek nie zniwelowanych jeszcze zagonów zbóż, wśród których budowano domy i fabryki.

– Kocham ją! Tak, kocham ją! – myślał stając i wpatrując się w szeregi wiatraków stojących na wzgórkach i w to powolne okręcanie się śmig, które jak spracowane ramiona wznosiły się i opadały ciężko na tle nieba jasnego.

Skreślił w pole zasiane owsem, po którym przeganiały się czarnia-wopołykskiwe fale i były w płową ścianę żyta, które z chrzęstem kłania-ło mu się do nóg i sypało rdzawe igielki kwiatów pachnących chlebem, a za żytem leżały wielkie tafle zieleni, na których wznosiły się szare domki o błyszczących w słońcu oknach; skowronki zrywały się spod nóg i dzwoniły ku bezchmurnemu niebu.

Patrzył na ich trzepoczące skrzydła, aż zginęły mu w przestrzeni, i szedł pełen ogromnej radości życia, oddychania, ruchu; z piersią pełną tej samej nieśmiertelnej potęgi, jaka była z młodych traw, jaka promieniowała w modrych oczach chabrow patrzących z puszczy żytnich, w szeleście zbóż, w sykaniu koników, w pieszczącym powiewie wiatru.

Rozrzewnienie nim owładnęło tak silne, że czuł w oczach łzy czu-łości nieokreślonej, rwał pełne garście kłosów, chłodził nimi usta spie-czone i szedł nie wiedząc, gdzie idzie, aż mu zastąpiła drogę niska, na pół rozwalona chałupa, przed którą w cieniu wielkiej brzozy leżał jakiś człowiek na garści słomy; głowę miał nisko na kraciastej poduszce, oczy utkwiał w delikatne obwisłe gałązki, podobne do strug lejącej się zieleni, i śpiewał słabym głosem podobnym do brzęczenia komarów;

Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę Świętą,

Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.

Wysocki stanął.

Głos śpiewaka rozchodził się jak szmer wody po kamieniach, rwał się co chwila, wznosił silniej przez mgnienie i znowu zniżał się do szeptu i ginął w ciężkim rżącym westchnieniu, po którym człowiek przesuwał w palcach ziarna ogromnego różańca, całował metalowy krzyżyk i patrzył w ścianę żyta, co z szmerem pochylała się ku niemu kłosami, trzęsała się przez chwilę i uciekała w tył, a za nią pochylały się wysokie dziewanny rosnące przed domem i patrzyły bladożółtymi oczami za płową falą, owianą mgłą pyłów kwiatowych.

– Co wam jest? – zapytał Wysocki siadając obok leżącego.

– Nic mi nie jest, panie... nic... ino sobie umieram po ździebku – odpowiadał chory wolno nie zdziwiony jego obecnością i podniósł na niego szare smutne oczy, podobne do nieba wiszącego nad nim.

– Na co chorujecie? – zagadnął poruszony abnegacją odpowiedzi.

– A na śmierć, panie, i na to – odgarnął przykrywający go łachman i ukazał obie nogi obcięte poza kolanami, okręcone w brudne szmaty. – Ugryzła mi nogi fabryka do kostek, potem doktorzy ucięli do kolan, ale śmierć i tak szła, to mi ucięli do pasa, ale śmierć i tak idzie, panie... i

przyńdzie, o co miłosiernego Pana Jezusa proszę i tej Matki Najświętszej...

Podniósł do ust krzyżyk od różańca.

– I nic was już nie boli?

– A nic, panie, a co ma me boleć? Nogów ni mam, mięsa ni mam, ręców tyż zabraknie, o! – i pokazał dwie kości obleczone popielatą skórą i zakończone tak wychudzonymi dłońmi, że były podobne do pokrzywionych, suchych gałęzi śliw, stojących pod domem – trochę dechu się tu tłucze po mnie, ale jak tego, da Pan Jezus, zabraknie, to se człowiek odpocznie po chrześcijańsku.

Szeptał ciężko, z odpoczynkami, a uśmiech, podobny do błysków dnia konającego, przewijał się po jego chudej twarzy, tak szarej jak ziemia, na której spoczywał.

– Któż was tu pilnuje, kto dogląda? – pytał, coraz bardziej zdumiony.

– Pan Jezus me pilnuje, a żona dogląda... Nie ma jej bez cały dzień, bo chodzi na fabrykę, do mularzów... Przyndzie wieczorem, to me zwlecze do chałupy, ugotuje jeść.

– Dzieci nie macie?

– Były... – szepnął ciszej i oczy mu pokryła mgła wilgotna. – Czwooro... juści, że czwooro. Antkowi maszyna urwała głowę... Marysia, Jagna i Wojtek pomarły na zimnice...

Milczał długo, szklanymi oczami patrzył na rozkołysane zboże, co zewsząd otaczało jego chałupę, a w twarzy szarej, kamiennej chłopską obojętnością zadrgał ból, co jak gwoździem żgnął go w serce.

– Ścierwa... – szepnął mocno i podniósł pięść ku miastu, mającemu szczytami kominów i dachów nad zbożami.

– Zobaczę te wasze nogi – powiedział prędko Wysocki i zaczął mu odwijać z nóg lachmany pomimo protestacji energicznej, bo chłop się przestraszył, ale widząc, że to nic nie pomoże, zamilkł i patrzył dziwnym wzrokiem na niego.

Gangrena była w rozkwicie, ale z powodu strasznego wycieńczenia organizmu szła bardzo wolno.

Wysocki, porwany litością, przyniósł wody z małej studzienki, obmył rany, przepłukał roztworem karbolu, jaki nosił zawsze przy sobie, i chciał je okręcać z powrotem, ale szmaty były brudne, przejęte zapiekłą krwią i ropą.

– Nie macie jakich czystych szmat?

Chłop poruszył głową przecząco, nie mógł mówić ze wzruszenia.

Wtedy Wysocki, nie namyślając się, zdjął z siebie wszystką bieliznę, podarł ją na pasy i obandażował nimi nogi chorego.

Chłop milczał wciąż, tylko piersi podnosiły mu się coraz wyżej, tylko wielkie łkanie zapychało mu gardło i trzęsło całym kadłubem.

Wysocki skończył opatrunek, ubrał się śpiesznie, postawił kołnierz od palta i wsuwając pieniądze, jakie miał przy sobie, w rękę chorego, pochylił się nad nim i szepnął:

– Bądźcie zdrowi, przyjdę do was jutro.

– Jezus mój kochany, Jezus, Jezus! – wybuchnął chłop i rzucił się całym kadłubem z posłania do nóg jego, objął je sobą i przywarł do nich całą wdzięczną, chłopską duszą.

– O, mój panie dobry, o, mój janiele przenaświętszy... – szeptał przez łzy, pracz całą wdzięczność niedoli.

Wysocki ułożył go na posłaniu, zabronił się poruszać, obtarł mu twarz z łez, przyglądał ręką jego spocone, rozwichrzone włosy i odszedł śpiesznie, jakby zawstydzony.

Chłop patrzył za nim dotąd, aż mu zniknął wśród zbóż, obejrzał się potem na wszystkie strony, przeżegnał się, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego, co się stało, i długo ogłupiałym wzrokiem patrzył na rozkołysane żyta, na trzęsące się nad nim gałązki brzeziny, na wróble lecące w całej bandzie, na słońce, które już nisko wisiało nad polami, uniósł nieco głowę i rozplakany głosem zaśpiewał:

Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę Świętą...

– Już ja teraz jęczał nie będę... już się zmiłował nade mną. Jezu... już ja teraz zamrę... zamrę... – powtarzał cicho, ciszej i jak przez mgłę widział fale zbóż, co się nad nim pochylały z chrzęstem, szarobłękitne niebo, co się zdawało obtulać go, i to złote, dobre, kochane słońce, co go całowało ostatnimi promieniami.

VII [XXIII]

Borowiecki. Horn i Maks Baum wchodzili do Trawińskich, którzy po raz pierwszy urządzali uroczyste imieninowe przyjęcie.

Nina wyszła naprzeciw, cała w bieli lekkich jedwabów, przy których jej przezroczysta, delikatna cera wydawała się jakby uformowaną z bladoróżowych płatków kamelii; zielonawe, pocętkowane złotymi punktami oczy skrzyły się jak brylanty wiszące w jej maleńkich różowych uszach, a wielkie kasztanowate włosy, zaczesane w grecki węzeł, tworzyły niby kask złotawy na tej cudnej głowie, która z profilu przypominała subtelną kameę, rżniętą na bladym sycylijskim koralu.

– Mam dla pana bardzo przyjemną niespodziankę – ozwała się do Karola.

– Tym dla mnie ciekawsza, że pani mówi: „przyjemna” – odpowiedział z ironią, starając się zajrzeć przez jej ramię za portierę, oddzielającą salon.

– Proszę odgadnąć, a nie patrzeć. Zasłoniła mu sobą drzwi.

Ale w tej chwili znad jej ramienia, z wiśniowej kotary wychyliła się uśmiechnięta twarz Anki, a potem i ona cała.

– A teraz, skoro mi się nie udało, pozostawiam państwa samych. Zabieram tylko panów – zwróciła się do Horna i Maksa i odeszła z nimi.

– Kiedyż pani przyjechała?

– Dzisiaj rano, przyszłam do Niny z panią Wysocką.

– Cóż tam słyhać w domu, u ojca? – pytał dosyć obojętnie.

– Ojciec nie bardzo zdrow, stracił humor. A wie pan, ksiądz Liberat umarł.

– Czas mu było już od dawna. Stary wariat! – powiedział z niechęcią.

– Co pan mówi, jak można! – zawołała porywczo.

Ale on, żeby załagodzić ostrość słów poprzednich, ujął ją za rękę i doprowadził do okna.

– Widzi pani tamte mury, to moja... to nasza fabryka! – rzekł wskazując na szklane dachy przędzalni Trawińskiego, zza których wznosiły się mury obstawione wysokimi rusztowaniami.

– Widziałam już, bo jak tylko przyszedłam, Nina zaprowadziła mnie w koniec podwórza i pokazała przez parkan fabrykę pańską i mówiła, że pan tak strasznie pracuje dnie całe... Nie trzeba się przecież zapracowywać... nie trzeba...

– Niestety, ale trzeba, bo choćby dzisiaj we trzech mieliśmy robotę od świtu z wypłatą robotników.

– Ojciec przysłał panu dwa tysiące rubli, zaraz je panu dam.

Odwróciła się nieco, aby wyciągnąć zza gorsu paczkę banknotów, i oddała je Karolowi.

– Skądże ojciec wziął pieniądze? – pytał chowając banknoty.

– Miał, tylko nic nie mówił, ale skoro pan napisał o swoich kłopotach i o tym, że już musicie używać kredytu, dał mi pieniądze i kazał je panu przywieźć. Daję panu słowo, że tylko dlatego przyjechałam – mówiła cicho, pomieszana bardzo i zarumieniona, bo pieniądze wydobyla na zastaw wszystkich swoich kosztowności i z różnych sprzedaży, o czym wiedział tylko ojciec Karola, ale jego była pewna, że nie zdradzi.

– Nie wiem, jak mam ci, Anka, dziękować, bo nigdy bardziej w porze nie przyszły.

– Ach, jak to dobrze, jak to dobrze... – szeptała radośnie.

– Ale jakaś ty dobra, że chciałaś sama przyjechać.

– Bo pocztą szłyby dłużej.. – powiedziała otwarcie. – A ja nie mogłam znieść tej myśli, że pan się tutaj męczy i kłopotuje, przecież to takie proste.

– Proste! być może dla ciebie, bo nikt inny by tego nie zrobił.

– Bo nikt inny pana tak bardzo nie kocha, jak ojciec... i ja... – dokończyła śmiało, patrząc na niego spod swoich czarnych sobolowych brwi takim jasnym, prostym i pełnym miłości wzrokiem, że porwał jej rękę i bardzo gorąco i szczerze całował, usiłując ją przyciągnąć do siebie.

– Karol... nie można... wejdzie kto... – broniła się, odchylając twarz zarumienioną i stulając usta drżące ze wzruszenia.

I gdy wchodzili do salonu, pełnego gwaru i ludzi, Nina uśmiechnęła się do nich życzliwie, widząc szarobłękitne oczy Anki rozpromienione szczęściem i jej twarz pełną radości.

Anka dzisiaj była porywającą; ten fakt, że mogła pomóc ukochanemu i że ten jej „chłopak kochany” był dzisiaj dla niej taki dobry i serdeczny, czynił ją szczęśliwą, pełną radości i tak piękną, że zwracała na siebie ogólną uwagę.

A ona nie mogła wytrzymać na jednym miejscu, chciało się jej iść do ogrodu lub w pole, aby tam śpiewać pełnym głosem pieśń szczęścia, i pod wpływem tego pragnienia i przyzwyczajień wyszła przed dom i dopiero ujrawszy brukowany dziedziniec, obstawiony czerwonymi gmachami, i morze domów, stojące ze wszystkich stron, powróciła do salonu, odszukała Ninę i przycisnęła do niej ramieniem, spacerowała po salonie.

– Dzieciak z ciebie, Anka, ogromny dzieciak!...

– Bom szczęśliwa dzisiaj... Kocham – odpowiedziała porywczo, szukając oczami Karola, rozmawiającego z Mada Mullerówną i z Melą Grunspan, przy których stał Wysocki.

– Ciszej, dzieciaku... usłyszeć mogą... Któż się tak przyznaje głośno do miłości...

– Nie lubię i nie umiem nic ukrywać. Miłości nie potrzeba się wstydzic.

– Wstydzic – nie, ale należy ją przed ludzkimi oczami chować na samo dno duszy.

– Dlaczego?

– Dlatego, żeby jej nie dotknęły spojrzenia obojętne, złe lub zazdrosne. Ja nie pokazuję ludziom obcym nawet swoich brązów i obrazów najlepszych, bo się obawiam, że nie odczują całego ich piękna i że mi coś z tego piękna mogą zbrudzić i zabrać ich spojrzenia. A tym bardziej nie pozwoliłabym im zajrzeć do duszy własnej.

– Dlaczego? – zapytała Anka nie rozumiejąc tej mimozowej iście wrażliwości.

– Bo przecież to nie są ludzie, choćby ta znaczna część moich gości dzisiejszych; to są fabrykanci, kapitaliści, specjaliści różnych działów fabrycznych; ludzie od robienia interesów i pieniędzy – tylko interesów... tylko pieniędzy. Dla nich pojęcia: miłość, dusza... piękno... dobro... i tam dalej to żaden „papier”, to weksel bez żyranta, wystawiony przez mieszkańca Marsa, jak powiedział dzisiaj pan Kurowski.

– A Karol?

– O nim nic ci nie powiem, bo znasz go lepiej.

– A, mecenasowa sztuk pięknych a tanich ze swoim dworem, muszę iść do niej...

Nina podeszła do Endelmanowej, wkraczającej do salonu z takim uroczystym majestatem, że wszystkich oczy zwróciła na siebie.

Za nią w pewnym oddaleniu szły dwie młode, przystojne panienki, ubrane jednakowo, stanowiące jej dwór przyboczny.

Jedna z nich trzymała chustkę, a druga wachlarz,

obie zaś kłaniały się zebrany sztywno-automatycznym ruchem, bacząc pilnie na każdy gest pani, która nawet nie raczyła ich przedstawić gospodyni domu, tylko upadła na fotelik i głośno, wrzaskliwie, przykładając do oczów pincenez na długiej szylkretowej rączce, zachwycała się pięknnością Niny, tłumem osób i salonem, od czasu do czasu zwracając się ruchem monarchini do siedzącego nieco w głębi dworu po wachlarz lub chusteczkę.

– Ona wygląda jak królowa, jak sama Maria... Maria Magdalena.

– Maria Teresa, chciał pan powiedzieć – szepnął Kurowski cicho Groszlikowi.

– To wszystko jedno. Jak się masz, Endelman. co cię kosztuje taka parada? – pytał bankier Endelmana, który cicho wsunął się za żoną do salonu i również cicho i skromnie witał się ze znajomymi.

– Zdrów jestem, dziękuję ci, Groszlik, co? – odpowiedział przykładając do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń.

– Panie Borowiecki, pan nie wie, kiedy przyjedzie Moryc Welt?

– Ani mówił mi o tym, ani pisał.

– Ja jestem trochę niespokojny, czy się jemu co złego nie stało?

– Nie zginie... – mówił obojętnie Karol.

– Ja wiem, ale ja jemu posłałem przekaz na trzydzieści tysięcy marek, już tydzień minął, a jego nie ma. Co pan chce, teraz tyle łajdactwa na świecie..

– Do czego to pan zmierza? – zapytał Karol, dotknięty jego tonem.

– Do czego? Że mogli go gdzie okraść, zabić. Trudniej jest o rubla niż o nieszczęście – zakończył sentencjonalnie, westchnąwszy boleśnie, bo go niepokój o te trzydzieści tysięcy pozbawiał równowagi, a znał za dobrze Moryca, aby się miał niepokoić bez przyczyny.

– Mery, ty się nie daj prosić pani Trawińskiej; ty zagraj ładnie, przecież możesz zagrać ładnie – tłumaczył bankier córce, którą Nina prosiła o zagranie.

Mery, chuda dziewczyna, o kościstych biodrach, garbatym nosie i niewidocznych prawie ustach, siadła do fortepianu i apatycznie uderzyła w klawisze; z tą sinawą cerą, popstrzoną krostami, z zaczerwienionym nosem i chudymi, długimi rękami, robiła wrażenie oskubanej, zamrożonej gęsi, okręconej w jasne jedwabie.

– Gdzież tu są te słynne złote jałówki łódzkie? – pytał cicho Horn Karola.

– Masz je pan, tam siedzi Mada Muller, Mela Grunspan i Mery Grosplik.

– A z Polek nie ma ani jednej? – zapytał ciszej, aby nie mącić brzdąkania Mery.

– Niestety, panie Horn, my zaczynamy już produkować sukna i perkaliki, ale na milionowe córki musimy poczekać z lat dwadzieścia. Zachwyca] się pan tymczasem pięknnością Polek – odpowiedział Karol drwiąco i odszedł, przywoływany przez Ankę, siedzącą obok Wysokiej.

Mery grała jakąś sonatę, nieskończenie nudną i długą, która tak podziałała, że po chwilowej ciszy wszyscy w salonie naraz mówić zaczęli, a najgłośniej sam Grosplik, który dowiedziawszy się od starego Endelmana o przejściu Bernarda na protestantyzm, wybuchnął oburzeniem.

– Ja mówiłem, że on źle skończy. On symulował filozofa i człowieka z fin de sieclu, a skończył jak prosty szajgec. Czemu na protestantyzm? Ja myślałem, że on jest subtelniejszy. Mnie nie o to idzie, że przeszedł na inną wiarę, bo czy on będzie katolik, protestant czy mahometanin, to i tak Żydem nie przestanie być i dla nas nie jest straconym. Pan nie lubi protestantyzmu? – zapytał Kurowski goniąc orzechowymi oczami za Anką, chodzącą po salonie z Niną.

– Nie lubię i nigdy bym na to wyznanie nie przeszedł. Ja jestem człowiek, który kocha i potrzebuje pięknych rzeczy. Jak ja się narobię cały tydzień, to potem w szabas czy w niedzielę potrzebuję odpocząć, potrzebuję iść do ładnej sali, gdzie bym miał ładne obrazy, ładne rzeźby, ładną architekturę, ładne ceremonie i ładny kawałek koncertu. Ja bardzo lubię te ceremonie wasze, w nich jest i piękny kolor, i ładny zapach, i dzwonienie, i światła, i śpiewy. A przy tym jak ja już muszę słuchać kazania, to niech ono będzie nienudne, niech ja słucham delikatnego mówienia o wyższych rzeczach, to jest bardzo nobl i to dodaje człowiekowi humoru i ochoty do życia! A w kirche co ja mam?... Cztery gołe ściany i tak pusto, jakby cały interes miał się trochę zlikwidować. A do tego przychodzi pastor i mówi. Co pan myślisz, o czym on gada?... Gada o piekle i innych nieprzyjemnych rzeczach. Bądź pan zdrow. Czy ja po to idę do kościoła, żeby się zdenerwować? Ja mam nerwy, ja nie jestem cham, ja nie lubię się gnębić nudnym gadaniem. A przy tym ja lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia – cóż to za firma protestantyzm?!

Papież to firma.

Kurowski nie mu nie odpowiedział, bo odszedł i przysiadłszy przy grupie pań, patrzył Jakimś dziwnym wzrokiem na Ninę i Ankę, które wzięwszy się pod ręce szły wolno przez szereg salonów zatrzymując się przed każdym bukietem konwalii i fiołków, jakie stały wzdłuż sal przed oknami, pochylały się nad kwiatami wdychając ich cudną woń i szły dalej, same podobne do jasnych, wiośnianych kwiatów,

Czasem tylko Nina dotykała ustami chłodnych liści konwalii i ocierała przymkniętymi powiekami o śnieżne dzwonki lub przesuwiała palcami po wygiętych ciałach nimf brązowych, zagląających do wnętrza amfor, w których stały kwiaty, i znowu szły zatopione w cichej rozmowie, nie zważając, że Endelmanowa z dworem swoim szła za nimi i z pewną zawiścią przyglądała się tym prostym, a bardzo wykwintnym salonom i zobaczywszy na ścianie w wielkich ramach mozaikę, którą Nina sprowadziła jeszcze zimą, stanęła olśniona.

– To jest śliczne! Jaki to ma kolor! jaki to ma glanc! – wykrzykiwała zachwycona mrużąc oczy, bo słońce oświecało mozaikę i odbijało jaskrawe promienie.

I nagadawszy jeszcze wiele podobnych rzeczy wyszła krokiem bohaterki prowincjonalnej, w otoczeniu swojego dworu.

– Śmieszna bo śmieszna, ale w gruncie to dobra kobieta. Jest prezeską kilku zakładów dobroczynnych i robi wiele dobrego biednym.

– Bo lubi, żeby ją podziwiali – powiedział Maks Baum, usłyszawszy ostatnie słowa, podchodząc z Kurowskim.

– Bardzo się, panowie, nudzicie? – zapytała Nina.

– My nie, bo mamy na co patrzeć – szepnął Kurowski ogarniając obie wzrokiem.

– To znaczy, że są inni, którzy się nudzą, bo nie mają na co patrzeć...

– Są tacy! Niech pani spojrzy prosto przed siebie: tam siedzi panna Muller i panna Grunspan, dwie złote jałówki łódzkie. Mada Muller dusi się w swoich zbyt sztywnych jedwabiach, a że przy tym z trwogą myśli, że służąca może przegotować knedle, więc ciągle się poci ze strachu; przez pięć minut, liczyłem uważnie, wypila cztery szklanki lemoniady Panna Mela Grunspan wygląda na nadzianą entuzjazmem; umyślnie, trzy razy, pytałem ją o Neapol – i trzy razy, z jednakim westchnieniem, z jednakim wywróceniem oczów i jednakowymi superlatywami, wybuchała zachwytem... Jest jak fonograf, w który wstawiono nowy walec, więc za każdym dotknięciem opowiada to samo.

– Ale przy tym jest jakaś smutna dzisiaj, chodźmy do nich – powiedziała Nina.

– Bo pani Wysocka uwzięła się dzisiaj na Żydówki i co którego z młodzieży złapie, natychmiast zaczyna przestrzegać przed nimi, a mówi tak głośno, żeby panna Mela usłyszeć... musiała... – tłumaczył Maks, który szedł przy Ance i niespokojnie wybiegał naprzód oczami, szukając Karola.

– Dużo osób już wyszło! – zauważyła Nina nie spostrzegając w głównym salonie Groszlika z córką i kilku innych rodzin żydowskich.

– Mężczyźni nudzili się, a kobietom było pilno iść zdawać relacje z przyjęcia państwa.

– Czyżby się naprawdę nudzili? – zapytała z przykrością Nina.

– Ma się rozumieć, cóż to dla nich za zabawa!

Surdutów zdjąć nie można, szampańskiego nie podali. a przy tym naspraszala pani tej polskiej roboczej hołoty, tych różnych inżynierów, doktorów, adwokatów i innych specjalistów – i chce pani, aby miliony czuły się dobrze tutaj. Ubliżało im takie towarzystwo, więc się wynieśli, i stawiam głowę, że Więcej już nie pokażą się u pani.

– Nie miałam zamiaru prosić ich więcej, bo dziś dopiero spostrzegłam, że nawet taka salonowa asymilacja jest niemożliwą, przynajmniej w Łodzi.

– Na całym świecie, na całym świecie. Pan Robert Kessler, który chciał być pani, panno Anko, przedstawionym od godziny... – powiedział ironicznie Kurowski przedstawiając niskiego, krępego człowieka, z głową wciśniętą w ramiona i ozdobioną wielkimi uszami, co przy spiczastej, omszonej żółtym włosom czaszce robiło ją podobną do głowy wielkiego nietoperza; twarz miał jakby ze skóry końskiej, źle wyprawionej i źle naciągniętej; usta podobne do szpary podłużnej i mocno wystające szczęki obrośnięte były czerwonym, krótko przyciętym włosom.

Przywitał się z wielką swobodą i gdy usiedli w salonie, usiadł przy Ance, położył na kolanach swoje ręce węzłowate, obrośnięte czerwonym włosom, i wpił się żółtymi, bystrymi oczami w twarz Anki z taką natarczywością, że ta, nie mogąc znieść tego spojrzenia, które ją denerwowało i przenikało dziwnym strachem, odeszła śpiesznie nie zamieniwszy z nim ani jednego słowa.

– Ona jest piękna, ona jest zadziwiająco piękna! – szepnął po dłuższym milczeniu do Horna, który siedział obok niego.

– Pan się znasz przecież na pięknościach. W Łodzi coś wiedzą o tym! – odpowiedział z naciskiem Horn, przyszła mu bowiem na myśl Zośka Malinowska i te całe szeregi ofiar spośród robotnic, które zmuszał do powolności tyranią i groźbą wydalenia z fabryki.

Kessler nie odpowiedział, spojrział zimno i odwrócił się pogardliwie od niego do Maksa Bauma, który zdenerwowany, niespokojny, już od godziny chciał uciec z tego salonu – i nie mógł, trzymany na uwieźni obecnością Anki.

W salonie tymczasem zrobiło się bardzo luźno; całe fale przepłynęły, złożyły powinszowania, obejrzały salony i odpłynęły. Zostało tylko kilkanaście osób, samo polskie towarzystwo, czoło miejscowej inteligencji, które w miarę odpływu milionów – wysuwało się na środek salonu i zajmowało opustoszone miejsca.

Mullerowie tylko pozostali z obcych, bo żyli dość blisko z Trawińskimi, Mela Grunspan i ciotka, która na próżno kilkakrotnie głośno pytała:

– Mela! czy ty nie potrzebujesz już wyjść?

Ale Mela wyjść nie mogła, chociaż podobnie jak Maks dawno stąd uciec pragnęła, smagana nielitościwymi docinkami Wysockiej. Siedziała cały czas na jednym miejscu tak zdenerwowana, że rozmawiała z Madą, czasem się śmiała, opowiadała o swojej podróży, ale zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Trawiła ją gorączka dziwnie bolesna jakiegoś rezygnowania z dotychczasowych marzeń i nadziei.

Wysocki rozmawiał z nią kilkakrotnie, widziała ciągle jego oczy pełne miłości, słyszała jego głos, który jej cicho opowiadał takie rzeczy, które wczoraj jeszcze przepełniłyby jej duszę szczęściem, ale słyszane dzisiaj, teraz, budziły w niej tym głębszy smutek i ból; bo dzisiaj dopiero, w tym jasnym salonie, przeczuła głębokim instynktem kochania, że ona nigdy nie wyjdzie za mąż za Wysockiego, że wyjść nie powinna...

I w chwilach uświadamiań, w chwilach tego bolesnego jasnowidzenia różnic, jakie ich dzieliły, martwiała z przerażenia i szklanym wzrokiem wodziła bezprzytomnie po twarzach ludzkich, szukała uśmiechniętych, rozpromienionych spojrzeń Wysockiego, jakby chcąc w nich dopatrzeć zaprzeczenia tych wszystkich myśli, jakie ją przenikały rojem palących włókien, ale Wysocki za bardzo był w niej rozkochany, za bardzo w dobrym humorze i w dobrym, swoim towarzystwie, aby mógł dzisiaj odczuć jej stan wewnętrzny.

Rozprawiał właśnie z Trawińskim i Kurowskim, i kilku młodymi ludźmi rozsnuwając przed nimi gorąco szerokie altruistyczne poglądy na społeczeństwo i jego potrzeby; otrzepywał, odruchowo klapy, pokręcał wąsiki, wyciągał czasami mankiety i rad, że ma inteligentnych słuchaczy, że mógł się na chwilę oderwać od spraw fabrycznych i codziennych, bujał z rozkoszą po niebie hipotez i wniosków.

– Dlaczego? – myślała ciężko Mela i nie wiedziała jeszcze wyraźnie, dlaczego te straszne myśli ją obsiadły i zalewają jej serce goryczą nieopowiedzianą. Czuła tylko jedno wyraźnie, że ten świat jej ukochanego, ci wszyscy Kurowscy, Trawińscy, Borowieccy, te wszystkie nawet sprawy, o których mówili, idee jakie ich porywały, ten cały polski świat tak ukochany – jest zupełnie inny, obcy zupełnie jej światu; obcy przez jakąś szerokość uczuciową, nie zamkniętą tylko w kole egoistycznych spraw, w ciasnym obrębie robienia pieniędzy i używania ordynarnego.

– Nie takimi są nasi, moi! – myślała patrząc na delikatną, uduchowioną twarz Trawińskiego, który taki energiczny protest zakładał przeciw wywodom Wysockiego, że twarz mu pobladła i sieć delikatnych niebieskich żyłek wystąpiła na skronie, a potem patrzyła na Wysocką, na Ninę i Ankę siedzące w kole kobiet bardzo wykwinionych, pełnych dziwnego wdzięku, rozmawiających półgłosem, i równocześnie widziała oczami duszy swój własny dom, ojca, siostry, szwagra i odczuwała teraz dopiero, przez mimowolne zestawienie, cały obmierzły ton, całą płaskość życia własnej sfery.

I teraz dopiero poczuła, że pomiędzy nimi czułaby się obcą zawsze, intruzem z innego świata, zaledwie znośnym i może tylko dla posagu, jaki by wniosła mężowi.

– Nigdy, nigdy! – powtarzała sobie dumnie i chciała się podnieść, aby wyjść, bo ciotka znowu przysunęła się do niej i swoim przeciągłym, chrapliwym akcentem pytała:

– Mela, ty nie potrzebujesz już iść do domu? Podniosła się nawet z krzesła, zbierając w sobie całą moc duszy, aby wyjść stąd, z tego świata i nie powrócić do niego nigdy już więcej.

Czuła to dobrze, że to wyjście będzie równocześnie pożegnaniem marzeń snutych przez lata całe, będzie pożegnaniem rojeń wiosennych i miłości, ale wyjść postanowiła.

Kochała całą duszą Wysockiego, ale przeczuwała już, że musi wyrzec się go i nie widzieć więcej.

– Nigdy, nigdy! – powtarzała zaciśniętymi ustami. Za dobrze pamiętała dolę tych ze swoich znajomych, które wyszły za Polaków, ich upokorzenia nawet wobec własnych dzieci; wyrzucających matkom ich pochodzenie, to koło pogardy wykwintnej lub lekceważenia, jakie ich zawsze otaczało, tę ich obcość we własnych domach, wobec najbliższej rodziny.

– Pani już wychodzi, czemu tak prędko? – pytał Wysocki zastępując jej drogę.

– Czuję się niedobrze, jestem zmęczona jeszcze po podróży – tłumaczyła się nie patrząc na niego i całą siłą tłumiąc łkanie, jakie wzbierało w jej sercu, i chęć pozostania, jaka ją owładnęła po jego słowach.

– Myślałem, że pani pozostanie do wieczora i potem razem pójdziemy do Róży, że pani mi poświęci cały dzisiejszy wieczór. Ja pani nie widziałem przecież całe dwa miesiące – szeptał cicho, zduszonym przez uczucie głosem.

– Pamiętam... pamiętam... dwa miesiące... – odpowiadała i nagie taki żar rozlał się po jej sercu, żar miłości i cierpienia, że łzy błysnęły w jej szarych oczach i serce zaczęło bić mocno, mocno...

– Będzie teraz nam lepiej, bo pozostali sami swoi...

– Tym bardziej iść muszę, abym nie tworzyła sobą dysonansu – szepnęła z goryczą.

– Mela! – powiedział z wyrzutem i tak miękko, tak serdecznie, że opadły ją siły, że wszystkie postanowienia poprzednie rozwiały się bez śladu, a natomiast serce napełniło się uczuciem szczęścia wielkiego, wielką ciszą miłości.

– Zostaniesz, prawda? – prosił ją gorąco, błagalnie, a gdy mu nie odpowiadała oglądając się bezradnie w stronę Wysockiej, której ostry wzrok poczuła na sobie, odezwał się do Niny z prośbą:

– Może pani zdoła namówić do pozostania pannę Melanię.

Nina wiedziała wszystko od starej i dosyć wrogo była usposobiona dla Meli, ale teraz, spojrzawszy na jej twarz smutną, odczuła jej cierpienia i wielkie współczucie zadrgało w jej sercu, zaczęła ją gorąco prosić.

Opierała się chwilę, walcząc z własnym sercem i wolą, ale pozostała.

– Po raz ostatni! – przypominała sobie w duszy, ale ogarnięta miłością, rozkołysana słowami Wysockiego, który na złość matce nie odstępował jej ani na chwilę, oczarowana dobrocią Anki i Niny, które wzięły ją pomiędzy siebie i z wielką serdecznością traktowały, zapo-

minała, że to raz ostatni, przeciwnie, zaczynała myśleć, że to raz pierwszy i że tak będzie zawsze... zawsze...

Przyjęcie dla tego kółka wybranych przeciągnęło się dosyć długo, bo o zmroku podano obiad w wielkiej jadalni, wyłożonej jasnym dębem, która za jedyną ozdobę miała szeroki pas inkrustacyj biegący dookoła, w połowie wysokości ścian, po którym rozpinały się pędy wina, obciążone purpurowymi gronami, uwieszone u uszów larw komicznych, wyciętych ze złoconego bukszpanu.

Wielki stół lśnił kryształami zastawy, srebrami, żywymi kwiatami, które tworzyły przez całą długość jeden wielki kwietnik pełen woni i barw; wielkie świeczniki w formie wieloramiennych kaktusów rozlewały łagodne światło świec na twarze siedzących.

Nastrój panował serdeczny, wznoszono liczne toasty, przyjmowane oklaskami, bawiono się tak wyśmienicie, że nawet Muller wznosił zdrowie Trawińskich i chciał coś mówić, ale że był nieco pijany, a Mada, siedząca obok Maksa Bauma, nie mogła mu podpowiadać, więc wybełkotał słów kilka i usiadł obcierając rękawem czerwoną, zatłuszczoną twarz.

– Ja bym go wziął do swojej menażerii, to ciekawy okaz – mruknął Kessler, pochylając się do Meli, przy której siedział.

Ale Mela nie słyszała, zajęta rozmową z Wysockim, a zresztą czuła nieprzewyciężony wstręt do tej nietoperzej głowy i tych żółtych oczów, które ustawicznie wierciły Ankę, siedzącą pomiędzy nim a Borowieckim.

Mada Muller, może jedyna w całym towarzystwie, nie miała dzisiaj humoru.

Nie zwracała uwagi na Maksa, usiłującego ją bawić, tylko śledziła Karola i Ankę i widząc, jak im jest dobrze ze sobą, zapytała cicho Maksa:

– Czy ta panna, co siedzi przy panu Borowieckim, to jego siostra? bo tak są bardzo podobni do siebie.

– Kuzynka dosyć daleka, ale i narzeczona zarazem – odparł z naciśkiem.

– Narzeczona! Nie wiedziałam, że pan Karol ma narzeczoną... nie wiedziałam...

– Już od roku i bardzo się kochają – mówił umyślnie, bo go zirytowała jej niedomyślność i ten zachwyty, nie ukrywany, z jakim patrzyła i mówiła o Karolu.

Złote rzęsy dziewczyny zatrzępały nagle jak skrzydła i opadły ciężko na błękitne oczy, a bardzo rozrurrieniona twarz pokryła się bładością i blade usta zaczęły dziwnie drgać.

Maks ze zdumieniem przypatrywał się tej nagłej zmianie, ale nie miał już czasu obserwować, bo lokaj szepnął mu do ucha po cichu, że ktoś czeka na niego.

– Matka umiera! – powiedział mu prosto Józio Jaskólski, gdy się znalazł w przedpokoju.

– Co? co? co? – powtórzył Maks nie wierząc sobie, okręcił się dookoła kilka razy bezprzytomnie, zrobił kilkanaście ruchów bezcelowych i znowu spojrzął na Józia, który zapłakany, oniesmielony, drżący, powtórzył mu raz jeszcze wiadomość i pobiegł spiesznie z powrotem.

VIII [XXIV]

W jadalni nikt prócz Niny nie zauważył wyjścia Maksa.

– Co się stało z panem Baumem? – zapytała Mada Muller.

– Azaliż jestem stróżem swego spółnika, jeśli ten kasjerem nie jest!

– odpowiedział żartobliwie Borowiecki, ale był rad, że oczy tego spółnika nie śledziły za Anką i nie kontrolowały jego rozmowy z Madą, która straciła humor dowiedziawszy się o narzeczeństwie i bardzo namawiała ojca do wyjścia, ale Muller był dzisiaj w doskonałym humorze, ujął wpół Borowieckiego, posadził przy córce i zawołał rubasznie:

– Głupia Mada, masz kawalera i niech ci się nie śpieszy do domu.

I pozostawił ich przy sobie; siedzieli zakłopotani.

Mada spuściła głowę na piersi i z wielkim zajęciem wciągała rękawiczki, słuchając brzmienia jego niskiego głosu, który zawsze przejmował ją rozkosznym drzeniem, a dzisiaj rozbrzmiewał w jej duszy tak smutnie, tak smutnie, że bała się, iż nie wytrzyma i wybuchnie płaczem.

Muller przysiadł się do Niny i co chwila klepał ją po plecach z ukontentowania; nie widząc dookoła rozśmieszonych twarzy ani zakłopotania Trawińskiej, gadał głośno.

– Bardzo mi dobrze u państwa! Ja mam ładny pałac, ale mnie tam siedzieć niedobrze. Chciałbym mieć taką córkę jak pani.

– A cóż pan ma do zarzucenia pannie Madzie?

Ślicznie dzisiaj wygląda.

– Ja, Mada śliczna, ale Mada jest głupia. Ja ją chcę wydać za Polaka, żeby oni mieli takie salony jak państwo i tak samo przyjmowali gości, to bym u nich zawsze siedział. Mnie się to bardzo podoba.

– Będzie to panu trudno w Łodzi, bo tutaj nie ma takich bogatych, za których zgodziłbyś się pan wydać córkę – szepnął Kurowski siedzący obok Niny.

– Aha, pan Kurowski! Ja bym za pana dał Madę albo i za Borowieckiego, wy jesteście porządne fabrykanty.

– Dziękuję, dziękuję! – szepnął drwiąco Kurowski ściskając mu rękę. – Ale są lepsi od nas, a nawet już coś słyszałem o zamiarach Kesslera.

– Kessler! Niech on się żeni ze swoją małpą w menażerii, a nie z moją córką. Pan wie, on jest cham i łajdak! – wybuchnął, ale potem zaczął się śmiać bardzo serdecznie, chciał pocałować w szyję Ninę...

Był zupełnie pijanym.

– Co pani tak humor popsuło? – zapytał Karol cicho. Mada nic nie odpowiedziała, tylko przysłaniając chustką drgające od wstrzymywanego płaczu usta i twarz zgorączkowaną, podniosła na niego oczy i długo patrzyła, aż się poruszył niecierpliwie i ponowił zapytanie.

– O, pańska narzeczona szuka pana – szepnęła wskazując oczami Ankę, rozglądającą się po pokoju. Podszedł do niej niechętnie. – Panie Karolu, pani Wysocka już chce iść, może nas pan odprowadzi. Żegnała się z Madą bardzo ceremonialnie, która ich przeprowadziła oczami przez szereg pokoi.

– Panno Melo, to i my pójdziemy – ozwał się Wysocki i poszedł szukać ciotki, drzemiącej w ciszy salonu, a powracając spotkał się z matką.

– Wychodzimy, idziesz z nami?

– Nie, muszę odprowadzić pannę Grunspan.

– Czy panny Grunspan nie może kto inny odprowadzić?

– Nie, panny Grunspan nie może kto inny odprowadzić – odpowiedział z naciskiem. Spojrzeli na siebie dosyć niechętnie.

Matki oczy zaświeciły ostro, a w oczach doktora jaśniał wielki spokój i stanowczość.

– Prędko wrócisz? Anka jest u nas, będzie i Borowiecki, może zaczekać z herbatą?

– Nie zdążę, bo muszę jeszcze być u Mendelsohnów.

– Jak chcesz... jak chcesz... – odpowiedziała z trudem, panując nad sobą, ale nie podała mu ręki do pocałowania i wyszła.

Nie zwrócił na to uwagi, tylko pomagał się Meli ubierać.

Zaraz pojechali, bo powóz Meli czekał przed domem.

– Jedziemy do Róży?

– Jedziemy do Róży, jedziemy, gdzie tylko pani zechce, jedziemy choćby na koniec świata – zawołał gorąco.

– Słowa lecą dalej niż chęci, a chęci niż możliwość – szepnęła cicho, bo ją ogarnął spokój niedzielnego wieczoru, powrócił do rzeczywistości i przypomniał niedawne postanowienia.

– O nie, nie cofam swoich słów, niech mnie pani weźmie i poprowadzi aż do krańców możliwości. Ujął jej rękę ze drżeniem.

– Więc tymczasem zawiozę pana tylko do Róży – odpowiedziała i oddała uścisk ręki nie puszczając jej.

– A później? – zapytał cicho, zaglądając jej w oczy.

– Jutro dam odpowiedź – szepnęła patrząc na konie biegnące kłusem.

Ciotka drzemała na przednim siedzeniu, kiwając się zawzięcie.

Siedzieli w milczeniu, z przyjemnością nadstawiając rozgrzane twarze na mocny powiew powietrza, bo powóz toczył się szybko i skakał po wybojach bruków gumowymi kołami jak piłka.

Czuli oboje, że jakaś stanowcza, przełomowa chwila już idzie ku nim, że za mgnienie zaraz padnie im na duszę jedno słowo, tak dawno w sercach dźwięczące, tak dawno tłumione i oczekiwane.

Spoglądali na siebie jasnym wzrokiem, przenikali się do głębi uczuć i po każdym spojrzeniu byli sobie bliżsi, byli sobie bardziej oddani.

Mela nie zapomniała postanowień, czuła je w całej grozie konieczności i w całej grozie gorzkości i żalu, ale równocześnie oddawała się z rozkoszą temu czarownemu prądowi, jaki przepływał przez serca ich i rozlewał w mózgach, w krwi obezwładniające, rozkoszne ciepło.

Ze drzeniem szczęścia czekała jego wyznania i wiedziała również, że wypowie mu wszystko, całą miłość swoją.

Czuła niezmożoną niczym potrzebę wypicia tej szczęśliwości do dna, do samego dna.

Chciała być porwana szaleństwem, bez względu, co jutro będzie, a może dlatego właśnie, że wiedziała, jakim będzie to jutro.

I chociaż to widmo krążyło dookoła niej. majaczyło w pamięci i ostrym konturem rzeczywistości jutrzejszej przysłaśniało obecne szczęście, uciekała od niego, chciała zapomnieć na jeden wieczór, na chwilę.

Trzymała jego dłoń i co chwila przyciskała ją do mocno bijącego serca, to gładziła nią swoją rozpaloną twarz, przyciskała się do niego ramieniem i patrzyła w dal rozpromienionymi oczami.

Nachylił się i szepnął cicho i tak blisko, że poczuła jego usta na twarzy.

– Mela...

Ten cichy, przejmujący dźwięk przeleciał po niej jak estrze rozpalone.

Przymknęła oczy, serce zerwało się w niej jak ptak oszalały i zaczęło tłuc się w piersiach mocno i gwałtownie, taka ogromna fala rozkoszy zalała jej duszę, że słowa przemówić nie mogła, uśmiechnęła

koszy zalała jej duszę, że słowa przemówić nie mogła, uśmiechnęła się tylko kątami ust.

– Mela!... Mela!... – powtórzył ciszej, bardzo zmienionym głosem; wsunął rękę pod pelerynę i objął ją wpeł, i przygarnął do siebie bardzo silnie.

Poddała się temu uściskowi tak biernie, że uderzyła piersiami o jego piersi, ale cofnęła się zaraz całym korpusem, oparła się o poduszki powozu i głosem bez sił, bez dźwięku prawie szepnęła:

– Cicho!... cicho!...

Twarz jej pobladła śmiertelnie, z trudem oddychała.

– Mela, ty prosto do domu potrzebujesz jechać? – zapytała nagle rozbudzona ciotka i po kilka razy powtarzała to zapytanie, nim Mela zrozumiała.

– Nie, niech ciocia jedzie. Wstąpię do Róży.

– A Walenty po ciebie potrzebuje przyjechać?

– Jeśli nie będę spała u Róży, to każe mnie odesłać swoimi końmi.

Wysiedli przed pałacem Mendelssohna. Róża wyszła naprzeciwko nim do przedpokoju, bardzo ciekawie patrzyła i bardzo ironicznie przyjmowała grad pocałunków, jakimi ją zasypywała przyjaciółka.

– Jesteś sama? – zapytał Wysocki, na próżno usiłując drżącymi rękami zapiąć surdut i powiesić kapelusz na gładkiej ścianie.

– Nie sama, jest Koko, herbata i nuda! – odpowiedziała i utykając nieco, i kołysząc szerokimi biodrami, prowadziła ich do czarnego gabinetu.

– Skąd ten śpiew się rozchodzi? – zapytał nasłuchując, bo z góry od mieszkania Szai płynął szmer dźwięków monotonnych i rozpryskiwał się po dolnym mieszkaniu.

– Od ojca. Tak codziennie już teraz bywa. Boję się o to, bo już od paru miesięcy, zaraz po śmierci Bucholca, papa ciągle się modli, codziennie przychodzą śpiewacy z synagogi i śpiewają pobożne pieśni. To coś nienaturalnego, a przy tym powiedział któregoś dnia do Stanisława, że chciałby przed śmiercią założyć wielki przytułek dla starych kalek i robotników z naszych fabryk. To jest tak zły symptomat, że Stanisław zatelegrafował do Wiednia po specjalistę doktora.

– Tak, to ciekawe – szepnęła, ale nic nie słyszał, o czym mówiła, drżał ze wzruszenia i leciał oczami za Melą, wychodzącą do przyległego buduaru.

– Cóż tak pomieszani oboje jesteście? Czyście sobie wyznali miłość?

– Prawie że tak, prawie. Ale pani mi pomoże, nieprawdaż?

Zaczął całować jej ręce.

– Pani nie pomoże.

– Ale Róża, nasza droga, dobra, kochana Róża pomoże, nieprawdaż?

– A bardzo ją kochasz, powiedz? – pytała obcierając mu spocone czoło chustką.

Zaczął wybuchać przed nią tak gwałtownie, tak namiętnie obrazował swoją miłość, że ze zdumieniem patrzyła. Nie podejrzewała go o takie płomienne uczucia, ale słuchała z ciekawością, ze współczuciem, a w końcu żal jakiś nieokreślony zaczął budzić się w jej sercu i gdy Mela przyszła i siadła obok niego, Róża podniosła się, zabrała małąpkę i wyszła.

– Słyszałam, coś opowiadał Róży – szepnęła patrząc na niego słodko i nie pozwalając mu przemówić objęła go ramionami i rozpalonymi, spragnionymi ustami wpiła się w jego usta w długim, mocnym, namiętnym pocałunku.

– Kocham cię! – szeptała odrywając się na chwilę.

– Kocham cię! kocham! – odpowiadał cicho. Głosy im się zerwały i zmilkły, a ramiona się zwarły, splątały, objęły w szalonym, namiętnym uścisku, usta utonęły w ustach, serca przestały bić, a oczy widzieć.

A potem, całując jej oczy, włosy, szyję, usta, opowiadał niskim, urywanym, nabrzmiałym wzruszeniem głosem dzieje swego uczucia.

Oparła się plecami o kanapkę, położyła nogi na taburecie, na wprost leżąc słuchała jego głosu, z rozkoszą przymykała oczy pod jego pocałunkami, wysuwała do nich chciwie usta, przeżyła się cała, gdy palił ustami jej szyję, pozwalała się kołysać fali szczęścia, jaka płynęła z jego słów, z jego wyznań miłości, z jego pieśczęt.

A gdy powiedział, że zaraz jutro pójdzie do ojca prosić o jej rękę, gdy wreszcie wyczerpany nieco z sił usiadł na poduszkach u nóg jej i położywszy głowę na jej kolanach wpatrzył się w jej przysłonięte mgłą oczy i zaczął snuć długą, cudną przedzę przyszłości, nie przerywała mu, piła pełną piersią upojenie, patrzyła w niego oczami pełnymi łez szczęścia bezmiernego, pierś się jej podnosiła nadmiarem uczucia, a usta kwitły jakimś dziwnym, smętnym uśmiechem, ale mu nie przeczyła, tylko chwilami brała jego głowę w ręce, całowała jego oczy i cicho szeptała:

– Kocham cię! Mów, najdroższy, niech się upiję dzisiaj, niech oszałeję!

Więc on mówił znowu i wyśpiewywał całą symfonię miłości, nie spostrzegłszy przyjścia Róży, która cichutko usiadła na kanapce, objęła Mełę ramieniem, położyła swoją czerwoną głowę na jej piersiach i pełnymi zielonawych skrzeń oczami wpatrzyła się w niego i słuchała.

A oni snuli dalej przedzę szczęścia i miłości.

Nie istniał już dla nich świat, ludzie, rzeczywistość, wszystko zapadło w głąb niepamięci, przysłonięte tumanem czaru, jaki ich otoczył i przenikał.

Słowa, spojrzenia, myśli krzyżowały się pomiędzy nimi jak błyskawice, drżały rozsadzane nadmiarem uczucia i padały na duszę słodczą niewypowiedzianą.

Mówili coraz mniej i coraz ciszej, jakby bojąc się głośniejszym dźwiękiem spłoszyć czar tej chwili cudownej.

Cisza dookoła panowała, z ulicy nie dochodził szmer najmniejszy, pokój, słabo rozświetlony elektrycznością, tonał w mrokach czarnych ścian, senność rozwłóczyła się słodka, pełna denerwujących zapachów róż pąsowych, których cały snop palił się barwami pod jedną ze ścian, w brązowym wazonie.

Oni już prawie nie mówili, tylko Róża, siedząca bez ruchu, zaczęła drzeć gwałtownie, powstrzymywać łkanie, dusić w sobie łzy, ale nie mogła wytrzymać, rzuciła się na dywan i wybuchnęła ostrym płaczem.

– Dlaczego mnie nikt nie kocha? Dlaczego mnie nikt nie kocha? Przecież i mnie należy się szczęście, i ja potrafię kochać, i ja pragnę miłości! – wołała żalnym głosem i taki mocny spazm żalu skręcał jej serce, że Mela nie mogła jej uspokoić niczym, a przy tym i nie umiała, bo ten płacz zadrgał w niej ostrym, przykrym dysonansem, przypomniawszy okropną rzeczywistość.

Wysocki już się podniósł, chciał wyjść i raz jeszcze przypomniał, że jutro będzie u ojca.

– Muszę ci jedno przypomnieć, ja jestem Żydówka! – powiedziała cicho.

– Pamiętałem o tym, ale to dla mnie nie stanowi żadnej przeszkody, jeśli mnie kochasz i zechcesz przyjąć chrześcijaństwo.

– Gotowam nawet męczeństwo przyjąć dla ciebie! – zawołała mocno. – Nie, nie mówmy o tym. Jutro rano powiem ojcu i zaraz ci napiszę. Czekać na mój list, nie przychodź przedtem!

Szeptając prędko, chwyciła się tego środka, bo nie miała sił i odwagi powiedzieć mu teraz, że jego żoną być nie może.

Nie, za nic w świecie nie powiedziałyby teraz...

To jutro... jutro, a teraz jeszcze pocałunków, jeszcze pieszczot... jeszcze zakłęb... jeszcze tej miłości tak silnej, tak słodkiej, tak upajającej, jeszcze... jeszcze...

– Jeszcze chwilę, mój najdroższy, jeszcze chwilę! – błagała idąc z nim przez szereg mrocznych pokojów ku wyjściu. – Czy nie czujesz, jak mi ciężko oderwać się od ciebie?

. Strach ją ogarniał, strach tak silny, że on wyjdzie i już go nigdy może nie zobaczy, iż przyciskała się do niego z rozpaczą, rzucana mu się w ramiona i zwarci uściskiem, z ustami zawieszonymi na ustach, przystawali na chwilę, nie mogąc się oderwać od siebie.

Ale pomimo tego przedłużania byli coraz bliżej wyjścia, Mela zaczęła się trząść w strasznym zdenerwowaniu, przyciskała się do jego ramienia coraz silniej i coraz boleśniej i ciszej szeptała:

– Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę.

– Jutro się zobaczymy, Mela, i będziemy się widywać codziennie.

– Tak... codziennie... codziennie – powtarzała jak echo, gryzła wargi do krwi, żeby nie krzyknąć, nie wybuchnąć rozpaczą, nie rzucić mu się do nóg i żebrać, aby nie odchodził, aby pozostał lub zabrał ją natychmiast, i wywiózł daleko, daleko.

– Kocham cię? – powiedział jej na dobranoc i ucałował jej ręce i usta.

Nie oddała pocałunku, nie poruszyła się, oparta o ścianę, patrzyła tępym wzrokiem, jak się ubierał, jak otwierał drzwi, jak znikał za szymbami, nie miała sił, łkanie zapchało jej gardło, serce jej pękało.

– Mieciu? – szepnęła za nim.

Nie usłyszał i nie powrócił.

Wolno powracała przez puste, mroczne pokoje, podobne do wielkich wspaniałych grobów, zamieszkałych przez nudę, przepych i pustkę, szła coraz ciężej, przystawała na tych samych miejscach, gdzie przed chwilą jeszcze czuła jego pocałunki, oglądała się nieprzytomnie, czasem jakiś dźwięk wydarł się z ust sinych, i szła dalej, do Róży, płaczącej z żalu, że ją nikt nie kochał.

– Wszystko skończone – myślała Mela, łzy zerwały tamy woli i panowania nad sobą i jak potok rzuciły się z jej oczów.

IX [XXV]

Wysocki leciał na skrzydłach szczęścia do domu. Zastał jeszcze wszystkich przy herbacie, była i Trawińska, która przyszła na minutkę, bo się jej w domu nudziło samej, gdyż mąż pojechał z Kurowskim.

Siedzieli dookoła okrągłego stołu oświetlonego wiszącą lampą, zajęci robieniem uwag o dzisiejszych gościach Niny.

Wysocki trafił na gorącą mowę Anki, broniącej Meli przed zjadliwymi uwagami matki, która podrażniona obecnością syna, podniosła jeszcze ton głosu i zionęła całą rasową pogardą dla Żydów.

Wysocki słuchał w milczeniu, pił herbatę i rozmyślał o Meli. Był jeszcze pod wpływem pocałunków, czuł je jeszcze na twarzy palącymi piętami, usta go piekły, wstrząsał się w dreszczu przypomnień jej uścisków, czuł ją przy sobie, oddychał z rozkoszą wonią jej perfum, jaka pozostała w jego ubraniu, na dłoniach, we włosach.

Był tak szczęśliwy, że na niesprawiedliwe, fanatyczne słowa matki uśmiechnął się pobłażliwie i spoglądał porozumiewająco na Borowieckiego, który, oparty łokciami o stół, okrywał się dymem papierosa i spoza niego patrzył na Ninę i Ankę siedzące przy sobie, z głową opartą o głowę.

Włosy Niny w świetle lampy skrzyły się złotem, a jasna, przezroczysta cera podobna była do zrózowionej porcelany, oświetlonej z wewnątrz; zielonawymi oczami, poplamionymi rdzawymi piętami, patrzyła na Wysocką, a Anka, w koronie ciemnych włosów zwichrzonych, puszystych, mieniła się coraz innym wyrazem, nie mogąc powstrzymać niecierpliwości: zbijała zdania Wysockiej z namiętnością, czasem rzucała się głową naprzód, ściągała wielkie czarne brwi, że tworzyły jakby łuk napięty. Jej ruchliwa twarz odbijała jak zwierciadło wszystkie wrażenia przesuwane przez duszę, ale broniła Żydów sercem, dobrocią i tym zbijała logiczne wywody Wysockiej, która, zagłębiona w fotelu po drugiej stronie stołu, mówiła dobitnym głosem, a w chwilach mocniejszych pochylała się nad stół, ukazując piękną jeszcze twarz w kole światła, jakie lampa rozkręcała.

– Panie Mieczysławie, niechże mi pan pomoże bronić Żydów, a panny Grunspan w szczególności, bo pan Karol nie chce, powiedział, że ona nie potrzebuje tego.

– Nic więcej nad to samo nie powiem. Mela... panna Grunspan nie potrzebuje obrony. Byłoby to samo, gdybym chciał bronić słońca od zarzutów, że zbyt świeci i grzeje.

Zaczęli potem wszyscy żywiej rozmawiać, ale im przerwał Józio Jaskólski.

Chłopak, zapłakany, zaczął jąkać, że Baumowa bardzo chora, że Maks go wysłał do Wysockiego i że on go szukał po całym mieście.

– Idę w tej chwili! Dobranoc państwu.

– I na mnie czas – powiedziała Nina.

– Jest tak pięknie na świecie, że panią odprowadzę. Pan Karol z nami pójdzie?

Karol skłonił się na zgodę, ale nie był zadowolony z projektu Anki, bo mu się spać chciało.

– A propos panny Grunspan – zawołał doktor ze swego gabinetu, bo już był w palcie. – Miejcie państwo dla niej nieco wyrozumienia, choćby dlatego, że to moja przyszła żona.

Matka zerwała się gwałtownie, ale doktor nie czekał, wybiegł śpiesznie do Baumów.

Kiedy Maks na wezwanie Józia wybiegł od Trawińskich i przyleciał do domu, matka już co chwila traciła przytomność.

Wielki pokój napęlił brzask zór zachodnich i obtulał wszystko w mrok czerwony, w którym twarz konającej, wpatrzony w dalekie pustynie nieba, stygła i pokrywała się sinością.

Jedna tylko gromnica, ściszana kurczowo, chwiała mętne, złotawe błyski po jej spokojnej, operlonej rosą konania twarzy.

Frau Augusta klęczała u wezłowania i rozplakana modliła się półgłosem.

Stary Baum siedział w nogach łóżka z kamienną, zimną twarzą i rozpalonymi od łez wewnętrznych oczami patrzył w żonę; ani jeden mięsień mu nie drgał, ani jedna łza nie stoczyła się spod czerwonych powiek. Siedział na pozór spokojny, opierał się o poręcz krzesła i tak silnie ścisnął je, że w twardym drzewie pozostawił głębokie ślady paznokci, a gdy spostrzegł wchodzącego Maksa, podniósł oczy i szedł nimi za jego ruchem, jakim tamten rzucił się do matki klękając przy łóżku.

– Mamo! mamó! – zawołał trwożnie Maks, dotykając się jej ręki zaciśniętej przy gromnicy.

Baumowa oddychała wolno, długo, bardzo długo. Szklane, wypukłe oczy barwiły się refleksami zórz jak toń wodna, prawą ręką odruchowo suwała po kołdrze, jakby za pończochą, która stoczyła się do ściany i nadzianymi drutami niby jeż stalowy połyskiwała.

Kucharki i służba klęcząca w mroku pokoju wybuchnęli głośnym płaczem.

– Mamo! – jęknął raz jeszcze Maks i duszę tak mu skreśliła żałość, że wybuchnął płaczem.

Chora jakby oprzytomniała, odwróciła głowę i utkwiała szklany wzrok w jego twarzy, gromnica wypadła jej z ręki, a ona stygnącą dłonią ujęła rękę syna i trzymała, uśmiech jakby radości ostatniej przewinął się po silnych wargach, poruszyła nimi, ale żaden dźwięk się nie wydobył prócz chrapliwego, rzęzącego oddechu.

Uśmiech stygnął jej na ustach, odwróciła twarz do okna i została tak zapatrzoną martwiejącymi oczami w mroki wieczoru, w ostatnie odpryski zórz, co jak kawały miedzi pływały po szarości nieba i gasły z wolna.

Wiatr powiał po ogrodzie i naginał niskie krzewy bzów do okien; uderzały kiściami kwiatów i niby fioletowymi oczami patrzyły na stężałą, nieruchomą twarz konającej, której dolna szczeka opadała coraz niżej.

Maks, chociaż wiedział, że to już koniec, posłał zaraz z początku po Wysockiego i czekał go z najwyższą niecierpliwością, i co chwila wsłuchiwał z trwogą, czy żyje jeszcze; żyła, ale już życiem odruchów tylko, czasem cichy jęk wydarł się z jej piersi, poruszyła ustami, zrobiła jakiś bezcelowy ruch sztywnymi palcami i leżała znowu godziny całe nieruchoma, martwa, z szeroko otwartymi oczami, zatopionymi w nocy śmierci i w nocy panującej nad ziemią.

Wreszcie przyszedł Wysocki, a za nim wkrótce i Borowiecki, ale po to, aby stwierdzić, że Baumowa skoła przed chwilą.

Maks ukrył twarz w kołdrze i płakał jak dziecko, a stary Baum wstał sztywno, pochylił się nad umarłą, dotknął skroni i rąk zimnych, zajrzał głęboko po raz ostatni w jej oczy otwarte, jakby ze zdumieniem zapatrzone w głąb wieczności, przymknął drżącymi palcami powieki i wyszedł bardzo wolno, oglądając się co krok i przystając.

Dopiero w kantorze pustym i ciemnym usiadł na stosie chustek i długo siedział bez ruchu i bez myśli.

Noc już była głęboka, gdy się ocknął, gwiazdy drgały w przestrzeniach rosą świetlistą, miasto spało w wielkiej ciszy, tylko gdzieś od domów stojących za miastem brzmiał głos harmonijki.

Podniósł się i wolno przeszedł całe mieszkanie, pogrążone w ciszy i ciemności.

W składzie rozświeconym płomieniem gazu zobaczył Józia śpiącego na towarze. Nie budził go i poszedł przez szereg pokoi pustych, cichych tą cichością śmierci, jaka się rozpostarła nad domem; w stołowym zobaczył znowu Maksa śpiącego na sofie, tak jak przyszedł od Trawińskich, we fraku i w białym krawacie.

Zawahał się chwilę przed pokojem żony, ale wszedł.

Łóżko było wysunięte na środek pokoju, zmarła leżała przykryta prześcieradłem, przez które słabo rysowały się linie twarzy.

Kilka świec woskowych paliło się na stole i kilka robotnic modliło się i śpiewało pieśni za umarłych.

Frau Augusta, z kotami na kolanach, opuchnięta od płaczu, drzemała na kanapie.

W otwartych oknach opuszczone rolety wypinał wiatr i kołysał firankami.

Baum patrzył długo na ten obraz, jakby go chciał zapamiętać na zawsze albo jakby go nie mógł zrozumieć, bo cofnął się do swojego pokoju, wziął zapaloną benzynową lampkę i jak to robił często w ostatnich czasach, gdy spać nie mógł, poszedł do fabryki.

Pawilony stały olbrzymimi czworobokami kamieni ciche i czarne, księżyc już zaszedł, tylko gwiazdy świeciły blado przysłaniane mgławicami przedświt, jakby zmacone walką nocy z dniem, który się już zaczął w głębokich przestrzeniach wschodu.

Dziedziniec, podobny do studni czarnej, rozlegał się echem wycia i skowytu psów, których zapomniano spuścić z łańcuchów.

Nic nie słyszał i wszedł w czarne, długie korytarze, podobne do tunelów, zionące ostrym, przegniłym powietrzem; echa jego kroków rozbrzmiewały głucho w pustce i ciszy.

Przechodził wolno salę po sali krokiem automatu. Sale zalegała ciężka, grobowa cisza, rzędy warsztatów z obu stron przejścia stały niby szkielety pogięte w bezsilności; niby wyprute włókna i żyły wisiały pasy poopadane z kół, pokryte długimi włosami pajęczyn, a wstęgi deseni zwieszały się luźno jak martwa, obwiśnięta skóra.

– Umarła! – szepnął patrząc na długi szereg sal, nasłuchując w tej śmiertelnej ciszy. – Umarła! – Powtarzał od czasu do czasu, ale nie

wiadomo, co miał na myśli, żonę czy fabrykę, i włókł się coraz wolniej z sali do sali, z piętra na piętro, z pawilonu do pawilonu.

Wysocki z Borowieckim wyszli od Baumów w bardzo smutnym nastroju.

– Szkoda mi Maksa, ta śmierć matki, którą kochał szalenie, wytrąci go z równowagi na dłuższy czas. I to w takim czasie, kiedy jest przy montowaniu maszyn prawie niezbędnym. Mam pech! Wszystko mi tak idzie! – szepnął Karol ze złością.

– Prędko panna Anna sprowadza się do Łodzi?

– Za tydzień.

– A ślub?

– Akurat to mi w głowie! Muszę wpierw to swoje bydlę ożywić i puścić w ruch. Jak fabryka zacznie iść, co nie może się stać przed październikiem, dopiero pomyślę.

Szli dalej w milczeniu, ale na Piotrkowskiej najniespodziewaniej spotkali Welta.

– Kiedyś przyjechał, Moryc? Pójdziemy gdzie na kawę.

– Przyjechałem w tej chwili i szedłem do domu, ale jeśli idziecie na kawę, pójdę z wami.

– Maksowi umarła matka przed chwilą; idziemy stamtąd.

– Umarła! Nie lubię takich rzeczy.

Wstrząsnął się.

– Co nowego w mieście?

– Prawie nic, a zresztą nie wiem, siedzę całe dni przy fabryce. Grosalik się ucieszy, jak cię zobaczy. Pytał mnie dzisiaj o ciebie.

– Nie bardzo się ucieszy! – szepnął Moryc wciskając binokle na nos nieco drżącymi rękami i bystro obejrzał twarz Karola.

W hotelu, dokąd poszli na kawę, z powodu późnej godziny były zupełnie pustki, w ogrodzie tylko, urządzonym w środku podwórza, siedział Myszkowski z Murrayem.

Przysiedli, się do nich.

– Od godziny czekam na jaką żywą duszę, bo mi się już sprzykrzyło pić samemu.

– Nie masz pan Anglika?

– On tylko po czwartej narzeczonej czuje się dobrze, ale po czwartym kuflu jest do niczego.

– Dawno, panowie, tutaj jesteście?

– Murray przed pół godziną przyszedł z tokowania, a ja trochę dawniej siedzę. Przyszedłem na śniadanie, ale tak jakoś zeszło do obia-

du, a po obiedzie przyszło trochę znajomych i nie warto było wychodzić, czekałem na kolację, a po kolacji cóż bym robił na mieście? Teatru nie lubię, znajomych nie mam, gdzie się, biedna sierota, podzieję, jeśli nie w knajpie. A potem Murray bardzo ciekawe rzeczy opowiadał o swoich narzeczonych. Jakże fabryka?

– Rośnie.

– Daj jej, Boże, zdrowie, dobry żołądek i trawienie. Zmizerniałeś pan.

– Ba, robię za dziesięciu i jeszcze nie wystarcza.

– Bądźcie zdrowi! Co który przyjdzie, opowiada zaraz, co robił wczoraj, co dzisiaj i co robić będzie jutro, że się spracował i tam dalej. Cóż, u diabła? gdzie ja jestem? Pomiędzy ludźmi czy wśród maszyn? Tfu, psiakrew, takie ogłupienie, takie sprowadzenie się do mechanicznych funkcji! Ja chciałbym wiedzieć, co myślą, co czują, jak widzą, a oni mi gadają, że pracują. Daj no piwa dla wszystkich! – zawołał na garsona

– My kawę będziemy pili.

– Pijcie.

– Kto ma czas myśleć o niebieskich migdałach, kogo stać na to? – szepnął drwiąco Moryc.

Wołu tylko nie stać na to, bo go pędzą do roboty.

– Bo to grunt, panie Myszkowski, a reszta dodatek.

– Nie powiadaj pan tego, bo że pan jesteś dodatkiem do własnego pugilaresu, to mnie nie dziwi, tłumaczy pana wasza łajdacka i głupia rasa, ale że tak samo twierdzi Borowiecki i doktor, to mnie irytuje.

– Ja niczemu nie przeczę i nic nie potwierdzam, stawiam teraz fabrykę, a jak ją skończę, zacznę dopiero bawić się w filozofowanie.

– A ja idę do domu, jestem szalenie zmordowany – powiedział Wysocki i zaraz wyszedł.

Karol spiesznie wypił herbatę i wyszedł z Morycem.

– Zostańcie ze mną – prosił Myszkowski Murraya. – Pomówimy o miłości.

– Nie mogę, jutro poniedziałek, muszę wstać o piątej do fabryki.

– Czy macie już miejsce po Borowieckim?

– Robotę po mm wzięłem całą, ale pensji tylko połowę – rzekł wychodząc.

Myszkowski pozostał sam i zadumał się smutnie, że trzeba będzie wracać do domu, i tak go ta myśl zgnębiła, że zaczął się kiwać nad stołem.

– Jaśnie panie, zamykamy! – meldował uprzejmie kelner.

Spojrzał sennie dookoła, było pusto, mroczno, ciemno, służba sprzątała nakrycia i zestawiała na kupę stoły.

Myszkowski włożył kapelusz, zapłacił i doszedł tylko do drzwi, bo taka niechęć go przejęła do wracania do domu, tak się bał samotności, że powrócił do stolika i zawołał:

– Kelner, butelkę piwa i dwie szklanki, musisz się ze mną napić. Powiedz numerowemu, żeby mi naszykował jakie spanie. Psiakrew, z takim życiem.

Splunął ze złości.

X [XXVI]

– Dwa dni jesteśmy, a jeszcze nie mogę uwierzyć, że naprawdę mieszkamy w Łodzi – ozwała się Anka z werendy.

– A jednak to już Łódź naprawdę! – odpowiedział pan Adam siedzący na swoim wózku w ogrodzie pod werendą i przysłonił dłonią oczy od blasków słońca, i rozglądał się dookoła po czerwonych murach fabryk i kominów stojących gęstą ciżbą, zatrzymał wzrok dłużej na rusztowaniach fabryki Karola wznoszącej się w końcu ogrodu i westchnął cicho.

– Tak, to Łódź! – szepnęła Anka ciszej i wróciła do mieszkania pomiędzy paki pootwierane, meble w nieładzie, sprzęty okręcone w słomę, pomiędzy chaos rzeczy pospiesznie rozpakowywanych i ustawianych przez kilku robotników z Mateuszem na czele.

Pomagała porządkować, sama zawieszała firanki, czasem żywo rozmawiała z Mateuszem, ale najczęściej siadała na jakiej pace lub na parapecie okna i smutnym wzrokiem wodziła po mieszkaniu.

Było jej smutno i takim dziwnym smutkiem ogarniał ją ten dom obcy, te szeregi pokojów świeżo odnowionych, pachnących jeszcze farbami zaciąganych podłóg, że uciekała na wielką werendę, ciągnącą się przez pół domu i osłoniętą zielonymi festonami wina dzikiego, ale i tam się nie uspakajała, bo oczy. przywykłe do bezmiaru pól zielonych, do lasów siniejących na krańcach do rozkoszy olbrzymiej nieba nie zasłanianego niczym, uderzały się o domy, o fabryki, o lśniące w słońcu dachy, o tę Łódź właśnie, która ją niby kamiennym pierścieniem ścisnęła ze stron wszystkich, o tę Łódź, o której marzyła, która miała dać jej ziszczenie wszystkich pragnień, a która ją teraz przejmowała głębokim, nieuzasadnionym smutkiem przeczuć lękliwych i ciemnych.

Wracała do mieszkania jakby wstydząc się własnej słabości i z trudem tłumiąc te dziwne łyzy nieokreślonej tęsknoty, napełniające jej oczy.

– Może ojcu czego potrzeba? – pytała od czasu do czasu, wychylając się przez okno.

– Niczego, Anka, niczego, przecież już jesteśmy w Łodzi i za godzinę Karol przyjdzie na obiad – odpowiadał głośno, krzykliwie nawet,

bo nie chciał, aby dziewczyna widziała, że i on się mazgał wewnątrz, więc dla pokrycia smutku zaczął podśpiewywać:

Miała babuleńka kozła rogatego,
Tych bych, tych bych.

– A pchnij no, Waluś!

Ale Walusia nie było, pozostał w Kurowie, a zastępował go Mateusz tymczasowo.

Westchnął pan Adam i zamilkł; zapatrzył się w brudne kłęby dymów, bijące z kominów fabryk Mullerowskich.

Odetchnął głęboko i zakaszłał się gwałtownie, bo powietrze było przesycone zapachem wapna rozrabianego i gotującego się asfaltu, którym wylewano sale w fabryce Karola.

Przysłonił usta chusteczką i zapatrzył się w długą uliczkę ogródka, biegnącą do fabryki, osadzoną przepyszną ramą krzewów centyfolii, obsypanych kwiatami białych i różowych róż.

Czas był bardzo piękny, cichy i ciepły; ogród chwiał się lekko i połyskiwał czerniawymi liśćmi czereśni, przysypanymi pyłem węglowym i sadzami.

Kilkadziesiąt drzew owocowych wznosiło korony o przyżółkłej już nieco zieleni i patrzyło łakomie w słońce i ku czystym przestrzeniom pól, zaczynających się niedaleko.

Ocknął się wreszcie i zagwizdał na kosa, wiszącego na werendzie, ale kos nie odezwał się na znane hasło, siedział na spodzie klatki osowiały, z opuszczonymi skrzydłami, senny, podniósł głowę, popatrzył tępo na swego pana i znowu drzemał.

– Nie idzie Karol? – zapytała Anka z mieszkania.

– Nie, dopiero za pół godziny będą gwizdać na obiad. Anka! chodź no, dziewczyno!

Przyszła i usiadła na poręczy wózka i patrzyła w starego.

– Co ci to, Anka, co? Odważnie, dziewczyno, tylko się nie daj, tylko się nie mazgaj. Widzisz ją, to mi zuch dopiero!... Ho, ho! jeszcze zapomnisz, że jakiś Kurów istnieje na świecie. Co tam, głowa do góry i marsz! – mówił prędko, pocałował ją, pogłaskał po głowie i zaczął gwizdać zapamiętałe i wybijać takt nogą.

Potem kazał się Mateuszowi zawieźć do mieszkania i tam krzyczał, dyrygował robotnikami i podśpiewywał, zważając pilnie, by ten śpiew słyszała Anka.

Później zaś przekomarzał się z Kaina, która przyszła z Wysocką w odwiedziny i trochę do pomocy przy urządzaniu mieszkania, ale tymczasem robiła więcej zamieszania niż wszyscy razem, bo stare podwórzowe i myśliwskie psy, przywiezione z Kurowa i włóczące się po mieszkaniu i ogrodzie z pospuszczanymi łbami, związała w sfore i harcowała z nimi po werendzie.

– Kama, co ty wyrabiasz? Cioci powiem, no i pan Horn będzie wiedział, że bawisz się w psiarcyka! – strofowała ją Wysocka zatykając uszy od wycia i szczucia psów.

– Co mi tam! Ja się nikogo nie boję. Panna Anna mnie obroni – wołała rozgrzana ruchem i zabawą, rzucała się na Ankę, wycalowała ją ogniście i uciekała, bo psy ją ciągnęły do ogrodu.

– Zagraj! Łapa! Kruczek! kot!... kot!... kot!... – wołała z całych sił, puszczając psy na białego kota i razem z nimi goniła go zajadle po ogrodzie.

Przewróciła się parę razy, ale nie zważała na to. podnosiła się i goniła z krzykiem, psy odpowiadały jej krótkim szczekaniem wśród daremnej pogoni, bo kot skoczył na drzewo i parskał groźnie.

Kama wlaźła za nim i już, już go miała uchwycić za grzbiet, ale kot się naprężył i skoczył na sąsiednie drzewo, a stamtąd na parkan, gdzie się przyczaił! i najspokojniej patrzył zielonymi oczami na psy, drapiące się po murze i skomlące z wściekłości, i na Kame, tak zmęczoną, że ledwie oddychała.

– Zuch dziewczyna, zuch Kama. A chodź no ty, smyku, niech cię ucałuję – wołał pan Adam śmiejąc się z radości.

– Zmachałam się na nic. Jezus? ledwie mogę zipać. Psy do niczego... już w kacie ogrodu pod agrestem miały go w zębach, tytko futro mu się zasypało, ale się wyrwał i chlusnął na drzewo, my za nim, strzęsłam go, zleciał, psy do niego, a on mi parsknął w oczy i znowu chlust na tę dużą wiśnię. Wlaźłam za nim... a on prawie przeze mnie skoczył dalej. U...zmachałam się... – wołała rozpromieniona, trąc kolano o kolano, bo przy włożeniu na drzewo poobcierała sobie nogi i paliły ją teraz nieco.

Pan Adam ucałował ją w głowę i odgarnął z twarzy rozsypaną, spoconą czuprynę.

– Chciałabym, żeby pan był moim wujaszkiem! – zawołała obejmując go za szyję.

– Oho! pan Karol idzie z Morycem. Wie pan, ja panu będę mówiła wuju, dobrze?

– Dobrze, dobrze, bo ja nawet przez twoją ciotkę jestem jakimś twoim krewnym.

– Panno Anno! pan Karol z czarnym Morycem idą na obiad? – krzyknęła z werendy i poszła naprzeciw idących, bo bardzo lubiła Karola; psy poszły zgodnie za nią i zaczęły wedle starego kurowskiego obyczaju naszczekiwać na gości.

– Cicho, Kurta, cicho, pieski, to wasz pan, a tamtego Żyda nie można gryźć, bo nie pachciarz! – uspakajała głaszcząc po łbach.

– Ja się z panami nie witam, pan Karol nie był u nas dwa tygodnie, a pan Moryc z tysiąc lat.

– Za to ja pannie Kamie przywiozłem coś z Berlina, tylko nie mam przy sobie, ale przyniosę do domu.

– My takie obietnice dobrze znamy na Spacerowej. tak samo i pani Stefania nie wierzy panu Karolowi, bo obiecuje przychodzić, a nie był dwa tygodnie – wołała Kama wprowadzając ich na werendę, gdzie podano obiad.

Moryc był bardzo blady dzisiaj, dziwnie nerwowy i dziwnie niespokojny.

Usiłował być rozmownym i zabawnym, bo ustawicznie żartował z Kamy, która się zniecierpliwiła w końcu i ze zwykłą porywcznością chlusnęła mu szklankę wody w oczy, za co usłyszała taką burę od Wysockiej, że ze łzami przeproszała.

– Moryc! niech się pan nie gniewa, bo jak się pan będzie gniewać i powie pan cioci, to ja tyle nagadam w domu na pana, tyle nagadam, że i ciocia, i panna Stefa, i Wanda, i pan Sierpiński, i wszyscy, wszyscy pogniewają się na pana.

– A Horn cię wyzwie i zastrzeli z nowej armaty! – dodał w jej tonie Karol.

– A zastrzeli! Co? nie? Pan myśli, że Horn nie umie strzelać? W niedzielę w strzelnicy trafił z pistoletu w asa piętnaście razy na dwadzieścia, sama widziałam.

– A to Kama chodzi do strzelnicy? dobrze wiedzieć.

– Ja nie mówiłam... ja...

Rozczzerwieniła się gwałtownie, zagwizdała na psy i uciekła do ogrodu.

– Cudna dziewczyna! Szkoda, że się tak marnuje w Łodzi – szepnął pan Adam.

– Pewnie, że byłoby jej lepiej na pastwisku z pastuchami, ale cóż. Jej marna tak wiele tego używała dla siebie, że już dla córki nie starczyło – ironizował Karol.

– Najlepsze dziecko pod słońcem – powiedziała Wysocka patrząc za nią w ogród.

– Mogłaby być trochę mądrzejszą.

– Zmądrzeje jeszcze, ma czas.

– Nie tak wiele, ma przecież z piętnaście lat, a zupełnie surowa dziczka.

Obiad skończył się szybko, szybko również wypili kawę i powrócili do fabryki, bo gardziele gwizdawek ryczały ze wszystkich stron swoją zwykłą pobudkę poobiednią.

Gdy wyszli, a pan Adam kazał się zawieźć w cień ogrodu na drzemkę, Wysocka przysunęła się do Anki i bardzo radosnym głosem mówiła:

– Muszę ci powiedzieć, że już jestem spokojna o Miecia. Nie było go dwa dni w domu, wyjeżdżał do Warszawy, przyjechał wczoraj i przy obiedzie powiada mi, żebym była spokojną, bo się z tą... Grunspanówną nie ożeni, że ona nie chciała wyjść za niego... Słyszysz, Anka, Grunspanówna nie chciała wyjść za męża za Wysockiego, za mojego syna! To przechodzi pojęcie, taka bezczelność żydowska!

– Pachciarka jakaś... nie chciała wyjść za mojego syna!... Dobrze się stało, dałam na mszę świętą z radości, ale swoją drogą nie mogę jej darować... Jak ona śmiała odmówić mojemu synowi... i to kto, prosta Żydówka!... Pokazał mi list jej, w którym ona najbezwstydniej powiada, że go kocha, ale za niego wyjść nie może, bo na zmianę religii jej rodzina się nigdy nie zgodzi. Pożegnała go tak czule, że doprawdy, gdybym nie była wiedziała, że to pisała Żydówka, i gdyby to nie chodziło o mojego syna, to płakałabym z żalu nad nią. Chcesz, to przeczytaj ten list, tylko nikomu, Anka, ani słowa.

Anka czytała długo, bo list był na czterech stronach, drobnym piśmem i taki przepelniony łzami, miłością, żalem, zaparciem się siebie, że nie mogła doczytać do końca i rozplakała się nad jej cierpieniem.

– Ależ ona umiera z bólu... Pan Mieczysław, jeśli ją kocha, nie powinien na nic zważać...

– Pan Bóg jej wynagrodzi te cierpienia. Nie bój się, nie umrze z miłości, wyjdzie za męża za jakiego milionera i pocieszysz się prędko. Nie znasz Żydówek.

– Cierpienie w każdym sercu jest cierpieniem – odpowiedziała Anka smutnie.

– To się tak mówi, a w rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

– Nie... nie...

Zerwała się gwałtownie, bo od fabryki rozległ się trzask, potem huk i jakiś nieludzki ryk z kilkunastu piersi rozległ się po ogrodzie.

Po chwili na ścieżce od fabryki ukazała się Kama, biegnąc co tchu.

– Rusztowanie!... Jezus... wszyscy zabici... O Jezus, o Jezus!... – wołała nieprzytomnie, trzęsąc się ze strachu i przerażenia.

Anka w najwyższej trwodze pobiegła, ale przy furtce wiodącej z ogrodu na dziedziniec fabryczny stał człowiek i nie chciał puścić tłumacząc, że nic strasznego się nie stało, że to tylko rusztowanie szczytowe się zważyło i przygniotło kilku ludzi, że właśnie pobiegł tam pan Borowiecki, a jemu kazali nikogo nie wpuszczać.

Anka wróciła do mieszkania, ale gdy Wysocka z Kamą odeszły, nie mogła wytrzymać dłużej, zdawało się jej, że słyszy jęki rannych...

Posłała Mateusza, żeby się dowiedział szczegółów, a nie mogąc się go doczekać, zabrała swoją podręczną apteczkę, wypróbowaną tyłkrotnie w Kurowie, i poszła.

Ze zdumieniem zobaczyła, że w fabryce idzie robota w dalszym ciągu.

Mularze pogwizdując stali na rusztowaniach przy głównym korpusie, blacharze rozwijali na dachach wielkie arkusze blachy cynkowej, podwórze było zapchane wozami, cegłą i wapnem, a w przyszłej przędzalni najspokojniej ustawiano maszyny.

Karola nigdzie nie zobaczyła, wyszedł na miasto, jak ją objaśniono, wskazując jednocześnie salę, w której pracował Maks Baum.

Wyszedł do niej spieszenie, był w niebieskiej bluzie, z twarzą poczernioną, z pozlepianymi od potu włosami, z fajką w zębach i z rękami w kieszeniach.

– Co się stało? – zapytała.

– I... nic. Zważyło się rusztowanie, które i tak rozbierać miano.

– Nie było żadnego wypadku z ludźmi?

– Karol nie zginął, wyszedł z Morycem przed chwilą – odpowiedział sucho.

– Wiem o tym, ale czy robotnicy nie ucierpieli, bo słyszałam krzyk...

– Podobno jest ktoś potłuczony, bo również słyszałem ryczenie.

– Gdzie oni są? – zapytała trochę rozkazująco, bo już ją niecierpliwiła niedbałość jego odpowiedzi i jakby wyzywający nieco wyraz twarzy.

– Za trzecią salą w korytarzu. Po co pani ten widok?

– Doktor jest?

– Posyłano, ale nie było go w domu. Jaskólski opatruje ich tymczasem, on się zna na medycynie, bo przecież kiedyś na swoim folwarku puszczał krew bydłu. Nie, ja pani tam nie puszczę, po co się denerwować, to widok nie dla pani, nic im wreszcie pani

nie pomoże – powiedział stanowczo, zastępując jej drogę.

Obraziła się i spojrzała na niego tak z góry i dumnie, że cofnął się bezwiednie, odsłaniając drzwi i wskazując ruchem drogę.

Powrócił do przerwanej roboty, ale od czasu do czasu zaglądał ukradkiem na korytarz, gdzie leżeli ranni.

Szeroki, oświetlony od podwórza szklaną ścianą korytarz służył za tymczasowe schronienie.

Leżało ich pięciu w jednym rzędzie pod ścianą, na świeżych heblowinach i słomie.

Jaskólski przy pomocy robotnika opatrywał im rany.

Jęki przepelniały korytarz, a od porozbijanych i leżących nrby kłody ludzi sączyły się po białej podłodze strugi krwi i krzepły w duszącym cieple, jakie było od sal sąsiednich i przez ścianę wystawioną na rażące upałem słońce.

Anka aż krzyknęła zobaczywszy te okrwawione postacie i bez namysłu zaczęła pomagać Jaskólskiemu w opatrunkach.

Trzęsła się na widok połamanych, obrzmiałych już nóg, strachem ją przejmowały te sine, uwalane w ziemi i krwi twarze, a ich jęki przejmowały ją takim bólem, że miała pełne łez oczy i po kilka razy robiło jej się tak niedobrze, że musiała wychodzić na powietrze, ale powracała, przemogła zgrozą, przemogła obrzydzenie i pełna współczucia i litości obmywała im rany i, jak mogła, tamowała szarpianymi krew płynącą.

Ujęła wszystko w swoje ręce, bo Jaskólski więcej wzdychał, niż robił, posłała Mateusza, aby natychmiast sprowadził pierwszego lepszego doktora i felczera.

Po fabryce pomiędzy robotnikami rozniosła się zaraz wieść, że sama panienka opatruje chorych, bo coraz ktoś zaglądał przez szyby i znikał z potwierdzeniem jej dobroci.

Przyjechał w jakie pół godziny Wysocki, który był urzędowym doktorem przy budowie fabryki, i ze zdumieniem przypatrywał się jej promieniejącej i przelazionej twarzy, jej sukni i rękom pokrwawionym i tym na pół trupom, którzy stygnącymi rękami chwyтали kraj jej szaty do ucałowania.

Zabrał się żywo do roboty i zaraz stwierdził, że dwóch ma połamane nogi, jeden zgruchotane ramię i obojczyk, czwarty rozbitą głowę, a piąty, kilkunastoletni chłopak, który mdlał ciągle, jakieś wewnętrzne obrażenie.

Trzech ciężiej rannych odstawiono na noszach do szpitala. po czwartego zgłosiła się żona i wśród krzyków i płaczów zabrała go do domu, pozostał tylko chłopak, którego wreszcie otrzeźwił doktor i kazał kłaść na nosze, ale chłopak ryknął płaczem i uchwycił się sukni Anki.

– Nie dajta mnie, pani, do szpitala, nie dajta me, pani... loboga, nie dajta! – krzyczał.

Zaczęła mu tłumaczyć i uspakajać, ale nic nie pomogło.

Chłopak drżał ze strachu i obłąkanym wzrokiem śledził ruchy ludzi stojących przy noszach.

– No, dobrze, ale powiedz, gdzie masz matkę, to cię tam odniosą, a ja będę pamiętać o tobie.

– Nie mam matki.

– A gdzie, u kogo mieszkasz?

– Ja ta nikaj nie mieszkam.

– Musisz przecież gdzie sypiać?

– A sypiam... w cegielni Karczmarkowej i zawsze rano przyjeżdżam z ceglarzami.

– Cóż z nim zrobić?

– Do szpitala pójdzie – zawyrokował doktor, co chłopaka tak przestraszyło, że uczeplił się znowu Anki i zemdlał.

– Panie Jaskólski, niech go zanosą do nas, do tego pustego pokoju na górze – zawołała żywo Anka. – Nie bój się, będziesz się leczyć w domu, U nas! – powiedziała do niego, gdy oprzytomniał.

Chłopak nic nie odpowiedział, tylko gdy go położyli na nosze i nieśli, patrzył w nią z uwielbieniem pełnym zdumienia.

Umieścili go na górze, Wysocki go opatrzył odkrywając, że chłopak ma trzy żebra złamane. Dzień potoczył się dalej zwykłą koleją. Wieczorem przy kolacji, na której był i Moryc, Anka wyszła odwiedzić chorego, bo dostał gorączki i majaczył nieco, dosyć długo tam siedziała

i powróciła bardzo wzruszona, tak że ręce się jej trzęsły przy nalewaniu herbaty. Miała właśnie powiedzieć o chłopaku Karolowi, gdy on odbierając herbatę powiedział cicho z naciskiem:

– Masz szczególne zachcianki, żeby chorych sprowadzać do domu.

– Szpitala bał się, rodziny żadnej nie ma, sypiał po cegielniach, cóż miałam zrobić?

– W każdym razie nie zamieniać naszego domu na szpital dla włóczęgów.

– Przecież... przecież spotkało go nieszczęście przy twojej fabryce... więc...

– Nie robił za darmo – powiedział Karol gniewnie.

Anka spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Pan to serio mówi! Więc miałam go zostawić na ulicy lub oddać do szpitala, żeby umarł ze strachu, bo już mdlał dowiedziawszy się, że go tam odwiozą.

– Lubi pani sentymentalizować, bardzo zwykłe rzeczy. Ładne to, ale zupełnie niepotrzebne,

– To zależy, jak kto odczuwa ludzkie cierpienia.

– Niech mi pani wierzy, że i ja odczuwam, ale nie może pani ode mnie wymagać, abym się roztkliwiał nad każdym niedołęgą, nad każdym psem kulawym, kwiatkiem zwiędniętym lub motylkiem zdeptanym.

Ostra, złośliwa ironia zamigotała mu w oczach.

– On ma trzy żebra złamane, rozbitą głowę i krwotok płucny, więc nie jest z kategorii kwiatków zwiędniętych ani motylków zdeptanych. Cierpi...

– A niech sobie zdycha z Bogiem – rzucił ostro, dotknięty jej wyniosłością tonu.

– Pan nie ma litości... – szepnęła ciszej z wyrzutem.

– Mam litość, tylko mnie nie stać na filantropię. Szkoda, że pani wszystkich nie kazała znieść do mieszkania naszego.

– Nie było potrzeba, ale gdyby było, pewnie, że nie namyślałabym się...

– Szkoda, że się tak nie stało, byłby ładny widok.

Mieszkanie zamienione w szpital, a pani w siostrę miłosierdzia.

Byłby widok piękniejszy, bo pan z pewnością kazałbyś ich wyrzucić na ulicę – powiedziała z gniewem i już się nie odzywała, nozdrza się jej poruszały, a oczy rzucały ostre, mocne błyskawice; zagryzała usta, aby pokryć drżenie zdenerwowania.

Nie tyle była gniewna na niego, ile rozżalona na jego niespodziewane okrucieństwo, nie mogła uwierzyć, żeby to on miał duszę tak twardą i zamkniętą na niedolę ludzką.

To ją głęboko zabolalo, spoglądała na niego z niedowierzaniem i obawą, ale Karol unikał jej spojrzeń, rozmawiał z Morycem i z ojcem i wreszcie podniósł się do wyjścia.

Gdy ją całował w rękę na pożegnanie, szepnęła cicho:

- Pan się gniewa na mnie? – i patrzyła mu prosząco w oczy.
- Dobranoc pani. Chodźże, Moryc, Czy Mateusz poszedł?
- Zaraz z wieczora wysłałem go do twojego mieszkania – powiedział pan Adam, bo Anka rozgniewana wyszła z jadalni na werendę.
- Walcz i zwyciężaj w Łodzi, jeśli ci w domu podstawia nogę magajowaty sentymentalizm – odezwał się na ulicy Karol.

Moryc szedł w milczeniu i bez humoru.

– To jest logika kobiet, że dzisiaj porwie ją dola wrony zdychającej, a jutro bez wahania poświęci rodzinę dla kaprysu chwilowego – mówił po chwili, mocno rozdrażniony.

Moryc znowu się nie odezwał.

– Kobiety lubią uszczęśliwiać ludzkość kosztem swoich obowiązków najbliższych.

– Nic mnie to nie obchodzi, czy one są takie, czy inne, niech tylko będą ładne, jeśli są kochankami a bogate – jeśli mają być żonami.

– Gadasz głupstwa.

– A ty... ty nie masz pieniędzy, czuję to po twoim humorze.

Karol uśmiechnął się melancholijnie i nie zaprzeczył.

Mieszkanie było oświetlone i Mateusz czekał z szumiącym samowarem.

Karol po przyjeździe Anki sprowadził się z powrotem do dawnego mieszkania, chociaż mu było bardzo niewygodnie z powodu oddalenia.

– Był z wieczora zaraz pan Horn i zostawił na biurku kartkę do pana dyrektora – meldował Mateusz.

Horn donosił, że po południu aresztowano Grosmana, zięcia Grunspana, silnie podejrzanego o podpalenie.

Horn dlatego donosił o tym, bo wiedział, że Grosman jest w interesach z Morycem.

– Moryc, masz tutaj wiadomość dla siebie – zawołał Karol idąc do jego pokoju.

– Nic wielkiego, można spać przy takim kłopotcie, kto mu dowiedzie? – szepnęła Moryc przeczytawszy.

- A ty jak myślisz?
- Ja wiem, że on jest Czysty jak sztuka perkalu prosto z blichu.
- Z apretury – poprawił go Karol i wrócił do swego pokoju.

Cisza zapanowała w mieszkaniu. Karol pisał i obliczał u siebie. Moryc również pisał i obliczał w swoim pokoju, a Maks, który od śmierci matki nie wychodził na miasto wieczorami, tylko prosto z kolacji od ojca powracał do domu, kładł się do łóżka i czytywał Biblię albo sprowadzał swego kuzyna, słuchacza teologii, i wiódł z nim zacięte rozprawy teologiczne, klócił się godzinami z najbliższego powodu.

Mateusz co czas jakiś roznosił herbatę po pokojach i wracał pod piec w jadalnym, drzemiąc i czekając rozkazów.

- Psiakrew! – zaklął Karol, rzucił pióro i zaczął chodzić po pokoju.

Jadły go już od kilku dni nieustanne kłopoty pieniężne, zawody dostawców, opóźniających jakby umyślnie terminy różnych dostaw. Maszynę popsuli mu robotnicy, narażając na wielkie straty.

Na domiar złego w fundamentach zakładanych pod skład pokazała się woda tak obficie, że musiano zaprzestać robót, a tu znowu ten wypadek dzisiejszy i kłótnia z Anką rozstroiły go zupełnie; rozstrajało go to ostatnie tym silniej, że czuł się wobec niej winnym i że miał coraz większy żal do niej.

Przeszkadzała mu.

– Moryc! – zawołał przez pokój. – Sprzedaj resztę bawełny, bo już nie wytrzymam, a od lichwiarzy nie chcę pożyczać.

– Masz wielkie wypłaty?

– Cóż, u diabła, pokazywałem ci dzisiaj rachunki.

– Rachunki widziałem, sądząc, że masz na ich pokrycie.

– Nic prawie nie mam i w dodatku zawodzi mnie wszystko...

Sprzysięgli się na nas czy co? Gdzie utknę o kredyt – odmowa. Nawet Karczmarek chciał weksli z trzymiesięcznym terminem. Coś w tym jest. Kto nam może szkodzić? Bo że to jakaś konkurencyjna sprawa, to zaczynam widzieć... Jak to! czterdzieści tysięcy rubli gotówki włożyć i nie móc dokończyć fabryki? nie znaleźć na drugie tyle kredytu, i to w Łodzi, gdzie taki łajdak, plajciarz jak Szmerling buduje ogromną fabrykę nie mając ani grosza, gdzie byle parch robi wielkie interesy kredytem, ja muszę się udawać do prywatnych pożyczek!

– Weź spółnika z gotówką albo z kredytem dużym, znajdziesz łatwo.

– Dziękuję ci za radę, sam zacząłem, to i sam skończę albo padnę. Wziąć spółnika z pieniędzmi, to znaczy iść do służby, iść znowu w za-

leżność dlatego, żeby się męczyć dalej i stworzyć jeszcze jedną tandeciarnię. Chcę fabryki i chcę pieniędzy, ale tandety wyrabiać nie będę.

– Źle obliczasz, tandeta daje największe zyski.

– A ty liczysz jak kramarz, jak Zuker, Grunspan i wszyscy wasi fabrykanci. Chcesz zarobić rubla na rublu, i to zarobić zaraz, dzisiaj, nie licząc się z tym, że odbiorca może się tylko raz złapać, a na drugi raz pójdzie kupić do kogo innego, a ty będziesz czekał na sucho nowego głupca.

– Nigdy ich nie braknie.

– W handlu braknie ich prędzej, niż przypuszczasz, bo z podniesieniem ogólnego dobrobytu wzmagają się wymagania. Chłop na wsi kupi chustkę Zukera dla kobiety, ale ten sam chłop przeniesiony do miasta weźmie na drugi raz już Grunspanowską, a jego dzieci, chociażby były wyrobnikami, sięgną po Meyerowskie. Już ogół kupujących zaczyna rozumieć, że taniłość towaru leży w jego dobroci, a nie w niskiej cenie. Bucholc, Meyer, Kessler dobrze to rozumieją i robią interesy na towarach solidnych.

– Robią, prawda, ale znacznie prędzej robi miliony Szaja, Grunspan i stu innych, i dla dwustu nowych jest jeszcze wielkie miejsce i czas do zrobienia majątku.

– Otóż wątpię, czy starczy czasu tym stu nowym tandeciarzom do zrobienia pieniędzy.

– Aha, więc tylko dlatego, chcesz uszlachetniać łódzką produkcję?

– Muszę się przecież liczyć z zapotrzebowaniami rynków, z przyszłością... Dobry, wysoki gatunek może iść lepiej, więc go robić będę.

– Rozumiem cię dobrze, ale wielkiego zaufania nie mam do tego jutra, wolałbym dzisiaj robić interesy. To, coś powiedział o wyrabianiu się wyższych zapotrzebowań u kupujących, o ich zwiększaniu, to może być prawdą, o tym można by nawet obszerniej pomówić i napisać piękny ekonomiczny artykuł, ale na tym trudno opierać fabrykę, z tego nie wyciągniesz milionów. Zamilkli obaj na długi i rozmyślali.

– Ile ci potrzeba?

– Muszę w sobotę mieć dziesięć tysięcy rubli. – Hm... zapomniałeś o Mullerze! Przecież sam ci się ofiarował z pożyczką...

– Pamiętam, wiem, że na jedno słowo otworzyłby mi kasę na rozcień... ale... tego słowa powiedzieć nie mogę... niestety, nie mogę...

– Jeśli idzie o fabrykę, o całą przyszłość, to ja bym się długo nie namyślał... ja bym wszystko puścił... a powiedział to słowo... – szepnął znacząco Moryc.

- Nie mogę... choćbym chciał... nie mogę.
- A jeśli będziesz musiał?...
- Tymczasem tego musu jeszcze nie ma. Nie mówmy o tym!

Wstrząsnął się.

– Ty, Karol, jesteś przesądny, a to nie pomaga w interesach. Ty o wielu rzeczach już myśleć umiesz, ale boisz się jeszcze je wprowadzać w życie. To cię może drogo kosztować, bo na przesady trzeba mieć duży grosz...

– Myślisz, że to, co nazywasz przesadami, to garderoba, którą w każdej chwili zmienić można? To wgryzło się w krew i dlatego taka ciężka z nim walka, a ciężka i dlatego, że jeszcze niezupełnie jestem przekonany o bezużyteczności tych przesądów, a czasami myślę... ale mniejsza z tym.

– To źle. Z takimi głupstwami można być najlepszym kolorystą w świecie, ale trudno być średnim nawet fabrykantem w Łodzi. Może się wahasz? Może masz ochotę powrócić do Knolla, przyjmie cię... – drwił Moryc skubiąc brodę nerwowo.

– Daj pokój. Nie powraca się do dzieciństwa.

– Nie, ale można z niego nigdy nie wyrastać.

Karol się nie odezwał, tylko uważniej spojrzał w jego oczy.

– Mogę ci dostarczyć pieniędzy.

– Pożyczysz?

– Nie, powiększę swój wkład spółkowy. Nie opłaci mi się pożyczać, a i tobie będzie wygodniej, nie będzie ci ciężył termin spłaty, a przy tym w stosunku do wysokości wkładu mogę się zająć częścią interesów fabryki, po cóż się masz zapracowywać! – mówił wolno, niedbale prawie, z uwagą oglądając sobie paznogie.

– Mógłbym ci wystawić weksle z sześciomiesięcznym terminem.

– Stanowczo pożyczka mi się nie opłaci, bo wolałbym te pieniądze puścić w ruch, obróciłbym w tym samym czasie kilka razy. Przyjmujesz?

– Dobrze, jutro pomówimy obszerniej. Dobranoc.

– Dobranoc! – szepnął Moryc nie odrywając oczów od paznogi, aby się nie zdradzić z radością, jaką mu sprawił ten interes, a gdy Karol wyszedł, zamknął za nim drzwi na klucz, zasłonił okno, otworzył małą, wmurowaną w ścianę kasę ogniotrwałą, z której wyjął ceratową kopertę, pełną notat i rachunków, i owiniętą w papier dużą paczkę banknotów.

Pieniądze przeliczył i schował je zaraz z powrotem.

– Gruba operacja! a jeśli się nie uda? – skrzywił się nerwowo z obrzydzeniem i spojrzął na drzwi. Wydało mu się, że usłyszał kroki wielu osób i szcęk broni.

Uśmiechnął się z przywidzenia i z zapalem zabrał się do studiowania bilansu fabryki Borowieckiego.

Cały stan czynny i bierny jego interesów miał w notach i rachunkach, które mu skopiował jego człowiek, pracujący w kantorze budowy.

Karol zaś, chociaż przystał pozornie na powiększenie jego udziału w spółce, obiecywał sobie solennie, że musi się z tego wykreścić, że znajdzie jaki sposób wyeliminowania go zupełnie ze spółki.

Zbyt dobrze znał Moryca, aby mógł mu ufać.

A zresztą ta bezinteresowność dziwna u człowieka, dla którego rubel był bogiem jedynym, a z jaką Moryc narzucał mu się od pewnego czasu, zastanawiała i czyniła go jeszcze ostrożniejszym.

Maksa się nie obawiał, bo znał jego uczciwość i wiedział, że Maksowi potrzeba tylko do szczęścia wielkiej pracy i pozorów pewnej samodzielności. Maks pragnął robić u siebie, ale było mu to dotychczas obojętnym, czy jego dziesięć tysięcy rubli wkładu da mu dziesięć tysięcy procentu, czy też będzie żył tylko z pensji, jaką miał pobierać za prowadzenie przędzalni i tkalni. Moryca zaś się obawiał.

W tej walce podjętej w imię: „Kto kogo prędzej okpi”, musiał być nadzwyczaj ostrożnym.

Wzmianka o Milllerze wzburzyła nieco Borowieckiego.

Anka mieszkała już w Łodzi, w mieście wiedziano o jego narzeczeństwie, ożenić się z nią musiał...

Przypominał to sobie dobrze i dosyć często, bo przecież jej pieniędzmi w połowie prowadził budowę.

Ale w głębi nie wierzył, że się z nią ożeni, i dlatego nie zrywał zupełnie z Madą, nie zaniedbywał krótkich, przypadkowych niby odwiedzin sąsiadów i mówienia dziewczynie wiele znaczących grzeczności.

Prowadził podwójną grę zupełnie świadomie, ale jeszcze nie wiedział, na czym się ona skończy, dokąd ją doprowadzić, bo chciał przede wszystkim skończyć fabrykę.

Przesady, o których Morycowi wspominał, walki, jakie z nimi niby staczał, były to tylko pewne myślowe pozostałości, przeżytki, rozpryski dawno leżącej w gruzach etyki, sumaryczne zestawienia z automatycznych wyrazów, nic więcej, bo te przesady, ich treść, zupełnie nie kie-

rowały jego wolę, jego postępowaniem i nie wpływały na postanowienia.

Nie przesady mu przeszkadzały do ujawnienia swoich dążeń, do otwartego robienia tego, co po cichu uważał za konieczne, a tylko pewna wstydlivość, wzgląd na ojca i gruba warstwa towarzyskiego *savoir-vivre'u*, zabraniająca czynienia źle w formach jaskrawych i brutalnych.

Był za dobrze wychowanym na to, aby robić łajdactwa, no i nie był organicznie zdolnym do czynów, jakie by z zimną krwią i spokojnie popełnił Moryc.

Nie umiałyby przecież podpalić własnej fabryki wysoko zaasekurowanej ani zarwać czyjego zaufania, ani wyzyskiwać robotników. To byłoby dla niego zbyt ordynarnym, takimi środkami brzydził się i czuł do nich pogardę człowieka kultury.

Tyle innych sposobów jest do zrobienia pieniędzy... Zło miało dla niego wartość wtedy, jeśli było koniecznym i opłaciło się, cnotę kochał, bo była piękniejszą, a uwielbiał, jeśli dawała zyski większe.

Myślał właśnie o tych i tym podobnych rzeczach, uśmiechał się nieco cynicznie i czuł dużo goryczy i smutku rozmyślając nad sobą.

– A w końcu wszystkiego – śmierć! – szepnął i zabrał się do czytania listów.

Przeczytał tylko list od Lucy, w którym go błagała, aby jutro się z nią zobaczył koniecznie, resztę zostawił na później i poszedł do pokoju Maksa, bo nie mówił z nim prawie od pogrzebu matki.

– Cóż u ojca słyhać? Nie miałem jeszcze czasu go odwiedzić. Trawiński weksle wykupił?

– Wykupił; ale to wszystko nie pomoże.

– Dlaczego?

– Stary już na nic. Dwadzieścia warsztatów jest czynnych z pięćuset! Trzy miesiące, pół roku najwyżej, a fabryka zdechnie z nim razem.

– Czy się co nowego stało?

– Nie, tylko z większym rozpędem idzie do końca. Szwagierkowie go dogryzą, bo wystąpili urzędownie o uregulowanie działów po matce.

– Bardzo naturalne żądanie,

– I jemu też wszystko jedno, kazał im robić, co chcą tylko, kazał im sprzedać place, byle mu pozostawili fabrykę samą. Całe dnie siedzi w kantorze z Józiem, chodzi na cmentarz, a w nocy łązi po fabryce. Po-

czątki melancholii. No, ale mniejsza, chciałem ci powiedzieć, żebyś zwrócił uwagę na Moryca.

– Dlaczego? Wiesz co? – zapytał żywo Karol. – Jeszcze

XI [XXVII]

– Cóż tak żujesz? – zagadnął Karol rano przy herbacie.

– Interesy, grube interesy – odparł Moryc odrywając oczy od szklanki z herbatą, którą trzymał w obu rękach, ale nie pił, głęboko zamyślony.

– To znaczy pieniądze?

– Duże pieniądze. Idę właśnie zrobić dwie operacje, które jeśli się udadzą, postawią mnie na nogi. Ale pieniądze możesz mieć przed wieczorem. A co z bawełną zrobić?

– Nie sprzedawaj jeszcze, mam pewną ideę.

– Dlaczego Maks spojrział na mnie jak zbój, nie przywitał się i poszedł?

– Nie wiem, wczoraj mi tylko wspominał, że nosisz w twarzy jakieś nowe łajdactwo, że coś zamierzasz...

– On jest głupi, co ja za łajdactwo mogę nosić w twarzy, przecież ja mam twarz zwykłą, porządnego człowieka twarz, nieprawdaż, Karol?

Oglądał się w lustrze starannie i swoim ostrym, jakby przyczajonym do skoku rysom nadawał dobroduszny wyraz.

– Nie dziw mu się, jest zgnębiony sprawami ojca.

– Radziłem mu dobrze; wziąć starego pod kuratelę, obezwłasnowolnić; w fabryce zaprowadzić swoją administrację. Nie zgodził się, chociaż córki i szwagrowie chcieli. W ten tylko sposób mogli coś uratować.

– Maks powiada, że majątek ojca, więc stary może go nawet zmarnować, jeśli mu się tak podoba.

– On jest za mądry, żeby tak myślał szczerze, tam coś innego być musi.

– Może i nie być, bo bądź co bądź, to dosyć nieprzyjemne ogłaszać wariatem własnego ojca.

– Ja też nie mówię, że przyjemna taka afera. Ojciec... duża rzecz, ale fabryka, interesy także są warte. aby dla nich coś poświęcić... Ty jak byś zrobił?

– Nie potrzebuję o tym myśleć, bo mój ojciec nie ma prawie nic...

Moryc się roześmiał wesoło i zamilkł, ubierał się do wyjścia, ale zwlekał, wymyślał Mateuszowi, przebierał się kilka razy, przymierzał całe stosy krawatów.

– Ubierasz się jakby do oświadczyń...

– Może będą i oświadczyń... może... – odpowiedział uśmiechając się blado.

Ubrał się wreszcie i wyszedł razem z Karolem, ale był tak roztrągnionym, że dwa razy powracał do domu po zapomniane przedmioty, a gdy wciskał binokle na nos, ręce mu drżały, a upał, jaki się już podnosił, zdenerwował go jeszcze bardziej.

Drżał cały w sobie i nie mógł utrzymać laski, wylatywała mu kilka razy z rąk.

– Wyglądasz, jakbyś się czego bał.

– Zdenerwowany jestem, musiałem się przepracować – szepnął cicho.

Wstąpili razem do kwaciarni, gdzie Karol kupił ogromny pęk róż i goździków i kazał go natychmiast zanieść Ance, Chciał kwiatami załagodzić wczorajszą swoją brutalność. Moryc poszedł do swojego kantoru na Piotrkowską, ale nic robić nie mógł; zajrzał do składów bawełny, wydał polecenia Rubinrothowi, wypalił kilka papierosów, nie przestając ani na chwilę myśleć o Groszliku i o interesie, z jakim miał iść do niego.

Wstrząsał się od czasu do czasu febrycznie i wtedy bezwiednie dotykał ceratowej koperty z pieniędzmi, jaką miał w kieszeni, i uspakajał się, na chwilę wracał mu swobodny wyraz twarzy i odwaga, przenikała go energia i chęć natychmiastowego działania.

W jednej z takich chwil odważnie poszedł do Groszlika. ale cofnął się już sprzed kantoru, spacerował czas jakiś po Piotrkowskiej i słuchając myśli, jaka mu przyszła w tej chwili, kupił bukiet najpiękniejszych i najdroższych, jakie były, kwiatów, kazał je związać bardzo kosztowną wstążką i wypisawszy na swoim bilecie adres Meli Grunspan, wysłał, polecając zostawić bilet razem z kwiatami.

Wpisał wydatek w notes pod tytuł: „nieprzewidzianych – osobistych”, ale „osobistych” wykreślił i napisał „firmowych”, i chociaż było dosyć wcześnie, poszedł do „kolonii” na obiad.

– Trzeba jeszcze obmyśleć – usprawiedliwiał się przed sobą.

W jadalnym sprzątano porozkładane roboty i nakrywano do obiadu, w drugim pokoju turkotały maszyny i słychać było głosy rozmów.

Stołownicy schodzili się z wolna. Najpierw przyszedł Malinowski i cicho usiadł pod

ścianą, był taki z biedzony i smutny, że pani Stefania przysiadła się do niego.

– Co panu jest?

– Chory jestem... chory!

Przesuwał palcami po czole, westchnął i wpatrzył się w nią zielonymi oczami tak boleśnie, że nie wiedząc, co mówić – odeszła.

Nic się nie odzywał, gdy już zebrali się wszyscy i jeść zaczęli, dopiero gdy przyszedł Horn i usiadł przy nim, powiedział mu cicho:

– Wiem, gdzie ona mieszka.

– Kto?

– Zośka w Stokach, w pałacu Kesslera.... – Zajmujesz się nią jeszcze?

– Nie, nie... ale byłem ciekawy, gdzie mieszka. Zamilkł.

– Wiecie, państwo, że Grosman, zięć Grunspana, aresztowany? – zapytał Horn.

– Wiemy, wiemy. Odpocznie sobie ptaszek, ochłodzi się od fajerów...

– Grosman to szwagier pięknej panny Meli? – zagadnęła pani Stefania.

– Tak. Niedawno stało mu się nieszczęście, spaliła mu się fabryka, biedny człowiek, byłby się pocieszył asekuracją, a tu go cap za kołnierz i do kozy.

– Pomyłka. Grosman jeszcze dzisiaj będzie wolny! – odezwał się Moryc.

– Oni są zawsze niewinni, oni się zawsze mylą, biedny naród ci Żydzi... – drwił Sierpiński i zaczął wymyślać i dowodzić Morycowi, że jego rasa jest najpodlejszą na świecie.

– Gadaj pan zdrów, to panu dobrze zrobi na trawienie, ale czemu to pan tego nie powie swojemu pryncypałowi Baruchowi, pan myślisz może, że on szlachcic? – odpowiadał pobłaźliwie Moryc bawiąc się zacietrzewieniem Sierpińskiego, którego zaczęli popierać inni tak gorąco, że aż się zawiązała kłótnia.

– Panie Horn, niech pan tutaj siądzie przy nas – wołała Kama robiąc mu miejsce.

– Ja chcę się pana o coś spytać – dopowiedziała, gdy usiadł przy niej.

– Słucham z uwagą.

– Czy pan ma metrese? – zawołała głośno. Umilkli wszyscy ze zdumienia, a potem wielki wybuch śmiechu rozległ się w całym pokoju.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno! – krzyknęła rozczzerwieniona ciotka.

– No, cóż w tym złego! Przecież w każdym francuskim romansie młodzi ludzie mają swoje przyjaciółki – tłumaczyła się niezmiészana.

– Papuga jesteś, powtarzasz słowa, których znaczenia nie rozumiesz po polsku.

– Jezus! nic nie rozumiem, za co ciocia krzyczy na mnie!

Wzruszyła ramionami i poszła do saloniku, ale gdy przyszedł za nią Horn, zawołała porywczo:

– Ja jestem papuga i z panem wcale nie mówię.

– Ciocia tak Kamę nazwała, a nie ja. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego się Kama ze mną nie przywitała? Dlaczego Karna mnie tyranizuje? Dlaczego Kama robi miny? Co? Kama min nie robi, Kama nie tyranizuje, ale niech Horn idzie sobie do szansonistek, na łobuzerkę... Ja wiem wszystko, wszystko...

– Cóż to Kama wie? – zapytał poważnie, tłumiąc wesołość.

– Wszystko, wszystko, że pan niegodziwy, niedobry, obrzydliwy, łobuz... Pan Fiszbin powiedział mi, dlaczego to pan w niedzielę u nas nie był... Był pan w „Arkadii”!... Upił się pan, śpiewał pan... i... i... całował pan te... Ja pana nienawidzę, ja się panem brzydzę...

– A ja Kamę kocham jeszcze więcej.

Chciał ją ująć za rękę, ale się wyrwała i uciekła za stół.

– To tak, jak pan był nieszczęśliwy, to pan do nas przychodził, żebyśmy pana pocieszały, żebyśmy kompresy przykładwały panu na głowę, żebyśmy płakały nad panem.

– Kiedyż ja to byłem taki nieszczęśliwy? – zapytał Horn.

– Kiedy? a zanim pan dostał miejsce u Szai.

– Nigdy nie czułem się nieszczęśliwym, a wtedy właśnie bawiłem się najlepiej, bo miałem czas.

– Jak to! nie był pan nieszczęśliwym? – zawołała przyskakując do niego.

– Nigdy.

– I nie jest pan nieszczęśliwym? – pytała gorączkowo głosem pełnym łez, żalu i oburzenia.

– Ani mi się śniło. Karna, co tobie?

– Pan nie był nieszczęśliwym!... A ja się modliłam za pana, a ja dałam na mszę na pańską intencję, nie kupiłam kapelusza, bo nie śmiałam stroić się; płakałam, myślałam ciągle o panu, nie sypiałam, byłam taka nieszczęśliwa, a pan nie był nieszczęśliwy! O mój Boże... mój Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa! – szeptała urywanym, gorączkowym, pełnym głębokiego żalu głosem i łzy jak groch zaczęły się toczyć coraz gęściej po jej twarzy.

– Kama moja! Dziecko drogie, Kama! Dzieciaku cudny! – szeptał porwany j. rozrzewniony, całując ją po rękach.

Kama wyrwała je, zasłoniła sobie twarz i przez łkanie wołała:

– Ja pana już nie kocham! Żeby pan był nieszczęśliwym... to bym... to bym... za panem poszła w ogień... na śmierć... ale... pan jest obrzydliwy... zły człowiek. Pan nie jest nieszczęśliwy... pan mnie oszukiwał...

Płakała spazmatycznie, Horn już nie wiedział, co robić, próbował się tłumaczyć, ale Kama nie chciała słuchać, a jemu pomimo rozrzewnienia śmiać się chciało z jej dzieciństwa, więc usiadł przy niej. Odsunęła się gwałtownie, pochwyciła pieska z kanapy i zastawiając się nim wołała:

– Gryź go, Picolo, gryź, bo to niedobry człowiek, oszukał Kamę, bo go już nie kocham.

Uśmiechnął się i zwrócił się ku wyjściu, bo i fabryki zaczęły już ryczeć swoją pieśń poobiednią.

– Pan się nawet ze mną nie żegna? To pan mnie nawet nie przeprosza? – zawołała prędko, ocierając łzy. – Dobrze. Od dzisiaj się nie znamy. Dobrze. Od dzisiaj będę chodziła na spacer z Malinowskim albo z Krzeczkovskim, albo z Blumenfeldem, albo z tymi, z którymi będzie mi się podobało. Tak, tak, zrobię to, jak ciocię kocham, żeby pan nie myślał, że idzie mi o pańskie towarzystwo...

– I mnie wszystko jedno, bo się będę lepiej i weselej bawił w „Arkadii” niż z Kamą.

– Wszystko mi jedno, niech je pan całuje, niech się pan upija jak Bum-Bum.

– A więc żegnam Kamę na zawsze – zawołał patetycznie i wyszedł.

Patrzyła srogo za nim, z kamienną obojętnością słuchała zamykania drzwi, ale gdy usłyszała, że już schodzi po schodach, zrobiło się jej strasznie żal, że może już naprawdę nie przyjdzie.

Wyjrzała oknem, widziała, jak przechodził na drugą stronę Spacerowej i znikał w bocznej uliczce, wtedy ciężko upadła na kanapkę, przycisnęła Picola do piersi i wybuchnęła:

– Picolo mój jedyny, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Ale nie mogła płakać, przejrzała się w lustrze, poprawiła rozwichrzoną czuprynę, krokiem poważnym poszła do ciotki, wzięła ją za rękę i z tajemniczą twarzą przyprowadziła do saloniku, a rzucając się jej na szyję, zawołała tragicznie:

– Już się stało! Już się nigdy nie zobaczymy z Hornem! Ciociu, jaka ja strasznie jestem nieszczęśliwa!

Ale zobaczywszy, że ciotka nie okazuje zbytniego zainteresowania, odsunęła się i zapytała boleśnie, z wyrzutem:

– I ciocia nawet nie płacze?

– Cóż to znowu za bziki?

– Panno Kamo, czy dzisiaj dostanę buzi na do widzenia – wołał Moryc uchylając drzwi z przedpokoju.

– Picolo pana pocałuje! – zawołała rzucając się z psem do niego, ale Moryc nie czekał i wyszedł.

Na ulicy znowu zaczął się ociągać i zwlekać z pójściem do Groslika; zaczął przypominać sobie, czy nie ma gdzie indziej pilniejszego interesu do załatwienia, potem, że musi się w pewnej sprawie widzieć z Kesslerem, że powinien zajrzeć do domu.

Przemógł się wreszcie i wszedł do kantoru bankiera. – Szef u siebie? – zapytał witając się ze Stachem Wilczkiem.

– Jest. Od paru dni ciągle posyła po pana.

– Skończyłeś pan z Grunspanem?

– Dopierośmy zaczęli, jesteśmy w piętnastym tysiącu...

– I jeszcze nie koniec? – zapytał ze zdumieniem.

– Nie jesteśmy nawet w połowie.

– Nie przerachuj się, Wilczek! Ja panu dobrze życzę.

– Radziłeś mi pan sam przecież trzymać się mocno.

– Radziłem? ja radziłem? Być może, ale wszystko ma swoje maximum – mówił niezadowolony, bo radził mu przyciskać Grunspana wtedy, gdy nie miał zdecydowanych zamiarów na Mełę, ale teraz gniewało go to serdecznie.

– Ale, przyjdź pan do kantoru Borowieckiego podpisać kontrakt na dostawę węgla.

– Dziękuję panu bardzo... bardzo – szeptał uradowany Wilczek ścisnąc mu rękę.

- Tylko mam z panem coś do pogadania.
- Powiedz pan otwarcie, co mam dać za to?
- Określimy później. Mam na pana większe zamiary. Za pół godziny wyjdę, odprowadź mnie pan, wtedy to pomówimy.

Moryc wolno ściągnął palto, zatarł ręce i raz jeszcze spojrzął na zaciemnioną gwałtownie ulicę, bo deszcz zaczął padać i brzęczeć po szymbach.

– Co będzie, to będzie, dobrze będzie – myślał i wszedł do gabinetu bankiera, który na jego widok zerwał się z krzesła.

– Jak się pan ma, jak się kochany pan ma! – wołał całując go. – Ja byłem tak niespokojny o pańskie zdrowie! To bardzo niepoczciwie zostawiać swoich przyjaciół w takiej długiej niepewności. Myśmy się wszyscy kłopotali o pana! Nawet Borowiecki bardzo się pytał o pana.

Moryc się uśmiechnął nieznacznie z tej troskliwości.

- Cóż wełna? A jednak ja się grubo stęskniłem za panem.
- Dziękuję. Pan jesteś bardzo dobry człowiek.
- Kto może mówić inaczej o mnie! Ja wczoraj dałem dwadzieścia pięć rubli na kolonie letnie. Patrz pan, tu stoi to wydrukowane!

Podsunał mu gazetę.

– Cóż nasza wełna? – zapytał dość niecierpliwie. – Pan wiesz, jak place idą w górę, jak cegła podskoczyła, co?

– Wiem, bo my trochę robimy w placach. Zacznie się w Łodzi duży ruch. Słyszałeś pan co na mieście o Grosmanie? – zapytał nieco ciszej.

– Policja... tak... Uśmiechnął się.

– Sza... sza... – syknął, obejrzał się na wszystkie strony, zajrzał do kantoru, czy kto nie podsłuchuje, i mówił mu do ucha: – Jego wczoraj prawie aresztowali.

– Już wczoraj wieczorem o tym słyszałem, zaraz po przyjeździe, że go zupełnie aresztowali.

– Łódź to jest bardzo plotkarskie miasto. Oni się zaraz potrzebują interesować wszystkim. Co to komu do tego, co drugi robi! Grosmana denuncjowali, ale jemu nic nie zrobią, bo on jest czysty jak ja. Moryc znowu się uśmiechnął dwuznacznie.

– Ale czy to potrzebne, żeby policja się mieszała do prywatnych interesów?

– Pan wysoko angażowany w tym interesie?

– Na całe trzydzieści tysięcy! On byłby się wylizał trochę! No, cóż, nieszczęścia chodzą i po fabrykach, i po ludziach, i po towarach, a ase-

kuracja droga i płacić potrzeba za darmo! Jak kto ma pech, to mu i ogień zdechł...

– Nic mu się nie stanie, Grosman uczciwy człowiek.

– Mówię to samo, ja bym nawet za niego zaręczył, ale cóż pan poradzi, jest tyle łajdaków w Łodzi, co gotowi przysięgać, że widzieli, jak on... bo ja już wiem, czego oni nie powiedzą. Cóż z naszą wełną?

– Kupiłem i zaraz sprzedałem za gotówkę.

– To dobrze, bo mnie dzisiaj dużo potrzeba gotówki.

– Komu nie potrzeba dużo gotówki! – powiedział melancholijnie Moryc.

– Pan ją będziesz miał, bo pan masz głowę. Masz pan przy sobie pieniądze?

– Nie mam – odparł wolno i spokojnie, chociaż serce uderzyło mu mocniej.

– Przyślij mi pan przed czwartą koniecznie, mam wekslowe wypłaty. Dużo zarabiamy? – zapytał częstując go cygarem.

– Ja zarabiam dosyć, ale pan...

– No, przecież do spółki, mój kapitał... – zaczął prędko.

– Kapitał mój, bo jest u mnie – rzucił Moryc zapalając cygaro.

Bankier nie usłyszał dobrze czy nie mógł uwierzyć lub zrozumieć, bo odbierając od niego zapalną zapalał swoje cygaro i mówił:

– Umówiliśmy się na dziesięć procent po odciążeniu kosztów.

– Zapłacę panu dziesięć procent rocznie, ale kapitału nie zwrócę – ciągnął spokojnie Moryc.

– Co? Co pan gadasz? Pan masz małe rybki w głowie! – krzyknął.

– Mówię panu otwarcie, że pieniądze ulokowałem w swój interes.

– Moje pieniądze!

– Pańskie pieniądze. Pożyczyłem od pana na długi termin...

Bankier odskoczył, stał chwilę zdumiony, nie wierząc uszom własnym.

– Panie Moryc Welt, wypłać mi pan natychmiast moje trzydzieści tysięcy marek!

– Panie Grosplik, pieniędzy panu nie oddam, wziąłem je dla siebie, potrzebne mi są do poprowadzenia większego interesu, zapłacę od nich dziesięć procent rocznie, a oddam, jak się dorobię – mówił zimno Moryc i już odzyskał zupełny spokój i równowagę.

– Pan zwariowałeś! Pan jesteś chory, zmęczony drogą i interesami, odpocznij pan trochę.

– Antoni! przynieś wody szklanę! Antoni! przynieś wody sodowej! Antoni! przynieś butelkę szampańskiego – zmieniał gorączkowo rozkazy, podbiegając za każdym razem do służącego stojącego w progu. – To te upały uderzają do głowy, ja wiem, mnie

samego o mało już którego dnia szlak nie trafił... Kochany pan Moryc, prawda, pan jesteś bardzo blady pana pewnie serce boli, może zawołać doktora?

Moryc uśmiechnął się drwiąco z jego wystraszonej miny.

– Uspokój się pan trochę. Zaraz, ja tu mam kolońską wodę, wytrę panu głowę.

Zmaczał chustkę i chciał ją położyć na skroniach Moryca.

– Daj pan pokój, jestem zupełnie zdrow i przytomny.

– To mnie bardzo cieszy. Aj, aj! jak mnie pan przestraszył, to się na moim zdrowiu odbije. Ale pan jesteś dowcipny, ha, ha, ha! żeby mi takiego figla urządzić, a ja się szczerze przyznam, że uwierzyłem, ha, ha, ha! to mi się podoba. No, daj no pan pieniądze, bo w kasie czekają na nie. Bardzo dowcipne, bardzo...

– Nie mam. Powiedziałem już panu, że pożyczyłem je sobie.

– Co to jest? To gwałt, to złodziejstwo! to rozbój w biały dzień! – krzyczał rzucając się ku niemu.

Ale Moryc ścisnął silniej kij w rękę i spojrzał zimno.

– Panie Blumenfeld, każ pan telefon połączyć z policją! – krzyknął do kantoru. – Ja z panem pogadam inaczej! Ty złodzieju! Ja cię każę zgnoić w kryminale, wyszłę na Sybir, okuję w kajdany!

– Cicho pan bądź, bo pana wsadzę do kozy za obelgi, a policją pan nie strasz... Gdzież są dowody, że te pieniądze, któreś mi pan dał w czeku na Lipsk, są pańskie, a nie moje, co? – zapytał zimno.

Bankier oprzytomniał, usiadł i długo patrzył na niego, patrzył z nieopowiedzianym uczuciem bezsilnej wściekłości i żalu, aż mu łzy zaszkliły się w oczach.

– Idź, Antoni, już niczego nie potrzeba. On się ocuci w więzieniu! – dodał ciszej, złamanym głosem.

– Nie gadaj pan głupich słów na próżno, bo mi się to przestaje podobać. Mówmy ze sobą jak ludzie.

– A ja panu tak wierzyłem, ja pana tak uważałem jak syna, co to jak syna, jak syna i córkę razem, a pan zrobił takie łajdactwo, takie łajdactwo, co pana Pan Bóg może skarać za to, bo tego się nie robi przyjacielowi, który zaufał na całe trzydzieści tysięcy...

– Nie zawracaj pan głowy. Pożyczyłem od pana trzydzieści tysięcy marek na termin nieograniczony, bo muszę zacząć duży interes. Wystawię panu zobowiązanie, nawet kiedyś je spłacę, a tymczasem pieniądze już poszły w ruch.

– W Berlinie, ja wiem gdzie... w Amor Saale... ja wiem... – szeptał zgnębiony.

– Pomówmy nareszcie po przyjacielsku – zawołał zniecierpliwiony Moryc.

– Pan jesteś złodziej, nie przyjaciel! Oddaj pan pieniądze! – krzyknął porwany znowu żalem i rzucił się do rewolweru, leżącego w półotwartej szufladzie biurka, ale szufladę zatrzasnął, zamknął, klucz schował do kieszeni i zaczął się rzucać po pokoju, kłął, wymyślał, przyskakiwał z pięściami do Moryca, ale ten siedział z kijem w ręku, uśmiechał się drwiąco, a gdy bankier uspokoił się nieco, zaczął opowiadać mu swoje plany:

– Ja mam trzydzieści lat... czas mi zacząć... Mam dobry plan, a nie miałem pieniędzy. Cóż pan chcesz, z agentury można żyć, ale kapitałów nie będzie, a i tak żyło się kredytem; gdyby zlikwidować przyszłość, miałbym parę tysięcy długów na czysto... Teraz dam sobie radę. Pan mi pożyczyłeś pieniędzy, to muszę panu opowiedzieć, na co były mi potrzebne, Borowiecki jest osaczony, gotówki już nie ma, ciągnie lichwiarskim kredytem, ja mu dam pieniądze... a przy sposobności wejść do zupełnej spółki i już tak dalej pokieruję, że on będzie tylko dyrektorem w swojej fabryce... Mam dobry plan. On ma w fabryce swojej gotówki czterdzieści tysięcy, to można od niego zainkasować w rok... dwa, wyjdzie na czysto. Wszystko obmyślałem i ręczę panu, że się powiedzie! – mówił spokojnie Moryc popierając swoje wywody szeregiem cyfr i rozmaitych podstępów, łajdactw, oszustw, którymi chciał zabić Borowieckiego.

Mówił długo, wyczerpująco, otwarcie.

Bankier się uspakajał, gładził już palcem bokobrody, pociągał nosem, jakby wyczuwając padlinę, przy której i on mógłby się pożywić, błyskał oczami, uśmiechał się, bo zaczynał go porywać ten projekt łajdacki, zapomniał nawet, że to jego pieniędzmi będzie prowadzona ta kampania, przytakiwał całym sercem, czasem rzucił jakie słowo, jakiś plan uboczny, który zaraz Moryc chwycił w lot i uzupełniał, wcielał do swojego projektu i budował dalej, mówiąc coraz ciszej i poufniej.

Groszlik napił się wody, otworzył lufcik i krzyknął do ludzi, wywołujących ze składów platformy naładowane wałtuchami wełny:

- Zaczekać na podwórzu!
- Deszcz, wełna zamoknie.
- Zaczekać, mówię ci, chamie!

Zatrzasnął lufcik, spoglądał czasami w zadeszczone niebo i szybko coś pisać zaczął.

Moryc umilkł i zapatrzył się na szereg wozów moknących na coraz gęstszym deszczu, a w końcu rzeki spokojnie:

- Wełnie niewiele przybędzie wagi, bo widzę, że wańtuchy nowe.
- Pan jesteś za... sprytny! – odezwał się bankier i kazał pokryć wełnę oponami.
- Ja znałem dobrze pańskiego ojca – zaczął znowu, uprzejmie podając mu cygaro.
- Mądry człowiek, tylko głupią plajtę zrobił.
- Jak się komu nieszczęści, to i z pięści zachręści! – rzekł sentencjonalnie.
- Cóż pan powiesz na mój plan?
- A pańska matka była moją kuzynką, pan wiesz?
- Sprzedawała resztki na Piotrkowskiej i trochę na fanty dawała...
- Pan jesteś do niej podobny, ona była śliczna kobieta, obszerna, duża kobieta. Ja panu coś powiem. pan masz głowę, pan mi się podobasz... A że ja lubię, jak młodzi mają rozum, że ja lubię mądrym pomagać, to ja panu pomogę. Mnie się podoba pański projekt.
- A ja wiedziałem, że pan jesteś mądry człowiek.
- Zrobimy spółkę. – Dasz pan pieniędzy?
- Dam panu. – Dużego kredytu?
- Wyrobię panu.
- Dobrze, to możemy się pocałować na początek spółki.
- Ślicznie! Lepiej się sto razy pocałować, jak raz stracić trzydzieści tysięcy.

Obszernie przedyskutowali punkty przyszłej spółki i ułożyli program działania.

- To jeden interes, idę zrobić drugi, oświadczyć się.
- Jaki posag?
- Mela Grunspan.
- Poczekaj pan, niech oni tę sprawę z Grosmanem wpierw skończą.
- Właśnie teraz zgodzą się pędzej, bo może im co pomogę.
- Bardzo mi się podobasz, Moryc, tak mi się podobasz, że gdyby moja Mery była dorosła, dałbym ją panu, a ona ma sto tysięcy.
- Za mało.

- Dałbym sto dwadzieścia, poczekaj pan rok.
- Nie mogę. Za rok dwieście, nie opłaci mi się taniej czekać.
- Mniejsza z tym, a przyjdź pan do mnie w niedzielę na obiad, będzie trochę gości z Warszawy, a potem ja panu powiem jeden mały plan, od którego pachnie milionem.

Ucałowali się raz jeszcze najbardziej po przyjacielsku, co nie przeszkadzało, że bankier mu przypomniał, aby napisał rewers na te trzydzieści tysięcy.

– Pan mi się tak podobasz, że ja się już w panu zakochałem – wołał bankier rozpromieniony, chowając rewers do kasy.

Moryc zabrał z kantoru Wilczka i wyszedł, ale w bramie domu stał jakiś człowiek z miną złodzieja i zastąpił Stachowi drogę.

– Przepraszam, przyjdę do pana jutro, bo muszę z tym obywatelem się rozmówić – tłumaczył się Stach, skinął mu głową, rzucił jakiś znak człowiekowi i poszedł przez Dzielną ku kolei.

XII [XXVIII]

– Chcieć, a wszystko się stanie! – myślał Moryc idąc ulicą.

Chciał, i ma teraz w kieszeni trzydzieści tysięcy marek.

Dotykał ręką ceratowej koperty z przyjemnością. Chce zjeść Boro-wieckiego, ma apetyt na jego pieniądze i na pracę jego – i zje.

Chce się ożenić z Melą: ożeni się, z pewnością się ożeni.

Nie rozumiał w tej chwili niepodobieństw. Pierwsza wielka wygra-na rozpierała go dumą i szaloną pewnością sił własnych.

– Trzeba mieć tylko odwagę chcieć – myślał i uśmiechał się do słońca, które wychyliło się nad miasto i wesoło rozbłyskiwało w lśniących od deszczu trotuarach i dachach.

– Muszę sobie co zafundować za to – szepnął przyglądając się wystawie jubilerskiej.

Wszedł do sklepu; podobał mu się bardzo pierścionek z wielkim brylantem, ale usłyszawszy cenę ochłonął i wyszedł nie kupiwszy.

Poszedł natomiast do sklepu galanteryjnego i kupił rękawiczki i krawat.

– Pierścionek i tak muszą mi kupić na zaręczyny – myślał i szedł już, aby zaraz z miejsca załatwić ten drugi interes, z Melą.

Od swatki, która po cichu obrabiała jego sprawę w rodzinie Grunspanów. wiedział o zerwaniu z Wysockim i o tym, że Bernard Endelman oświadczył się listownie i dostał odkosza, i dlatego podobno przeszedł na protestantyzm i miał się żenić z jakąś „małą francuską”.

Wiedział również, że kilku synów dobrych firm reflektowało na Melę, ale na próżno.

– Dlaczego ona może mnie nie zechcieć?

Bezwiednie przejrzał się w jakiejś wystawowej szybie i uśmiechnął się do własnego odbicia. Był bardzo przystojnym. Pogładził kruczą brodę, nasadził głębiej binokle i szedł dalej rozważając swoje szansę.

Pieniądzy miał trochę, kredyt przez Groszlika wielki, skrupułów żadnych, więc najświetniejszą przyszłość widział przed sobą.

Mela była bardzo piękną partią i od dawna czuł do niej wielką sympatię. Ma ona wprawdzie swoje polskie fanaberie, lubi szlachetność, wspomaganie i rozmowy o wzniosłych rzeczach, ale to kosztuje

niewiele i dobrze robi w salonie. On sam kiedyś za studenckich czasów w Rydze ileż razy podnosił podobne tematy, ileż pięknych rzeczy mówił, jak piorunował na współczesny ustrój, był nawet socjalistą przez dwa semestry, a przecież dzisiaj to mu nic nie przeszkadza w robieniu interesów, dobrych interesów.

Rozmyślał uśmiechając się, bo mu się przypomniała przestraszona twarz Groslika.

- Moryc, zaczekaj. Odwrócił się szybko.
 - Szukam cię po całym mieście – mówił Kessler ściskając mu rękę.
 - Interes?
 - Chciałem cię prosić do siebie na dzisiejszy wieczór, będzie parę osób.
 - Mała domowa knajpa? jak w przeszłym roku co?
 - Nie, przyjacielska herbata, pogawędka i kilka niespodzianek...
 - Niespodzianki tutejsze?
 - Import, ale będą i miejscowe dla amatorów. Przyjdziesz?
 - Dobrze. Kurowskiego prosiłeś?
 - Mam już dosyć polskiego bydła w fabryce, niechże będę wolny od niego chociaż w domu. On mnie drażni miną wielkiego pana, któremu się zdaje, że łaskę robi podając komu rękę. Verfluchter! – zaklął cicho.
 - Gdzie idziesz? Mogę cię podwieźć, bo powóz na mnie czeka.
 - Aż na Drewnowską.
 - Widziałem w tej chwili Grosmana, puścili go za kaucją.
 - O, to nowina, bo ja właśnie idę do Grunspana.
 - Podwiozę cię, muszę tylko wstąpić do fabryki na chwilę...
 - Czy te niespodzianki... będą i z twojej fabryki?
 - Właśnie chcę wybrać co z przędzalni.
 - I tak od razu na apel będą gotowe?...
 - Wytresowane są, a zresztą jest sposób: Nie – to precz z fabryki. Moryc się zaśmiał, wsiedli do powozu i w kilka minut stanęli przed gmachami fabryki Endelman et Kessler.
 - Zaczekaj chwilę.
 - Wiesz, pójdę z tobą, mogę ci być pomocnym w ocenie...
- Przeszli wielkie podwórze i weszli do niskich budynków, oświetlonych z góry, mieszczących w sobie pralnię wełny, sortownię, gręplarnię i przędzalnię.

Przy długich pralnicach, chlapiących dookoła wodą, pracowali tylko mężczyźni, ale przy gręplach rozlegały się kobiece głosy, które umilkły natychmiast po wejściu Kesslera.

Robotnice oniemiały, z wlepionymi oczami w maszyny stały jak szeregi automatów, otoczone wałami wełny niby brudną pianą tego szumiącego morza maszyn. zwojami pasów i kół warczących dziko, bezustannie.

Kessler szedł naprzód, głowę wcisnął w ramiona, przygarbił się i szedł wolno, ruszając szczękami obrośniętymi czerwonym włosom: ze spiczastej głowy i z długich, ostro zakończonych uszów podobny był do nietoperza czatującego na zdobycz.

Małymi oczkami uważnie oglądał najmłodsze i najprzystojniejsze robotnice, które z wolna pod tym taksującym spojrzeniem czerwieniły się, ale nie podnosiły oczów.

Przy niektórych przystawał, pytał się o robotę, oglądał wełnę i zapytywał Moryca po niemiecku:

– Cóż na to powiesz?

– Resztką dla parobków – odpowiadał z pogardą, ale przy jednej rzekł:

– Ta ma pyszny fason, szkoda, że piegowata...

– Ładna, musi mieć białą skórę! Milner! – krzyknął na majstra, prowadzącego salę.

Gdy tamten stanął przed nim, cicho pytał się o nazwisko dziewczyny i zapisał je w notesie.

Poszli dalej, przechodząc dwa razy salę w różnych kierunkach, nie mogąc nic więcej wybrać odpowiedniego, bo robotnice były przeważnie brzydkie, wynędzniałe i zniszczone przez pracę.

– Chodźmy do przędzalni, tutaj już nic się nie wyłowi, same resztki.

W przędzalni białej, jakby zasypanej śniegiem wełny, zalanej światłem padającym z góry przez szklane dachy, panowała dziwna, ogłuszająca cisza.

Wszystkie maszyny były w szalonym ruchu, pracowały jakby w skupieniu wielkim, z zapartym oddechem, bez hałasu, czasami tylko rozległ się ostry, krótki skowyt kół rozpędowych i milknął zalany oliwą, porwany przez miliardy drgań, co jak ledwie wyczute pomruki burzy szalały nad maszynami.

Czarne, rozstrzęsione pasy i transmisje podobne do zwojów węzów z sykiem gończyły się wciąż, rzucały się do sufitu, opadały na błyszczące

koła, które obracały, przewijały siłę wzdłuż ścian, leciały wskroś sufitów, powracały i otaczały z obu stron długie przejścia przez sale jakby pasami czarnej, szalejącej w ruchu przędzy, przez którą niewyraźnie się rysowały ruchy salfaktorów, podobnych do szkieletów potwornych ryb przedhistorycznych, które skośnym ruchem biegnęły naprzód, chwytaly białymi zębami szpulkę wełny i cofały się ze zdobyczą, snując za sobą setki białych nici.

Robotnicy, jakby przykuci do maszyny, zapatrzeni w przędzę, poruszali się automatycznie, biegli za salfaktorami, cofali się przed nimi, błyskawicznie szczepiali pęknięte nici i głusi, i ślepi na wszystko, co było za nimi, pilnowali ruchów bestyj.

– Tamta czarna, przy przędzy zwijanej, co? – szepnął Kessler wskazując w drugą połowę sali, gdzie zwijano i motano przędzę, na silną brunetkę o pysznie rozwiniętych kształtach, dobrze się rysujących przez lekką sukienkę i koszulę z rękawami, zapiętą pod szyję, bo z powodu straszego gorąca wszystkie pracowały rozebrane do możliwości.

– Wspaniała, wspaniała. Nie znacie się jeszcze?

– Dopiero miesiąc robi u nas. Chodził już koło niej Hausner, wiesz, nasz chemik, ale mu szczerze odradziłem.

– Wejdzmy tam – szepnął Moryc z iskrzącymi oczami.

– Pilnuj się, żeby cię jaka maszyna na przywitanie nie wzięła w tryby.

Przechodzili ostrożnie wąskimi przejściami, z obu stron których pracowały maszyny, zwijające przędzę na wielkie wrzeciona i kręcące ją w podwójne nici.

Rozpylacze wody działały nieustannie; drżący pył wodny, podobny do rozprysków tęczy, siał się i opadał na maszyny, ludzi, stosy przędzy śnieżnej, na te dziesiątki tysięcy wrzecion okręcających się dookoła siebie z przejmującym szmerem, podobnych w jaskrawym świetle słońca, padającym z góry, do tysięcy białych wirów szalejących w różowawych świetlistych nimbach.

Kessler wynotował jeszcze dwie dziewczyny i wyszli przeprowadzani nienawistnymi spojrzeniami.

Przechodzili obok maszyn głównych; na progu wieży, w której szalało bezustannie to potworne rozpędowe koło, stał stary Malinowski, z fajką w zębach i z rękami w kieszeniach, nie zdjął czapki przed Kessle-rem ani mu nawet głową nie kiwnął, stał w wyzywającej postawie i patrzył ponurym, żarłocznym wzrokiem.

Kessler drgnął nieco spotkawszy się z jego oczami, zrobił ruch jakby chcąc się cofnąć, ale zmiął w sobie obawę i umyślnie wszedł do wieży, obejrzał łoża, w których jak dwie ręce poruszały się tłoki i obracały to koło-potwór, świszczące dziko w swoim szalonym, bezustannym locie.

– Nic nowego? – zapytał półgłosem Malinowskiego przyglądając się skrzeniom i błyskom powietrza, otaczającego rozbiegane koło świetlistym nimbem.

– Miałem mały interes do pana... – powiedział jakoś cicho stary posuwając się ku niemu.

– W kantorze prośby, nie mam czasu – rzucił nerwowo i spieszenie wyszedł, bo bardzo mu się nie podobał głos Malinowskiego i jego ruch.

– Ten smolipysk nie jest przyjemnym – zauważył Moryc.

– Tak... tak... trochę kły szcerzy, muszę mu dać nogą w zęby – szepnął Kessler.

W kantorze dał zaufanemu notatkę tyczącą się wybranych dziewczyn, który wiedział, jak dalej postąpić i natychmiast odwiózł Moryca na Drewnowską.

– Po szóstej konie będą czekały przed twoim kantorem – powiedział Kessler na rozstanie i odjechał znikając zaraz w kurzawie drogi, jaka się podniosła za powozem.

– Gruby łajdak! – pomyślał o nim Moryc wchodząc do Grunspanów.

XIII [XXIX]

U Grunspanów trafił na familijną naradę.

Grunspan biegał po pokoju, krzyczał i bił pięścią w stół, Regina siedziała pod oknem i również krzyczała, płacząc ze złości na przemian, stary Landau siedział przy stole w wielkiej jedwabnej czapce zsuniętej na tył głowy i odwinąwszy ceratę pisał kredą długie kolumny cyfr, Grosman jakiś blady i zmęczony leżał na kanapce i puszczał melancholijnie kłęby dymu, a czasami z ironią spoglądał na żonę.

– To jest złodziej, to jest największy łódzki złodziej! Mnie przez niego szlag trafi... on mnie zabija! – krzyczał stary.

– Kiedyś wyszedł stamtąd? – zapytał Moryc Grosmana.

– Przed godziną.

– Cóż, bardzo tam przyjemnie? – szeptał drwiąco.

– Przekonasz się sam, nie minie cię to przecież, Z tą tylko odmianą, że będziesz siedział za właśnie grzechy, a nie za grzechy teścia i żony, jak ja.

– Ty, Albert, nie bądź głupi i nie gadaj takich rzeczy. Moryc jest nasz, Moryc wie, jak sprawy stoją, ale jak mówisz, to on może uwierzyć, że co w Łodzi mówią o nas, jest prawdą – zawołał z gniewem stary przystając przed nim.

– Co ja wiem o tej sprawie, to druga rzecz, w każdym razie przyszedłem do was jak do swoich, jak do porządnych ludzi – powiedział z naciskiem.

Grunspan spojrział na niego niespokojnie, popatrzyli sobie w oczy długą chwilę, mierząc się i sondując, pierwszy stary odwrócił głowę i zaczął znowu kłąć.

– Ja do niego przychodzę jak do człowieka, jak do kupca mówię: „Sprzedaj mi swój plac.” A ten pastuch... ten... tfu! żeby jemu się tak wiodło, jak ja niu życzę z całego serca, śmieje się i każe mi oglądać swój śmietnik i powiada, że to jest złota ziemia, że to jest rajska ziemia, której nie sprzeda taniej niż za czterdzieści tysięcy rubli... Żeby ciebie... żeby ciebie prędka choroba wzięła za taki paskudny pysk! Mela, daj, dziecko, jakich kropli, bo mnie jest bardzo niedobrze, bo ja się boję, żeby mnie nie było jeszcze gorzej! – mówił do drugiego pokoju.

– Z kim i o co sprawa? – pytał Moryc cicho, nie rozumiejąc dobrze, o co idzie.

– Z Wilczkiem. Mądry chłopak. Chce za cztery morgi czterdzieści tysięcy.

– A warte?

– Warte są dzisiaj pięćdziesiąt.

– Place podskoczyły o trzydzieści procent.

– Właśnie, i nie wiadomo, na czym się to skończy, a stary musi kupić, bo musi fabrykę rozszerzyć.

– No więc czemu zwleka i robi piekło? Za parę miesięcy może zapłacić podwójnie.

– Bo ojciec jest kramarz, on nie może zapomnieć swojego sklepiku na Starym Mieście i targowania się o kopiejki – szeptał pogardliwie Grosman.

– Dzień dobry, Mela! – zerwał się do niej i podszedł.

– Dzień dobry, Moryc. Dziękuję ci bardzo za kwiaty, sprawiły mi wielką przyjemność.

– Nie było już piękniejszych u ogrodnika, bo byłbym ci je przysłał.

Mela uśmiechnęła się nieco. Była dzisiaj bardzo błada: smutek wiał od jej uśmiechu i od jej oczów pociemniałych, rozszerzonych nieco przez lekkie padnięcie, podkrążonych sinawymi piętnami. Poruszała się dziwnie miękko a ociężale, jak ludzie wyczerpani cierpieniem. Podała ojcu cukier nasycony kroplami, spojrzała zimno na siostrę i nie zauważywszy umyślnie wyciągniętej do siebie ręki Grosmana wyszła do drugiego pokoju.

Przez otwarte, drzwi Moryc widział jej twarz pochyloną nad babką, wiecznie siedzącą w fotelu pod oknem. Gonił oczami jej powolne ruchy i szlachetną linię głowy i czuł, że mu serce bije szybciej, że jakieś dobre wzruszenie ogarniać go poczyna. Więc już niewiele słyszał skarg starego ani płaczliwych żalów Reginy, narzekającej, iż Grosman źle się tłumaczył przed sędzią śledczym, że przez swoją głupotę gotów ich zgubić.

– Sza... sza... dzieci, dosyć! Wszystko będzie dobrze... Trochę się straci, ale zawsze cały geszef da siedemdziesiąt pięć procent. Ja zaraz pojedę do Groslika, niech załatwi się z denuncjantami przez swojego człowieka, my nie możemy się w to mieszać,

– On musi się tym zająć szczerze, jeśli za swoje trzydzieści tysięcy nie chce wziąć – pięciu!

– Tak, bo jak dobrze pójdzie, dostanie piętnaście, dwadzieścia najwyżej! – szepnął cynicznie Grosman patrząc na teścia.

– Mądre słowo powiedziałaś, Albert! Damy mu całe dwadzieścia! No, dosyć z tą sprawą. Musimy mówić o odbudowaniu. Ty już, Albert nie wrócisz do tej budy. Ja zrobiłem wielki plan. Kupi się plac od Wilczka i w połączeniu z moją fabryką wybudujemy sobie wielki akcyjny interes pod firmą Grunspan, Grosman i S-ka. Mój adwokat już się zajmuje stroną prawną, a mój budowniczy ma za tydzień złożyć szczegółowe plany. Ja długo myślałem o tym interesie, teraz jest dobra pora. Kilkunastu kapcanów diabli wzięli, to jest miejsce po nich. Po co mamy posyłać do apretury? żeby inni zarabiali na nas! My będziemy mieli swoją apreturę. Po co mamy kupować przędzy? Wybudujemy przędzalnię, będzie na tym dwadzieścia pięć procent. Zrobimy sobie fabrykę kompletną, ze wszystkimi wykończalniami. Spróbujemy się trochę z Meyerem. Ja myślałem o tym jeszcze przed twoim nieszczęściem, Albert, ale kiedy się ono stało, to nam pomoże trochę.

Opowiadał szczegółowo plany przyszłego akcyjnego towarzystwa.

Regina wzruszona i porwana rzuciła się ojcu na szyję.

Moryc również był olśniony projektem i w myśli prawie już dodawał do dwóch nazwisk firmy swoje trzecie.

– Ale o tym jeszcze ani słowa. Niech się sprawa Alberta wpierw skończy. Moryc, ty nie powiesz przecież, boś ty nasz.

– Chciałbym być bliższym jeszcze – odpowiedział poważnie.

Grunspan patrzył na niego długo, obliczając, Regina również, tylko Grosman uśmiechnął się z powątpiewaniem.

– Dlaczego nie, interes jest do zrobienia – powiedział stary zimno.

– Przyszedłem właśnie w tym celu.

– Możesz iść do Meli i rozmówić się.

– Potrzebuję wpierw z panem pomówić.

– Mnie już coś Bernsztajnowa o tym mówiła. Wiesz, co ci Mela powie?

– Jeszcze nie wiem, ale chcę wpierw słyszeć, co pan mi powie... – Zaraz... zaraz...

Pożegnał Reginę, uściskał rękę Grosmanowi, odprowadził ich do sieni i powrócił.

– Landau może słyszeć...

Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i bawił się długim złotym łańcuszkiem od zegarka.

Moryc skupiał myśli, gryzł gałkę laski, gładził brodę, wciskał binokle i namyślał się, w jaki sposób kwestię posagu postawić, ale w końcu rzekł otwarcie i prosto:

– Co pan dajesz Meli?

– Co pan masz?

– Mogę panu jutro przedstawić pasywa i aktywa swojego interesu i akt spółki, jaką zawarliśmy dzisiaj z Grosglikiem. Ja nie potrzebuję pana oszukiwać. Moje interesy są murowane, moja gotówka nie jest z asekuracji trochę zakwestionowanej przez sędziego śledczego – powiedział umyślnie z silnym naciskiem. – Niech pan powie swoje słowo...

– Co pan masz? Powiedz pan cyfrę, jutro możemy sprawdzić...

– Trzydzieści tysięcy rubli gotówki! Do tego mój kredyt dwa razy tyle, ja jestem skromny. Moje wykształcenie, moje przyjazne stosunki ze wszystkimi milionerami łódzkimi, moja uczciwość, ani razu nie zbankrutowałem, to ważne...

– Bo się to panu nie opłaciło pewnie... – wtrącił spokojnie Landau.

– Więc tak licząc sumarycznie, plus minus, jestem wart najmniej dwieście tysięcy rubli, ja jestem skromny człowiek, ja się nie chwale. A co pan dajesz Meli?

– Ona całe dziesięć lat uczyła się na bardzo drogiej pensji. Jeździła za granicę; miała specjalnych metrów od różnych języków. Ona mnie dużo gotówki kosztuje.

– To jej osobisty, nieruchomy majątek, z którego ja nie będę miał ani jednego procentu.

– Pan z niej nie będziesz miał ani jednego procentu! A jej wykształcenie? Ona w salonie wygląda jak królowa! a jak ona gra na fortepianie, a jakie ona ma maniery! To jest śliczna dziewczyna, to jest moje najdroższe dziecko, to jest czysty brylant – wykrzykiwał z zapałem.

– Więc w jaką sumę pan go oprawisz?... – zapytał Moryc.

– Landau et Companie zdecydowali się na pięćdziesiąt tysięcy – rzekł wymijająco.

– Mało! Panna Mela jest brylant, jest śliczna kobieta, jest mądra, jest anioł, cały anioł, ale pięćdziesiąt tysięcy za mało.

– Mało! Pięćdziesiąt tysięcy to gruby grosz. Pan mnie w rękę za nią pocałować powinienes. Albo ona brzydka, kulawa, ślepa, żebym ja miał dawać więcej.

– Zupełnie zdrowa nie jest, często choruje, ale ja z tego kwestii nie robię.

– Co pan gadasz, Mela nie jest zdrowa? Pan zwariował. Mela jest samo zdrowie, pan zobaczysz, jaka ona zdrowa, ona będzie miała co rok dziecko. Pan mi pokaż w Łodzi drugą taką pannę. Z nią się chciał żenić włoski książe, pan wiesz.

– Szkoda, że za niego nie wyszła, byłbyś pan temu księciu sprawiał spodnie i buty.

– A pan co za firma? Co to za firma interes komisowy Moryc Welt? Co to za papier?...

– Pan zapominasz o mojej spółce z Borowieckim.

– Jesteś tam pan na dziesięć tysięcy rubli; oj, oj, gruby kapitalista! Zaśmiał się.

– Dzisiaj jestem na dwadzieścia tysięcy, a za rok fabryka będzie moją, ja panu ręczę...

– To może wtedy pogadamy – rzekł obojętnie Grunspan, ale w rzeczywistości kontent był z oferty Moryca, bo go uważał za dobrego grundera.

– Wtedy pogadasz pan z kim innym. Mnie dzisiaj Grosplik dawał sto tysięcy i Mery swoją.

– Ona jest taka. że Grosplik jak da dwieście, to jeszcze będzie zięcia szukał.

– Ale ona nie ma ojca i szwagra zaplątanych w ogniowe sprawy.

– Ciszej pan mów! – zawołał stary zaglądając do sąsiedniego pokoju.

– Pan myślisz, że to przyjemnie, że to dodaje kredytu być zięciem firmy Grunspan et Landsberger, to się pan grubo mylisz.

– W Łodzi wiedzą, co jestem wart – odparł spokojnie.

– Gdzie wiedzą? kto wie? policja? – szepnął zjadliwie.

– Nie powtarzaj pan plotek – rzucił ze złością. Zamilkli na długo.

Stary chodził po pokoju, wyglądał przez okno na ogród, Landau skulony siedział przy stole, a Moryc zdenerwowany już nieco, z niecierpliwością czekał końca targu. W duszy już się godził na pięćdziesiąt tysięcy, ale chciał jeszcze próbować, czy mu się nie uda co więcej wycisnąć.

– Czy Mela chce wyjść za pana?

– Zaraz będę wiedział, ale ja chcę naprzód wiedzieć, co pan jej daje?

– Powiedziałem, moje słowo nie wiatr.

– Nie mogę. Potrzebuję do interesu więcej. Mnie się nie opłaci sprzedawać za pięćdziesiąt tysięcy. Moje wykształcenie, moje stosunki,

moja uczciwość, moja firma jest znacznie więcej warta. Pan się namyśl, panie Grunspan. Ja nie jestem Landau ani Fiszbin, ani żaden kantorowicz. Ja jestem Moryc Welt-firma! Pan ulokujesz swoją córkę na sto procent. Mnie potrzeba pieniędzy nie na hulanki. Dasz pan pięćdziesiąt tysięcy gotówką, a drugie tyle w terminie dwuletnim? – zapytał stanowczo.

– W zasadzie zgoda, ale po odtrąceniu kosztów wesela, wyprawy i co wydałem na jej wykształcenie.

– To jest świństwo, panie Grunspan, tak krzywdzić własną córkę! – wykrzyknął.

– No, pomówimy jeszcze o tym, niech się sprawa Alberta wprawdzie skończy.

– Pan dla tej sprawy powinieś dołożyć z dziesięć procent córce, bo ona jest zniesławiona. My musimy bronić was przed ludźmi. No, ostatnie słowo?

– Powiedziałem, masz pan moje słowo.

– Słowo można zlikwidować bez zysku. Ja potrzebuję gwarancji.

– Jak mi Mela powie, że wyjdzie za pana, to wszystko się zrobi porządnie.

– Zgoda. Idę zaraz do niej.

– Ja panu życzę, żeby się ona zgodziła, bo pan mi się podobasz, Moryc.

– Grunspan, ty jesteś starymacher, ale ja ciebie szanuję.

– Będziemy żyli w zgodzie.

Podali sobie ręce.

Moryc znalazł Melę w małym buduaru, leżała na otomance z książką w ręku, której nie czytała trzymając oczy utkwione w oknie.

– Przepraszam cię, że się nie podniosę, trochę niezdrowa jestem. Siadaj! masz taką uroczystą minę?...

– Rozmawiałem właśnie z ojcem o tobie.

– A! – szepnęła przeciągle, przypatrując mu się uważnie.

– Właściwie ja rozmawiałem, ja zacząłem...

– Aha! kwiaty... rozmowa z ojcem... rozumiem...

Więc?...

– Stary mi powiedział, że to od ciebie zależy, tylko od ciebie, Mela – powtórzył ciszej i tak miękko, i tak serdecznie, że spojrzała znowu na niego.

Zaczął opowiadać jej o sobie i o tym, jak ona mu się bardzo i dawno podoba.

Podparła głowę na rękę i znękaną, smutną twarz zwróciła na niego. Smutek dziwnie bolesny, smutek łez niewyplakanych, smutek niepokieszonych nigdy, jaki ogarnia ludzi po stracie najdroższych, ścisnął jej sercem. Zrozumiała od pierwszego słowa, że przyszedł się oświadczyć. Patrzyła na niego bez gniewu i oburzenia, patrzyła i słuchała z początku obojętnie, ale w miarę jak on mówił coraz dłużej i coraz obszerniej, niepokój nią owładnął i żal zaczął przejmować jej sercem.

– Czemu to on przyszedł i mówił jej o małżeństwie?... Czemu to on, Moryc, a nie tamten, ukochany nad wszystko, nie Wysocki?...

Ukryła twarz w poduszce, aby ukryć łzy, aby nie wiedzieć mówiącego, i słuchała jego wywodów z zapartym oddechem, ze zmaconą świadomością, kto mówi do niej! Nie chciała wiedzieć o tym, całą mocą nie chciała. Łzy zalewały jej duszę. Całą mocą serca kochającego, wszystkimi siłami wyobraźni, tęsknot, po, żądań i miłości wołała do tamtego, aby przyszedł i wyrwał ją z męki, i siadł tam, w miejsce Moryca i przemienił się w niego, i mówił do niej... Tak silnie tego pragnęła, że chwilami miała złudzenie, iż się to już stało! Że to Wysocki siedzi teraz przy niej i mówi o swojej miłości.

Wstrząsała się przenikana jego słodkim głosem, nie słyszała Moryca, a słuchała tych dźwięków, które w tamten wieczór u Róży zapadły jej na dno mózgu i teraz niby z kliszy fonografu dźwięczały i owiewały ją czarem, rozkoszą, szczęściem...

Słuchała długo, niektóre słowa powtarzała bezwiednie z lubością i już miała ochotę powiedzieć: „kocham” – i przeniknęło ją szalone pragnienie rzucenia mu się na szyję, całowania. Otworzyła oczy i długo patrzyła z przerażeniem.

To Moryc siedział z kapeluszem w rękę... piękny Moryc... Moryc...

I nie o miłości mówi, nie o szczęściu życia we dwoje, nie o uniesieniach serca spragnionego kochania, nie o wzruszeniach miłości.

Moryc mówi spokojnie, że będzie im razem dobrze, że założą fabrykę; mówi o kapitałach, o posagu, o interesach, jakie robić zamierza; mówi, że jej nigdy niczego nie będzie brakowało, że może będą mogli trzymać konie i powóz.

To Moryc, Moryc, przypomina sobie usilnie i na pół przytomnie pyta:

– Kochasz mnie, Mieć... Moryc? Poprawia się szybko i chciałaby cofnąć to zapytanie, ale Moryc odpowiada ze wzruszeniem:

– Nie umiem ci tego powiedzieć, Mela! Ty wiesz, że ja jestem kupiec, ja nie potrafię określić ładnie tego, co czuję, ale jak cię widzę,

Mela, to mi tak dobrze, że już niczego nie pragnę, że nawet zapominam o interesach. A przy tym ty jesteś taka piękna i taka niepodobna do naszych kobiet, że ja ciągle myślałem o tobie. Więc powiedz, chcesz wyjść za mnie?

Patrzyła znowu na niego, ale znowu widziała inną twarz, inne oczy; słyszała gorący, namiętny, przyciszony szept wyznania miłosnego. Przymknęła powieki, bo ją zapiekły tamtego pocałunki. Wstrząsnęła się w rozkoszonym dreszczu przypomnień, wyprężyła się, przyciskając plecami do otomany, bo się jej zdawało, że ją tamten obejmuje ramionami i przytula do siebie.

– Mela, czy chcesz zostać moją żoną? – powtórzył

znowu, zmieszany jej milczeniem. Oprzytomniała zupełnie, stanęła i powiedziała szybko, bez namysłu;

– Dobrze. Pójdę za ciebie. Umów się z ojcem o wszystko. Dobrze, Moryc, zostanę twoją żoną...

Chciał pocałować ją w rękę, ale cofnęła się łagodnie.

– Idź już, jestem taka niezdrowa, idź... przyjdź jutro, po południu... Nie chciała więcej mówić, a on tak był uradowany zrobieniem interesu, że nie zauważył nawet jej dziwnego zachowania się i pobiegł do papy Grunspana, aby jak najprędzej ustalić cyfrę posagową. Grunspana nie było, bo go wezwano do kantoru. Moryc powrócił, aby prosić Meli o powiedzenie ojcu wszystkiego.

Zastał ją stojącą na tym samym miejscu, gdzie pozostawił, patrzyła w okno wzrokiem, który nigdzie nie patrzył i nic nie widział, była biała jak płótno, poruszała ustami, jakby coś mówiła z duszą własną lub ze wspomnieniami. – Dobrze, Moryc, powiem ojcu, będę twoją żoną, dobrze! – powtarzała monotonicznie.

Nie wyrwała mu ręki, gdy ją całował, nie słyszała nawet, że już wyszedł; położyła się na otomanie, wzięła książkę do ręki i leżała bezmyślnie, zapatrzona w róże kołyszące się za oknem i w złotą szklaną kulę. błyszczącą nad klombami.

Moryc był tak uradowany, że Franciszkowi, który palto podawał, dał całe dziesięć kopiejek i dorożką Pojechał do Borowieckiego fabryki,

– Powinszuj mi, żenię się z Melą Grunspan – zawołał wpadając do kantoru.

– I to pieniądz niezły – rzekł Karol podnosząc głowę znad papierów.

– To pieniądz gruby – poprawił Moryc.

– Tak, jeśli towarzystwo asekuracyjne wszystko wypłacić zechce – powiedział Karol z naciskiem, bo go zirytowała ta wiadomość, że Moryc za jednym zamachem zdobywał piękną pannę i duży posag, a on, on musi się wiecznie męczyć...

– Przyniosłem ci pieniądze.

– Właśnie się obliczałem, że może nie będę potrzebował brać od ciebie. Znalazłem kogoś, który chce mi dać na weksel z terminem półrocznym i na osiem procent tylko – powiedział umyślnie, bo pieniędzy nie miał, ale chciał mu zrobić przykrość.

– Bierz! Ja umyślnie dla ciebie pieniądze wydobyłem i zapłaciłem procent z góry.

– Zatrzymaj pieniądze dni kilka, gdybym nie wziął, zwrócę ci koszty.

– Nie lubię takich warunkowych interesów – mówił niezadowolony.

– Więc panna Mela cię przyjęła? Dziwi mnie to trochę...

– Dlaczego? Cóż mi masz do zarzucenia? – pytał prędko, gniewnie.

– Wyglądasz na kantorowicza, ale to nie przeszkadza, tylko że...

– Powiedz, proszę cię...

– Tak się podobno kochała w Wysockim – powiedział tonem zdziwienia, pełnego złośliwości.

– To jest taka prawda, jakby kto mówił o bankructwie Szai.

– Dlaczegoż nie miałyby się w nim kochać? Ona piękna, on przystojny. Oboje mają pewne wspólne społeczne bziki, oboje namiętni, widziałem u Trawińskich, jak się zjadali oczami. Mówili tam o ich małżeństwie... – ciągnął nieubłaganie, bawiąc się cierpieniem, jakie znać było na twarzy przyjaciela.

– Może i tak było, nic mnie to nie obchodzi.

– Mnie by obchodziła przeszłość narzeczonej. Nie ożeniłbym się z kobietą ze wspomnieniami.

Uśmiechnął się tak złośliwie, że Moryc zerwał się gwałtownie.

– Po co mi to mówisz?

– Nie ubliża to ani tobie, ani pannie Meli, mówię, co mi na myśl przyszło. Bardzo się cieszę nawet, że się żenisz tak świetnie.

Uśmiechnął się znowu zjadliwie.

Moryc trzasnął drzwiami i wybiegł wzburzony i wściekły na Karola.

Taki był zaperzony, że zaczął krzyczeć na robotników, którzy pompowali wodę z fundamentów.

– Ruszać się, chamy! Robicie jak z łaski, od wczoraj nic wody nie ubyło.

– A to czego? – zapytał jeden z robotników dosyć głośno.

– Co ty pyskujesz, do kogo ty tak pyskujesz? Ja cię zaraz, łajdaku, wyrzucę z roboty.

– Wynoś się, parchu, pókiś cały, bo ci mordę przekręcę, żebyś widział, gdzie uciekać – szepnął jakiś mularz przykładając mu pięść do nosa.

Moryc cofnął się spiesznie i podniósł taki wrzask, że Karol ukazał się przy robotnikach i Maks wybiegł z przedzalni.

Moryc wrzeszczał, żeby robotnika oddalić natychmiast, bo mu ubliżył.

– Daj pokój, Moryc, nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy.

– Jak to nie do swoich rzeczy! mam takie same prawo jak i ty – krzyczał.

– Na chwilę przypuśćmy, że takie samo prawo, ale ci to jeszcze nie daje prawa wymyślania robotnikom, wymyślania wcale niesłusznie.

– Co to jest: przypuśćmy! Moje dziesięć tysięcy rubli tyleż warte co i twoje.

– Nie krzycz tak, chcesz się przed robotnikami pochwalić, że masz dziesięć tysięcy rubli?

– Ty nie potrzebujesz mnie uczyć, co ja mam mówić.

– A ty nie potrzebujesz tego krzyczeć, mogąc po ludzku powiedzieć.

– Ja to robię, co mnie się podoba.

– Krzyczę sobie, kiedy ci się to podoba – zawołał Karol pogardliwie i wrócił do kantoru.

Moryc wykrzyczał się jeszcze przed Maksem i wybiegł odgrając się głośno, że musi zaprowadzić tutaj inne porządki, że tak dalej iść nie może, że Karol buduje pałac, nie fabrykę.

– Pewny posagu Grunspanówny i dlatego taki głośny – powiedział Karol Maksowi, ale żałował swego uniesienia, bo liczył na jego pieniądze, potrzebne mu były koniecznie.

– Ile razy dam się porwać pierwszemu popędowi – robię głupstwa.

Moryc pomimo przykrości, jaką mu Karol zrobił wspominając o miłości Meli, myślał i czuł tak samo, a nawet więcej jeszcze żałował swego uniesienia, bo czuł swoją śmieszność.

Byłby wrócił do Borowieckiego, ale nie śmiał na razie, zostawił to do wieczora, bo tymczasem było już po szóstej.

Konie Kesslera już czekały przed kantorem, pojechał do siebie, przebrał się i natychmiast kazał ruszać wyciągniętym kłusem przez miasto.

Z przyjemnością wyciągał się na miękkich siedzeniach powozu i niedbale kiwał głową spotykanym znajomym.

XIV [XXX]

Kessler mieszkał o kilka wiorst za miastem przy wielkiej farbiarni, której był właścicielem, będąc zarazem głównym akcjonariuszem i dyrektorem firmy: Kessler et Endelman.

Pałac, a raczej zameczek w stylu gotycko-łódzkim, wznosił się na szczycie wzgórza na tle wysokiego sosnowego lasu, a przed nim, na stokach dosyć stromych, zielenił się wielki angielski park, zbiegający do bystrej, ujętej w drewniane cembrowiny rzeczki, płynącej w głębokim jarze, obrośniętym wierzbina i olszynami.

Z prawej strony parku spoza drzew wychylały się czerwone kominy i mury farbiarni, a z lewej, daleko, szarzały słomiane dachy wsi rozrzuconej po obu stronach rzeczki, na dnie jaru, wśród kęp sadów i zarośli.

– Mieszkasz jak prawdziwy księżę łódzki – zawołał Moryc na przywitanie, wyskakując z powozu przed pałacem.

– Robiłem, co mogłem, żeby się jako tako urządzić w tym barbarzyńskim kraju – mówił Kessler, prowadząc go w głąb domu.

– Trafiłem na uroczystość? – zawołał, bo Kessler był we fraku i w białym krawacie.

– Gdzież tam, nie zdążyłem się jeszcze przebrać, jeździłem z urzędową wizytą...

– Jest już kto?

– Jest Wilhelm Muller, przyjechał umyślnie z Berlina, po cichu przed ojcem. Jest Oskar baron Meyer, jest Martin, znasz go? wesołe francuskie bydło. Jest kilku jeszcze naszych z Łodzi i Berlina. No, i jest część niespodzianek...

– Ciekawym. Masz kogo, co by robił honory domu?

– Zobaczysz...

Na wielkiej tarasie, od strony rzeki, zamienionej w letni salon, siedziało całe towarzystwo.

Indyjskie przepyszne maty z traw kolorowych zaścielały podłogę; meble były ze złoczonego bambusu, pokryte jedwabnymi poduszkami.

Ściany werendy tworzyły chińskie maty ze słomy, nanizanej różnokolorowymi paciorkami, nie wiązanej, a tylko jednym końcem, u góry, ujętej w szeroki złoty fryz, spod którego spływała ku podłodze niby

falami włosów skrzących się różnokolorowym szkłem i cicho dźwięczących za najłżejszym dotknięciem powietrza.

Moryca przywitał się z wszystkimi i usiadł w milczeniu.

– Co pijesz? My chłodzimy się szampańskim.

– Dobrze, zgoda na szampańskie.

Za chwilę wniósł służący wino, a za nim weszła Zośka Malinowska, która robiła honory domu, własnoręcznie nalała i usiadła przy nam na biegunowym krześle.

Milczenie zalegało werendę, bo wszystkich oczy wpiły się z chciwością w jej twarz piękną, w odsłonięte ramiona i w całą postać doskonale rozwiniętą.

Zmieszały ją nieco te spojrzenia ciekawe, ale to dodało jeszcze żywości jej bardzo ruchliwej twarzy i powlekło ją lekkim, delikatnym karminem.

– Kołysz mnie pan – powiedziała nakazująco do Moryca.

– Czy pani myśli, że to będzie dla mnie kara? – szepnął wciskając binokle, bo mu się bardzo podobała.

– Nic nie myślę, czym to dla pana będzie, bo chcę się tylko bujać – odpowiedziała dosyć twardo i zapatrzyła się przez nieosłonięty kawałek werendy W park staczający się po równi pochyłej aż do błyszczącego srebrem i błękitem strumienia, za którym leżały płaty łąk ciemnozielonych, a potem pola podnosiły się w górę; pola pocięte w pasy długie rozmaitymi odcieniami zieleni zbóż.

– Może się przejdziemy, pokażę wam park i menażerię – powiedział Kessler.

Poszli wszyscy prócz Mullera.

– Nie chce mi się chodzić... zmęczony jestem drogą... – powiedział na usprawiedliwienie.

– Wierz mi pan, że to na próżno – szepnął Kessler rzucając okiem na Zośkę.

– Co takiego? ani myślałem... – rzucił prędko, zły, że odgadnięto jego intencję, ale nie zmienił zamiaru, a gdy Kessler wyszedł, przysunął się do Zośki.

– Ten Muller jest jeszcze zupełnie jugend – odezwał się Kessler do Moryca idąc za całym towarzystwem, na przełaj wspaniałych trawników.

– Warum?

– Umyślnie został dla mojej dziewczyny, myśli, że ona pomienia mnie na niego.

– Kobiety mają nieraz niespodziewane gusta.
 – Ale stale lubią tych, co mają dużo pieniędzy,
 – Nie zawsze, nie zawsze – rzucił ciszej, bo mu przyszła na myśl Mela i Wysocki. – Skąd wydobyleś taką dziewczynę? Wspaniała samica.

– Co? podoba ci się?
 – Przystojna i czuć, że ma temperament, że...
 – Za dużo go ma i strasznie przy tym głupia, mam już jej dosyć.
 Skrzywił się i zaczął laską ścinać czubki krzewów, a po chwili odezwał się ciszej:

– Mogę ci ją odstąpić, chcesz?
 – Oferta wspaniała, ale do tej licytacji nie stanę, za mało mam pieniędzy...

– Ty się mylisz, zupełnie. To jest Polka, ona chce, żeby ją kochać rano, w południe i wieczorem, żeby być jej wiernym i w końcu, żeby się z nią ożenić. Mówię ci, że tu głupia dziewczyna. Płacze mi po całych dniach i ciągle wyrzeka, a na odmianę robi mi awantury, że muszę ją nieraz uspokajać po swojemu. Błysnął oczami i silniej świsnął laską po krzewach.

– Chcesz ją, to ci ułatwię... Muszę się jej i tak pozbyć w jaki sposób, bo się pewnie ożenię.

– Słyszałem coś o tym na mieście... z Mullerówną?

– Interes dopiero w robocie, nic jeszcze pewnego.

W każdym razie byłbym bardzo wdzięczny temu, kto by mnie oswobodził od tej dziewczyny. Może chcesz?

– O, dziękuję ci, ma brata i ojca, którzy podobno nie są zbyt dobrze wychowani... mogliby nie uszanować mojej skóry... A przy tym i ja się żenię.

Przyłączyli się do towarzystwa.

Kessler zaprowadził wszystkich do wielkich żelaznych klatek, w których żyła gromada małp. Długim kijem, przez kraty, zaczął je drażnić; małpy na sam jego widok zaczęły się cofać w głąb, a przestraszone kijem rzucały się na sufit, czepiały się bocznych krat i przeraźliwymi głosami wściekłości i rozpaczy pobudziły Kesslera do wesołego śmiechu i do zaciętszego ich podrażnienia.

Zwierząt było dosyć w innych klatkach, ale prawie wszystkie na widok swego pana głupiały ze strachu lub szczyrzyły kły.

Para tonkińskich niedźwiedzi, zupełnie czarnych, ze wspaniałymi żółtymi napierśnikami, rozwścieklona biciem, rzuciła się na kraty z

takim rykiem, że wszyscy odskoczyli z przerażenia, tylko Kessler się nie poruszył, przysunął bliżej twarz do wyszczerzonych kłów, bił pięścią po rozwartych potężnych szczękach i rozkoszował się ich bezsilną wściekłością.

– To pod moim adresem tak mruczą słodko – zauważył z uśmiechem.

Prowadził dalej, do jeleni spacerujących w ogrodzeniu, z którymi żył przyjaźnie, do klatek psów, tak zdziczałych, że rzucały się drapieżnie ku patrzącym; z psami był w dobrych stosunkach, bo wszedł do środka i pozwalał się im lizać po rękach i twarzy.

Na zakończenie pokazał gościom swoim stado białych pawie o cudownych tęczowych ogonach.

Kessler zakrzyczał i pawie, roztoczywszy wachlarze ogonów, biegły całą gromadą po zielonych trawnikach, ale zatrzymały się z dala patrzących i zaczęły krzyczeć blaszanymi, rozdzierającymi głosami.

Wracali wolno do pałacu.

Wieczór się już rozlewał nad ziemią, wzgórza jeszcze świeciły złotawymi blaskami zachodu, ale nad całą doliną wznosiły się lekkie mgły, które się poruszały i rozsnuwały jak zwoje przedzi sinej, rozdzieranej co chwila przez czuby drzew i grzbiety ostre dachów.

Od rzeki, od drzew i traw podnosił się cichy monotony szmer, pokrywany co chwila rojnym huczeniem chrabąszczów, które z brzękiem przelatowały nad głowami. Żaby od chłopskich rowów i sadzawek rechotały chóralnie.

Wilgotny a ciepły wiatr powiewał z zamglonej dali i niósł, głos dzwonów bijących długo a żałośnie, jakby na śmierć czyjąś: przydużone ciężkie echa drgały w powietrzu jak płyty stygnącego metalu i konały pod konarami lasu, w gąszczu czerwonych pni, stojących gęstą ścianą tuż za pałacem.

Na werandzie Zośki już nie było, tylko Wilhelm Muller kołysał się na fotelu.

– Cóż, ładna, prawda? – zapytał go Kessler drwiąco,

– Nie tyle ładna, ile... ordynarna.

– Nie mogłeś się pan porozumieć z nią?... – zapytał Kessler.

– Nie próbowałem nawet – odpowiedział ze złością i wykręcał wąsiki, aby ukryć pomieszanie i twarz z prawej strony zarumienioną nieco.

Kessler uśmiechnął się i zapraszał na kolację, bo właśnie lokaje otwierali drzwi na oścież, ukazując w amfiladzie szereg salonów umeblowanych z przepychem nadzwyczajnym.

Kolację podali w wielkiej okrągłej jadalni, zamienionej na ogród podzwrotnikowy, pełen palm i kwiatów; w środku ustawiono okrągły stół, tak wypełniony 'robrami i kryształami, że robił wrażenie wystawy jubilerskiej, wśród której niby drogie kamienie barwiły się kwiaty róż i storczyków ubierających obrus i zastawę.

Przy jednym z okien siedziały dwie z wynotowanych w fabryce robotnic, bo drugie dwie nie przyszły; siedziały bogato wystrojone, sztywne, onieśmielona iż trwogą patrzyły na wchodzących mężczyzn.

Po jadalni chodzili wolno i swobodnie się śmiały tancerki.

Była to właśnie ta niespodzianka importowana, jaką Kessler zapowiadał Morycowi, a którą Muller przywiózł z Berlina na dzisiejszy wieczór. Było ich trzy tylko, ale hałasowały za dziesięć i ordynarną, tingeltanglową wrzawą wypełniały pokój.

Postrojone były krzykliwe, obwieszane sztucznymi kamieniami, wydekoltowane do pól piersi, wymalowane, ale pomimo to zupełnie przystojne, o wysmukłych i doskonałych w rysunku figurach. Kolacja wlekła się dosyć długo i nudnie. Nikt nie miał humoru, byli zbyt przytomni, tylko tancerki rzucały cyniczne uwagi i okrzyki i kpiły z robotnic, które pomieszane, zdenerwowane, nieprzytomne prawie, nie wiedziały, jak jeść, co robić ze sobą, gdzie patrzeć.

Zajęła się nimi Zośka, a za nią i Moryc, obok niej siedzący, zaczął się do nich odzywać po polsku, aby je ośmielić.

Kessler nic prawie nie mówił, z namarszczoną brwią, z głową w ramiona wciśniętą, siedział chmurny i nienawistnie spoglądał na Zośkę, żywo rozmawiającą z Morycem, to na lokajów, którzy czując jego wzrok na sobie, uwijali się z pośpiechem pełnym trwogi.

Zazdrość nim szarpała. Chciał ją odstąpić, a teraz widząc jej twarz wesołą, uśmiechniętą, dziwnie jasną a piękną, pochyloną do tamtego, widząc, jak chciwie słuchała jego słów, jak się często rumieniała i z kokieteryą bardzo wdzięczną nalewała mu wino – zazdrość nim owładnęła.

Byłby kazał jej przyjść i siedzieć przy sobie, ale wstydził się okazywać zazdrość przy wszystkich, więc siedział ponury, zdenerwowany tym gwałtownym uczuciem i koniecznością panowania nad sobą.

Po kolacji przeszli do salonu, umeblowanego na sposób wschodni: wielkie sofy jedwabne zarzucone poduszkami stały pod ścianami, ścia-

ny były obciążone zieloną jedwabną materią w żółte płomienie, jakiś również zielono-żółty dywan zaścierał całą podłogę.

Lokaje poustawiali przed sofami niskie kwadratowe stoliki, zapelnili je całą baterią butelek i odsłonili coś w rodzaju estrady, na której znalazł się zaraz.

Skrzypcowy kwartet i grać zaczął.

Porozwalali się na sofach, gdzie komu było wygodniej, i zaczęli pić; zaraz z miejsca poszły dosyć gęsto likiery i koniaki do kawy, którą lokaje obnosili co chwila, a po kawie poszły wina w takiej ilości, w tylu gatunkach, że wkrótce się popili.

Muzyka wciąż grała, tancerki zniknęły, aby się przebrać odpowiednio, a tymczasem na środku salonu rozciągnięto gruby dywan z linoleum, odpowiednio wykredowany.

Gwar się zaczął zrywać, śmiechy, dowcipy, żarty

obiegały salę razem z robotnicami, które popychane od jednego do drugiego, podawane z rąk do rąk, całowane, szczypane, obejmowane, pojone winem, traciły przytomność do reszty i zaczynały szaleć, podbudzone jeszcze dźwiękami muzyki, która żar wlewała do żył i szaleństwo.

– Tańczyć – krzyknął Kessler, trzymając w pół Zośkę pijaną zupełnie i tak rozbawioną, że co chwila tarzała się po sofie i krzyczała.

Tancerki ukazały się z małymi tamburynami w rękach, wzniesionymi do góry, prawie nagie, bo prócz zwojów gazy, nic nie osłaniających, więcej nie miały na sobie.

Stały na środku i zgodnie uderzyły w tamburyny, wtedy muzyka przeszła w najdelikatniejsze pianissima, ledwie dosłyszalne, a melodię tańca poprowadził flet namiętym głosem, podobnym do miłego śpiewu ptaków.

Tancerki zaczęły „danse du ventre” dosyć wolno, i ospale, ale pod wpływem win, jakie w przerwach tańca literalnie w nie lano, i pod wpływem fletu rozogniły się i tańczyły namiętnie ten dziwny, ohydny taniec Wschodu, pełen epileptycznych drgawek, kurczów, wyrzuć całego ciała, lubieżnych pragnień, taniec rozszalałych rozpustą.

Flet lał niestrudzenie swój słodki, namiętny śpiew przenikał coraz bardziej wszystkich niepowstrzymaną żądzą zatopienia się w szaleństwie.

Oczy płonęły, piersi podnosiły się szybko, krótkie okrzyki zrywały się z piersi, ramiona wyciągały się do tańczących, odgłosy mocnych

pocałunków tonęły w tej dzikiej wrzawie rozpasania, jaka zapanowała w salonie.

Śmiechy, słowa, szcęk kieliszków, okrzyki zlewały się w wielki, odurzający gwar, nad którym tylko głos fletu panował, a one tańczyły coraz lubieżniej, coraz Jaskrawiej, coraz namiętnej; na zielonym tle ścian, w obłoku gaz przejrzystych szalone ruchy ich ciał nagich tworzyły obraz bachanckiej wizji.

Ryk śmiechu i zadowolenia rozlegał się wciąż po sali, tylko Zośka podniosła głowę i pijanymi oczami patrzyła długo na tanecznice.

– To świństwo, to ostatnie świństwo! – zawołała z jakąś bezwiedną grozą oburzenia i wybuchnęła strasznym, pijackim płaczem, aż ją Kessler kazał lokajowi zanieść do jej pokoju.

Ale wesoła zabawa łódzkich królewiatek trwała dalej, do końca...

XV [XXXI]

– Może jeszcze herbaty pan pozwoli, panie Józefie?

– Dziękuję pani – odparł Józio, wstał, uklonił się i rozczzerwieniony czytał dalej gazetę panu Adamowi...

Anka siadła w głębokim fotelu na biegunach, kołysała się, słuchała czytania, ale częściej spoglądała na drzwi od werendy i nasłuchiwała, czy nie usłyszy kroków Karola. – Mateusz, niech samowar nie zgaśnie, bo pan pewnie zaraz przyjdzie! – zawołała do kuchni, obeszła pokój, wyjrzała na świat ciemny przez wszystkie okna, chwilę stała z czołem opartym o szybę i znowu powróciła na fotel i z wzrastającą niecierpliwością oczekiwała. Nie było to po raz pierwszy od czasu, jak w Łodzi mieszkała, to jest od dwóch miesięcy. Dla Borowieckiego czas ten płynął bardzo szybko, ale dla niej i dla ojca włókł się ze straszną powolnością.

Zamknięci w domu i w tym chorym kawałku ogródka, który im musiał zastępować Kurów, cierpieli straszną nostalgię za wsią, za wielkimi przestrzeniami i z trudem zmuszali się do nowego życia i otoczenia.

Anka zmizerniała nie tyle z nudów, ile ze zmartwień różnych, jakie wciąż na nią spadały, i ze zgryzot tajonych, a których źródłem był Karol.

Urządziła sobie życie, jak tylko mogła, najczynniejsze, najbardziej wyczerpujące, ale pomimo to jakiś nieokreślony smutek przegryzał z wolna duszę.

Nie wiedziała, co myśleć o Karolu. Wierzyła, była przekonana, że ją kochał, ale od czasu przyjazdu do Łodzi zaczynała wątpić w to chwilami.

Jeszcze nie miała żadnej pewności, jeszcze nawet podejrzeń swoich się wstydziła, a pomimo to sercem odgadywała tę bolesną dla siebie prawdę.

A przy tym codziennie ze zdumieniem pełnym boleści przekonywała się, że on, ten, który był dla niej ideałem człowieka, którego sobie ubrała we wszystkie blaski własnej szlachetnej duszy, o którym myślała z dumą i radością, którego kochała pierwszym czuciem, który miał

być jej mężem – ten jej chłopak kochany, jak go nazywała w duszy, jest taki inny i niepodobny w rzeczywistości do tamtego, którego ubóstwiała.

Przekonywała się o tym codziennie i cierpiała coraz boleśniej.

Bywał czasami dla niej dobry, kochający, serdeczny, uprzedzający jej życzenia wszystkie, ale bywa) i zimny, szorstki, nieubłagany w ironizowaniu jej. wiejskich zwyczajów, a wtedy wyśmiewał z ostrością bolesną jej dobre serce, jej opiekowanie się biednymi, jej pojęcia nawet, jak nazywał, parafiańskie, wtedy jego stalowe oczy paliły ją niesłychanym bólem, a surowa twarz pełna była wyrazu zimnej obojętności.

Tłumaczyła jego postępowanie, jak i on to robił w chwilach lepszych, zdenerwowaniem i kłopotami, jakich miał wiele przy budowie fabryki.

Wierzyła temu z początku i znosiła cierpliwie zmienność jego humoru, a nawet robiła sobie wyrzuty, że nie umiała mu być uspokojeniem, że nie umiała tak go przywiązać do siebie, aby przy niej zapomniał o wszystkich kłopotach i zmartwieniach.

Próbowała to robić nawet, ale przestawała, spostrzegłszy raz jego drwiąco-dziękczynne spojrzenie, jakie jej rzucił.

A potem ona tego nie umiała, ona go kochała prosto i szczerze, umiałaby dla niego poświęcić wszystko, ale nie umiała pokazywać swojej miłości, nie umiała zadzierzgać tych tysiacych nici spojrzeń, frazesów, dotknięć, niedomówień; tego sztucznego czaru, który tak lubią mężczyźni i biorą zwykle za miłość najgłębszą, a który jest tylko flirtem i wstrętną minoderią panien chcących się dobrze sprzedać.

Brzydziła się tym, jej prosta i szlachetna dusza oburzała się do głębi na myśl takiego podniecania mężczyzn i tym trzymania ich przy sobie.

Miała silnie rozwinięte poczucie własnej godności, była dumną, czuła się człowiekiem.

– Dlaczego nie przychodzi? – myślała z głęboką przykrością. Józio czytał cichym, monotonnym głosem i od czasu do czasu podnosił spoczną twarz, spoglądał lękliwie na Ankę, wtedy pan Adam stukał kijem i wołał:

– Czytaj, czytaj! a to, dobrodzieju mój kochany, ciekawe, ciekawe! Ten Bismarck to sztuka, oho! Szkoda, że nie ma księdza tutaj, szkoda... Słuchasz, Anka?

– Słucham – szepnęła nasłuchując szumu drzew w ogrodzie i gło-
chego łoskotu Mullerowskich fabryk, czynnych i w nocy.

Czas się włókł strasznie wolno.

Zegar bił godziny za godzinami, cisza potem rozlewała się tym
głuchsza, w której tylko głos Józia coraz senniejszy rozlegał się słabo,
aż i on skończył gazety i zabierał się do wyjścia.

– A ty, Józiu, gdzie sypiasz? – zagadnął pan Adam.

– W kantorze starego pana Bauma.

– Cóż, nie lepiej mu?

– Pan Baum powiada, że nic mu nie jest, że jest zupełnie zdrowy.

Pan Wysocki był dzisiaj, chciał go obejrzyć, to się tak rozgniewał, że
go prawie za drzwi wyrzucił.

– Fabryka idzie jeszcze?

– Dziesięć tylko warsztatów czynnych. Dobranoc państwu.

Uklonił się i wyszedł.

– Pan Maks opowiadał wczoraj, że od października zamykają zu-
pełnie fabrykę. Stary Baum podobno zupełnie obłąkany, całe noce
przesiaduje w fabryce i porusza warsztaty. Onegdaj znalazł go Maks w
głównej sali, jak chodził od warsztatu do warsztatu i robił na nich. O,
Karol idzie! – zawołała radośnie, podnosząc się z fotelu.

Karol wszedł, przywitał się w milczeniu i rzucił się na krzesło. – Z
miasta idziesz? – zapytał stary.

– Jak zwykle – odpowiedział opryskliwie, zirytowany, że musi się
tłumaczyć, ale spostrzegłszy niespokojny wzrok Anki, rozjaśnił twarz i
miękkim głosem zapytał:

– Cóż tu nowego słyhać? Nie mogłem być na obiedzie, bo jeździ-
łem do Piotrkowa, przepraszam, że nie zawiadomiłem, nie było już
czasu, bo wyjechałem niespodziewanie. Była tu pani Trawińska?

– Była, ale po południu odwiedziła nas pani Mullerowa z Mada.

– Mullerowa z Mada? – zapytał ze zdumieniem.

– Przyszły po sąsiedzku. Bardzo przyjemne kobiety i tak obie
zgodnie wychwalały pana. Narzekały, że pan o nich zapomina.

– Także pretensje, byłem u nich parę razy zaledwie.

Wzruszył ramionami.

Anka spojrzała zdziwiona, bo Mada mówiła wyraźnie, że Karol na
wiosnę bywał u nich prawie codziennie na herbacie.

– Prawda, jaka z tej panny Mady typowa gęś?

– Mnie wydała się bardzo rozsądną i bardzo prostą i szczerą, nawet za szczerą... Dziwię się, czemu pan Maks odzywa się o niej zawsze z taką niechęcią.

– Maks łatwo się uprzedza.

Wiedział, dlaczego Maks jej nie lubi. Pił herbatę spieszenie, zmuszając się do tego, aby Ance odmową nie robić przykrości, i rozmyślał nad tą dziwną wizytą.

Po co one przyszły?

A może Anka umyślnie szukała zblżenia. Wypytywał się o szczegóły wizyty, Anka opisywała mu wszystko z drobiazgowością i szczerze wyrażała swoje zdumienie z ich przyjścia.

– To Mady robotą, sprytna dziewczyna! – myślał, ale nie był zadowolony.

Jeszcze się przecież nie wyrzekł zupełnie myśli zostania zięciem Mullera, więc wolałby, żeby żyły z daleka od siebie, mniej trudną miałby pozycję wobec obu panien.

– Trzeba będzie ich rewizytować – zauważył niedbale.

– Nie bardzo chciałabym zabierać nowe znajomości.

– Wierzę, a tym bardziej znajomości mocno nieodpowiednie.

– Pójdę do nich którego dnia z ojcem i na tym się skończy. Zaczął z pewnym politowaniem opowiadać o ich grubych obyczajach i dorobkiewiczowskich fantazjach Mady i starego Mullera, ośmieszał ich z przesadą umyślną, żeby Ance odebrać chęć zabierania z nimi bliższej znajomości, jeśli ją miała, a w końcu zeszedł na własne sprawy i kłopoty.

Anka słuchała z uwagą i ze współczuciem przypatrywała się jego podkrążonym oczom i zmęczonej twarzy, a gdy Karol skończył, zapytała:

– Daleko jeszcze do końca?

– Za dwa miesiące muszę w ruch puścić fabrykę, a choćby tylko jeden oddział, ale tyle jest jeszcze roboty, że boję się myśleć o tym.

– Powinien pan później odpocząć czas dłuższy.

– Odpocząć! Ależ później będzie jeszcze więcej roboty, całych lat potrzeba pracy wyteżonej, zabiegów, szczęśliwych warunków, dobrych odbiorców, kapitałów, żeby stanąć jako tako, wtedy dopiero będzie można myśleć o odpoczynku.

– I to gorączkowe, wyczerpujące życie ciągle, ciągle?...

– Ciągle, i w dodatku z troską, żeby się to wszystko zdało na co.

– W Kurowie nie potrzebowalby się pan tak męczyć.

– Serio pani to mówi?

– I ja to samo powtarzam – odezwał się pan Adam, układający sobie pasjansa.

– Myślałam o tym długo – szepnęła, przysunęła się do niego bliżej i oparta o jego ramię zaczęła z zapałem i tęsknotą malować spokojne, dobre życie na wsi.

Uśmiechał się pobłażliwie... Niech fantazjuje, kiedy jej to sprawia przyjemność.

Wziął w rękę koniec jej ogromnego warkocza i oddychał przedziwnym zapachem jej włosów.

– Byłoby tam zupełnie dobrze, nie psuliby nam ludzie spokojnego i trwałego szczęścia – ciągnęła Anka zapalając się.

Karol porównywał jej słowa z zupełnie podobnymi słowami tylu kobiet, które tak samo, poruszone miłością, marzyły o szczęściu z nim; to samo mówiła mu Lucy przed godziną, bo od niej wracał.

Uśmiechnął się i dotykał końcami palców chłodnych rąk narzeczonej i stwierdził, że nie elektryzują tak silnie jak tamtej, że nawet są znacznie brzydsze.

Anka mówiła dalej, snując barwną nić swoich marzeń i tęsknot z wielką szczerością.

– Gdzie ja to samo słyszałem, kto mi to przedtem mówił? Aha! – myślał i przypominał sobie długie wieczory spędzane z Likiertową, przypominał sobie tyle innych kobiet jeszcze, tyle twarzy, ramion, uścisków, pocałunków, przysięg miłości.

Był bardzo znużony po dzisiejszej schadzce i tak jeszcze pełnym tamtej, że wstrząsał się nerwowo i zapadał w jakąś głęboką ciszę z wyczerpania nerwowego, słuchał głosu Anki, a zdawało mu się, że to mówi kto inny, że to te wszystkie dawne jego miłości, 'zmartwychwstęłe we wspomnieniu tylko, są obok, mówią, snują się, dotykają go, słyszał prawie szelesty ich sukien, zdawało mu się, że widzi blade profile, że uśmiechy i słowa pełne dziwnego czaru otaczają go dookoła, że je spostrzega...

Wzdrygnął się i ogarnął Ankę ramieniem, i przycisnął rozpalone jeszcze tamtej pocałunkami usta do jej skroni... Podniosła twarz ku niemu, zdziwiona tym nieoczekiwanym pocałunkiem, a on zobaczył wtedy po raz pierwszy, przez bezwiedne prawie skojarzenie, że ona nie jest piękną, jest niesłychanie miłą, wdzięczną, szlachetną, dobrą, ale piękną nie jest...

Ankę ten wzrok badawczy i zimny dziwnie dotknął i zarumienił, wyciągnęła mu z kieszeni na piersiach jedwabną chusteczkę i zaczęła się nią chłodzić.

– Co to za perfumy? – zapytała, aby coś powiedzieć, bo to spojrzenie zmroziło jej zapał dawny.

– Fiołki, o ile pamiętam.

– Te fiołki są heliotropem, pomieszany z różami! – odezwała się z uśmiechem i bezwiednie obejrzała chusteczkę.

Była to wykwintna chusteczka jedwabna, obszyta koronkami, z monogramem na środku, zabrał ją Lucy i zapomniał schować głębiej.

– Prawda, to heliotrop! – zawołał, żywo odbierając chusteczkę i chowając ją zbyt spieszenie – Mateusz pomimo zakazu perfumuje mnie ciągle zamiast pilnować, aby w pralni nie zamieniali drobiazgów – mówił niedbale, ale czuł, że Anka nie uwierzyła w to niezręczne tłumaczenie.

Posiedział jeszcze chwilę, próbował nawet szerokiej, serdecznej rozmowy, ale spotykał się ciągle z niedowierzającym wzrokiem dziewczyny, więc wstał do wyjścia.

Anka wyprowadziła go jak zwykle na werendę, gdzie już Mateusz czekał z latarnią.

– Mateusz, nie perfumujcie panu chusteczek tak silnie – powiedziała cicho,

– Ja ta nie perfumuje, u nas ta nijakich perfumów nie ma – odparł zaspanym głosem.

Anka drgnęła nieco, patrząc na zakłopotaną twarz Karola.

– Może pan z nami jutro pojedzie do kościoła?

– Jeśli będę mógł, to dam znać rano.

Z tym się rozstali.

Anka wolno powróciła do mieszkania, kazała pogasić światła, wydała polecenia na jutro, powiedziała ojcu dobranoc i znalazłszy się w swoim pokoju, stanęła przy oknie i długo patrzyła w ciemne przepaście nieba, długo rozczuwała wszystko.

– A wreszcie, to mnie już nic nie obchodzi – szepnęła do siebie.

Ale to była nieprawda, obchodziło ją to więcej nawet, niż pragnęła, tylko nie chciała poddać się tym bolesnym, upokarzającym jej dumę spostrzeżeniom tym brutalnym faktom, jakie przed nią stawały.

– Nie stanę mu pewnie na drodze do szczęścia – powiedziała sobie rano po nie przespanej nocy, zacięła się w sobie i w takiej dumie, która nie pozwalała się skarżyć i płakać.

Zamknęła wszystko w sobie.

Przy śniadaniu była jak zwykle spokojna. Służąca dała znać, że gromada robotników przyszła i koniecznie ją chce widzieć.

Anka wyszła na werendę nie wiedząc, o co im chodzi.

Pana Adama też za nią wtoczyli.

Na werendzie było kilku mężczyzn i kobiet, ubranych świątecznie, z bardzo uroczystymi twarzami.

Na jej wejście wysunął się zaraz Socha, który teraz był furmanem u Borowieckiego, pocałował ją w rękę, schylił się do nóg wedle odwiecznego zwyczaju, cofnął się nieco, chrząknął, obtarł nos rękawem surduta, obejrzał się na żonę stojącą z boku i rzekł mocno:

– A to myśwa się zmówili i przyszli podziękować naszej dziedzicze kochanej za tego chłopaka, co go to połamało, a u panienki się likował, za te kobite, co to una wdową ostała, po tym Michale, co go te rusztowanie zabiło, i za te dziecioki, co ostały, niby po tym Michale, co go rusztowanie zabiło, i za te dobrość, jaką im panienka robi – wypowiedział jednym tchem i obejrzał się na żonę i na kolegów, którzy potakiwali głowami i poruszali ustami, jakby mówiąc z nim razem.

Odetchnął i mówił dalej.

– My jesteśwa biedne sieroty, a panienka chociaż ani nam warzona, ani pieczona, a dobra kiej matka rodzona. Naród się zmówił, coby za to wszystko podziękować z serca. Przez podaronków myśwa przyszli. ale podaronki... ale... podaronki... całujta, ścierwy, panienke po rączkach, obłapia za nóżki! – zawołał, nie mogąc dokończyć mowy.

Jakoż po tym energicznym przemówieniu otoczyli Ankę kołem i całowali ją po rękach, a mniej śmieli po łokciach. Ankę zalała ogromna radość i rozrzewnienie, mówić nie mogła ze wzruszenia, więc pan Adam przemówił słów kilka od siebie i kazał im dać wódki. Na sam koniec sceny nadszedł Karol i dowiedziawszy się, o co im chodzi, kazał dać po raz drugi wódki i coś w rodzaju śniadania i uściśnął bardzo serdecznie ręce robotników, ale uśmiechał się ironicznie i gdy ludzie odeszli, powiedział drwiąco:

– Wzruszająca scena. Myślałem, że to dożynki, brakowało tylko pieśni i wieńca ze zbóż, był natomiast spleciony z wdzięczności i z dobrych uczynków.

– Widzę, że to jest łatwa zabawa, ironizowanie wszystkiego, bo zbyt często pan się w to bawi – powiedziała spokojnie na pozór, ale w głębi drżała gniewem.

– Nie moja zasługa, a... sposobności tak częstych.

– Dziękuję panu za szczerłość. Wiem teraz już dobrze, że wszystko, co robię, jest śmiesznym, małostkowym, parafialnym i niemądrym, że to wszystko godne jest ironii, tylko ironii, a pan ją swobodnie wypowiada, bo to mnie tylko boleć może, a pana cieszy, nieprawdaż? – mówiła rozdrażniona.

– Co słowo to oskarżenie, i to bardzo ciężkie – rzekł Karol.

– I prawda.

– Nie, zupełna nieprawda, przywidzenie dla mnie bardzo bolesne.

– Bolesne! – zawołała ironicznie.

– Panno Anno, Anka! dlaczego się pani gniewa na mnie? Po co mamy sobie zatruwać życie takimi drobiazgami, czyż pani na serio znajduje w moim ironizowaniu niewinnym obrazę i krytykę siebie? Ależ daję pani słowo, że nigdy, nigdy tego nie pragnąłem i pragnąć nie mogłem – tłumaczył się gorąco szczerze zmartwiony i dotknięty jej słowami.

Anka nie słuchała, wyszła z pokoju nie spojrzawszy na niego.

Karol poszedł do ojca na werendę i skarżył się przed nim.

– Ja jestem trup, ja już nie żyję, ale ci powiem szczerze, krzywdzisz Ankę i zniechęcasz, obyś tego, nie żałował później – powiedział stary ze smutkiem i zaczął mu robić delikatne wymówki za zaniedbywanie narzeczonej i za te tysiące drobiazków w codziennym życiu, którymi Ankę ranił i obrażał jej miłość własną.

– Antonina niech się spyta panienki, czy prędko pojedziemy do kościoła, bo konie już czekają – powiedział Karol do służącej i wzburzony wymówkami ojca chodził po werendzie oczekując odpowiedzi.

Służąca przysłała zaraz.

– Panienska poszła do pani Trawińskiej i powiedziała, że dzisiaj nie pojedzie do kościoła.

Borowiecki rozczzerwienił się ze złości i wybiegł.

– Pij że sobie piwo, jakieś nawarzył... – mruczał za nim pan Adam.

Anka rozgniewana poszła do Niny.

Nina była sama, siedziała w narożnym pokoju przed małymi stalugami i malowała pastelami bukiet złotych róż, rozsypanych przed nią na pysznej zielonawej materii.

– Dobrze, żeś przysłała, miałam pisać po ciebie.

– Sama jesteś?

– Kazio pojechał do Warszawy, wróci dopiero wieczorem, malowanie mi się już sprzykrzyło, czytać mi się nie chce, więc chciałam ci

zapropnować wycieczkę za miasto, na świeże powietrze. Będiesz miała czas?

– Ile tylko zechcesz.

– A Karol?

– Przecież jestem dorosła i wolno mi już rozporządzać sobą i czasem swoim.

– A! – wyrwało się Ninie mimo woli, ale nie pytała więcej, bo służący zameldował Kurowskiego, który dowiedziawszy się, że nie ma Trawińskiego, chciał wyjść.

– Zostań pan, zjemy razem obiad, a potem we trójkę urządzimy wycieczkę za miasto, będziesz pan naszym opiekunem i pocieszycielem, dobrze?

– Na opiekuna zgoda.

– Ba, kiedy nam koniecznie potrzebny jest pocieszyciel.

– Dobrze, niechaj panie cierpią, a zacznę pocieszać, tylko uprzedzam, że łzom nie uwierzę i pozwolę im płynąć swobodnie, choćby strumieniami.

– Łzom pan nie wierzy?

– Przepraszam, kobiecym łzom.

– Zawiodły pana jedne, a teraz zemsta na wszystkie.

– Tak, zawiodły, a teraz zemsta! – powiedział wesoło.

– Nie będzie pan miał do niej sposobności, bo my należymy do kobiet, które nie płaczą, nieprawdaż, Anka? –

– A przynajmniej nikt łez ani cierpień naszych nigdy nie zobaczy – odpowiedziała cicho Anka.

– Uwielbiam taką dumę, a gdybym był prawodawcą, nakazywałbym ją wszystkim.

– Nikt by nie słuchał, bo ludzie są szczęśliwsi przez to samo, że mogą uchodzić przed drugimi za nieszczęśliwych.

– Duży paradoks, ale i duża prawda, człowiek to przede wszystkim zwierzę liryczne, jeśli nie sentymentalne. Nowy Linneusz powinien je zaklasyfikować pod rubrykę: „Gatunek mazgajowatych”. Pomijając to, czy Karol tutaj będzie dzisiaj?

– Nie wiem, nie wiem, czy pana Borowieckiego dzisiaj widzieć będę.

Kurowski bystro popatrzył na Ankę, ale twarz jej nic nie zdradzała, prócz spokojnej obojętności.

Przy skończeniu obiadu, który przeszedł nadzwyczaj wesoło, bo i Anka rozchmurzyła się nieco po usilnych staraniach Kurowskiego, przysłała na stół kwestia, gdzie jechać?

– Byle nie do Helenowa, tam za wiele ludzi dzisiaj.

– Pojedziemy za miasto. Szkoda, że nie ma Trawińskiego, bo zaproponowałbym państwu podwieczorek u siebie. Mam przy chałupie trochę wody i ogrodu, byłoby nam chłodno.

– Daleko od Łodzi? – spytała Anka. – Boczna drogą będzie z pięć wiorst.

– Prowadzi pan podobno gospodarstwo?

– Jestem wielki pan, bo mam czterdzieści morgów ornego gruntu, ale... ale gospodarstwo prowadzę tylko w fabryce, bo rolnego nie znam i nie cierpię.

– Pan Karol opowiadał mi na wiosnę, że pana zastał przy własnoręcznej siejbie jęczmienia, a nie w laboratorium, więc?

– Więc... Karol żartował tylko, upewniam panią, że żartował – powiedział prędko, bo się ukrywał ze swoimi zamiłowaniem gospodarczymi, które pogardliwie wobec ludzi nazywał parobczymi.

– Pokażę paniom, jak się w Łodzi bawią w niedzielę szerokie masy – mówił wsadzając je do powozu i kazał jechać do lasku Milscha.

Miasto było jak wymarłe, sklepy pozamykane, okna poprzysłania, szynki ciche, ulice puste, zalane rozdrzanym powietrzem i oślepiającymi blaskami słońca, które prażyło niemiłosiernie.

Drzewa na trotuarach stały bez ruchu, z omdlałymi liśćmi, bezsilne wobec potęgi ognia lejącego się z białawego nieba, które niby ciężka wełniana opona obtulało miasto tak szczelnie, że ani jeden przewiew wiatru nie przedarł się z pól i nie ochładzał rozprażonych bruków, trotuarów i murów.

– Lubi pani ciepło – zauważył, bo Anka przysłaniała parasolką twarz tylko, odsłaniając ramiona i plecy na słońce.

– Ale tylko słoneczne.

– Tamci się smażą jak na patelni – wskazał ruchem brody na niskie domy, przed którymi w wąskim jeszcze pasku cieniów rozkładały się całe rodziny, zupełnie rozneglizowane.

– Dziwne, ale ja zupełnie nie czuję tego upału, jaki widzę – odezwała się Nina.

Nikt jej nie odpowiedział, bo Kurowski bardzo pilnie obserwował Ankę. Jego orzechowe wielkie oczy, podobne do oczów tygrysa, ślizgały się po jej twarzy badawczo. Anka nie zauważyła tego, rozmyślała

o Karolu i tłumila w sobie cichy żal, który ją począł nurtować; żal, że może źle zrobiła sprawiając mu przykrość.

– Czy tutaj zostaniemy? – zapytała Nina, gdy powóz zatrzymał się przed restauracyjnym ogródkiem, z którego płynęła ogromna wrzawa głosów i muzyki wojskowej.

– Przejdziemy tylko do lasu. Przepychali się przez zatłoczony ogródek, pełen wrzawy i hałasów.

Kilkaset drzew i drzewek o liściach pożółkłych i spieczonych rzucało mizerny cień na wydeptane trawniki i na piaszczyste dróżki i alejki, dymiące tumanami kurzu, który rozwłóczył się po ogródku i opadał na drzewa i na setki białych stołów, i na tłumy przy nich rozsiadłe, rozkoszujące się piwem, jakie zabrudzeni garsoni roznosili ustawicznie.

Wojskowa orkiestra na estradzie grała sentymentalnego walca, a w głównym budynku restauracyjnym, otoczonym werendami, tańczono z zapalem pomimo tropikalnego gorąca; tancerze byli bez surdutów, a niektórzy i bez kamizelek, ale tym siarczyściej bili obcasami w podłogę i mocno pokrzykiwali.

Pomagali im z zapalem liczni widzowie, cisnący się do drzwi i okien pootwieranych, przez które podawano zmęczonym, piwo, a wielu niecierpliwych tańczyło na werendzie i na trawnikach, w obłokach kurzawy i przy akompaniamencie strzałów w strzelnicy i głuchym, warczącym turkocie wyrzucanych w kręgielni kul i głosów trąbek dziecinnych, brzęczących po całym ogrodzie.

Na małej sadzawce, o martwej, zaropiałej wodzie, kołysało się kilka łódek; kilka tkliwych par smażyło się na słońcu i pracując wiosłami, śpiewało bardzo czułymi głosami niemiecką piosenkę o gaju, piwie i miłości.

– Wyjdźmy, już nie mogę wytrzymać – szepnęła Nina wstając od stolika, przy którym siedli.

– Ma pani już dosyć ludowej zabawy i demokratycznego otoczenia? – pytał ironicznie Kurowski płacąc za piwo, którego nie dotknęli.

– Mam tylko dosyć kurzu i brzydoty. Chodźmy do lasu, może tam będzie świeższe powietrze – szeptała przysłaniając usta, bo kurz podnosił się coraz gęstszy.

Ale i w lesie nie było świeżego powietrza.

– Więc to jest las? – zawołała Anka przystając ze zdumienia pod drzewami.

– Tak się to w Łodzi nazywa.

Zapuscili się w głąb.

Las stał cichy i jakby obumarły, tysiące czarnych smutnych pni rozbiegało się we wszystkie strony, poźółkłe, suchotnicze gałęzie obwisały z bezwładnością konania i tak przysłaniały światło, że było mroczno i smutnie; drzewa stały bez ruchu, a jeśli chwilami powiał po nich wiatr, to trzęsły się jak w febrze i głucho, żałośnie szumiały, a potem znowu stały martwe, czarne, smutne, jakby głęboko zamyślane i pochylały się nad strugą odpływów fabrycznych, która kolorową wstążką wiła się wskroś czarnych pni i mroków, rozsiewała duszące straszne wyziewy i tworzyła w wielu miejscach grząskie, zaropiałe bagienka, rozsączała się w organizmy potężne drzew, które niby palcami olbrzymów chwyciły się korzeniami ziemi i ssaly z niej z wolna śmierć i ztratę.

Ale wśród tych drzew konających rozkładały się gwarne obozowiska ludzkie.

Katarynki i setki harmonijek grały w różnych miejscach lasu, samowary dymiły, dzieci jak kolorowe motyle biegały w mroku posepnym, tańczono w wielu miejscach, wrzawa skłębionych głosów ludzkich i muzyki huczała głucho.

– Smutna zabawa – zauważyła Anka. – Czemu z nich tak mało się bawi istotnie, czemu wszyscy nie krzyczą, nie śpiewają, nie piją pełną pierś swobody, wypoczynku, życia?

– Czemu? bo nie umieją i nie mają sił. Odpoczywają po wczoraj; nie zapomnieli go jeszcze, a już smutek jutra mroczy im dusze – mówiła Nina wskazując całe rodziny rozłożone pod drzewami, które siedziały apatyczne, zmęczone i jakby ze zdumieniem rozglądając się po lesie i po tych, którzy tańczyli i śmiali się.

– Chodźmy za las, chcę chociaż kawałek pola – zawołała Anka.

Poszli, ale i tam długo nie byli, bo Anka nie znalazła pola, jakiego szukała, zobaczyła natomiast wielkie, puste już ziemie, na których wznosiły się cegielnie i czerwone kominy jakichś fabryk, piętrowe domy i kilku cyklistów, ciągnących swoje maszyny po wysypanej miałem węglowym drodze.

Wrócili rychło do miasta, Anka spieszenie poszła do domu sądząc, że zastanie Karola; nie był nawet na obiedzie.

Pan Adam spał w swoim wózku w ogrodzie pod drzewami, cisza pełna dziwnej nudy owiewała dom cały, na pustej werendzie ćwierkały i goniły się wróble, wcale nie zestraszona wejściem Anki, która obszedłszy ogród, zajrzawszy do wszystkich pokoi, nie wiedziała, co robić ze sobą.

Wzięła jakąś książkę i siadła na werendzie, ale czytać nie mogła; patrzyła bezmyślnie w białe chmury, jakie od wschodu zaczęły nadciągać, i słuchała godzinek, które w kuchni pełnym głosem śpiewała służąca. To jej tak żywo przypomniało wieś i takim rozręsknieniem głuchym i bolesnym przepełniło serce że rozplakała się, sama nie wiedząc dlaczego.

Czuła się dziwnie samotną, opuszczoną i jakby gdzieś z dala poza całym światem...

Pan Adam zaczął nawoływać, więc poszła i przywiozła go na werendę.

– Karola nie było?

– Nie wiem, przyszłam niedawno. Milczeli długo, unikając spotkania się oczami, aż w końcu pan Adam rzekł nieśmiało:

– A może byśmy razem odmówili nieszpory, co?

– Dobrze, o dobrze! – zawołała radośnie i zaraz przyniosła książkę do nabożeństwa.

– Bo... widzisz... przypomni to nam Kurów... – szepnął, zdjął kapelusz, przeżegnał się i zaczął powtarzać za nią, głosem pełnym wiary i uczucia, łacińskie słowa hymnów.

Cisza przedwieczorna zrobiła się jakaś głębsza i rozpościerała się razem ze zmrokiem, który już rozsnuwał swoje pajęczce posnowy na niskie domy i ogrody, tylko cynkowe dachy i szyby paliły się jaskrawymi blaskami zachodu, a dymy idących i w niedzielę fabryk podobne były do różowych pierścieni, które nieskończonym, spiralnym łańcuchem były prosto w niebo.

Anka czytała do samego zmroku, jej czysty głos o głębokich akcentach lirycznych rozlewał się koliskami po werendzie, poruszał lekko obwisłe liście wina i chwiał delikatnymi kwiatami powojów i groszków pnących się po balustradzie, a potem, gdy skończyła, uklękła przy starym i dawnym kurowskim obyczajem zaśpiewała stłumionym nieco głosem:

Wszystkie nasze dzienne sprawy...

Pan Adam wtórował swoim basem, a służąca z kuchni dyszkantem. Daleko, jakby o tysiące mil, miasto zaczęło huczeć powracającą falą spacerowiczów, turkotami dorożek, głuchym łoskotem fabryk i płaczącymi głosami katarynek po szynkach.

Podano wkrótce herbatę, ale Karol nie przyszedł.

Anka czekała na niego coraz niecierpliwiej, bo po tej modlitwie uspokoiła się bardzo i postanowiła opowiedzieć mu wszystkie swoje udręczenia i wątpliwości.

Miała nawet postanowienie przeprosić go za swoje wyjście dzisiaj, byle się już raz skończyły te ciągłe nieporozumienia.

Karol jednak nie nadchodził, przyszła natomiast Wysocka, jakaś bardzo tajemnicza i surowa, długo opowiadała o synu i o mężczyznach w ogólności, długo dzierzgała jakieś tło, na którym chciała uwypuklić tym lepiej sprawę, z jaką przyszła.

Anka słuchała jej ze wzrastającym niepokojem, aż w końcu powiedziała:

– Dlaczego ciocia nie powie otwarcie, po co te półsłówka i kołowania.

– Dobrze, wolę nawet otwarcie, bo mi niezręcznie i nie umiem inaczej. Chodźmy do twojego pokoju. Zamknij dobrze drzwi! – zawołała, gdy się już tam znalazły,

– Słucham cioci – szepnęła siadając w niskim foteliku przy stole, na którym paliła się lampa w złotawej osłonie.

– Ot, moje dziecko, przyszedłam cię zapytać, jako twoja krewna, czy wiesz, co mówią w Łodzi o tobie i o Karolu?

– Nie myślałam nawet, że mówić mogą – odpowiedziała cicho, podnosząc oczy.

– I nie domyślasz się?

– Zupełnie, nie mam pojęcia nawet, co by mogli mówić – odpowiedziała tak spokojnie, że Wysocka zatrzymała w sobie jakieś słowa, przeszła się kilka razy po pokoju, popatrzyła na nią i zawołała przyciszonym głosem:

– Mówią, że... że Karol chętnie ożeniłby się z Madą Mullerówną, gdyby... gdyby...

– Gdybym ja mu nie stała na przeszkodzie – podchwyciła mocno.

– Więc wiesz?

– Nie, ciocia mi to powiedziała przecież w tej chwili – szepnęła ciszzej i zamilkła.

Przechyliła głowę w tył, na wysoką poręcz fotelu, i patrzyła przed siebie tępym, przygaszonym wzrokiem; wiadomość nie wstrząsnęła nią do głębi i od razu, a rozlewała się po jej sercu gorącymi koliskami; przeżuwała ją jeszcze spokojnie, tylko jakieś bolesne drżenie przebiegało po niej, ale go tłumiała całą siłą woli.

– Moja Anko, nie gniewaj się na mnie za złą wieść, która najprawdopodobniej jest tylko złośliwą plotką. Musiałam ci ją powiedzieć... Rozmów się z Karolem otwarcie, bo takie plotki potrafią najmocniejszą miłość zabić i... i... Pobierzcie się jak najprędzej, to tym najlepiej zamknie się usta niechętnym, przestaną się wami zajmować. I nie gniewaj się na mnie, moim obowiązkiem było cię uprzedzić.

– Jestem cioci bardzo wdzięczna, bardzo...

Ujęła jej rękę i przycisnęła do ust.

– I nie martw się, to nic, tylko plotki. Karol ma wielu nieprzyjaciół, dużo kobiet liczyło na niego, dużo się w nim kochało, więc nic dziwnego, że się mszczą teraz, a zresztą ludzie nigdy znosić me mogą spokojnie cudzego szczęścia. Dobranoc.

– Dobranoc cioci.

Anka odprowadziła Wysocką do drzwi.

– A jeśli chcesz, to ja sama powiem o tym Karolowi.

– Nie, dziękuję, ja muszę mu powiedzieć o tym. Może ciocia się zatrzyma, wezmę tylko okrycie i pójdę z ciocią do Trawińskiej.

Wyszły w milczeniu, bo chociaż Wysocka usiłowała zawiązać rozmowę, Anka prawie nie słyszała jej słów i nie odpowiadała, zatopiona w coraz żywszym odczuwaniu tej wieści niespodziewanej.

Żeby dostać się do domu Trawińskich, było najkrócej przejść przez ogród i fabrykę Borowieckiego, ale że fabryka z powodu niedzieli była zamknięta, więc trzeba było iść ulicą, obok pałacu i domu Mullerów.

Okna domu Mullerów były otwarte i oświetlone, a że były słabo przysłonięte i tuż nad trotuarem, więc z ulicy doskonale było widać wewnątrz.

Anka przechodziła koło nich nie patrząc, ale Wysocka spojrzała i zatrzymała się chwilę, pociągając za rękę dziewczynę.

W saloniku siedziała cała rodzina Mullerów z Karolem w środku.

Mada, przechylona do niego, opowiadała coś ze śmiechem i radością, a czego Karol słuchał z wielkim skupieniem.

Anka, spostrzegłszy tę scenę, cofnęła się i nie powiedziawszy ani słowa Wysockiej, powróciła do domu.

Nie rozpaczała ani płakała, bo czuła się tylko obrażoną śmiertelnie, dotkniętą w swej miłości własnej.

Na drugi dzień po obiedzie Karol zaczął się usprawiedliwiać przed nią, dlaczego nie był wieczorem, ale mu przerwała zimno i dosyć wyniośle:

– Dlaczego pan się usiłuje usprawiedliwiać, robi pan to, co jest przyjemniejszym, było panu milej u Mullerów, więc tam pan przepełdził wieczór.

– Zaczynam pani nie rozumieć – zawołał dotknięty.

– Nie wiem, czy się pan starał o to kiedykolwiek.

– Dlaczego pani mówi w taki sposób do mnie?

– Czy pragnie pan, abym nie mówiła zupełnie?

– To raczej pani zmusza mnie do tego.

– O tak, zmuszam pana, oczekując całe dni nieraz na jedno słowo, oczekując na próżno... – powiedziała Anka z goryczą, ale pożałowała zaraz tych słów które się jej bezwiednie wydarły, bo Karol siedział nieporuszony i zły..

Zniechęcenie i nuda wyzierały z jego oczów i słów nie potrafił się już maskować nawet, podniósł się i biorąc kapelusz powiedział zimno:

– Jadę do Kurowa, może pani ma jakiś interes?

– Mam kilka nawet.

– Mogę je załatwić.

– Dziękuję, załatwię sama, bo i tak z ojcem za dni kilka tam pojedziemy.

Uklonił się i wyszedł, ale powrócił już z ogrodu, tknięty mocno potrzebą zgody i jakby w poczuciu win swoich względem niej popełnionych; zastał ją tak, jak opuścił.

Anka siedziała wpatrzona w okno, podniosła na niego pytające spojrzenie.

– Panno Anko, dlaczego się pani gniewa na mnie? Czemu nie jesteś pani szczerą ze mną jak dawniej, jak w Kurowie? Co się z panią dzieje? Jeśli panią zmartwiłem, jeśli zrobiłem jakąkolwiek przykrość, to przepraszam całym sercem...

Mówił cichym, pełnym uczucia głosem, a porwany własnymi akcentami szczerości, szeptał dalej z serdecznością:

– Ja mam tyle kłopotów, tyle zmartwień ciągłych, że być może nieraz uraziłem panią swoją szorstkością, ale powinna pani wiedzieć przecież, że to mogło się stać tylko mimo woli, nie posądzisz mnie przecież, że mógłbym świadomie cię udreczać, Anka, proszę cię, przemów i przebacz mi. Czy już tak mało cię obchodzi, co?

Pochylił się nad nią i zajął w jej oczy, które spieszenie przymknęła, bo były pełne łez. Ten głos serdeczny, cichy przenikał ją ciepłem, otwierał wszystkie rany, budził wszystkie przemilknęłe skargi i wszystkie pragnienia kochania, przepępiał jej oczy łzami, a duszę taką dziwną,

taką wielką żalnością – a nie mogła się odezwać, nie mogła, bo czuła, że razem z tym słowem rzuci mu się w ramiona, że wybuchnie płaczem, więc nic nie powiedziała, siedziała sztywno, mocując się z dumą własną, zabraniającą pokazywania, co czuła w tej chwili, i z szalonym pragnieniem miłości i wiary w niego.

Borowiecki, nie doczekawszy się odpowiedzi i głęboko tym zmartwiony, wyszedł.

Anka długo żalowała tej chwili straconej dla odzyskania szczęścia i długo płakała po niej.

Płynęły potem dni i tygodnie w zgodzie i pozornym spokoju.

Witali się, żegnali z jednaką uprzejmością, rozmawiali nieraz nawet poufnie, ale bez dawnej serdeczności, bez dawnej wiary w siebie i bez dawnej troski o siebie.

Anka usiłowała być inną, dawną, dobrą i kochającą narzeczoną, ale z przerażeniem spostrzegła, że już taką być nie mogła i że miłość do Karola jakby umierała w niej.

Ostrzeżenie Wysockiej miała ciągle w pamięci i potwierdzały go różnymi czasy wyrzeczone słowa Karola, które teraz dopiero nizała na nić uświadomienia i rozpatrywała uważnie.

A przy tym i inni ludzie nie żalowali jej półśłówkowych ostrzeżeń. Czasem się z tym wyrывał Maks, a najczęściej Moryc, który z wielką przyjemnością i bardzo delikatnie przysłonięte opowiadał szczegóły o Karolu i jego zamysłach i potrzebach.

Dawniej zupełnie nie zwracała uwagi na to, ale teraz nauczyła się wyławiać prawdę z tych półśłówek, prawdę tak gorzką dla siebie, tak raniącą jej dumę, że gdyby nie wzgląd na pana Adama, byłaby natychmiast wyjechała z Łodzi.

A czasami znowu wzbierał w jej sercu wielki, stłumiony krzyk tej miłości umierającej, krzyk serca, które jeszcze pomimo wszystko kochało i z losem swoim zgodzić się nie mogło.

Na zewnątrz pomiędzy nimi nic jeszcze nie zaszło, ale oddalali się od siebie coraz bardziej.

Borowiecki, zajęty wykończaniem fabryki, mało mógł poświęcać i czasu, i uwagi narzeczonej, czuł tylko bezwiednie, że Anka jest coraz smutniejsza i że porusza się jakby w obłoku chłodu i obojętności.

Postanowił tę sprawę ostatecznie rozstrzygnąć po skończeniu fabryki, a tymczasem, ponieważ było mu źle w domu, bywał bardzo często u Mullerów i częściej niż dawniej widywał się z Lucy.

XVI [XXXII]

„Z dniem 1 października puszczone została w ruch Manufaktura wyrobów bawełnianych pod firmą K. Borowiecki i S-ka. Zobowiązania podpisywać będzie K. Borowiecki lub p. p. M. Welt.”

Borowiecki odczytał półgłosem okólnik handlowy i zwrócił się z nim do Jaskólskiego.

– Trzeba zaraz wysłać go do pism, a jutro do różnych firm, pan Moryc dostarczy adresów.

Wyszedł na wielki dziedziniec fabryczny, jeszcze zastawiony rumowiskami i różnymi częściami maszyn, bo chociaż urzędownie fabryka była już skończona, ale faktycznie szła tylko przedzalnia, a resztę oddziałów wykończano gwałtownie.

Karol nie chciał i nie mógł już z różnych powodów czekać zupełnego wykończenia, więc puścił tylko przedzalnię, i na dzisiaj właśnie nazaczył dzień poświęcenia fabryki i puszczenia w ruch maszyn.

Chodził dziwnie zgorączkowany i niespokojny, w przedzalni długo przyglądał się próbnej robocie, prowadzonej przez Maksa, który, spocny z wysiłku, ochrypli od krzyku, zmęczony i brudny, biegał po sali, sam zatrzymywał maszyny, poprawiał je i puszczał znowu, troskliwym okiem przyglądając się warczącym wrzecionom i wyciągniętym na próbę niciom.

- Maks, zostaw wszystko, bo się już zbierają w domu.
- Ksiądz Szymon przyjechał?
- Przyjechał z Zajączkowskim i już się dopytywał o ciebie.
- Za godzinę tam przyjdę.

Karol z pewną przyjemnością przypatrywał się zielonym girlandom z jedliny, jakimi robotnicy pod wodzą starego Jaskólskiego ubierali głównie drzwi i okna. Druga partia robotników uprzętała przejścia w dziedzińcu i ustawiała długie stoły, obite perkalem, w magazynie, który nie był jeszcze zupełnie skończonym; stoły były dla robotników i pracujących przy budowie, którym miano wyprawić coś w rodzaju śniadania. W domu zaś z pośpiechem szykowano wystawne przyjęcie dla kolegów, przyjaciół i znajomych fabrykantów, zaproszonych na dzisiejszą uroczystość.

Karol włóczył się po salach i dziedzińcu z dziwnym uczuciem niemocy i jakby żalu, że to już skończone, że to już trzeba zaczynać nową, jeszcze cięższą pracę; przyglądał się murom i maszynom z uczuciem wielkiej życzliwości i jakby głębokiego powinowactwa.

Tyle miesięcy czasu, tyle wysiłków mózgu i nerwów, nie dospianych nocy im poświęcił, tak rosły i rozwijały się w jego oczach, siłą jego woli, mocą jego własnych sił i krwi, że dobrze to czuł teraz, iż wielka część jego istoty zamknięta jest w tych czerwonych murach, uwięziona w tych dziwacznych, poskręcanych jak potwory maszynach, które na podłogach leżały jeszcze nieruchome, ciche, ale gotowe do ruchu na jego skinienie, martwe niby, a pełne utajonego skupionego życia.

Nie zwracał uwagi na Dawida Halperna, który, chociaż chory i nieproszony, przywłókł się, życzył mu szczęścia i radosnym wzrokiem obejmował nową fabrykę, oglądał sale, interesował się wszystkim i powtarzał Maksowi:

– Ja się cieszę, ja się bardzo cieszę, panie Baum, bo jak postawiliście fabrykę – to Łodzi znowu przyrosło.

– Nie zawracaj pan głowy; – mruknął Maks. Dawid Halpern się nie obraził, poszedł dalej oglądać a później, podczas ceremonii poświęcenia, stał z boku z odkrytą głową i z zachwytem przyglądał się fabrykantom i ciżbie ludzkiej, i nowemu warsztatowi pieniędzy.

– Czego szukasz? – zapytał Moryc Karola wchodząc za nim do pustej sali.

– Niczego, patrzę tylko – odparł melancholijnie.

– Czy to przyjęcie dla robotników nie mogłoby się odbyć skromniej?

– To znaczy, nie dać im nic, bo i tak jest dosyć skromne.

– A kosztuje czterysta rubli, już mi podali rachunki.

– Odbijemy to jakoś na nich..Nie sprzeczasz się chociaż dzisiaj. Patrz, to jednak nasze dawne marzenia nie stało się – szepnął wskazując fabrykę.

– Ale czy długo trwać będzie? – odpowiedział Moryc uśmiechając się jakoś dziwnie.

– Ręczę ci, że dopóki ja żyję, trwać będzie – zawołał z mocą.

– Mówisz jak poeta, a nie jak fabrykant. Kto może zaręczyć, że za tydzień nie będzie to tylko kupa gruzów! Kto wie, czy za rok sam nie będziesz chciał się jej pozbyć. Fabryka taki dobry towar jak i perkal i lak samo się sprzedaje, jeśli na niej dobrze zarobić można.

– Mógłbyś odświeżyć swoje teorie, bo mi już bardzo spowszedniały – odpowiedział mu Karol i poszli razem do domu, gdzie już kilkanaście osób, zebranych na uroczystość, siedziało na werendzie.

Jakoż wkrótce ukazał się ksiądz Szymon w komży i wszyscy ruszyli za nim.

Chwila była bardzo uroczysta, tłumy robotników, z odkrytymi głowami, świątecznie ubranych, zapełniały dziedziniec i sale fabryczne.

Ksiądz szedł z oddziału do oddziału, odmawiał modlitwy i pokrapiał mury, maszyny i ludzi wodą świeconą.

W przędzalni, gdzie przy każdej maszynie stali ludzie i wszystkie transmisje, koła i pasy były napięte siłą, po poświęceniu Borowiecki dał znak i wszystkie maszyny ruszyły zgodnym rytmem, a po kilkuset obrotach stanęły, bo robotnicy poszli na śniadanie do magazynu.

Fabryka była puszczone w ruch. Całe towarzystwo powróciło do domu i zasiadło do śniadania. Pierwszy toast za pomyślność i rozwój fabryki wniósł Knoll, który w długiej mowie bardzo życzliwie wspominał prace Borowieckiego w firmie Bucholc i S-ka; drugi toast za to samo, z dodatkiem zdrowia dla dzielnych spółników i przyjaciół, podniósł Grosplik i w końcu ucałował Karola, a jeszcze serdeczniej Moryca.

A gdy Zajączkowski wniósł toast „Kochajmy się”, przyjęty dosyć chłodno, powstał Karczmarek, który z początku siedział cicho, onieśmielony obecnością milionerów i tym niezwykłym dla siebie zebraniem, ale teraz, po tylu toastach uczciwie spełnionych, nabrał animuszu i swady – nalał pełną szklanekę koniaku, trącił się z Myszkowskim i Polakami i mocnym, ale ochrypniętym głosem zawołał:

– Rzeknę swoje! Żeby się ludzie kochały, w to nie uwierzę – bo wszyscy bierzemy z jednej miski, a każdy chce dla siebie najwięcej. Pies z wilkiem się kochają, ale ino wtedy, kiedy do spółki cielaka sporządzają albo i barana. Jak komu potrza albo i na rękę, to niech se ta wszystkich kocha, ale nam nie potrza, żebyśmy się kochali, ino żebyśmy się nie dali... Czy rozumem... czy kalkulacją... czy pięścią na ten Przykład, a nie dajmy się... Moc mamy i rozum też... to chciałem rzec i tym przepijam do pana Borowieckiego!...

Przepił i chciał mówić dalej, ale zagłuszyły go brawa, bite umyślnie, bo Niemcy i Żydzi poczęli się krzywić, więc przestał i pił dalej z Myszkowskim.

Potem już szły toasty bez końca i gwar się podniósł ogromny, bo wszyscy naraz mówić zaczęli.

Karol tylko był milczący i co chwila wychodził do robotników uczujących w magazynie, bo tam gospodarzyła Anka, otoczona rojem całujących ją po rękach robotników, a że i tam wznoszono zdrowie Karola, więc musiał przyjść i wypić z nimi i podziękować, ale wychodząc zabrał ze sobą Ankę, tak był nadzwyczajnie wesół i zadowolony, że wziął ją za rękę i wskazując fabrykę zawołał radośnie:

– To moja fabryka! Mam ją i nie wypuszczę.

– I mnie to raduje niewymownie – odpowiedziała cicho.

– Nie tyle jednak co mnie, nie tyle – mówił z wyrzutem.

– Jakże, pańskie szczęście jest moim szczęściem –

powiedziała i odeszła, bo Nina Trawińska wołała ją do altany w ogrodzie.

– Gniewa się jeszcze, muszę się nią trochę zająć na nowo – myślał wchodząc na werendę, gdzie wystawiono stoły z jadalni, bo tam było zbyt ciasno i duszno.

Gospodarzył bardzo uroczyście Moryc i zajmował się wszystkim, odchodząc co chwilę z Grosqlikiem na jakieś tajemnicze szeptki.

Maks Baum tylko nie brał prawie udziału w ogólnej wesołości, siedział przy swoim ojcu, który zaproszenie przyjął i przyszedł, ale straszyl wszystkich swoją ponurą, wyschniętą twarzą, jakby pokrytą pleśnią grobu, nie rozmawiał z nikim, czasem pił, przyglądał się zbranym, a zapytany odpowiadał zupełnie przytomnie i patrzył na nowe, czerwone kominy fabryki.

W małym pokoiku od ulicy siedział ksiądz Szymon, Zajączkowski, pan Adam, a na czwartego Kurowski; grali w preferansa i kłócili się wszyscy z dawną przyjemnością; wszyscy prócz Kurowskiego, który zawsze po rozdaniu kart znikał dyskretnie, odszukiwał Ankę, zamieniał z nią kilka słów i powracał, kpiąc po drodze z pijanego Kesslera, ale grał źle, ciągle się mylił, psuł grę innym, za co słuchać musiał wymówek pana Adama i krzyków Zajączkowskiego, tylko ksiądz Szymon śmiał się z zadowolenia, bił cybuchem po sutannie i wołał:

– Dobrze, dobrze, moje dzieciąteczko kochane. A toś jegomość, dobrodzieju mój kochany, zadał takiego bobu Zajączkowi, że popamięta. Ha, ha, ha! położyć się bez trzech, to na to już trzeba się nazywać Barankowskim, a nie Zajączkowskim, ha, ha, ha!

– To moja wina? – krzyknął szlachcic waląc w stół pięścią – jak mi, panie dobrodzieju, każą grać z fuszerami, którzy kart nie umieją trzymać w ręku! Siedem trefli, ręka!

Przelicytowali się i grali już cicho, tylko pan Adam dawnym zwyczajem, ponieważ mu karta szła dobrze, bił nogą w stopień fotelu i przyśpiewywał półgłosem:

– Poszły panny na rydze, na rydze, na rydze, tam!

Ksiądz Szymon od czasu do czasu pociągał wygasły cybuch i wołał:

– Jasiek, a daj no, smyku, ogieńka!

Jaśka nie było, tylko Mateusz stał gotowy na skinienie, bo go specjalnie do usług księdza zarezerwowała Anka.

Kurowski w milczeniu i z uśmiechem przyjmował wymyślenia Zajączkowskiego, bo mu bardzo zabawnym wydawał się ten szlachecki przeżytek.

– Może panom potrzeba wina albo piwa? – odezwała się Anka wchodząc.

– Niczego, moje dzieciątko kochane, niczego. Ale wiesz, Anula, Zajacek położył się bez trzech – wołał ksiądz Szymon zaczynając się śmiać.

– Jak Pana Boga kocham, ale to nawet nie przystoi księdzu cieszyć się z nieszczęścia bliźnich, to się może skończyć tak, jak się skończyło w Sandomierskiem u Kiniorskich, było to...

– Dobrodzieju mój kochany, nic nam do tego, gdzie było, a ty pilnuj gry i dawaj do koloru, atucika atucika ostatniego, a nie mydliej nam oczu.

– Komu to ja mydlę oczy! – wrzasnął strasznie Zajączkowski.

Zawiązała się znowu kłótnia, aż cały dom i ogród zappełnił się potężnym głosem Zajączkowskiego, że zabrani na werendzie z niepokojem zwrócili oczy na Borowieckiego.

– Panie Wysocki, może mnie doktor zastąpi! – zawołał Kurowski do przechodzącego przez sąsiedni pokój, oddał mu karty i wyszedł za Anką, która spacerowała po ogrodzie z Niną, przyłączył się do nich i poszli do małej altanki, opiętej winem o czerwonych już liściach i obsadzonej: rzędami dokwitających. astrów i lewkonii.

– Cudowny dzień – zauważył siadając wprost Anki.

– Chyba dlatego taki piękny, że już ostatni dzień jesieni.

Milczeli długo, oddychając tym dziwnie słodkim, pieśczośliwym powietrzem, przesyconym ostatnimi zapachami umierających kwiatów i liści więdnących.

Słońce bladawe rozsypywało na ogród złocisty pył, który przesłaniał lekko kontury wszystkiego i oprawiał barwy gasnącego ogrodu w precudny i przesubtelny ton wyblakłego złota.

Po trawnikach skrzyły się pajęczce siatki i migotały opalami, a w powietrzu cichym i ciepłym leciały, niby pasma szklane, długie nici pajęczyn, czepiały się żółtych liści akacji stojących pod murem, przedzierały się o półnagie już, trzepoczące resztkami czerwonych liści czerśnie albo uczepione pni chwiały się długo, aż je cichy wiatr uniósł, i leciały wysoko, ku dachom miasta i ku tej zbitej masie kominów, które zdawały się kołysać nad morzem domów.

– Na wsi taki dzień jest tysiąc razy piękniejszy – szepnęła Anka.

– O, z pewnością. Ale pomijając to, przepraszam

z góry za uwagę, jaką zrobię, dzisiejsza uroczystość niezbyt raduje panią, panno Anno.

.– Przeciwnie, raduje mnie bardzo, jak mnie raduje zawsze niewymownie każde ludzkie pragnienie spełnione.

– Stawia pani sprawę zbyt ogólnie, w to zresztą wierzę, tylko nie widzę, aby dzisiejszy dzień był dla pani radosnym.

– Cóż zrobię, że pan tego nie widzi, a jednak cieszę się nim naprawdę.

– Dźwięk pani głosu mówi co innego!

– Czyż jest możebnym, aby był w niezgodzie z tym, co ja czuję?

– A jednak jest w tej chwili, bo każe się domyślać pani obojętności – powiedział śmiało Kurowski.

– Źle pan słucha i jeszcze gorsze wnioski pan wyciąga.

– Być może, jeśli pani chce tego.

– Niech no pan Ance nie sugestionuje rzeczy, o których nie myślała.

– Możemy o czymś nie myśleć, ale pomimo to to coś w nas być może, choćby jeszcze pod linią świadomości. Widzę, że miałem słuszność.

– Najmniejszej. Potwierdza pan tylko samego siebie – zawołała Nina.

– Prawda, że my miewamy słuszność tylko wtedy, jeśli panie raczą nam ją przyznać.

– Zawsze przyznajecie ją sobie sami, nie pytając nas o zdanie.

– Czasami pytamy... Uśmiechnął się.

– Żeby stwierdzić tylko lepiej jeszcze własną rację.

– Nie, żeby się okazać przejmiejszymi, niż jesteśmy.

– Kessler do nas idzie.

– To ja odchodzę, bo mam ochotę tego Niemca pożreć.

– I zostawia nas pan bez opieki przed jego nudzeniem – zawołała Anka.

– On jest dziwnie piękny, tą jakąś jesienną pięknnością, ostatnią – zauważyła Nina patrząc za odchodzącym.

– Kurowski, chodź do nas, napijemy się – wołał z werendy Myszkowski, siedzący za stołem w otoczeniu całej baterii butelek.

– Dobrze, napijmy się raz jeszcze za rozwój i pomyślność przemysłu – zawołał Kurowski biorąc kieliszek i zwracając się do Maksa, siedzącego przy balustradzie i rozmawiającego z Karczmakiem.

– Nie piję za taką pomyślność. Niech przemysł zdechnie, a z nim wszyscy jego pacholki – zawołał Myszkowski, już dobrze pijany.

– Nie bredź, dzisiaj święto prawdziwej pracy, pracy wytrwałej i celowej.

– Cicho, Kurowski, święto, prawdziwa praca, praca wytrwała li celowa! Sześć słów, a sto głupstw. Cicho, Kurowski, boś i ty sparszywił pomiędzy tymi parobkami, żyjesz i pracujesz jak bydlę i zbierasz grosze. Piję na twoje upamiętanie.

– Bądź zdrow, Myszkowski, przyjdź do mnie w sobotę, to pogadamy. Wychodzę już.

– Dobrze, tylko się napij ze mną. Karol pić nie chce. Maks pić nie może, Kessler woli szczerzyć zęby do kobiet, Trawiński ma już dosyć, szlachcice grają w karty, i cóż ja, biedna sierota, pocznę, przecież z Morycem ani z fabrykantami pić nie będę.

Kurowski zatrzymał się jeszcze i pił z nim, a przyglądał się Kesslerowi, który chodził z paniami, bełkotał coś niewyraźnie, poruszał szczękami i w świetle słońca podobnym był jeszcze bardziej do rudego nietoperza.

Towarzystwo szybko się zmniejszyło, pozostawali tylko najbliżsi i Muller, który wciąż trzymał Borowieckiego przy sobie i rozmawiał z nim bardzo serdecznie, a Murray, który zjawił się już na końcu przyjęcia, przysiadł do Maksa i grupy kolegów i zdumionym, oczarowanym wzrokiem patrzył na kobiety, które z powodu przedwieczornego chłodu powróciły z ogrodu i siedziały otoczone mężczyznami na werendzie.

– Jakże wasze sprawy, żenicie się? – zapytał go po cichu Maks.

Anglik nic nie odpowiedział, aż dopiero nasyciwszy swoją duszę wiecznie głodną widokiem kobiet, rzekł cicho:

– Ja bym się zaraz ożenił.

– Z którą?

– Wszystko jedno, jeśli nie można z dwoma.

– Za późno wybraliście się, bo jedna jest żoną, a druga nią będzie wkrótce.

– Zawsze za późno, zawsze za późno! – szepnął z goryczą i drżącymi rękami obciągał surdut z garbu, a potem przysunął się do Myszkowskiego i pił z nim, jakby z rozpacz. Wszedł stary Jaskólski i odnalazszy Karola szepnął mu do ucha, że ktoś czeka na niego w kantorze i chce się koniecznie z nim widzieć jak najprędzej.

– Kto? nie znasz pan?

– Nie znam go, ale zdaje mi się, że to pan Zuker... – jąkał szlachcic.

– Zuker, Zuker! – powtórzył jakoś trwożnie i dziwnym uczuciem zabiło mu serce. – Zaraz przyjdę, niech zaczeka chwilę.

Poszedł do pokoju ojca i wziął rewolwer do kieszeni.

– Zuker chce się widzieć ze mną? Czego on chce?

A może?...

Bał się dokończyć myśli...

Powlókł niespokojnie oczami po zebranych i wymknął się cicho.

Zuker siedział w kantorze, pod oknem, oparł się na lasce i patrzył w ziemię, a gdy Borowiecki wszedł, nie przyjął podanej mu ręki, nie rzekł zwykłych słów przywitania, tylko patrzył długo rozpalonymi oczami w jego twarz.

Karola owładnął niepokój, czuł się jakby złapanym w potrzask, ten wzrok palił, mieszał i budził w nim strach. Miał szaloną ochotę uciec, ale zapanował nad sobą, zapanował nawet nad drzeniem serca, zamknął okno, bo wrzawa pijących robotników była zbyt bliska, podsunął mu krzesło i rzekł wolno:

– Bardzo... mi przyjemnie widzieć pana u siebie... żałuję tylko, że nie będę mógł poświęcić mu tyle czasu, ile bym chciał, bo jak pan wie, dzisiaj u mnie święto otwarcia fabryki

Usiadł ciężko, czując, że w tej chwili nie potrafiłby powiedzieć już ani jednego słowa więcej, te frazesy wypłynęły same.

Zuker wyjął z kieszeni pomiętą list i rzucił na biurko.

– Niech pan przeczyta – powiedział głucho i patrzył w niego z uporem.

Była to szorstka i ordynarna w formie denuncjacja stosunku Borowieckiego do Lucy.

Borowiecki długo czytał, chciał zyskać na czasie – bo czytając musiał zużywać całą siłę woli, aby się nie zdradzić; aby zachować obojęt-

na, zimną twarz pod ognistym śledczym spojrzeniem Zukera, które mu przewiercało wnętrze.

List przeczytał i zwrócił nie wiedząc, co mówić. Zapanowała znowu długa chwila męczącej ciszy. Zuker patrzył, ześrodkowywał wszystkie władze w tym drapieżnym, chciwym spojrzeniu, pragnął wyrwać tajemnicę z szarych źrenic Karola, który co chwila przysłaniał powiekami oczy i bezwiednie poruszał różne przedmioty na biurku, ale czuł, że jeszcze chwil kilka takiej nieopowiedzianej męki niepewności, a zdradzi się.

Ale Zuker podniósł się z krzesła i cicho zapytał:

– Co ja mam myśleć o tym, panie Borowiecki.

– To pańska sprawa – rzekł niepewnie, bo przyszło mu na myśl, że może Lucy wyznała wszystko

Nogi zaczęły drżeć pod nim, poczuł miliony drobnych ukłuc po głowie i skroniach.

– Ja to mam, mieć za odpowiedź pańską?

– No, cóż pan chcesz, abym odpowiadał na taką podłą potwarz.

– Co ja mam z tym zrobić, co ja mam o tym myśleć?

– Poszukać autora listu, wsadzić go do więzienia za fałsz i nikomu o tym nie mówić ani słowa. Mogę panu pomóc w poszukiwaniach, bo przecież i mnie ta sprawa zahacza.

Odzyskiwał spokój i równowagę, był pewnym już,

że Lucy nic nie powiedziała, więc podnosił głowę wyżej i śmiało, bezczelnie patrzył na Zukera, który zrobił kilka bezcelowych kroków, usiadł, oparł głowę o ścianę i oddychał długo, aż zaczął mówić z trudem.

– Panie Borowiecki, ja jestem taki sam człowiek, ja tak samo czuję i tak samo mam swój kawałek honoru. Ja teraz przychodzę do pana i na wszystko, na wielkiego Pana Boga zaklinam pana, pytam: czy prawdę mówi ten list? Czy to wszystko jest prawda?

– Nieprawda! – odparł mocno i stanowczo Borowiecki.

– Ja jestem Żyd, prosty Żyd, przecież ja pana nie zastrzele, nie wyzwę na pojedynek, co ja panu mogę zrobić? Nic nie mogę zrobić! Ja jestem prosty człowiek, ja moją żonę kocham bardzo, pracuję, jak mogę, żeby jej nic nie brakowało, ja ją trzymam jak królowę. Pan wie, ja ją za własne pieniądze kazałem wykształcić, ona jest dla mnie wszystkim, a tu mnie list przysyłają, że ona jest pańską kochanką! Ja myślałem, że się cały świat zawalił na moją głowę... Ona ma mieć za parę miesięcy dziecko, pan wie, co to jest dziecko? Ja cztery lata czekam na

to, cztero lata! A. tu teraz takie wiadomości! Co ja teraz wiem? czyje to dziecko? Pan mi powiesz prawdę, pan mi musisz powiedzieć prawdę! – krzyknął nagle, zrywając się z miejsca, i rzucił się ku Borowieckim jak obłąkany, z zaciśniętymi pięściami.

– Powiedziałem panu, że list jest podłym fałszem – odparł spokojnie Karol.

Zuker stał chwilę z wyciągniętymi rękami i opadł ciężko na krzesło.

– Wy lubicie się bawić z cudzymi żonami, was nic nie obchodzi, co się stanie z tą kobietą, nic was nie obchodzi ani wstyd, ani hańba całej rodziny, wy jesteście... was Pan Bóg ciężko pokarze... – szeptał z trudem, urywanie, głos mu się trząsał, łamał, rwał, przepajał łzami, aż w końcu i łzy zaczęły z wolna wyciekać z zaczerwienionych oczów i padać na twarz siną, na brodę, jak pełne ziarna goryczy nieopowiedzianej.

Mówił jeszcze długo i coraz spokojniej, bo zachowanie się Borowieckiego, jego twarz, jego szczere spojrzenia i wielkie współczucie, jakie w nim dojrzał, wlewało w niego wiarę, że to wszystko istotnie jest kłamstwem.

Borowiecki podparł ręką głowę i słuchał, i trzymał jego oczy w swoim spojrzeniu, a jednocześnie nieznacznymi ruchami kreślił ołówkiem na kartce papieru, leżącej w wysuniętej nieco szufladzie biurka, słowa:

„Nie zdradz się, zaprzecz wszystkiemu, on jest u mnie, podejrzewa, kartkę spał. Wieczorem tam, gdzie ostatni raz.”

Zdażył papier wsunąć w kopertę i wtedy podszedł do telefonu, który łączył fabrykę z mieszkaniem.

– Niech Mateusz przyniesie wina i wody sodowej do kantoru. Kazałem przynieść wina, bo widzę, że pan bardzo zmęczony i zdenerwowany. Proszę mi wierzyć, że bardzo współczuję z panem. No, ale skoro to nieprawda, to nie ma się pan czym martwić więcej.

Zuker drgnął, bo w jego głosie i twarzy coś było w tej chwili fałszywego, ale nie mógł patrzeć dłużej, bo wszedł Mateusz z winem, które zaraz Karol nalał w szklanekę i podał Zukerowi.

– Niech się pan napije, wzmocni pana trochę. Mateusz! – zawołał przez okno i wybiegł za nim, a spotkawszy, wsunął mu list w rękę i zapowiedział, żeby natychmiast z nim biegł, nie zdradził się od kogo, osobiście oddał i również natychmiast powrócił, jeśli można, z odpowiedzią.

Stało się to tak szybko, że Zuker niczego nie podejrzewał, pił wino, a Karol spacerował po kantorze i szeroko zaczął mówić o fabryce swojej; chciał go przetrzymać do powrotu Mateusza.

Ale Zuker słuchał nie słysząc nic, bo po dłuższym milczeniu znowu zapytał:

– Panie Borowiecki, ja pana zaklinam na wszystkie świętości pańskie, czy to jest prawda, czy nie, co tu napisane w tym liście?

– Ależ, panie, mówiłem, że nieprawda, daję panu słowo, że ani cienia prawdy.

– Przysięgnij pan. Jak pan przysięgnie, to będzie prawda. Przysięga wielka rzecz, ale tu chodzi o życie moje, mojej żony, dziecka i życie pana. Ja panu mówię prawdę – i o życie pana. Pan przysięgnie na ten obrazek, to jest obrazek Matki Boskiej, ja wiem, co to jest wielka świętość u Polaków. Pan mi przysięgnij, że to jest nieprawda! – zawołał mocno, wyciągając ręce do obrazka, który Anka kazała zawiesić nad drzwiami kantoru.

– Daję panu przecież słowo. Ja pańską żonę widziałem zaledwie kilka razy w życiu, a nawet nie wiem, czy ona mnie zna.

– Przysięgnij pan! – powtórzył tak mocno, z takim naciskiem, że Karol zadrżał.

Zuker był siny, trząsł się cały i schrypniętym, dzikim głosem wciąż powtarzał to wezwanie.

– A więc dobrze, przysięgam panu na ten obrazek święty, że nie mam i nie miałem żadnych stosunków z żoną pańską, że list jest oszczerstwem od początku do końca – powiedział uroczyście, podnosząc rękę do góry.

Głos mu zadrżał takim akcentem prawdy, bo chciał bądź co bądź ocalić Lucy, że Zuker list rzucił na ziemię i podeptał.

– Wierzę panu. Pan mi ocalił życie... Ja panu wie~ rzę teraz jak samemu sobie, jak Lucy... Niech pan liczy na mnie, ja się mogę przydać na co... Ja panu tego nigdy nie zapomnę – wołał uradowany, upojony szczęściem.

Mateusz wszedł zziębnięty i oddał list, w którym były tylko te słowa:

„Będę. Kocham cię... kocham cię...”

– Ja muszę już iść, muszę prędko iść do żony, ona nic nie wie, ale zrobiłem jej wielką przykrość. Jestem teraz bardzo zdrow, bardzo mi dobrze, taki jestem dobry, że ja panu coś powiem na ucho, pod sekretem, niech się pan pilnuje Moryca i Groszlika, oni chcą pana zjeść. Do widzenia, kochany panie Borowiecki.

– Dziękuję panu za wiadomość, ale niewiele jej rozumiem.
– Nie mogę więcej powiedzieć. Bądź pan zdrow,
niech będzie zdrow pański ojciec, pańska narzeczona, pańskie dzieci.

– Dziękuję, dziękuję. A jeśli jeszcze kto napisze do pana podobnie, to mnie pan zawiadom. Zostaw pan list, muszę zacząć poszukiwania autora.

– Ja tego łajdaka wsadzę do kryminału, on pójdzie na sto lat na Sybir. Kochany pan Borowiecki, ja będę pańskim przyjacielem do śmierci!

Rzucił mu się na szyję, wycałował go serdecznie i wybiegł zupełnie szczęśliwy.

– Moryc i Groszlik! Chcą mnie zjeść! Ważna wiadomość! – myślał i długo o tym rozmyślał później tak silnie, że zapomniał o liście anonimowym, o przysiędze i całej scenie z Zukerem, która go jednak ogromnie zdenerwowała.

W domu prócz czwórki grającej i Trawińskich nie zastał nikogo, a że już zmrok zapadał, siadł w dorożkę, kazał podnieść budę i pojechał na umówione miejsce oczekiwać Lucy.

Po przeszło godzinnym oczekiwaniu, które go zdenerwowało do reszty, Lucy ukazała się na trotuarze, wychylił się nieco, zobaczyła go i wsiadła, rzucając lnu się na szyję i zasypując pocałunkami.

– Co to było, Karl? Opowiedział jej wszystko.

– Nie wiedziałam, dlaczego przyszedł taki uradowany, przyniósł mi ten garnitur szafirów, w który musiałam się zaraz ubrać. Jedziemy dzisiaj do teatru, on chce koniecznie.

– Widzisz z tego, że musimy na pewien czas przestać się widywać, dla uspienia wszelkich podejrzeń – mówił przygarniając ją do siebie.

– On mi powiedział, że zawiezie mnie do krewnych, do Berlina, na cały ten czas... wiesz... Przytuliła się do niego jak dziecko.

– To bardzo dobrze, nie będzie nawet pozorów.

– Ale ty będziesz przyjeżdżał do mnie? Karl, ja bym umarła, na pewno bym umarła, gdybyś nie przyjechał. Przyjedziesz? – prosiła gorąco.

– Przyjadę, Lucy.

– Kochasz mnie jeszcze?

– Czy tego nie czujesz?

– Nie gniewaj się, ale... tyś teraz taki inny, taki jakiś nie mój, taki... zimny...

– Czy myślisz, że takie wielkie uczucie trwać może całe życie?

– Tak, bo ja kocham cię coraz silniej – odpowiedziała szczerze.

– To dobrze, Lucy, dobrze, ale widzisz, trzeba się zastanowić nad naszym położeniem, nie może ono trwać ciągle.

– Karl, Karl! – wykrzyknęła odsuwając się od niego, jakby pchnięta nożem.

– Ciszej mów, po co dorożkarz ma słyszeć! I nie przerażaj się tym, co powiem. Ja cię kocham, ale my się nie możemy widywać tak często, sama to rozumiesz, nie mogę narażać twojego spokoju, nie mogę cię narażać na zemstę męża, musimy być rozsądni.

– Karl, ja rzucę wszystko i pójdę za tobą, nie wrócę do domu, już nie mogę dłużej się tak męczyć strasznie, nie mogę, zabierz mnie, Karl! – szeptała namiętnie okręcając go sobą, pokrywając mu twarz pocałunkami. Tak bardzo go kochała, że istotnie, gdyby zechciał, zdeptałaby wszystko i poszła za nim.

Trwożyła go ta wielka, dzika miłość, miał ochotę od razu i stanowczo powiedzieć, że ma już tego dosyć, ale żal mu się jej zrobiło, bo doskonale odczuwał, że dla niej poza tą miłością już nic nie istnieje, a przy tym obawiał się jakiegoś jej wybuchu, który mógłby go skompromitować.

Uspakajał ją, ale nie mógł zatrzeć łatwo wrażenia, jakie zrobiły pierwsze jego słowa.

– Kiedy odjeżdżasz?

– Pojutrze, on mnie odwozi. Przyjedź, Karl, przyjedź... Musisz być i potem... aby zobaczyć to nasze dziecko... – szeptała mu do ucha. – Karl – zawołała nagle – pocałuj mnie jak dawniej. Mocno... mocniej!

Gdy ją pocałował, odsunęła się w kącie dorożki i płakać zaczęła spazmatycznie, i narzekać, że jej nie kocha.

Uspakajał i zapewniał, ale nic nie pomogło, dostała histerycznego ataku, aż musiał zatrzymać dorożkę i biec do apteki po lekarstwo.

Z trudem się uspokoiła.

– Nie gniewaj się na mnie, ale mi tak żal, tak żal... bo zdaje mi się, że ja cię już nigdy nie zobaczę, Karl – mówiła przez łzy i nim zdołał przeszkodzić, zsunęła się z siedzenia, uklękła przed nim, objęła jego kolana i najżywszymi, wrywanymi z serca wyrazami, pełnymi miłości i rozpacz, żebrała, aby ją kochał, żeby ją nie skazywał na samotność i na cierpienia.

Tak się czuła nieszczęśliwą tym odjazdem i myślą, że może go nigdy już nie zobaczy, iż traciła przytomność.

Rzuciła mu się na piersi, obejmowała sobą, całowała, oblewała łzami i pomimo że on, poruszony jej cierpieniem, mówił namiętnymi słowami miłości, ten srogi strach, strach konających przytomnie, trząś i rozrywał jej serce bolesnym spazmem.

A potem zmęczona, wyczerpana płaczem i boleścią, położyła mu głowę na piersiach i trzymając go za ręce, milczała długo, tylko łzy sznurami pereł cicho spływały po jej twarzy, a łkanie od czasu do czasu rozrywało jej piersi.

Rozstali się wreszcie, musiał przyrzec tylko, że choćby z daleka będzie przy jej odjeździe do Berlina i że co tydzień napisze.

Borowiecki czuł się winnym, ale i zupełnie bezradnym wobec jej położenia.

Jechał do domu zmęczony śmiertelnie, smutny, przesycony jej boleścią, pełną łez, rozdrżany akcentami jej słów, rozbolały również.

– Niech pioruny zatrzasną romanse z cudzymi żonami! – zaklął wchodząc do domu.

XVII [XXXIII]

Fabryka szła, a raczej tylko jeden oddział, przedzalnia, którą zajmował się Maks tak gorliwie, że po całych dniach nie wychodził z niej, bo jak zwykle na początku często się psuły maszyny, więc się zamienił w ślusarza, mechanika, robotnika i dyrektora, który wszędzie był i wszystko sam prawie robił, ale pierwsze partie przędzy już gotowej do sprzedaży, upakowane, opatrzone ich firmą, sprawiły mu taką radość, że czuł się zupełnie zapłaconym za swoje trudy.

Borowiecki zajmował się wykończeniem pozostałych oddziałów również gorliwie i gorączkowo, bo chciał je puścić w ruch jeszcze przed zimą.

Moryc zaś zajmował się całą stroną handlową fabryki i częścią administracji.

Pracował również z zapalem, bo myślał, że pracuje dla siebie, i coraz mocniejszymi nogami stawał na własności fabryki, która wciąż potrzebowała pieniędzy, a Karol nie miał gotówki, więc Moryc i osobiście i przez podstawionych ludzi, a najczęściej przez Stacha Wilczka, dostarczał pieniędzy na wypłaty i wydatki bieżące; po cichu i również przez drugich wykupywał weksle i zobowiązania Borowieckiego.

I spostrzegł teraz, że istotnie Groszlik miał rację przewidując, iż po otwarciu fabryki Borowieckiego Polacy podniosą głowę.

Jakoż już mówiono w Łodzi o kilku planach na fabryki, przez Polaków zamierzone, a co gorsza, że prasa trąbiła o tym głośno, a przez nią budził się pewien opozycyjny ruch wśród pewnych warstw odbiorców, którym dały się już we znaki tandentne fabrykaty żydowskie.

Wielu agentów, mających do czynienia z domami pierwszorzędnymi, o klienteli bogatej i wykwintnej zaczęło się informować o rodzaju wyrobów fabryki Borowiecki i S-ka.

Ale to były obawy nieuzasadnione, zdradził się z nimi mimo woli Moryc przed Karolem, który roześmiał się wesoło i powiedział:

– Przesada i raz jeszcze przesada. Pomyśl tylko, czy nasza fabryka może zrobić komu konkurencję? Tam, gdzie Bucholc robi rocznie sto milionów metrów, gdzie Szaja Mendelsohn prawie tyleż puszcza na rynek, cóż moich kilkanaście może zaważyć? Komu może popsuć inte-

resy? A tym bardziej jeszcze, że chcę robić gatunki nie wyrabiane u nas, a sprowadzane z zagranicy. Gdyby szło dobrze, gdyby były pieniądze i można by prędko rozszerzać fabrykę, a, wtedy to, być może, zrobiłoby się konkurencję tandeciarzom, o czym zresztą marzę bardzo często i do czego dojść muszę.

Moryc odszedł nic nie mówiąc.

Karol już i tak zwracał na niego baczniejszą uwagę po ostrzeżeniu Zukera i widział z obawą, że Moryc za bardzo stara się o pieniądze i za wiele ich włożył do interesu i przez to stawał się coraz pewniejszym, coraz częściej przeciwstawiał swoją wolę i swoje zapatrywania na prowadzenie interesu woli Borowieckiego.

Stawał się często nieznośnym, aroganckim, brutalnym, ale Borowiecki musiał zaciskać zęby i milczeć, bo czuł się bezsilnym wobec zależności od niego.

– Pieniędzy! pieniądze! – wołał wtedy w duszy, a patrząc na swoją fabryczkę porównywał ją z kolosami obok stojących fabryk Mullera i wtedy chwytala go ostra, dokuczliwa zazdrość i złość na samego siebie.

Nie pamiętał, że Molierowskie gmachy rosły przez lat trzydzieści, że pawilon wznosił się po pawilonie, że lata całe składały się na te potężne, huczące pracą mury; nie, on pragnął mieć od razu podobną fabrykę. Przy tym obliczył, że gdyby mu nawet szło najlepiej to jeszcze nie będzie miał czystego dochodu tyle, ile brał pensji u Bucholca.

To go wstydziło wobec samego siebie.

Chciał stanąć prędko i mocno, chciał obracać milionami, czuć się otoczonym setkami maszyn, tysiącami robotników, szalonym ruchem, powodzią milionów hukiem i siłą wielkiego przemysłu, do którego się przyzwyczaił u Bucholca, a tu, u siebie, miał fabryczkę, gdzie wszystkie oddziały miały 300 ludzi!

Zamiast bujać – musiał pętać!

Upokarzała go ta własna małość, jego szeroka natura dusiła się w atmosferze drobnych produkcji, targów o kopiejki, wstrętnych, bo groźszych oszczędności.

Bolała go wprost ta konieczność szukania tańszych smarów, tańszych farb, tańszych węgla i tańszych robotników i ta ciągła, nieustanna troska o pieniądze.

– Zejdziemy do tandety, jak tak pójdzie dalej – Powiedział raz do Moryca.

– Ale i do większych zarobków. Upłynęło znowu kilka tygodni pracowitych i gorączkowych dla niego.

Fabryka szła, ale dopóki była tylko sama przędza, tę sprzedawali, bo po zimowym krachu bawełnianym i przy wzmożonym ruchu jesien-
nym bawełna była bardzo droga i poszukiwana, sprzedawali więc pra-
wie natychmiast po wyprodukowaniu, ale teraz, gdy i inne oddziały
były w ruchu, trzeba było robić, składać i czekać z towarem sezonu
sprzedażnego, który zaczynał się dopiero w połowie zimy, a tymcza-
sem wciąż było potrzeba nakładów nowych i nieustannych, a kredyt się
nie rozszerzał, przeciwnie, zniknął prawie zupełnie.

Zmowa, jaką zainicjował Grosplik, działała solidarnie i ciasną ob-
ręczą dusiła fabrykę podrywaniem zaufania, odmową kredytów i szko-
dliwymi plotkami o bliskim bankructwie firmy.

Borowiecki niecierpliwiał się tym coraz bardziej i coraz częściej
spoglądał na starego Mullera i rozmyślał, czyby nie zażądać tyle razy
ofiarowywanej pomocy.

Ale się powstrzymywał jeszcze, nie tyle ze względu na Ankę, bo
wiedział już dobrze, pod jakimi warunkami Muller dałby pieniędzy, ale
przez dumę, przez zaciętość, która w nim rosła w miarę napotykanym
przeszkód.

W chwilach bardzo szczerych rozmyślań nad sobą i położeniem
swoim drwił ze swoich głupich przesądów, przeklinał prawie roman-
tyczność, jak nazywał skrupuły, które go powstrzymywały jeszcze od
zerwania z Anką i ożenienia się z Madą, ale im ulegał.

Może nawet dlatego, że Ankę widywał codziennie, że zaczynał ro-
zumieć jej stan, że to nie była ta dawna, wesół, szczerą, ufającą
dziewczyna, ale jakaś już zupełnie inna kobieta, pełna smutku i cichej
rezygnacji.

Żał mu jej było. A Anka?

Anka była cieniem samej siebie. Pomizerniała, uśmiech zniknął z
jej twarzy i ustąpił miejsca głębokiemu, jak się jej wydawało nieule-
czalnemu, smutkowi.

Przesiadywała całe dni przy panu Adamie, który jakoś w pierw-
szych dniach listopada dostał ataku paralitycznego; ledwie go uratowa-
no, ale leżał bezwładny, zaledwie mogąc poruszać rękami i mówić coś
niecoś.

Musiała się nim zajmować i znosić wszystkie jego dziecinne nieraz
kaprysy. Czytywała mu książki i musiała wymyślać różne rozrywki, bo
nudził się, przyzwyczajony pomimo kalectwa do życia ruchliwego.

Robiła to wszystko jeśli nie z przyjemnością, to przez wielkie
przywiązanie.

Ale przez tę chorobę dom jeszcze bardziej opustoszał i stawał się dla niej czymś w rodzaju grobu, w którym żyć musiała.

Dnie przesuwały się ze straszliwą jednostajnością, nic nie zmieniając ani w chorobie pana Adama, ani w stosunku jej do Karola, który teraz, z powodu ojca, częściej przesiadywał wieczorami w domu, opowiadał o swoich sprawach i częściej zwracał się do niej.

Nie cieszyło ją to, a było coraz obojętniejszym. Nie chciała się przyznać przed sobą, że czuła się swobodniejszą wtedy, gdy Karola nie było w domu.

Bo jego twarz zmęczona pracą, skłopotana, jego smutne spojrzenia, jakimi czasami ogarniał jej głowę, rozdrażniały ją i bolały.

Wyrzucała sobie wtedy, że on cierpi przez nią, że to ona winna jest wszystkiemu.

Niedługo jednak trwały wyrzuty podobne, ustępowały miejsca obrażonej dumie i coraz głębszemu rozpoznawaniu jego zimnej, egoistycznej duszy.

Ale wtedy znowu serce się jej rwało z żalu nad nim.

A bywały chwile, w których jak echo odbite powracała – nie jej miłość dawna, lecz pragnienie miłości, pragnienie zatopienia się w uczuciu, powierzenia całego życia takiej mocnej fali, byle tylko poniosła, byle skończyła się męka pustki, wyczekiwania, bezcelowych szamotań, tego stania o własnej sile.

Raz, wśród długiej i poufnej pogawędki, Nina wydarła jej tę tajemnicę serca strzeżoną zazdrośnie i zawołała ze zdumieniem:

– Po cóż się męczysz? Czemuż się nie rozejdziecie natychmiast?

– Nie mogę. Jakże się rozstanę z ojcem, a przy tym sama wiadomość o naszym rozejściu się mogłaby go zabić.

– Przecież za mąż nie wyjdiesz nie kochając.

– Nie mówmy o tym. Nie mogę wyjść za niego, bo popsuje mu jego karierę, on musi się ożenić bogato, aby móc przeprowadzić swoje plany, aby mógł tam, dokąd pragnie – dojść. A przecież nie mogę mu być zawadą i... nie będę.

– Ty go kochasz jeszcze?

– Nie wiem. Wiem, że czasem go kocham, czasem nienawidzę, a zawsze jest mi go strasznie żal, bo on nie jest szczęśliwym. Ja przeczuwam, że on nigdy szczęśliwym nie będzie.

– Tak jednak trwać nie może.

– Ciężkie jest życie, ciężkie! A przed rokiem jeszcze, nawet na wiosnę byłam tak szczęśliwa. Gdzież jest to szczęście, gdzie? – skarży-

ła się boleśnie i nie słysząc pocieszeń Niny zapatrzyła się w okno, w świat zaśniewony i brudny od dymów fabrycznych.

Nagie szkielety drzew, kołysane wiatrem, wyginały się i ze smutnym, żalobnym jękiem zaglądały do okien, jakby wyjąc ratunku i zmiłowania.

– Cóż to jest miłość? Ta miłość, co trwać ma wiecznie, co łączyć ma dwie dusze na zawsze, co je topi w sobie? Złudzeniem, mgłami, które rozprasza lada jaki wiatr... Przecież ja kochałam! Zdawało mi się, że kochałam naprawdę, całą głębią serca, że całą duszę oddałam uczuciu – gdzież jest to moje wielkie uczucie teraz?

– Jest jeszcze w tej skardze – szepnęła Nina.

– Cóż się stało z tą miłością? Zabiła ją pewnośc, że nie jestem kochaną. A przecież miłość wielka żywi się i rośnie podobno zdradą, krwią zawodów, cierpieniami. Nie, to, co brałam za miłość, nie mogło nią być, muszę nie być zdolną do wielkiego uczucia, do miłości prawdziwej – skarżyła się na siebie i w sobie tylko szukała źródła zła, i siebie tylko obwiniała.

– Tak, są miłości cieplarniane, które w zwykłej atmosferze zamierają. Są miłości-ameby, które muszą obwinąć się dookoła ukochania i trwają dotąd, dopóki stamtąd czerpią życie. Są miłości-dźwięki, trzeba je wywoływać, aby były, bo same w sobie nie istnieją. Ale ty się nie obwiniaj, bo nie jesteś winną.

Nie skończyła, bo wszedł Trawiński i stanął nie chcąc im przerywać.

– Będziesz w domu wieczorem?

– Przyszedłem ci powiedzieć, że wkrótce wychodzę. Dzisiaj sobota, zebranie u Kurowskiego.

– Słyszałam wielkie legendy o tych wieczorach. Co wy tam robicie?

– Pije się i rozmawia, a rozmawia się o wszystkim. Są to wieczory poświęcone mówieniu sobie prawdy bezwzględnej. Batutę trzyma Kurowski.

– Dziwne, że chcecie ją słyszeć o sobie, bo mówić to bardzo łatwo; człowiek sam sobie, gdyby się nawet najbezwzględniej sądził, krzywdy nie robi.

– Rzeczywiście, jest dziwne, że i mówią sobie prawdę, i słuchają.

– Dowodni to tylko, że jako tako ukulturowanemu człowiekowi nie wystarczają fabryki, interes i pieniądze, musi od czasu do czasu wziąć zimną kąpiel uświadomienia, a choćby tylko marzenia.

– Masz rację, bo nawet Kessler tam przychodzi, aby móc pokazać swoją złą duszę i aby nam wymyślać bezkarnie. Jedyna sposobność, więc jej nie traci.

– Człowiek z równą przyjemnością popisuje się złem jak i dobrem – byle miał uznanie.

XVIII [XXXIV]

U Kurowskiego w hotelu byli już zebrani prawie wszyscy, którzy stanowili to ścisłe kółko; siedzieli dookoła wielkiego okrągłego stołu, zastawionego butelkami i oświetlonego srebrnymi kandelabrami o kilkunastu świecach.

Trawiński przyszedł z Borowieckim, którego zabrał po drodze.

Przyszli właśnie na zajadłą filipikę Kesslera, który schrypniętym, syczącym nienawiścią głosem mówił:

– Ani jedna, ani dziesięć waszych fabryk nie stworzy przemysłu waszym. Musicie się pierwszej ucywilizować, musicie stworzyć sobie pewną kulturę przemysłową, zanim wasze usiłowania przestaną budzić śmiech. Ja was znam dobrze! Wy jesteście bardzo zdolni, bo przecież połowa różnych głośnych grajków i śpiewaków w Europie – to Polacy, Wy jesteście zdolni, śliczni wielcy panowie, czemu nie jedziecie do Monaco? Czemu zaniedbujecie sezony w Nizy, w Paryżu, we Włoszech? Tam budzilibyście podziw, a wy tak lubicie, żeby was podziwiano! Przecież wy wszystko robicie dla podziwu, dla pokazania się przed światem, dla pięknego frazesu! Wasza praca, szlachetność, sztuka, literatura, życie – jest tylko frazesem, mniej więcej dobrze deklamowanym dla galerii, a jeśli tej brak – dla samego siebie. Wy jesteście bankruci przedtem, zanim zaczęliście cośkolwiek mieć. Wy jesteście królami flirtu ze wszystkim. Mówię bez uprzedzeń, mówię, to, co zauważyłem, szereg spostrzeżeń czysto anatomicznych, zasadniczych. Jesteście dziećmi udającymi dorosłych.

Zamilkł i pił wino, które mu Kurowski nalewał skwapliwie.

– Masz pan rację i nie masz pan racji. Świnia, gdyby rozumowała o orle, dajmy na to, rozumowałaby podobnie; gdyby porównała swoje niechlujstwo, swój brudny chlew, swoją ordynarność barbarzyńską, swoją siłę głupią i brutalną, swój wstrętny, rechoczący głos, swój rozum sprowadzony tylko do najobfitszego nażerania się, gdyby to wszystko porównała z pięknościami orła, z jego żądzą swobody, z jego chęcią do podstępnych wzlotów, z jego dumą, miłością obszarów – znieawidziłaby go i pogardzała nim.

– To, coś pan mówił, nie jest syntezą, a tylko gniewnym warczeniem osobnika niższego gatunku – odpowiedział Kurowski, znowu dolewając mu wina.

– Wszystko mi jedno, czym jest, bo nienawidzę i pogardzam wami.

– Za drzwi z nim! – krzyknął Myszkowski zrywając się z krzesła.

– Daj pokój! Jego nienawiść jest sprawdzianem naszej siły.

Kessler już nic nie odpowiedział, wyciągnął się w fotelu i odczytywał jakiś list brudny i pomięty i uśmiechał się złowrogo.

– Prędko wyczerpalicie temat – zauważył Karol.

– Kessler pluje – pozwalamy, bo odsłania przy tym swoje dziecinne ząbki. A przy tym ośmiesza się zupełnie, tym przekonaniem, że skoro nam nawymyśla, obrzuci rasową pogardą i nienawiścią, to my z rozpaczy przepadniemy lub ze strachu ustąpimy miejsca tym mądrym, pracowitym, cywilizowanym, szlachetnym Niemcom. Głupi! nie wie, że naród, aby mógł żyć, rozwijać się i zwyciężać, musi być smagany batami nienawiści, musi być otoczony kołem szakalów gotowych go rozszarpać, a nie aniołami nucącymi hymny pokoju i miłości.

– Świat jest liczbą, powiedział Pitagoras, ale ty, Kessler, jesteś tylko zerem, przeraźliwym zerem, odosobnionym zerem – zawołał ze złością Myszkowski.

– Napijmy się – zaproponował Moryc, który zwykle słuchał tylko.

Napili się raz i drugi, zapalili cygara i milczeli czas jakiś.

Trawiński, który lubił rzucać luźne myśli i spostrzeżenia, nie związane z tokiem rozmowy, przerwał ciszę i zaczął mówić jasnym, bardzo melodyjnym głosem:

– Człowiek żyjący wyrachowaniem, człowiek, dobrze funkcjonujące kółko wielkiej maszyny ogólnej, tworzy tylko szare tło społeczne, to zero w postępie, a wielkość w utrzymaniu status quo, to w najlepszym razie konserwator cywilizacji, ale nie jej twórca.

– Czego pan chcesz, do czego zmierzasz, do kultu jednostek – rzucił żywo Wysocki.

– Stwierdzam tylko, że jednostki wybitne prowadzą świat naprzód, że bez nich byłaby noc, panowanie chaosu i ślepych żywiołów.

– A skądże się biorą te jednostki? Spadają z księżycy z gotowymi już tablicami praw, postępu, odkryć, wynalazków, co? Czy też są produktem tej szarej masy „konserwatorów”, tego tła społecznego. Tak? A jeśli tak, to skończyłem – zawołał zaciekle, podkreślił wąsy, otrzepał klapy, wyciągnął mankiety i gotów już był do zajadłej dysputy.

– Skończ pan ostatecznym wnioskiem – powiedział wolno Trawiński.

– Jednostki wybitne, które jak pan mówi, prowadzą świat, te geniusze sztuki, wiedzy, czynu, uczucia itd., to tylko bezwiedne instrumenty, przez które wypowiada się ich rasa, naród czy państwo, które ich z siebie wyłoniło. Ich wielkość jest w zupełnej proporcji do wielkości środowiska. Oni są wklęsłym zwierciadłem po to, żeby w nim odbijać i ogniskować wszystkie marzenia, pragnienia i potrzeby swego narodu. Dlatego trudno przypuszczać, żeby wśród Papuasów urodził się Kopernik lub Hoene-Wroński.

– Podobnymi faktami przekonam pana, że jest inaczej, że geniusze nie są wytworem swoich ras, a czymś zupełnie innym, ale pierwiej opowiem starą legendę o genezie geniuszów: Kiedyś, dawno, było źle pomiędzy ludźmi, źle pomiędzy zwierzętami, źle wśród całej przyrody, źle wśród jaskiń, źle wśród puszczy, źle w głębiach wód i źle w nieskończonościach. Panował zły bóg Chaos i jego dzieci: Zazdrość, Nienawiść, Przemoc, Głód i Mord. Wszyscy walczyli przeciw wszystkim, więc jękami i płaczem rozbrzmiewały długo przestrzenie, aż zbudziły z zadumy Indrę, spoczywającego w głębiach wszechświata. Słuchał długo, spojrział na ziemię i patrzył, aż serce wezbrało mu współczuciem i zdrój boskich łez, jak deszcz pereł, popłynął w przestrzenie i kilka z nich rozprysniętych padło na ziemię; z nich powstał i powitają geniusze prowadzący zbłąkaną, biedną ludzkość do światła, na powrót w łono Indry. Zrodzeni z litości boskiej są litością, światłem, miłością i zbawieniem dla ludzkości.

Bajka jak bajki, gdyby nie była cudowną, nie miałaby sensu – zawołał Wysocki i zaczęli gwałtownie przekonywać się nawzajem, nie przerywając nawet przy kolacji, którą podano wkrótce, ale mówili ciszzej, bo Kurowski się ożywił i wplątał do rozmowy, która z wolna stała się ogólna.

Borowiecki tylko nie mógł się rozruszać, mówił mało i nie słuchał, pił natomiast wiele i spoglądał niecierpliwie na towarzystwo, bo pragnął pozostać sam z Kurowskim, ale nikt nie myślał o odejściu, zwłaszcza teraz, przy czarnej kawie, gdy Kurowski, podniecony nieco, gładził swoją posrebrzoną już kruczą brodę i błyszcząc orzechowymi, oczami, które w miarę ekscytacji stawały się podobne do tygrysi, rzucał w rozmowie snopami paradoksalnych aforyzmów.

Oto niektóre z nich:

„Uczciwość miewa chwile nudy, a wtedy się jej strzeżcie.”

„Można być nawet i cnotliwym, ale pod warunkiem, aby od czasu do czasu występek zaprosić na obiad.”

„Kto pragnie sprawiedliwości, może ją mieć – kupiwszy.”

„Czym się różni deista od ateusza? Tylko odwrotnym biegunem głupoty.”

„Nie ma takiego łajdaka, który by chwilami nie macał się po bokach, czy mu nie wyrastają skrzydła anioła.”

„Łódź wyznaje wszystkie przykazania prócz jednego – nie kradnij.”

„Prawda najdrożej kosztuje społeczeństwa cywilizowane, więc nie obawiajmy się, nie zapanuje nigdy.”

„Słuchamy praw i cenimy je – jeśli są poparte bagnetami.”

„Nasza cywilizacja jest za duża dla naszych dusz, jeszcze barbarzyńskich, dla naszych instynktów, jeszcze dzikich. Ubieramy się w nią niby karty w strój olbrzymów.”

„To, co wiemy, można porównać do zapalki płonącej w mrokach wieczności.”

„Kto się mógł cały oddać jednej idei – niech się tym nie chwali, bo musiał mieć niewiele do oddania.”

„Nie ma ludzi złych i dobrych – są tylko głupi i mądrzy.”

Kessler nie mógł już dłużej słuchać spokojnie, wrzucił pogardliwie ramionami i zawołał:

– Bawicie się jak dzieci pustymi bańkami słów, a ja pójdę do domu.

– Jestem tego samego zdania – powiedział dwuznacznie Kurowski.

Kessler pozostał.

Rozmowa przeszła na literaturę, którą prowadził Myszkowski, bo powiedział Borowieckiemu, drwiącemu z entuzjastów literackich:

– Na początku była pieśń i na końcu będzie pieśń, a nie podręcznik do przedzenia wełny czesankowej. Ale z tym mniejsza!

Podniósł się, popatrzył jakoś dziwnie, jakby z pewnym żalem na zebranych i powiedział:

– Napijcie się ze mną na pożegnanie, jutro wyjeżdżam do Australii.

Zaczęli się śmiać i pili, ale on powtórzył poważnie;

– Nie śmiecie się, daję wam słowo honoru, że jutro w nocy opuszczam Łódź na zawsze.

– Gdzie? po co? dlaczego? – posypały się pytania.

– W świat, prosto przed siebie, a po co? Aby być z daleka od Europy i cywilizacji fabrycznej, mam tego bagna już dosyć, duszę się w nim, tonę, umieram. Jeszcze parę lat, a zgniłbym tutaj ze szczętem, a ja chce żyć i dlatego wyjeżdżam. Zaczynam życie na nowo, po ludzku.

– Ale dlaczego? – wołali zdumieni i poruszeni tym niezwykłym postanowieniem.

– Dlaczego? Bo się nudzę, bo mi zbrzydła tyrania praw, obyczajów, stosunków, instytucyj, bo mi zbrzydła ta stara łajdaczka Europa, obmierzły fałsz, obmierzły wszelkie przepisy, które mną rządziły i nie pozwalały nigdy być sobą – wszystko mi obmierzło i wszystko mnie za mocno boli, abym dalej mógł znosić.

– A czyż gdzie indziej będzie wam lepiej?

– Przekonam się dopiero. Bywajcie mi zdrowi. Żegnali się z nim, ale wszyscy namawiali do pozostania, bo go lubili i pomimo dziwactw cenili bardzo.

Kurowski tylko nic nie mówił, śledził go oczami, a potem, całując na pożegnanie, szeptał:

– Dobrze robicie. Gdybym nie czuł obowiązku warowania tutaj do końca, do ostatniego tchu, poszedłbym z wami. Jeśli wam będzie potrzeba pieniędzy, napiszcie.

– Cóż, u diabła, przecież zabieram ze sobą największe kapitały, bo zdrowe ręce i głowę. Nie jadę przecież, aby uwodzić kobiety lub bawić się, jadę żyć wolno i swobodnie. Wspomnijcie mnie czasem, jeśli chcecie, i pamiętajcie, nie marnujcie życia na robienie pieniędzy, nie róbcie z siebie bydła pociągowych, nie stawajcie się maszynami, nie zniczemniajcie się pracą nadmierną.

Ucałował wszystkich, a najmocniej Kurowskiego i podrwiwając, aby ukryć wzruszenie, wyszedł.

– Wariat! – mruknął pogardliwie Kessler i również zaraz wyszedł z Morycem i Wysockim.

Pozostał tylko Kurowski i Borowiecki. Kurowski zamglonymi oczami patrzył w jakąś dal i nie mógł stłumić żalu, jaki go przepełnił za odjeżdżającym.

– Chwilę ci tylko zajmę – zaczął Borowiecki.

– Siadaj, mamy dosyć jeszcze czasu do rana – powiedział, wskazując na okno, na świt przeciekający przez zapocone szyby.

Karol długo opowiadał o swojej fabryce i stanie interesów, o potrzebie pozbycia się spółników, przytaczał znowu, jaką zrobiono na niego, a w końcu zaproponował wejście do spółki.

Kurowski długo myślał, wypytywał o szczegóły, aż rzekł:

– Zgoda, ale pod jednym warunkiem, Z góry uprzedzam, że warunek ważny i... może trochę dziwny.

– Postaw go.

– Może ci się nie podobać, ale... ale przyjmij spokojnie, po kupiecku.

– Czekam z ciekawością.

– Nie ożenisz się z Anką!

Borowiecki porwał się z krzesła, rumieniec oblał mu twarz, ale rumieniec naglej, oślepiającej radości. Miał ochotę rzucić mu się na szyję, ale rychło się

powstrzymał, oblókł twarz w surowość i szukał kapelusza.

– Mówiłem, przyjmij spokojnie, po kupiecku. A zresztą, mówmy szczerze, nie oszukujmy samych siebie, bo znamy się obaj zbyt dobrze.

– Dobrze, mówmy szczerze.

– Wejdę do cichej spółki z tobą, żebyś mógł po– i zbywać się długów i wyrzucić dotychczasowych spółników, ale za to ty zwrócisz słowo pannie Annie i ożenisz się, z kim zechcesz, choćby z Madą Mullerówną.

– A ty z Anką?

– To moja rzecz, co potem będzie, zwróć jej tylko słowo i nie męcz dłużej. Dziewczyne zabija to położenie, sama nie powie przecież.

– Zrobiłbym to dawno sam, myślałem i myślę o tym często, ale się boję, bo przy jej uczuciowości, a przy tym, przy tym...

– Przy tym, o ile mnie się zdaje, ona was nie kocha, więc zrobicie jej łaskę.

– Coś wiem o tym – powiedział dotknięty najboleśniej jego słowami.

– No i wy jej nie kochacie.

– Tu powiem, że to znowu moja rzecz. Tyle wam powiem, że do kąd ona nie zerwie ze mną, będę jej narzeczonym i ożenię się wkrótce. Dziwię się, że mogliście mi zaproponować podobną aferę – zakończył na j niespodziewanie j bardzo wzburzony.

– Macie rację, byłem widać nie dość trzeźwym i niedobrze argumentowałem.

– Dobranoc.

Kurowski podał mu rękę i patrzył za nim z głębokim żalem, a potem zadzwonił i kazał natychmiast zaprzęgać do wyjazdu.

– Biedna Anka! – szepnął.

XIX [XXXV]

– Wstąpię na chwilę do fabryki, a potem pójdę z wami, nie chce mi się wracać do domu – mówił Kessler do Moryca, gdy rozstali się z Wysockim.

– A może do mnie na herbatę?

– Dobrze. Coś mi jest i nie wiem co! – szepnął wstrząsnawszy się nerwowo.

Szli wolno pustymi, jakby wymarłymi ulicami.

Śnieg pobielił dachy i leżał na ulicach i trotuarach cienką, przymarznąętą warstwą. Szarość mdła, przesycona mętnym, zimowym światem, powlekała miasto ponurym nastrojem. Gaszono już latarnie i wszystko zlewało się ze sobą i zacierało, gdzieniegdzie tylko błysło jakieś światełko i zgasło natychmiast.

– Musicie być w fabryce?

– Muszę, nocna robota we wszystkich oddziałach.

– Darujcie mi uwagę, ale gdybym był wami, nie zaglądałbym do Malinowskiego, on ma minę wściekłego psa na łańcuchu.

– Głupi, jego córka kosztuje mnie z pięć tysięcy rubli rocznie, a on na mnie warczy.

– On już był na Syberii – szepnął Moryc.

– To cichy człowiek. Muszę do niego wstąpić, napisał list do mnie, więc chcę mu dać odpowiedź osobiście.

Uśmiechnął się złowrogo.

– O Zośkę?

– Tak.

– Macie przynajmniej rewolwer?

– Mam nogę na tego polskiego psa, jeśli warknie, to go rozgniotę. Daję wam słowo, że nie warknie, on chce tylko dobrego odszkodowania za córkę. Nie pierwszy raz załatwiam podobne sprawy – mówił drwiąco, ale w głębi czuł jakieś dziwne drżenie, nie strachu, bo to uczucie nie istniało dla niego, ale drżenie nieokreślonej tęsknoty i znużenia.

Patrzył na szare niebo, na te ponure okopy domów,

jakby umarłych, i wsłuchiwał się w tę dziwną, denerwującą ciszę miasta uśpionego.

Ale już w dziedzińcu fabryki, która huczała wszystkimi maszynami, w dziedzińcu zalanym falami elektrycznego światła i pełnym ruchu, czuł się znowu dobrze.

– Zaczekajcie chwilę, rozmówię się i zaraz wyjdę. Wszedł do wieży prawie ciemnej, bo tylko jedna lampka, przyczepiona do ściany okopconej, rozpryskiwała nieco mętnego światła na pracujące tłoki i na dolną część koła, które jak zwykle obracało się szalonymi rzutami, wyjąc dziką pieśń siły i połyskując groźnie olbrzymimi stalowymi szprychami.

– Malinowski! – krzyknął od drzwi, ale głos porwały żelazne szczęki maszyny.

Malinowski, zgarbiony, w długiej bluzie, z oliwiarką w rękę i wycierem, łaził dookoła maszyny i czuwał nad tym potwornym bydłciem; zatopiony zupełnie w chaosie krzyków i szumów, jakby w głębi rozszalałego morza, śledził tylko oczami ruchy potworu, który jakby szaleństwem pijany taczał się z rykiem wściekłości, trząsł murami i napelniał wieżę grozą.

– Malinowski! – zakrzyczał mu już nad uchem Kessler.

Malinowski usłyszał, podszedł bliżej, oliwiarkę i lampkę postawił i patrząc na niego spokojnie, wycierał ręce o bluzę.

– Pisałeś list do mnie? – zapytał groźnie Kessler. Skinął głową potakująco.

– Czego chcesz? – rzucił brutalnie, bo spokój Malinowskiego rozdrażniał go.

– Coś zrobił z Zośką? – szepnął nachylając się do niego.

– Aha! więc co chcesz? – zapytał po raz drugi i bezwiednie chciał się cofnąć do drzwi.

Malinowski zastąpił mu drogę i szepnął cicho, bardzo spokojnie:

– Nic... Zapłacę ci tylko za nią...

Oczy mu strzeliły mocnym stalowym błyskiem, a potężne ręce, podobne do tłoków, wysunęły się groźnie zaciśnięte.

– Z drogi, bo ci łeb rozbiję!

Strach nim zatrzęsł, zobaczył w oczach Malinowskiego wyrok śmierci.

– Spróbuj, spróbuj!... – mruknął ponuro Malinowski.

Posunęli się ku sobie, patrzyli przez chwilę jak dwa tygrysy, napijające się do strasznego skoku.

Oczy zaczęły im połykiwać jak te stalowe szprychy koła, które ni-
by kły migotały z cieniów.

Potwór, jak gad splątany w sieć zmroków, skrzeń, błysków, z wy-
ciem rzucał się zapamiętale, jakby szukając ucieczki z tych roztrzęso-
nych, potężnych murów.

– Z drogi! – ryknął Kessler i równocześnie uzbrojoną w kastet ręką
wymierzył taki straszny cios, że Małinowski zatoczył się na ścianę, ale
nie upadł, jak błyskawica rozwinął się w całej długości i runął na
Kesslera chwytając go stalowymi rękami za gardło i rzucając ze
straszłą siłą na przeciwległą ścianę.

– Ty... ścierwo... – warczał i coraz silniej go dusił, aż Kessler rzy-
gnął krwią i ledwie wycharczał:

– Puść... puść...

– Już cię teraz dokończę, tyś mój, mój... mój... – szeptał wolno i
bezwiednie jakoś zwolnił ucisk palców. Wtedy Kessler oprzytomniał i
szalonym ruchem rozpaczy rzucił się naprzód z taką siłą, że obaj upa-
dli.

Malinowski go nie puścił, szepili się wpół jak dwa niedźwiedzie i
tarzali się z głuchym krzykiem, bili głowami o asfalt, rozbijali się o
ściany i obmurowania maszyny, gnietli się kolanami, kąsali sobie twa-
rze i ramiona, ryczeli z bólu i wściekłości.

Nienawiść i pragnienie mordu odebrały im przytomność, przewra-
cali się potwornym kłębem, który co chwila się przewalał, unosił, padał
znowu, zwijał, prężył, ryczał dziko i ociekający krwią, rozszalały, to-
czył dalej ten bój śmiertelny obok maszyny huczającej głucho, pod tym
kołem, które co chwila już chwyciło ich stalowymi kłami.

Szamotali się krótko. Malinowski brał górę i tak ścisnął potężnie,
że łamał tamtemu żebra i klatkę piersiową, wtedy Kessler ostatnim ru-
chem uchwycił go zębami za gardło.

Zerwali się równocześnie z ziemi, okręcili się dookoła siebie i runę-
li ze straszonym krzykiem na tłoki i pomiędzy przebiegające błyska-
wicznie szprychy koła, które ich poderwało, wchłonęło, podniosło pod
sufit i w mgnieniu oka rozmiażdżyło na strzępy.

Jeszcze ostatni ich krzyk brzmiał wśród rozdrzanych murów, a oni
już nie żyli, tylko łachmany podarte ciało wirowały w orbicie koła-
potworu, leciały po ścianach, zsuwały się po tłokach okrwawionych i
wiewały poczepiane na kole, które okrwawione, potworne swoją wiel-
kością, biegało wciąż w szalonym ruchu, z wściekłym rykiem siły spę-
tanej.

Za pogrzebem Malinowskiego poszła tylko garstka znajomych i przyjaciół Adama, bo dzień był straszny, co chwila padał deszcz ze śniegiem i wiatr przenikliwy, lodowaty powiewał od szarych, ciężkich chmur, nisko wiszących nad ziemią.

Adam prowadził matkę opuchłą od płaczu i na pół przytomną, a za nimi szli Jaskółscy z gromadą starszych dzieci i kilka sąsiadek z domów rodzinnych.

Szli środkiem ulicy za jednokonnym karawanem, który skakał na wybojach i rozbijał kołami rzadkie czarne błoto, chlustając dookoła strumieniami.

Orszak posuwał się wolno Piotrkowską ulicą, zapchaną wozami pełnymi towarów i prywatnymi ekwipażami; tłumy czarne, obłoczone, snuły się trotuarami, z dachów spływała woda strumieniami i rozpryskiwała się o chodniki i o chwiejące się na wietrze parasole, a śnieg mokrymi płatami bielił coraz bardziej bok karawanu i trumny.

Trotuarem szedł Blumenfeld, Szulc i cała ich muzyczna banda, w końcu której Stach Wilczek z jakimś młodym człowiekiem, któremu wciąż opowiadał o swoich interesach.

Horn szedł również za orszakiem i smutnym wzrokiem przeglądał wszystkich idących; szukał Zośki, ale jej nie było i nikt nie wiedział, co się z nią stało od śmierci Kesslera.

Zaraz za miastem przyłączyło się do orszaku kilkanaście robotnic i te zaintonowały jakąś przesmutną pieśń i śpiewały ją same, bo księdza nie było. Chowali Malinowskiego jako samobójcę i mordercę, we wzgardzie, więc też może i dlatego twarze wszystkich napiętnowała głęboka gorycz i smutek.

Ale w miarę odsuwania się od miasta przybywało coraz więcej ludzi z różnych przejść i zaułków; ludzi zdyszanych jeszcze pracą, zabrudzonych, sinych z zimna, którzy zwartym zastępem otoczyli zmarłego towarzysza i szli niby groźny zastęp.

Pieśń brzmiała smutnie, targał ją wiatr, chłostał śnieg i deszcz, mroziło przejmujące zimno.

W alei, prowadzącej do cmentarza, nagie drzewa jęczały pod parciem wichru, a pieśń rozlegała się jak łkanie pełne skargi i bezbrzeżnego żalu.

Przez cmentarz, pełen rozgnitych liści, błota zmieszanego ze śniegiem, wspaniałych grobowców i dzikiego szumu nagich drzew, przesunęli się spieszenie i skręcili w kąt „zapomnianych”, gdzie kilkanaście mogił wznosiło się wśród uschłych ostów i dziewanny.

Dół był gotowy, więc rychło zadudniła żółta przemarzła ziemia sypała na trumnę, płacze i krzyki zerwały się jak burza i wtórowały głośnym modlitwom robotników, klęczących dookoła grobu.

Wiatr ustał nagle, drzewa stanęły w ciszy, ściemniło się jeszcze bardziej i śnieg miliardami białych ciężkich motyli zaczął spływać z posepnych chmur, pobielił groby i ludzi, pokrył wszystko zimną, jednostajną powłoką.

Od Łodzi, wskroś śniegów, dolatywały przytłumione gwizdawki fabryczne, świszczące na podwieczorek.

– Co się dzieje z Zośką? – pytał Blumenfeld Wilczka, gdy już wracali do miasta.

– Pójdzie na ulicę. Kiedy się dowiedziała o śmierci Kesslera, wpadła w złość i zaczęła wymyślać na ojca, że przez niego będzie musiała szukać nowego kochanka. Ale podobno już Wilhelm Muller zajął się nią.

– Cóż wy teraz, Wilczek, robicie? – zapytał Horn przystępując do nich.

– Szukam jakiego interesu. Puściłem Groszlika, a węgle już mnie nudzą.

– Podobno sprzedaliście plac Grunspanowi?

– Sprzedałem – mruknął i zaciął zęby, jakby go dotknięto w bardzo bolesną ranę.

– Co, okpił was?

– Okpił, okpił! – powtórzył przez zęby z jakąś bolesną lubością. – Sprzedałem za czterdzieści tysięcy, zarobiłem na tym trzydzieści osiem i pół, ale mnie okpił! Nie daruję mu tego do śmierci! – postawił kołnierz od futra, żeby ukryć rozgorzałą wzburzeniem twarz i osłonić się nieco od śniegu, który zacinał im w oczy i padał coraz gęstszy.

– Nie rozumiem, zarobiliście aż tyle, więc gdzież tu miejsce na okpienie?...

– A tak. Wiecie, kiedyśmy już umowę podpisali, kiedy pieniądze miałem w kieszeni, ten parch, psiakrew, wyciąga do mnie rękę, dziękuje mi za dobre serce i powiada, że jestem bardzo mądry, ale tylko do wysokości czterdziestu tysięcy rubli!... Zaczął się śmiać i powiada, że on był już zdecydowany dać pięćdziesiąt tysięcy, bo plac jest mu konieczny! Pomyślcie tylko, jak się dałem głupio złapać, a teraz śmieją się ze mnie!

Zamilkł i pozostał trochę w tyle, aby przyciszyć tę szaloną, bezsilną wściekłość, jaka go dławiała.

Już mu nie chodziło o pieniądze, ale nie mógł strawić tego, że został oszukany, że taki Grunspan kpił sobie z niego, że on, Wilczek, dał się złapać. Cierpiała jego ambicja męki niewysłowione.

Pożegnał towarzyszków zimno, bo nie mógł w tej chwili patrzeć na nikogo, siadł w dorożkę i pojechał do domu. Mieszkał jeszcze w swojej dawnej chałupie, bo sobie wymówił lokal do wiosny.

W izbie było zimno, wilgotno i bardzo pusto, że ledwie wysiedział do wieczora, a potem powlókł się do „kolonii”, gdzie teraz stołował się stale, bo potrzebował zawiązywać bliższe stosunki z tzw. towarzystwem.

Ale w „kolonii”, tak zawsze wesołej, dzisiaj panował smutek na wszystkich twarzach, a Kama płakała co chwila i uciekała do saloniku, bo ją wzruszał do głębi widok Adama Malinowskiego, który odprowadził matkę do domu, pozostawiając ją wśród bliskiej rodziny, a sam uciekł i błądził kilka godzin po Łodzi, wreszcie zmordowany przyszedł do „kolonii” na zwykłą, codzienną herbatę; myślał, że wpośród życzliwych będzie mu lepiej.

Siedział właśnie przy stole i patrzył gdzieś daleko. Jego zielone oczy pociemniały i jakby odbijały tę wewnętrzną, zamkniętą pod czaszką wizję ostatnich chwil ojca, jaka ciągle przed nim stała.

Nic nie mówił, ale czując tyle serc mocno współczujących, tyle spojrzeń serdecznych, te przyciszone szepty dookoła i ten dziwny nastrój zebranych, i ciągle wybuchy płaczu Kamy, nie mógł wytrzymać. Nie żegnając się z nikim, wybiegł i w sieni wybuchnął spazmatycznym płaczem.

Wybiegł Horn i Wilczek, zaopiekowali się nim i odwieźli do domu, gdzie też wkrótce zebrali się wszyscy przyjaciele.

Siedzieli wszyscy w milczeniu czas długi, aż Blumenfeld zaczął pianissimo grać na skrzypcach Szopenowskie nocturny i grał długo, grał tak całym sercem, aż Adam wsłuchany w muzykę uspokoił się nieco.

Potem przyszedł do nich Dawid Halpern i zaczął go pocieszać najtroskliwiej i opowiadać z głęboką wiarą o Bogu sprawiedliwym i dobrym.

Wszyscy słuchali dość chętnie prócz Wilczka, który się wyniósł, bo tego nic i nikt zająć nie potrafił, gdyż od dwóch tygodni żarła go ta szalona nienawiść do Grunspana.

Włóczył się po Łodzi dniami całymi, zatopiony tylko w kombinacjach zmierzających do uszkodzenia fabrykantowi.

Przysiągł mu zemstę i szukał sposobności. Nie pomyślał nawet o zemście osobistej, o z biciu go lub zabiciu; nie, to było głupstwem, on chciał go zranić w kieszeń. Więc całe tygodnie trawił teraz na wertowaniu i przepatrywaniu szczegółów pożaru fabryki Grosmana, bo poczuł, że z tej strony zdoła ugryźć Grunspana w samo serce. Był już na dobrej drodze odkryć, ale tymczasem, dla nasycenia chwilowego, postanowił odkryć przed Borowieckim znowę Groszlika i machinacje Moryca dążące do zawładnięcia fabryką.

Ubrał się pewnego dnia bardzo starannie i poszedł odwiedzić pana Adama i Ankę przypuszczając, że tam spotka Karola.

Anka przyjęła go bardzo serdecznie, bo jej przypomniał Kurów, i zaraz zaprowadziła do pana Adama.

– Stachu! jak się masz, co? Dobrze, żeś przyszedł,

dobrze... – szeptał pan Adam wyciągając do niego rękę, którą Wilczek jakoś bezwiednie, dawnym zwyczajem, ucałował, a że zaczął opowiadać o Kurowie, gdzie był niedawno, więc i Anka przysunęła się bliżej i słuchała z uwagą.

– No, ale tobie jakże idzie, co? – pytał w końcu pan Adam.

– Dosyć dobrze, dosyć, jak na początek – odparł niedbale i z lekceważeniem opowiadał o swoich czterdziestu tysiącach rubli, bo chciał im zaimponować.

– No, no! szczęście ci, Boże, mój Stachu, zostań sobie i milionerem, byle bez krzywdy ludzkiej.

Wilczek uśmiechnął się pobłaźliwie i zaczął szeroko opisywać swoje plany i zamiary, rzucił tysiącami na lewo i na prawo; opowiadał od niechcienia o swoich stosunkach z milionerami, szkicował swoją przyszłość wielkimi sztychami, ale przy tym był śmiesznym bardzo, bo zbyt często się wszystkim popisywał.

– Anka uśmiechnęła się ironicznie, a pan Adam za. wołał ze szczerym podziwem:

– Jak się to dziwnie układa na tym świecie! A pa, miętasz to jeszcze, mój Stachu, jak pasałeś nasze cię, Jęta, co? A te cybuchy księdza Szymona, he?...

– Trudno zapomnieć... – mruknął czerwieniąc się, bo Anka tak dziwnie patrzyła na niego.

Popsuło mu humor to przypomnienie, więc powstał zaraz i pytał o Karola.

– Nie ma pana Borowieckiego, wczoraj wyjechał do Berlina i powróci dopiero za kilka dni – mówiła Anka nalewając mu herbaty.

– A powiedz no mi, jak to tam było z tą starą Żydówką, zjadłeś jej strucle czy nie? – ciągnął nieubłaganie pan Adam wpadłszy na przypomnienia.

Ale Wilczek tak był temu nierad, że nic nie odpowiedział, wypił szybko herbatę i wyniósł się, wściekły na starego i na świat cały.

– To moje dzieciństwo będzie mi kulą u nóg? – mruczał.

Pan Adam długo rozmawiał o nim z Anką, długo nie mógł dobrze pojąć, jak się to teraz dzieje na świecie, że taki Wilczek na przykład, który u nich pasał bydło, którego nieraz dobrze obijał, jest teraz już zamożnym człowiekiem i może najspokojniej przychodzić do nich i być jak z równymi.

Pan Adam był demokratą, ale tego nie mógł pojąć, a raczej na taką równość nie mógł się zgodzić, więc zakończył:

– Oni za prędko rosną! Ze szlachty to miał pociechę i Pan Bóg, ale tymi to, zdaje mi się, że tylko diabeł będzie się cieszył, co, jak ci się zdaje, Anka?...

XX [XXXVI]

Borowiecki był w Berlinie.

Przyjechał do Lucy, bo go zasypywała depeszami i groziła samobójstwem, jeśli nie przyjedzie chociażby na kilka godzin.

Pojechał nawet dosyć chętnie, bo myślał, że dni kilka odpocznie z dala od fabryki, która już pracowała wszystkimi oddziałami.

Czuł się nadzwyczaj zmęczonym i wyczerpanym pracą i ciągłymi kłopotami.

Z Lucy widywał się po dwa razy dziennie. Spotkania te były dla niego męczarnią, tym większą, że Lucy bardzo zbrzydła; nie mógł patrzeć bez głębokiej urazy na jej zdeformowaną figurę, a prawie ze wstrętem całował jej twarz obrzękłą, pokrytą żółtymi plamami.

Ona szybko odczuła wrażenie, jakie wywierała, więc każda schadzka kończyła się gorzkimi wyrzutami i płaczem.

Męczyli się oboje strasznie.

Ona kochała z dawną siłą, tylko zniknęła w niej dawna wytworna, namiętna kochanka; ta pełna nieświadomej dyskrecji, szczerzej naiwności i wzruszającej nieśmiałości Lucy, ta piękna Lucy, podziw Łodzi, a budziła się w niej prosta, ordynarna, bez wychowania i kultury Żydówka z małego miasteczka. Robiła się krzykliwą, arogancką i głupią.

To przyszłe macierzyństwo tak ją przeistaczało zupełnie i budziło wszystkie właściwości rasy, do jakiej należała.

Karol z przerażeniem pewnym spostrzegł te zmiany, ale że czuł się winnym wobec niej, więc przyciszał, jak mógł, wstręt i nienawiść, jaka się w nim rozrastała. i dosyć spokojnie znosił wybryki jej i kaprysy. Wymawiała mu przy każdym spotkaniu, że uczynił ją nieszczęśliwą, przypominała ciągle z przyjemnością udręczania jego i siebie, że to dziecko, które miało się narodzić – to jego dziecko, torturowała go ciągłą obawą śmierci, a kończyła rzucaniem mu się w ramiona i namiętymi wybuchami zmysłowości.

Po kilku dniach pożegnał ją, chociaż jeszcze nie wyjeżdżał, bo mu już brakować zaczynało sił i cierpliwości.

Pozostał w Berlinie i odpoczywał dopiero naprawdę, przepędzając dnie całe i noce na pustej, bezmyślnej zabawie.

Pewnego dnia wrócił rano i było już dobrze po południu, a on spał jeszcze, gdy zbudził go woźny z telegrafu z depeszą.

Sennymi, nieprzytomnymi oczyma przeczytał:

„Przyjeżdżaj! Fabryka się pali. Moryc.”

Wyskoczył z łóżka, ubrał się spieszenie i zaczął pić wolno wystygłą dawno herbatę, i patrzył przez okno na drugą stronę ulicy, po chwili długiej dopiero spostrzegł, że trzyma w zaciśniętej dłoni jakiś papier, rozwinął i znowu przeczytał.

– Fabryka się pali! – wykrzyknął zdumionym i przestraszonym głosem i rzucił się na korytarz, jakby biegnąc na ratunek, dopiero przy windzie oprzytomniał i zapanował nad sobą.

Zamówił specjalny pociąg i pełen nieopisanego trwogi czekał w jakiejś małej restauracji przy banhofie.

Co pił, co robił, co mówił, nic o tym nie wiedział, bo był całą swoją istotą tam, przy palącej się fabryce.

Gdy zawiadomili, że pociąg czeka, zrozumiał dobrze, bo wsiadł; gdy się go o coś pytali, również rozumiał, tylko odpowiedzieć nie umiał, bo ciągle bezwiednie dzwięczało mu w mózgu:

– Fabryka się pali!

Zaraz ze stacji pociąg, składający się tylko z wagonu osobowego, brankardu i maszyny, rzucił się jak rumak spięty ostrogami i pognął całą siłą pary w przestrzeń zaśnieżoną.

Z jakiejś stacji, gdzie się zatrzymano na chwilę, telegrafował do Moryca i prosił, aby go depeszami zawiadamiano o postępie pożaru.

Polecieli dalej.

Stacje, miasta, wielkie wzgórza, rzeki, lasy migotały tylko jak w kalejdoskopie, przesuwały się jak cienie, jak wizje i ginęły w ciemnościach nocy.

Nie zatrzymywali się prawie nigdzie, pociąg jak zwierzę oszalałe rzucał się z krwawymi ślepiami naprzód, pożerał przestrzenie, dyszał obłokami skier złotymi i przy potężnym śpiewie tłoków i huku kół bijących z wściekłością o szyny, pruł ciemności i biegł coraz dalej i dalej...

Borowiecki z twarzą rozpląszczoną na szybie wagonu stał wciąż i patrzył w noc ciemną, w drgające majaki rzeczy przesuujących się, w zaśnieżone płaszczyzny, uciekające w tył.

Nic nie widział, spoglądał tylko ciągle na zegarek.

W Aleksandrowie czekała już depesza.

„Pali się!” Przesiadł się do oczekującego już ekstra-pociągu i jechał dalej.

Noc już była późna.

Pozasłaniał światła i położył się, ale zasnąć nie mógł, bo pod czaszką, w nim całym, przewalały się tumany trwogi pełne rozprysniętych obrazów, tym boleśniejszych, że nie potrafił schwytać ich konturów i zapamiętać, rozlewały się niepochwytnie i przepełniały go dręczącym, nieustannym drżeniem,

Zerwał się na nogi, światło odsłonił i zbierając wszystkie siły woli zaczął w notesie obliczać swoje aktywa i pasywa. Ale nie skończył, cofnął się z trwogą przed uświadomieniem dokładnym stanu swoich interesów.

Asekuracja mogła tylko pokryć długi wspólników i pieniądze Anki. Ani jego własnych kapitałów, ani pracy osobistej, ani warsztatu do pracy przyszłej – nie zobaczył w cyfrach.

Nie chciał myśleć o tym, ale czym usilniej pragnął zapomnieć, tym żywiej te złowrogie cyfry wylażyły mu z głębin mózgu i migotały na rozpalonych gorączką siatkówkach.

– Co tu robić – myślał chwilami tylko, bo nie mógł już myśleć, nie mógł splątać jednej całej myśli, wszystko się w nim zapadało, zalewane straszną niecierpliwością.

Patrzył znowu w noc i przeklinał powolność, z jaką pociąg leciał, bo on rozgorączkowaną wyobraźnią już z tysiąc razy biegł naprzód, już był w Łodzi, już widział łuny, widział płomienie żrące mu jego pracę, słyszał wrzaski i huki zapadających się budynków, duszę miał pełną pożaru, który go tak palił.

Zrywał się z miejsca, chodził po wagonie, rozbijał się o ściany, czuł się jakby pijanym, to leżał długo i wpatrzony w światło tak się jednoczył wewnętrznie z pociągiem, tak z nim biegł i pracował razem, że czuł w sobie obroty kół, dyszenie maszyny, cały wysiłek pracy, wielką, dziką rozkosz leczenia bez pamięci wskroś pustych zimowych pól i nocy.

Godziny płynęły wolno, strasznie wolno.

Otworzył okno i wysunął głowę na mroźny chłód nocy.

Zimny, przejmujący wiatr, lecący od pól śnieżnych, bił go po twarzy rozpalonej, a ciemne, połyskujące śniegiem przestrzenie okręcały mu duszę szarością i smutkiem.

Pociąg biegł wciąż jak błyskawica pełna grzmotów. Uśpione stacyjki, zasypane śniegiem wioski, gnące się pod okiścią śnieżną lasy i długi łańcuch latarni strażniczych, podobnych do świetlistych baniek

plywających po morzu ciemności, uciekały z szalonym pośpiechem w tył, jakby z trwogą przed potworem,

„Jeszcze się pali!”

Mówiła trzecia depesza, jaką zastał w Skierniewicach.

Podarł ją i rzucił na ziemię.

Wypił całą butelkę koniaku, ale nie uspokoił się ani zapomniał.

Jechał znowu dalej i modlił się prawie do maszyny, byle prędzej leciała.

Czuł się chorym i tak zdenerwowanym, że nie mógł się utrzymać na nogach, bolało go serce, bolały go wszystkie mięśnie, a każda myśl przenikała mózg jakby ostrzem rozpalonym; chodził niezmordowanie od okna do okna, siadał po wszystkich miejscach i zrywał się natychmiast, i znowu biegł patrzeć w mroźną, zimową noc, w ponure przeszczerzenie, które na próżno chciał przeniknąć wzrokiem.

Z bijącym sercem przyglądał się stacjom mijanym w szalonym pędzie, aby zobaczyć ich nazwy, które przecuciem prawie wyrzywał z ciemności.

Ale męka niepokoju trwała wciąż, bez przerwy, zapuszczała swoje cienkie pazury we wszystkie nerwy, we wszystkie centra i rwała coraz boleśniej.

Zapadał ze znużenia jakby w drzemkę, z której się budził obłany potem strachu i jeszcze silniejszym poczuciem własnej bezsilności.

Zmęczenie zaczynało brać górę, coraz niewyraźniej wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje, jak przez sen spostrzegał błądy, zimowy świt, który zaglądał do okien zieloną twarzą i włókł się senny po śniegach, i zgarniał mroki z pól, odsłaniał zarysy lasów, błyskał już światłami budzących się wiosen i obwijał się w masy brudnych chmur napływających z pośpiechem ze wschodu, a potem okrył się płachtą olbrzymią szarości i zaczął z niej wytrząsać śnieg, który padał gęstymi płatami i przysłonił wszystko.

W Kolużkach już depeszy nie było.

Ale już zmógł zmęczenie, umył się i zaczął przyprawiać do równowagi rozstrojone nerwy.

Opanował się niejako fizycznie, zmusił do zewnętrznego spokoju i do logicznego myślenia, ale nie mógł stłumić niecierpliwości i niepokoju, który w miarę zbliżania się do Łodzi wzrastał niepomiernie.

Bolesne refleksje rozgoryczały go coraz więcej.

Tyle lat pracy, wszystkie nadzieje, tyle wysiłków, tyle pragnień, cała przyszłość – wszystko to widział ulatujące z dymem.

Ból go targał tym sroższy, im bardziej czuł się bezsilnym, im bardziej protestował przeciwko złym, nienawistnym losom.

Śnieg padał coraz gęstszy, tak że pomimo dobrego już dnia nic nie było widać.

Pociąg biegł z szaloną szybkością i jakby przedzierał się przez te białe strzępy zasypujące świat, a Borowiecki wychylony przez okno chwycił spieczonymi ustami ostre powietrze i wskroś śnieżnych zasłon wypatrywał konturów fabryk i drżał taką niecierpliwością, że gryzł sobie palce, aby nie krzyknąć z bólu.

Maszyna jakby podzielała jego niepokój, bo gnała jakby pędzona szaleństwem; biegła zadyszana, rzucała się jak w konwulsjach, charczała z wysiłku, zgrzytała tłokami, oddychała obłokami dymu i podobna do olbrzymiego żuka huczącego wskroś śnieżnych płaszczyzn leciała zapamiętale, naprzód, bez tchu, jakby w nieskończoność.

XXI [XXXVII]

Poprzedniego popołudnia Anka jak zwykle o tej godzinie siedziała przy panu Adamie, który dzisiaj był więcej rozdrażnionym i niespokojnym. Ciągłe pytał się o Karola i co chwila narzekał na duszność i ostry ból serca.

Dzień był posepny, śnieg po kilkakroć polatywał, ale przed wieczorem ustał, tylko wiatr się wzmógł i bił w okna śniegiem, i targał drzewami ogródka, i przewalał się z poświstem po werendzie, na którą wychodziły okna chorego.

O zmroku i wiatr umilkł, zrobiła się głęboka cisza, w której tylko huczały głośniejszy fabryki.

– Kiedy Karol przyjedzie? – zapytał znowu słabym szeptem.

– Nie wiem – odpowiedziała chodząc po pokoju i spoglądając przez okna.

Czuła się dziwnie zmęczoną, a do tego przyłączyła się jakaś nuda niewypowiedziana i smutek płynący jakby razem z tą szarą, brudną nocą, co Łódź pokrywała.

Całe tygodnie nie wychodziła z domu przesiadując przy panu Adamie i niecierpliwąc się coraz boleśniej wyczekiwaniem jakiegoś końca.

Teraz chodząc po tym w połowie ciemnym pokoju, przesyconym zapachami lekarstw, wydało się jej, że jest skazana na zawsze, że ta męka oczekiwania nigdy się już nie skończy,

Nawet się już nie buntowała przeciwko konieczności, poddawała się biernie losom i opadała w siebie, w najgłębszy ze smutków, w smutek rezygnacji.

Pan Adam zaczął półgłosem mówić swoje wieczorne pacierze; nie odmawiała z nim dzisiaj, bo nawet nie słyszała, zatopiona w odrętwieniu, z jakim patrzyła w okno, na zasypany śniegiem ogródek i na mury fabryki.

Jakiś człowiek wybiegł z furtki fabrycznej i biegł z największym pośpiechem do werendy krzycząc coś głośno.

Anka porwała się i wybiegła naprzeciw.

– Pali się! – bełkotał Socha.

– Gdzie?

Zamknęła drzwi do przedpokoju, aby chory nie usłyszał.

– W fabryce. Zapaliło się w suszarni na trzecim piętrze!...

Nie pytała więcej, pchnięta pierwszym odruchem pobiegła do fabryki i zaraz za furtką zobaczyła płomienie, wychylające czerwone łby z okien trzeciego piętra.

Na dziedzińcu był zamęt nie do opisania, ludzie z krzykiem obłąkanych wybiegali z pawilonów, szyby pękały w oknach i czarne gryzące dymy, pełne ognistych języków, lizały okienne ramy i sięgały dachów.

– Ojciec! – krzyknęła przestraszona nagłym przypomnieniem i wróciła do domu.

Ale teraz i na werendzie słysząc już było krzyki a płomienie zaczęły ukazywać się na dachach, wprost okien domu.

– Co się tam dzieje, Anka? – zapytał stary niespokojnie.

– Nic... nic... podobno u Trawińskiego stał się jakiś wypadek – odpowiedziała prędko, sama zapaliła lampę i drżącymi rękami zapuściła rolety.

– Panienko... laboga... adyc... – wrzasnęła służąca wbiegając.

– Cicho... – krzyknęła gwałtownie. – Zapal lampę, bo tu za ciemno...

– Adyc się już pali...

– Prawda... dobrze... idź... zawołam cię... Głucha, splątana wrzawa pożaru podnosiła się coraz bardziej, potężniała i zaczęła się już wdzierać przez okna i drzwi.

– Boże! Boże! – szeptała bezradnie, nie wiedząc, co robić, jak przytłumić te szумы, aby ich nie usłyszał pan Adam.

– Anka, poproś pana Maksa na herbatę.

– A dobrze. Zaraz napiszę do niego.

Rzuciła się do biurka, odsuwała krzesła, trzaskała szufladami, rzuciła na ziemię jakiś wazon, potem ciężką tekę z papierami, przy podnoszeniu której przewróciła kilka krzesel, to szukała atramentu, stapała głośno, hałaśliwie uderzała drzwiami.

– Co ty wyrabiasz dzisiaj! – mruknął chory, który jakoś niespokojnie nastawiał uszów i chwycił pomimo pewnej głuchoty te dziwne drgania krzyków nappełniających coraz więcej pokój.

– Niezgrabna jestem... bardzo niezgrabna... to nawet już Karol zauważył!... – tłumaczyła się i wybuchnęła długim, bezprzyczynowym śmiechem.

Zajrzała do drugiego pokoju, aby spojrzeć na fabrykę.

Krzyk wydarł się jej z piersi, krzyk bezwiedny, bo ujrzała falę ognia, piętrzącą się nad fabryką coraz wyżej, coraz szerzej, coraz straszniej.

– Co ci się stało? – zapytał chory, usłyszał bowiem.

– Nic... nic... uderzyłam się o drzwi... – szeptała chwytając się za głowę, aby ukryć pomieszanie, aby się choćby na chwilę opanować.

Trzęsa się jak w febrze, wszystko w niej tak dygotało, że stać nie mogła.

Straż ogniowa, poprzedzana chrapliwymi głosami trąbek, w największym galopie przeleciała ulicą.

– Anka, co to?

– Wozy jakieś przejechały tak prędko... – odpowiedziała.

– Zdaje mi się, że jakąś muzykę było słychać?

– To dzwonki od sanek!... dzwonki!... Może ojcu przeczytać co, dobrze? Skinął głową potakująco. Przyciszyła w sobie burzę, nadludzkim wysiłkiem zapanowała nad sobą i zaczęła czytać.

Czytała bardzo głośno.

– Słyszę... słyszę... – szepnął niecierpliwie pan Adam.

Nie zważała na to, czytała dalej. Nie wiedziała, co czyta, nie rozumiała ani jednego słowa, nie widziała ani jednej litery, rozgorączkowany mózg snuł jakąś improwizację, a całą duszą, resztkami świadomości chwiała się na fali krzyków, trzasków i odgłosów, jakie się rwały od płonącej fabryki.

Krwawe odblaski pożaru, pomimo światła wewnątrz pokoju, zaczęły już zabarwiać rolety.

Czytała jednak dalej. Serce przestawało bić. trwoga niewypowiedziana rozsadzała jej mózg, pot wysiłku okrył twarz poblądłą, jakby nagle zastygłą w masce strachu, ściągnięte brwi pokrywały rozgorączkowane oczy, głos się rwał co chwila, zmieniał brzmienia i taki ostry, taki okropny ból gryzł jej serce, tak ją łamał, tak dusił, że była bliską szaleństwa.

Jeszcze panowała nad sobą. Krzyki już bardzo wyraźnie dolatywały do pokoju, a łoskot padających murów i walących się sufitów co chwila wstrząsał całym domem...

– Ciszej... ciszej... ciszej... Jezus! litości!... – myślała błagalnie i padała przed tym Imieniem, i wszystkimi potęgami zebrała zmiłowania.

Pan Adam przerywał czytanie i słuchał coraz niespokojniej.

– Krzyczą! jakby w fabryce Karola... Zobacz, Anka.

Zobaczyła...

Zobaczyła z drugiego pokoju, że już cała fabryka w ogniu, że pożar jak burza srożył się nad wszystkimi pawilonami i rzygał ognistymi falami ku niebu...

– Nic... nic... ojciec... Wiatr tak szumi.. ogromny wiatr... – wyszeptowała z największym wysiłkiem.

Brakowało jej powietrza... dusiła ją rozpacz... bezradność... obawa... Czuła dobrze, że ten pożar zabiłby ojca...

– Co robić?... Czemu nie ma Karola?... a jeśli i dom zacznie się palić?...

Jak błyskawice pałace przebiegały te myśli, hipnotyzowały ją strachem bezbrzeżnym i obezsilały do reszty.

Nie, nie mogła więcej czytać.

Chodziła po pokoju, zataczała się prawie, ustawiała hałaśliwie stolik do herbaty.

– To wiatr... Pamięta ojciec ten wiatr w Kurowie?... A ta nasza aleja topolowa, którą wicher wtedy wyrwał i połamał?... Boże!... tak się bałam wtedy... Jeszcze... dzisiaj... teraz... słyszę ten straszny szum... ten trzask... te jęki drzew łamanych... to okropne wycie... Boże... Boże... jakie to jest straszne...

Nic już mówić nie mogła, głos się jej zerwał, stała przez mgnienie nieruchoma, zaszuchana w potężniejący krzyk pożaru, zmartwiała grozą.

– Tam się coś dzieje – zauważył chory usiłując się podnieść.

Zbudziła się, zapewniała go, że nie, poszła do saloniku i siłą nadzwyczajną przysunęła fortepian pod drzwi otwarte i zaczęła grać jakąś szaloną, dziką galopadę.

Dźwięki pełne szału i wesołości zalały mieszkanie, drgały takim potężnym rytmem, tak się skrzyły i chichotały w szalonym wirze, że istotnie przytłumiły odgłosy ognia i powróciły na twarz pana Adama spokój, a nawet pewną wesołość.

Anka grała coraz gwałtowniej, struny pękały co chwila z bolesnym brzękiem, nic nie słyszała; łzy płynęły strumieniami po jej twarzy, nie

wiedziała, że płacze, nie widziała nic, nie rozumiała nic, grała bezprzytomnie, trzymana jedynie myślą uratowania ojca.

Naraz dom zadrżał, obrazy pozlatywały ze ścian, rozległ się taki huk, jakby pół świata runęło.

Pan Adam rzucił się do okna, zerwał rolety i łuna pożaru niby krwawa rzeka uderzyła w niego i zalała cały pokój.

– Fabryka! Karol! Karol!... – wyszeptał i upadł na wznak chwytając się za gardło, drgał konwulsyjnie, wyrzucał nogami, szarpał kołdrę sztywniejącymi palcami i charczał jak duszony.

Anka rzuciła się do niego, wołała na służbę, dzwoniła, ale nikogo nie było, próbowała go cucić, ratować, wszystko było na próżno, nie dawał znaku życia, a ona, oszalała, wybiegła przed dom i zaczęła krzyczeć o pomoc.

Wkrótce zjawili się ludzie z Wysockim, który zajęty był ratowaniem poparzonych robotników, ale było już za późno, pan Adam nie żył, a Anka leżała przy nim na podłodze bezprzytomna.

Fabryka paliła się dalej.

Huk, który odkrył panu Adamowi pożar i zabił go, był to wybuch kotła, który wyleciał w powietrze, wyrwał ze sobą pół pawilonu i niby meteor ognisty zatoczył wielką elipsę i spadł na frontowy pawilon fabryki starego Bauma, przebił dach, rozbił sufit, zdruzgotał drugie i pierwsze piętro i zarył się w dolnej sali zasypany gruzami budynku, który również zaczął się palić.

Po wybuchu pożar fabryki Borowieckiego rozszerzał się coraz gwałtowniej.

Przez rozerwane wybuchem mury, niby przez straszną ranę, buchnęły potoki ognia i dymów i z dziką wrzawą szalu ogarnęły wszystko krwawymi objęciami.

Pomimo wysilonej pracy straży ogniowej pawilony zapalały się od pawilonów, ogień jak żywa istota pełzał po murach, darł się po dachach, przesuwiał się krwawymi pręgami nad dziedzińcem, aż się połączył i zwichrzonymi falami przewalał się po fabryce.

Grozę potęgowała noc bardzo ciemna i wiatr silny,

który podsyczał płomienie i targał je jak włosy ogniste na wszystkie strony.

Dachy się zapadały, a wtedy słupy krwawej kurzawy, oślepiający deszcz ognia wytryskiwał w górę i leciał na domy sąsiednie, na miasto, w noc czarną.

Kłęby gryzącego dymu napelniały dziedziniec i okrywały mury jakby mgłą czarną, wskroś której wiły się z rykiem ogniste węże, goniły się potwory krwawe, wychylały rozwichrzone łby płomienie. Piętra się waliły, wypalone wnętrza z hukiem

wstrząsającym padały w morze ognia, mury pękały i sypały się w gruzy.

Ogień tryumfował, ludzie już odstępowali, bo musieli bronić sąsiedniej fabryki Trawińskiego i gasić pożar w fabryce Bauma.

Moryc, ochrypnięty, spocony, rozgorączkowany, jeszcze biegał i krzychał, ale nikt go nie słyszał w tym chaosie dzikich krzyków, a przy tym w podwórzu, pełnym jeszcze rumowisk niedawnego budowania, gorąco było nie do wytrzymania, ogień był ze wszystkich stron i niby morze wzburzone huczał, opadał na chwilę, podnosił znowu straszną głowę, potrząsał nią z wyciem radosnym, a wtedy żagwie ogniste, płonące kłęby przedzy, przepalone szmaty materiałów wylatywały z głębin i jak złowrogie ptactwo ogniste leciały z szumem w powietrze.

Taka była moc pożaru, że ludzie milkli i stali w osłupieniu, bezradni, ogłupiali, i z trwogą niewytłumaczoną cofali się, i coraz to zrywał się ze wszystkich piersi okrzyk zgrozy, ale ginął w chaosie szumów i trzasków, w bolesnym jęku maszyn zapadających się razem z salami, w huku murów pękających i w tej dzikiej, rozszalałej, syczącej muzyce ognia.

Pożar był tryumfalny hymn zwycięstwa, powiewał czerwonymi płachtami w ciemności nocy i tarzał się oszalały po budynkach, ryczał, świstał, huczał i gryzł krwawymi kłami mury, rozrywał maszyny, lizał żelaza, przepalał, targał, deptał jeszcze szczątki.

Nad ranem, gdy śnieg zaczął padać, ogień wyczerpał się z sił, stały już tylko gołe mury, bez dachów, bez pięter, bez okien, nagie szkielety o czarnych, rozsypujących się ścianach, wielkie kwadraty podobne do skrzyń podziurawionych, dymiących wszystkimi otworami, na dnie których czołgały się jeszcze resztki ognia i niby polipy ssały krwawymi językami ostatki sił z trupa fabryki.

O szarym, smutnym poranku, zasypywanym coraz gęstszym śniegiem, przyjechał Borowiecki.

Wyskoczył z dorożki i pobiegł prosto na dziedziniec.

Stanął na środku wśród rumowisk i dymiących się głowni, które zalewano wodą, ogarnął wolno oczami te mury podarte, podobne do łachmanów przepalonych, prawdziwe cmentarzysko pracy jego i marzeń, kupy zgłiszcz rozpalonych i patrzył długo i spokojnie. Ani jeden

nerw nie drgnął mu żalem; zdenerwowanie, wszystkie obawy i niepokoje, którymi szalał w pociągu, pierzchnęły wobec rzeczywistości, na którą patrzył teraz oko w oko, patrzył coraz zimniej, twarz mu się powlekała surowością, a serce napęlać zaczęło uczucie złości, nienawiści i uporu.

Moryc przyszedł do niego z gromadą różnych ludzi, witał ich obojętnie i spokojnie, słuchał opowiadań o początku i przebiegu pożaru.

Nie pytał się o nic i poszedł do kantoru, który ocalał razem ze składami gotowego towaru, prawie pustymi.

Dach był tylko zerwany na tych niskich parterowych budynkach.

W kantorze jęczał stary Jaskólski, poparzony przy ogniu, opatrywał go Wysocki.

Borowiecki przez wybite okno patrzył jeszcze na dymiące gruzy, a potem powiedział przyciszonym, ale mocnym głosem do Moryca:

– No i cóż! trzeba zacząć na nowo.

– Tak, tak! Ażebyś ty wiedział, co ja przeszedłem! Jestem zupełnie chory, boję się o siebie... Co za nieszczęście, co za nieszczęście... Byłem w mieście, patrzę, jedzie straż, no, niech jedzie zdrowo, niech się spóźni, a tu ktoś mówi: „Borowiecki się pali...” Przyjechałem, już cała przędzalnia była w ogniu! Co ja przeżyłem, co ja przeżyłem!

Narzekał dalej płaczącym głosem, symulował rozpacz i wielką boleść, a bystrymi oczami nieznacznie obserwował twarz Karola.

Borowiecki słuchał długo, aż w końcu, znudzony tym opowiadaniem w kółko, nachylił się i szepnął mu bardzo cicho do ucha:

– Nie blaguj, to twoja robota!

Moryc odskoczył gwałtownie i zaczął krzyczeć:

– Ty jesteś wariat! Ty masz bzika, ty!...

– Powiedziałem.

Odwrócił się do Mateusza, który zapłakany, ubrudzony, całował go po rękach i bełkotał coś niewyraźnie.

Karol tyle zrozumiał, że ktoś umarł.

– Kto umarł, gadaj po ludzku! – krzyknął zniecierpliwiony.

– Starszy pan! O, mój Boże, przylatujemy, a tu pan nieżywy, a panielka na ziemi...

– Słuchaj, błźnie, nie bredź, bo ci łeb rozbiję o drzwi! – zawołał Karol przyskakując do niego.

– Pan Adam umarł na aneurizm serca, spowodowany prawdopodobnie nagłym przestrawieniem, byłem tam... Idź pan do panny Anki, bo i ona na pół żywa! – powiedział mu Wysocki.

Borowiecki, który ojca kochał bardzo, był przerażony tą wiadomością i jakby nie wierząc zapewnieniom doktora pobiegł do domu.

W progu już spotkał Ankę, którą przenoszono do Trawińskich.

– Panie Karolu! panie Karolu! – wyszeptała dziewczyna, chwyciła jego rękę i strumień łez popłynął po jej mizernej twarzy,

– Cicho! nie płacz!... Fabrykę odbuduję na nowo... Wszystko będzie dobrze...

– Ojciec... ojciec...

Nie mogła mówić więcej, tylko płakała spazmatycznie.

– Przyjdę po południu do pani! – powiedział prędko i skinął na robotników, żeby ją ponieśli, bo przypomnienie ojca ścisnęło mu serce jakby obrczą.

Poszedł do niego i długo patrzył w dobrą, szlachetną twarz starca, tak zmienioną strasznie przez śmierć i tak zastygłą w jakimś nie dokończonym krzyku, w jakiejś męce, która pokrzywiła mu rysy, że zdrzął z przerażenia.

Przy zwłokach ojca przeżył najboleśniejsze chwile życia.

Długie godziny siedział w największym skupieniu i rozsnuwał wszystkie pasma swojego życia, obnażał się przed samym sobą, przyglądał się nagiej duszy swojej. To go uspokoiło zupełnie, ale i przeniknęło mu serce dziwnym smutkiem, który już w nim pozostał.

Poszedł spać i spał bardzo długo; obudził się zupełnie rzeźwy i zdecydowany do schwywania się za bary z losem, do walki, ale zaraz na wstępie uderzył się o pierwszą zaporę.

Moryc oświadczył wśród najczulszych zapewnień przyjaźni, że co fa swój wkład i kapitały, że już zrobił zastrzeżenie w towarzystwie asekuracyjnym.

– Rozumiem cię, urządziłeś się sprytnie, aby mnie zgubić, ale czy myślisz, że ci się uda, że ja nie powstanę?

– Ty jesteś rozżalony, nie wiesz, co mówisz, krzywdzisz mnie posądzeniami. Ja się cofam, bo nie mogę trzymać pieniędzy w martwym interesie, ty dasz sobie radę i beze mnie, a ja muszę żyć, robię interes z teściem, mnie zaraz potrzeba gotówki!

Zaczął mu z wielką skwapliwością opowiadać swoje interesy, które go zmuszają do tego wycofania się ze spółki, tłumaczył się gorąco, rzucił mu się w końcu na szyję.

– Karol, ty nie patrz tak na mnie, ja cię kocham jak brata, mnie aż serce boli, kiedy myślę nad twoimi stratami, mnie cię tak żal, tak chciałbym pomóc ci czymkolwiek, że chociaż mi to na nic, kupiłbym

od ciebie te place po fabryce i te resztki, jakie zostały. Ty wiesz, jakie ja mam serce dla przyjaciół. Zapłaciłbym gotówką, pożyczylbym, a zapłacił zaraz, miałbyś z czym zaczynać.

Karol, oburzony tym projektem, otworzył mu drzwi.

– Masz moją odpowiedź! Interesy załatwiam w kantorze...

– Co! co! mnie?... Za moją przyjaźń, za moją życzliwość – wrzeszczał Moryc.

– Wynoś się, bo cię każę wyrzucić – zawołał porywczo i zadzwonił na Mateusza.

Moryc wyniósł się, a on usiadł do obliczeń, które długo trwały.

Wstał od nich blady i zdenerwowany, bo asekuracja pokrywała tylko długie największe, a miał jeszcze do pokrycia masę drobnych, które mogły zjeść wartość placów, jakie miał, tak że w rezultacie nie pozostawało mu nic.

Pójdzie znowu do służby, znowu będzie musiał słuchać, znowu zostanie maszyną w jakim wielkim organizmie, znowu będzie się więc długie lata w męce bezsilności, w marzeniach bezpłodnych o swobodzie, będzie się targać na łańcuchu zależności i przez kraty, z nizin, będzie znowu patrzeć na tych, którzy budują fabryki, tworzą ruch, zgarniają miliony i żyją całą pełnią władz swoich, pragnień, namiętności!...

– Nie... nie... nie... – syczał przez zaciśnięte zęby i odpychał te obrazy przeszłości z pogardą i z nienawiścią.

Dosyć się już najadł dotychczasowego życia i żeby nie wiem co, nie powróci do niego.

Mózg zaczął gorączkowo pracować nad sposobami wydobycia się z tej matni, ani na mgnienie nie myślał o poddaniu się.

Na drugi dzień przyszedł Maks, był bardzo blady i miał zapuchnięte od płaczu oczy, ledwie się trzymał na nogach, ale zaraz prosto mu oświadczył, że i on wycofuje swój wkład, że również kazał zrobić zastrzeżenie.

Wtedy Borowiecki nie mógł już wytrzymać.

– I ty mnie opuszczasz, Maks? – szepnął z goryczą i łzy, pierwsze łzy w życiu, wypełniły jego oczy i zalały mu duszę straszną goryczą.

Ale zapanował nad sobą i zaczął przed nim rozwijać nowy plan fabryki, rozgrzewał się powoli, zwyciężał trudności, nie widział już niepodobieństw, tylko do tej nowej, zaciętej walki z losem potrzebował nie jego kapitałów, a jego samego, jego uczciwości i zdolności, zaklinał go na wszystko, aby z nim został.

– Nie mogę. Nie gniewaj się na mnie, nie miej do mnie żalu, ale nie mogę. Widzisz, ja w tę fabrykę włożyłem całą swoją duszę, ja się nią cieszyłem jak dzieckiem, żyłem jej życiem, wszystko poszło z dymem. Już bym nie miał ani sił, ani wiary do drugiej takiej roboty. Zrozum mój stan, a przebaczysz mi. Bądź zdrow, Karol, będę zawsze twoim przyjacielem, zawsze licz na mnie, ale interesy muszą prowadzić osobno. Sam jeszcze nie wiem, co będę robić. Bądź zdrow, Karol.

– Bądź zdrow, Maks!

Ucałowali się serdecznie na rozstanie.

Borowiecki nie miał do niego żalu, bo odczuwał jego stan, już mu zresztą opowiedzieli robotnicy, że gdy już fabryce żadna pomoc nie mogła poradzić, Maks zamknął się w kantorze i płakał jak dziecko nad ruinami pracy swojej.

– Jestem zupełnie na czysto! Dobrze, dobrze! – odpowiedział, jakby wyzywając świat cały do walki,

Kazał zająć się pogrzebem ojca, a sam poszedł do fabryki, bo już tam prowadzili roboty urzędnicy towarzystwa asekuracyjnego.

Ale wkrótce przyleciał Mateusz z wiadomością, że stary Muller czeka na niego.

Jakoż już od progu fabrykant zaczął go ścisnąć i mówił pospiesznie:

– Byłem w Sosnowcu, dali mi depeszą znać dzisiaj dopiero, dlatego się spóźniłem. Bardzo się zmartwiłem, mnie żal, bo widziałem, jak pan pracował, ale co pan będzie robić dalej?

– Jeszcze nie wiem.

– Wszystko pan stracił? – zapytał żywo.

– Wszystko – odpowiedział szczerze.

– Głupstwo, ja panu pomogę, pan mi zapłaci procent zwykły, a wybuduje fabrykę jeszcze większą, ja pana kocham, pan mi się bardzo podoba, no, co?

Karol zaczął przedstawiać z dziwnym uporem, że nie będzie miał zabezpieczenia jego kapitał: rysował mu swoje położenie materialne w nadzwyczaj ponurych barwach, ale fabrykant roześmiał się na te dowodzenia.

– Keine gadanie! Masz pan rozum, to jest największy kapitał. Stracił pan dzisiaj, za parę lat wszystko się odbije. Ja byłem majstrem tkackim, ja nie umiem dobrze czytać, a mam fabrykę, mam miliony. Pan się ożeń z moją Madą i bierz sobie wszystko, dawno już chciałem panu o tym powiedzieć. To jest dobra dziewczyna! A nie chce pan się z nią

żenić, to i tak pożyczę panu pieniędzy. Mój Will nie na fabrykanta, jemu muszę kupić na wsi majątek, bo on ma w głowie wielkie państwo, a mnie potrzeba zięcia takiego jak pan. No, cóż? – mówił prędko, obcierał rękawem spoconą, zatłuszczoną twarz i śledził z niepokojem Karola.

– Powiedz prędko, bo ja się śpieszę...

– Dobrze! – odpowiedział Karol zimno – dawno przecież myślał, że na tym się skończy.

Muller, uradowany, uściskał go, wyklepał po łopatkach i pobiegł do domu.

XXII [XXXVIII]

Upłynęło kilka tygodni od pożaru i pogrzebu pana Adama, na którym Anka nie była; leżała chora w domu Trawińskich, dokąd się przeprowadziła.

Teraz czuła się już znacznie lepiej, ale na ulicę jeszcze nie wychodziła, bo nadeszły straszne dni marcowe, pełne deszczów, błota i zima.

Czuła się prawie zdrową, ale do równowagi nerwowej przychodziła bardzo wolno.

Ta straszna noc, zakończona nagłą śmiercią pana Adama, pozostała w niej głębokie ślady.

Całe dni nieraz siedziała zapatrzona w jakąś głąb, z której nadlatywały do niej głucho szумы pełne krwawych łun, pełne krzyków nieludzkich i pełne strachu tak mocnego, że mdlała z przerażenia lub jak obłąkana rzucała się do ucieczki.

Musiał zawsze ktoś czuwać przy niej rozrywać jej uwagę i nie pozwolić zapadać w przypomnienia.

Najczęściej robiła to Nina, która z poświęceniem matki czuwała nad nią, codziennie także przychodziła Wysocka, a całe wieczory przesiadywała Kama.

Przesiadywała całymi dniami w wielkim narożnym pokoju, zamienionym na rodzaj oranżerii, w której było pełno ptasiego świergotu, szmerów małej fontanny i kwiatów, bo kilkanaście wielkich drzew kameliowych pokrywało się już białymi i czerwonymi kwiatami.

Anka siedziała w niskim głębokim fotelu i mówiła z rozrzewnieniem:

– Wiesz, że mną nikt się tak nie zajmował serdecznie jak wy.

– Boś nie potrzebowała. A że ja się zajmuję tobą,

leży to w moim interesie, muszę dbać o swój model – odpowiedziała wesoło Nina.

Malowała jej portret, właśnie w tej pozie wyczerpania, na pół leżącej w fotelu pokrytym skórą tygrysią, na tle rozkwitłych drzew kameliowych.

Cicho było tutaj i ciepło, fontanna szemrała sennie i tryskała niby strumień brylantowych opiłków, który opadał pyłem na marmurowy biały basen, pełen wygrzewających się małych zielonych jaszczurek.

– Był dzisiaj Karol? – zapytała znowu Nina.

– Był...

– Czy już?...

– Nie jeszcze, nie miałam odwagi, ale w tych dniach zwrócę mu pierścionek i słowo. To tak ciężko, tak ciężko...

Zamilkła i wilgotne blaski rozpromieniły jej oczy. Nie mówiły już o tym. Dni znowu powlekły się jednostajnie, tę tylko przynosząc zmianę, że raz przed wieczorem przyszedł ją odwiedzić Stach Wilczek.

Przyjęła go w oranżerii i nic nie mówiąc patrzyła na niego długo.

Wilczek, wyświeżony, pachnący, pewny siebie, opowiadał, że zawarł spółkę z Maksem Baumem i na wiosnę na placach starego Bauma zaczął stawiać wielką fabrykę chustek półwełnianych, że zrobią konkurencję Grunspanowi.

– A cóż się dzieje z ojcem pana Maksa? – zapytała.

– Trudno to określić inaczej, jak tylko, że zupełnie zwariował. Jak pani wie, kocioł i później pożar zrujnował mu zupełnie pustą już wprawdzie fabrykę; otóż stary odstąpił wszystkie place Maksowi, oddał wszystek gotowy towar, jaki był jeszcze na składzie, sprzedał nawet warsztaty, które ocalały, rozdzielił wszystko pomiędzy dzieci, zastrzegając sobie tylko, że do jego śmierci nikt nie ruszy murów fabryki, że pozostaną jego wyłączną własnością. Zamknął się w nich i tam żyje. Zupełny wariat. Radziłem Maksowi, aby starego chociażby siłą przewieźć do jakiego zakładu leczniczego, bo te mury bardzo by się nam przydały, ale nie chce.

– Ma rację. Może pan powie panu Maksowi, żeby mnie odwiedził, dobrze?

– Z przyjemnością, wiem nawet, że się wybierał dawno i czekał tylko pełnego wyzdrowienia pani.

Posiedział jeszcze chwilę, popisывał się, jak mógł, i wyszedł bardzo chłodno pożegnany, bo Anka nabierała do niego wstępu; wytarła spiesznie ręce, bo jego wielkie dłonie zimne były i wilgotne.

– On robi na mnie wrażenie płazu – powiedziała do Niny.

– Jest to kombinacja płazu i dzikiego zwierzęcia. Tacy w życiu dochodzą do wszystkiego, o ile zbyt prędko nie skończą w więzieniu – dorzucił Trawiński i zaczął Ance opowiadać o jego interesie z Grunspanem i jego sposobach robienia majątku.

– I wy, pomimo wszystkiego, przyjmujecie go u siebie? – zawołała oburzona.

– Przyszedł do pani, a potem, ja się z nim znać muszę, bo tutaj nie wolno ludzi rozdzielać na uczciwych lub złodziei, może być każdy potrzebnym.

– Ależ ja go nie chcę nigdy już widzieć.

– Dobrze, zapowiem służącemu. A moimi słowami niechaj się pani nie gorszy, idziemy zawsze w kierunku musu, a nie w kierunku chęci i woli – uśmiechnął się smutnie i spojrzął na Ninę, która odstawiła stalugi i aby nie słyszeć tych słów, które ją zawsze bolały niewymownie, stała pod kameliami, rozdmuchując delikatnie różowe pączki.

– Straszne jest życie! – szepnęła Anka.

– Nie, straszne są tylko nasze wymagania od niego, straszne są tylko nasze marzenia o pięknie, straszne są tylko nasze pożądanja dobra i sprawiedliwości, bo nigdy się nie urzeczywistniają i nie pozwalają brać życia takim, jakim ono jest. W tym leży źródło wszelkich cierpień.

– I nadziei! – dorzuciła Nina, postawiła na stolyczku obok Anki wazon z krzakiem chińskiej róży,

pokrytej żółtymi, cudownymi kwiatami o bardzo subtelnym zapachu.

– Patrz, Kaziu, i nie mów przykrych rzeczy. Wieczorem przyszedł Józio Jaskólski, który od czasu pewnego przychodził stale czytywać Ance książki. Od niego dowiadywała się różnych szczegółów o Karolu i jego sprawach, bo chociaż Borowiecki bywał codziennie, nigdy nie wspominał o interesach.

– Ojciec już zdrowy? – zapytała.

– Już od tygodnia dozoruje ludzi, którzy uprzątają rumowiska.

– A ty co robisz?

– A ja jestem też u pana Borowieckiego w kantorze, bo już starszy pan Baum zlikwidował swoje interesy – odpowiadał bardziej jeszcze nieśmiały i rozczarowany, bo biedak zakochał się na śmierć w Ance i całe noce pisywał do niej sążniste listy miłosne, których jej nie przysyłał wprawdzie, ale na które sam sobie odpowiadał również płomieniem i w wielkiej tajemnicy, a nie wyjawiając imienia ideału, odczytywał je przed kolegami lub na zebraniach muzycznych u Malinowskiego.

– Pan Maks prosi przeze mnie, czy może jutro odwiedzić panią.

– Dobrze, czekam po południu – powiedziała dosyć żywo.

Czekała tej wizyty bardzo niecierpliwie, a gdy go nazajutrz zameldował służący, serce jej zabiło radośnie i bardzo poruszona wyciągnęła do niego rękę.

Maks, bardzo zmieszany i onieśmielony, usiadł na przeciwnej stronie i cicho, trochę niepewnym głosem zaczął pytać o zdrowie.

– Ależ zdrowa Jestem, czekam tylko pogody, żeby wyjść na powietrze, a raczej, żeby wyjechać z Łodzi.

– Na długo pani wyjeżdża? – zapytał prędko Maks.

– Może zupełnie, nic jeszcze nie wiem, co zrobię ze sobą...

– Niedobrze pani w Łodzi?...

– Tak, bardzo niedobrze, ojciec umarł i... Nie dokończyła.

Maks przerywać nie śmiał. Milczeli spoglądając na siebie bardzo życzliwie. Anka uśmiechała się do niego takim szczerym, radosnym uśmiechem, że Maks topniał jak wosk i dawno ukrywana miłość przejmowała mu serce taką radością i rozczuleniem, że byłby z radością całował jej krzesło, ale pomimo to siedział sztywno, powiedział jeszcze kilka zdawkowych grzeczności i wstał do wyjścia.

– Już pan idzie? – zawołała z przykrością.

– Muszę, bo stąd prosto jadę na ślub Moryca z panną Melą Grunspan.

– Panna Mela wychodzi za Moryca?

– Bardzo dobrana para. Ona ma wielki posąg i jest bardzo piękną, i ma ojca, który już kilka plajt zrobił z powodzeniem, a Morycowi sprytu wystarczy nawet do zjedzenia własnego teścia.

– Ale mnie pan jeszcze odwiedzi? – prosiła Anka.

– Kiedy tylko pani pozwoli.

– A więc choćby codziennie, jeśli pan będzie mieć czas.

Maks ucałował jej rękę i wyszedł bardzo uradowany.

Potem, o zmroku, gdy przez okna zaczęły błyskać światła fabryk, przyszedł Borowiecki, usiadł cicho, bo w drugim pokoju grała na fortepianie Nina i dźwięki dziwnie słodkie rozlewały się jak szemranie strumienia.

Długo milczeli oboje, czasami tylko w półmroku krzyżowały się ich spojrzenia i cofały natychmiast lękliwie, dopiero gdy zapalono światła, zaczęli rozmawiać przyciszonym głosem, aby nie głużyć muzyki.

. Anka machinalnie okręcała na palcu zaręczynowy pierścionek.

Oboje mieli na ustach jakieś słowa, ale obojgu brakowało odwagi.

Nina wciąż grała.

Muzyka jakimś szeptem miłosnym, namiętym, pełnym niespodziewanych wybuchów, płynęła od fortepianu i budziła w nich dawne, zapomniane echa.

Ance oczy napełniły się łzami, niewysłowiony żal ścisnął jej serce, zdjęła machinalnie pierścionek i podała go w milczeniu.

Odebrał i również bez słowa zwrócił swój.

Spojrzeni sobie w oczy głęboko.

Karol nie mógł znieść jej łzawego spojrzenia, które go przeniknęło na wskroś i jakby palące zarzewie pozostawiło w duszy, pochylił głowę nisko i szepnął cicho, ledwie dosłyszalnie:

– To moja wina, moja wina...

– Nie, to moja wina, że nie umiem kochać aż do przebaczenia, aż do zapomnienia o sobie – odpowiedziała wolno.

Wstał pomieszany, tak bardzo go zabolęły jej słowa, tak się poczuł winnym wobec tej bladej, chorej dziewczyny.

Głęboki, upokarzający wstyd palił mu serce.

Nie mógł znieść jej szlachetnego spojrzenia.

Uklonił się z daleka i szedł.

– Panie Karolu! – zawołała śpiesznie. Odwrócił się i przystanął.

– Niech mi pan poda rękę, nie na pożegnanie, ale na do widzenia – mówiła prędko, wyciągając do niego rękę.

Porwał ją i ucałował bardzo mocno.

– Życzę panu z całej duszy szczęścia, zupełnego. szczęścia.

– Dziękuję, dziękuję... – wyszeptał z trudem; chciał również życzyć jej szczęścia – nie miał już sił, zląkł się szalonego pragnienia, jakie w nim pozostało, aby się rzucić przed nią na kolana i całować te usta, blade, aby ją przycisnąć do serca, więc raz jeszcze ucałował jej ręce i wybiegł.

Anka opadła w fotel bez sił, wszystkie rany jej duszy się otworzyły i ta umierająca miłość, zmartwychwstała na chwilę, przeppełniła jej serce i oczy gorzkimi łzami żalu.

Płakała długo i bardzo boleśnie, jakby w odpowiedzi coraz cichszym, coraz smętniejszym, przelazwionym tonem muzyki, która w pasażach, podobnych do krzyków przyduszonych, sączyła się w ciszę pokoju.

XXIII [XXXIX]

Późną jesienią tegoż roku odbył się ślub Borowieckiego z Mada Mullerówną.

Wracali właśnie od ołtarza szeroką ulicą, wysłaną dywanami i obsadzoną rzędami palm i świateł, poza którymi tłoczył się tłum.

Kościół literalnie był zapchany ludźmi.

Borowiecki spokojnie, z podniesioną głową szedł, wlekąc spojrzeniem po znajomych twarzach, uśmiechających się do niego, ale nie spostrzegał nikogo, bo był głęboko znudzony długością ceremonii i tą wystawną, dorobkiewiczowską pompą ślubu.

Przed kościołem nikt nie przystąpił z życzeniami z tych znajomych, którzy nie byli zaproszeni na ślub, nikt nie śmiał przerywać tego sznura milionów, jakie go otaczały, tej jasnej, wystrojonej, obsypanej brylantami girlandy kobiet, którym już w kruchcie służba ugalonowana podawała okrycia.

Wsiadł z Mada do karety i pierwszy ruszył sprzed kościoła.

Mada była zapłakana z radości i szczęścia i nieśmiała, płonąca, zdenerwowana, tuliła się do jego boku.

Nie zwracał i na to uwagi, spoglądał oknem karety po głowach rojących się tłumów, biegł po dachach, ślizgał się po kominach buchających dymami i po fabrykach z hukiem pracujących i powracał myślą w głąb samego siebie, i myślał, że oto jedzie do ślubu, że nareszcie jest już panem miliona – że jest u progu tego wymarzonego szczęścia – bogactwa.

Przeżuwał wolno te błyskawice myśli i obrazów i ze zdumieniem czuł, iż nie ma w nim żadnej radości, że jest zupełnie spokojny, zimny, obojętny, znudzony tylko porządnie.

– Karol! – szepnęła Mada cichutko, podnosząc zarumienioną twarz i porcelanowe, bardziej jeszcze niebieskie oczy.

Spojrzał na nią pytająco.

– Taka szczęśliwa jestem taka szczęśliwa. – szeptała i nieśmiało jak dziecko przysunęła głowę do jego ramienia i wyciągnęła usta chciwe

jego pocałunków, ale odsunęła się szybko, bo spostrzegła, że z ulicy wszystko widać.

Ścisnął mocno jej rękę i jechał dalej w milczeniu. Cała ulica, prowadząca do fabryki Mullera, zapchana była robotnikami, którzy ustawieni w szpaler, ubrani odświętnie, wznosili gromkie okrzyki na cześć zaślubionych, a w końcu szpaleru, przed wjazdem do dziedzińca fabrycznego, wznosiła się olbrzymia brama tryumfalna, obciążona kolorowymi draperiami, przetykana godłami pracy, a na szczycie na wielkim transparencie jaśniał wypisany elektrycznymi lampkami napis: „Willkommen.”

Za bramą ciągnął się znowu sznur ludzi, przez wszystkie dziedzińce, przez wielki ogród, aż do podjazdu pałacowego.

Przejazd ten trwał tak długo, że gdy weszli do pałacu, wszyscy goście już tam byli zebrani. Towarzystwo było przeważnie niemieckie, mała garstka Polaków tonęła niepostrzeżenie.

Muller wystąpił, jak przystało na łódzkiego milionera. Taki był przepych dywanów, mebli, sreber, kwiatów i dekoracyj, bo berlińscy tapicerzy dekorowali cały pałac, że zdumiewał wszystkich.

Muller miał dzisiaj święto rzetelne, wydawał jedynaczkę i zdobywał pomocnika w zięciu, więc tak był zadowolony, że jaśniała radością jego okrągła, czerwona, zatłuszczona twarz.

Częstował wszystkich najlepszymi cygarami, klepał Karola po łopatkach, brał go wpół, poklepywał po kolanach, sypał rubasznymi dowcipami i zapraszał najusilniej do przekąsek, zastawionych w sali bufetowej.

Gdy miał czas, brał którego z gości pod ramię i pokazywał mu z dumą salony.

– Panie Kurowski, patrz pan, to jest pałac moich dzieci, oni będą sobie tutaj mieszkali, co, ładnie?

Kurowski potakiwał i uśmiechał się pobłaźliwie na objaśnienia, pełne cyfr kosztu, a potem przysunął się do Meli Grunspan, obecnie Morycowej Welt, która otoczona młodzieżą królowała w jednym z salonów.

Dosyć długo słuchał jej rozmowy błyskotliwej, jej śmiechów sztucznych i niesmacznego szastania się po salonie. Odszedł zdumiony, bo nie poznawał dawnej Meli, o której sam kiedyś powiedział, że jest jedyną kobietą wśród Żydówek łódzkich.

– Moryc, coś pan zrobił ze swojej żony? – zagadnęła Welta.

– Znajdujesz pan zmianę?

– Wprost nie poznaję.

– To moje dzieło, ale prawda, że piękna kobieta? – pytał wciskając binokle.

– Kurowski nic nie odrzekł, śledził Karola, któremu ta rola zięcia nie bardzo smakowała, bo chodził znudzony, apatyczny i pogardliwie traktował rodzinę żony i fabrykantów, a jak tylko mógł, uciekał do Maksa Bauma, nawet do Welta, z którym się pogodził, byle nie być z tamtymi.

– No, cóż, zdobyliśmy już wszyscy tę „ziemię obiecaną” – zagadnął Kurowski.

– Jeśli tę ziemię stanowią miliony, to tak. Wy idźcie do nich, Moryc będzie je miał z pewnością, a Maks je sobie robi, jeśli mu ich Wilczek nie wydrze.

– O mnie mowa! – zawołał podchodząc Stach Wilczek, który jako spółnik Maksa miał już wstęp do towarzystwa, więc porzucił dotychczasowe stosunki i pchał się siłą pieniędzy i bezczelności ciągle naprzód.

– Mówimy właśnie, że Maks może zrobić majątek, jeśli mu pan nie zabierze go sprzed nosa – powiedział żartobliwie Kurowski.

– Jeśli tylko będzie można! – szepnął, oblizal się jak pies przed pełną miską i poszedł emablować brzydką, ordynarną pannę Knaabe, która mogła mieć ze dwieście tysięcy posagu.

Siedział przy niej Murray i tak się komicznie wdzięczył i takie zabawne prawił komplementy, że panna śmiała się na cały głos.

Muzyka, usadowiona w głównym salonie, na estradzie wspaniale udekorowanej czerwonym barchanem naśladowującym aksamit, zaczęła grać walca.

Wtedy nikłe sylwetki urzędników fabrycznych, zaproszonych jedynie do ożywienia zabawy, zaczęły się wysuwać z bufetu, z bocznych pokojów, z przysłoniętych draperiami nisz i rozpoczęły się tańce.

Karol samotnie przechodził salony zalane światłem, zapchane bogactwem. Kilkadziesiąt zebranych osób ginęło zupełnie w ogromie mieszkania, z którego kątów, spod kwiatowych festonów i barchanowych draperyj, szczyrzyła żółte zęby nuda i pustka.

Miał wielką ochotę uciec, zamknąć się w mieszkaniu lub jak dawniej iść z Maksem, z Morycem, z Kurowskim do knajpy jakiej i przy piwie, pogawędce zapomnieć o wszystkim.

Było to ciche pragnienie, a tymczasem musiał robić honory domu i pilnować, żeby kochany teść, o ile można, najmniej się ośmieszał; mu-

siał rozmawiać, uśmiechać się, prawić komplementy damom, rozmawiać czasem z Mada, czuwać nawet nad służbą, bo nikt się tym zająć nie umiał.

Matka kryła się po kątach, nie śmiejąc chodzić w swojej wspaniałej jedwabnej sukni, nie wiedząc, co mówić, onieśmielona tym przepychem i masą pierwszy raz widzianych ludzi, przesuwiała się jak cień przez salony, nie zauważona przez nikogo.

Wilhelm siedział tylko w bufecie, pił z przyjaciółmi i całował się co chwila z Karolem, w którym od pewnego czasu był rozkochany.

A Mada? Mada była tak szczęśliwą i zatopioną w radości, że nic nie widziała dookoła siebie prócz męża, którego ciągle szukała, a odnalazszy, nudziła czułością.

O północy Borowiecki tak się już czuł zmęczonym że zwrócił się do Jaskólskiego, który, odświętnie wystrojony, był czymś w rodzaju marszałka domu na dzień dzisiejszy.

– Może pan poleci, aby przyspieszyli podanie kolacji, wszyscy się nudzą.

– Nie może być wcześniej, niż naznaczono – od parł poważnie szlachcic, który był już mocno pijany, ale trzymał się sztywno, pokręcał wąsów i z góry traktował milionerów.

– Pludraki! – mrucał usługując równocześnie ze skwapliwością.

Wreszcie podano kolację w wielkiej wspaniałej jadalni.

Stoły uginały się pod srebrem, kryształami i kwiatami.

Karol siedział przy żonie rozczzerwionej jak piwonia, cierpliwie słuchał toastów, przemówień i tłustych dowcipów, wysyłanych pod swoim adresem.

Przy końcu wieczery, gdy ochota wzrosła i humory były szampańskie, musiał się całować i ścisnąć z tymi grubasami, kapiącymi tłuszczem, którzy jedli jak wilki i pili jak smoki, a potem, gdy pannę młodą czepili, wzięty go pomiędzy siebie różne kuzynki, ciotki itp. inwentarz rodzinny.

Męki prawdziwe cierpiał, bolała go głowa, więc skoro tylko mógł, wyrwał się z czułych, kochających szpon i uciekł do oranżerii, aby trochę ochłodzić i wytrzeć twarz oślinioną słodkimi pocałunkami rodziny.

Ale trafił nieszczęśliwie, bo zaledwie usiadł na jakiejś kanapce, osłoniętej zielonymi krzewami, zaczęli się wsuwać cichaczem różni ludzie i fabrykanci i rozpraszali się bardzo dyskretnie po gąszczach.

W końcu przybiegł pośpiesznie stary Muller i melancholijnie zwracał zbyt obfitą libacją na cudny klomb rozkwitłych cynerarii świecących barwami drogich kamieni.

Borowiecki spiesznie wyszedł.

Ale w jadalni, zapelnionej już tylko służbą, wpadł na inną scenę; Mateusz zupełnie pijany kłócił się z Mullerową, która dosyć nieśmiało, wobec jego groźnej miny, polecała resztki kolacji i nie dopite butelki pochować do kredensów.

– Takie gadanie, psze... pani... to je... insza para mankietów... Nasze wesele dzisiaj... to nasza uciecha... Ożeniliśmy się, to dojadać ani dopijając resztek po Szwabach nie będziemy, psze... pani!

Huknął pięścią w stół i pokazał jej drzwi.

– Niech... psze... pani... spać idzie... my tu sobie radę z winem damy... i ja się napiję... i chłopcy się napiją... bo nasze wesele... to nasza frajda... Służba, nalać wina... słuchać pana Mateusza, bo jak nie, to pięścią w pysk, i będzie fertig, na glanc... cholera z buraczkami... za zdrowie mego pana... a resztę o piec i za drzwi...

Mullerowa uciekła ze strachem szukać Karola, a Mateusz rozsiadł się w fotelu i nieprzytomnym głosem gadał bijąc w stół pięścią:

– Ożeniliśmy się, psze... pana dyrektora... mamy fabryki... mamy żony... mamy pałace... a Szwaby won... a jak nie, to pięścią w pysk... nogi do okapu... i fora ze dwora... i wszystko będzie fertig, na glanc... cholera z buraczkami...

A potem?

Potem szły tygodnie, miesiące, lata i kładły się w grobie zapomnienia – odchodziły tak cicho, jak cicho a nieubłaganie szły nowe wiosny, nowe śmierci i nowe istnienia, jak cicho snuje się przedza życia splątana z włókien wczoraj, dziś i jutro.

W Łodzi i wpośród naszych znajomych te kilka lat, jakie upłynęły od ślubu Borowieckiego, zmieniły wiele.

Łódź żyła teraz szalonym życiem, tętniała gorączką rozrostu, budowała się z pośpiechem, zdumiewała nieustającą potęgą, nagromadzeniem sił, wylewających się niepowstrzymanym potokiem aż w pola, bo tam, gdzie przed kilku laty jeszcze rosły zboża i pasły się krowy – zaczynały wyrastać całe ulice nowych domów, fabryk, interesów, nowych szachrajstw i wyzysków.

Miasto było podobne do potężnego wiru, w którym kotłowali ludzie, fabryki, materiały i namiętności, miliony i nędza, rozpusta i głód wieczny, a wszystko to wirowało z szalonym pośpiechem, z rykiem

maszyn, pożądań, głodu, nienawiści; z rykiem walki wszystkich przeciwko wszystkiemu i wszystkiemu.

Wszystko pchało się z siłą rozpełtanego żywiołu naprzód, po trupach fabryk i ludzi – byle zdążyć prędzej do milionów, których źródła zdawały się wytryskiwać z każdego cala tej „ziemi obiecanej”.

Kurowski szedł pełną parą do majątku; Maks Baum et Stach Wilczek byli już firmą mocną i jeszcze mocniej podrywającą swoimi tandetnymi chustkami firmę Grunspan, Welt et Grosman.

Moryc Welt, jeden z firmowych, jeździł tylko powozem i już nie poznawał na ulicy ludzi mających mniej niż pół miliona.

Firma Bucholc, prowadzona ongi przez Karola, szła wciąż na czele wszystkich.

Nie prześcignął jej Szaja Mendelsohn, który znowu się spalił i po pożarze powiększył fabrykę o dwa tysiące robotników, ale równocześnie stawał się coraz filantropijniejszym, bo wyciskał do ostatnich granic pracujących i za to budował dla nich wspaniałe szpital i przytułek dla okaleczonych i niezdatnych już do pracy.

Grosplik szachrował w dalszym ciągu, a nawet ze zdwojoną energią, bo wydał swoją Mery za jakieś nadgryzione mocno rozpustą hrabiankę, które musiał wciąż leczyć i utrzymywać.

Trawiński, który zmógł wytrwaniem i cierpliwością dawne niepowodzenia, od dwóch lat już stał znakomicie, był firmą bardzo poważaną.

Muller usunął się zupełnie z Łodzi, oddał fabrykę Borowieckiemu, a sam z żoną wypoczywał przy synu, któremu kupił wielki majątek na Kujawach. Wilhelm chorował na szlachcica, miał się żenić z jakąś hrabianką, pisał się de Meller, do Łodzi przyjeżdżał ze służbą uliberionowaną, na karetach używał połączonych herbów przyszłej żony i Borowieckiego; do fabryki nie wtrącał się zupełnie, dzieląc się tylko sumiennie jej ogromnymi dochodami.

Borowiecki był pełnym panem olbrzymiej fabryki.

Przez te cztery lata rozwinął ją olbrzymie; zreformował fabrykację barchanów, podniósł swoje wyroby do stopnia doskonałości, dobudował nowe oddziały, rozszerzył rynki zbytu i wciąż szedł naprzód.

Te cztery lata, jakie upłynęły od jego ślubu z Madą Mullerówną i od objęcia fabryki, to cztery lata pracy wprost nadludzkiej.

Wstawał o szóstej rano, kładł się o północy, nie wyjeżdżał nigdzie, nie bawił się, nie używał życia ani milionów, nie żył prawie – pracował tylko, pochłonięty wirem interesów i tą rzeką pieniędzy, jaka przepły-

wała przez jego ręce – fabryka oplotła go jak polip tysiącami ramion i ssała bezustannie wszystkie myśli – wszystek czas – wszystkie siły.

Miał już te upragnione miliony, dotykał się ich codziennie, oddychał nimi, żył z nimi, widział je dokoła siebie.

Ale ta praca nad siły, trwająca już lata całe, wyczerpywała go fizycznie, a miliony nie radowały zupełnie – przeciwnie, czuł się coraz głębiej znużonym, obojętnym i smutnym.

Coraz częściej nuda zaglądała do jego duszy, coraz częściej zaczynał ucyuwać, że jest mu źle i że jest bardzo, bardzo osamotnionym.

Mada była dobrą żoną, jeszcze lepszą mamką i piastunką jego syna, doskonale go obsługiwała – ale niczym więcej być nie mogła i nie umiała. Łączyło ich tylko dziecko i wspólne mieszkanie, nic więcej; – ona czciła go jak fetysza nie śmiejąc zbliżyć się, jeśli ją do tego nie zachęcił, nie śmiejąc mówić, jeśli on nie był dobrze usposobiony – a on pozwalał się czcić i uwielbiać, rzucając jej czasem w nagrodę jakieś słowo dobre lub uśmiech życzliwy, a rzadziej już czułość jaką lub jakiś okrucień serca.

Przyjaciół nie miał nigdy, ale zawsze miał wielu znajomych i życzliwych wpośród kolegów dawnych – ale teraz, w miarę wzrostu jego potęgi, wszyscy się odsuwali i ginęli w szarym tle ludzkim, odgradzeni nieprzebytym wałem milionów, jakie go otaczały; z milionerami również nie żył, brakło mu przede wszystkim czasu, a potem zbyt nimi pogardzał i zbyt wiele było pomiędzy nimi konkurencyjnych antagonizmów.

Pozostało mu tylko kilku najbliższych. Ale Kurowskiego unikał, bo tamten nie mógł mu darować Anki i przy każdej sposobności ranił go bardzo boleśnie. Z Morycem Weltem żyć nie mógł, bo mu obrzydł zupełnie.

Z Maksymem Baumem żyć nie umiał; spotykali się bardzo często, Maks był nawet chrzestnym ojcem jego syna, ale pomimo to byli ze sobą na chłodno, na stopie dawnego koleżeństwa, a nie przyjaźni... Maks miał do niego stary żal, również jak i Kurowski, za Ankę i nie mógł mu tego zapomnieć.

Ale Borowiecki coraz częściej czuł swoją samotność i tę przeraźliwą pustkę, jaką był otoczony – pustkę, której nie mogły wypełnić miliony ani zabijająca praca.

A teraz w ostatnich czasach zaczynał ucyuwać coraz częściej szalony, nieopowiedziany głód duszy. I nie wiedział jeszcze dobrze, co mu jest!

Wiedział tylko, że nudzi go fabryka, interesy, ludzie, pieniądze – że nudzi go wszystko. Rozmyślał właśnie o tym wchodząc do fabryki.

Olbrzymie czworoboki murów trzęsły się i huczały pracą.

Borowiecki przechodził mroczny przez sale, nie witał się z nikim, nie rozmawiał, nie oglądał nic, nie patrzył nawet na nikogo – szedł jak automat i błędził zgaszonym wzrokiem po maszynach w ruchu, po robotnikach pracujących w skupieniu, po oknach, przez które wlewało się wiosenne słońce; podniósł się windą do suszarni gotowego towaru, gdzie na długich stołach, na ziemi, na wózkach leżały miliony metrów, przechodził po nich, deptał je z jakąś bezwiedną a zimną wzgardą i stanął przy oknie, z którego widać było smugę pól zakończonych lasami, zapatrzył się w jasny, słoneczny dzień kwietniowy, pełen wielkiej radości, słońca, ciepła, młodej zieleni traw – na przeczyste stada chmur leżących w głębiach seledynowego nieba...

Ale odszedł rychło, targnięty jakąś głuchą, nieokreśloną tęsknotą.

I znowu szedł z pawilonu do pawilonu i z sali do sali – przez to piekło turkotów, huków, warczeń, pracy, zapachów straszliwych i gorąca piekielnego, ale szedł wolniej i uświadamiał sobie, że to wszystko, co go otacza – to jego własność, jego królestwo wymarzone.

Przypominał sobie dawne marzenia – o takiej potędze, jaką władał.

Miał to wszystko i uśmiechnął się gorzko na wspomnienie przeszłości, na wspomnienie złudzeń dawnych – złudzeń, bo wierzył kiedyś, nic nie mając, że miliony dadzą mu nadzwyczajne, ekstatyczne jakieś szczęście.

– Cóż mi dały? – myślał teraz. Tak, coż mu dało to królestwo?

Znużenie i nudę. I ten dziwny głód duszy, i tę nieokreśloną, a tak mocną, a tak szarpiącą, a tak bezcelową tęsknotę, która coraz silniej ścisnęła mu duszę.

Ach! a tam, za oknami farbiarni, w której teraz siedział, taka wiosna szła nad polami, tak się lśniło wszystko, takie radosne krzyki dzieci leciały, tak wesoło krzyczały wróble, tak lekko biły w górę kłęby różowych dymów; tak tam było jasno, rześwo, młodo – taka potężna radość zmartwychwstającej przyrody drgała w przestrzeniach, przenikała wszystko – że chciało się iść, śpiewać, krzyczeć, tarzać po murawach, płynąć z chmurami, lecieć z wiatrem, chwiać z drzewami w rozświeconym powietrzu i żyć całą pierśią, wszystkimi władzami, wszystkimi uniesieniami, żyć! żyć!...

– A coż dalej? – myślał posepnie, wsłuchując się w szum fabryki. Nie znalazł w sobie odpowiedzi.

– Chciałem tego, pożądałem i mam, mam! – pomyślał z nienawiścią niezgłębioną niewolnika, spoglądając za czerwone mury fabryk swoich, na tego potwornego tyrana, który radośnie spoglądał tysiącami okien i pracował tak zawzięcie, aż się wszystko w nim trzęsło, i śpiewał tysiącami maszyn głęboki hymn nasycania się.

Poszedł do kantoru, miał już dosyć fabryki. Interesanci, kupcy, komisjonerzy, urzędnicy, robotnicy szukający pracy, tysiące spraw czekało w jego przedpokoju i wrzało niecierpliwością, ale on bocznymi drzwiami wyszedł i powlókł się wolno do miasta.

Nie widział nikogo, bo niósł w sobie straszną, pożerającą nudę i ten niezaspokojony głód duszy.

Miasto zalane było potokami słońca i wrzawą szalonego ruchu. Tysiące fabryk, podobnych do twierdz warownych, huczało pracą. Ze wszystkich ulic, ze wszystkich domów, ze wszystkich zaułków, z pól nawet uderzały w niego twarde echa pracy, krzyki maszyn, gwar tej walki, toczonej z całą namiętnością – dyszenia wysiłków, tryumfujące wy krzyki zwycięzców.

Jak jego strasznie nudziło to wszystko!

Z nieopowiedzianą ironią przyglądał się baronowi Meyerowi, który w pysznym powozie rozparty, dumny, jaśniejący potęgą, przejeżdżał ulicą i był podobny do czerwonego spasionego wieprza, nadzianego bogactwem.

– Bydlę, dla którego jest szczęściem najwyższym legowisko z tytułów własności. Czemuż ja nie mogę w ten sam sposób używać bogactwa? Oni są jednak tak szczęśliwi! – myślał.

Niestety, nie umiał używać życia na sposób łódzkich milionerów.

Bo i cóż go miało bawić?

Kobiety! Ach, kochał ich tyle i był tak kochanym, i tak miał już tego dosyć!

Zabawy! Jakież? Gdzież są takie, aby były warte wysiłku, aby po nich nuda nie była tym przykrzejszą?

Wino! Od dwóch lat z powodu przepracowania był na surowej diecie i żył prawie samym mlekiem.

I otaczania się przepychem nie lubił, a popisywać się przed drugimi nie chciał ani czuł potrzeby.

Robienie milionów! Po co? nie wydawał nawet dochodów. Po co?

Nie dośćże już był ich niewolnikiem, nie dośćże już zabrały mu siłę, życia; nie dośćże mu już ciężą te złote kajdany!

– A jednak Myszkowski miał wiele racji! – pomyślał przypominając sobie jego przeklinania nadmiernej pracy i gromadzenia bezmyślnego pieniędzy.

I myślał coraz smutniej o swoim położeniu, o tych długich, długich latach nudy i męki, jakie stały jeszcze przed nim.

Szedł tak długo, aż znalazł się w helenowskim parku, nie wiedząc prawie o tym.

Chodził po rozmiękłych jeszcze alejach i z ciekawością patrzył na młode trawy, na bladozielone listki trzepoczące cicho w dosyć ostrym, przesłonecznionym powietrzu.

Cisza głęboka leżała w alejach pustych, po których tylko wrony spacerowały lub wróble świergotały.

Chodził do zmęczenia, chodził uparcie i bezwiednie prawie wciąż wracał do miejsc, w których spotykał się kiedyś z Lucy...

– Lucy... Emma!... – powiedział półgłosem i jakby z zalem powlókł oczami po parku – po pustym parku. Z wielką goryczą myślał, że przecież nie czeka na nikogo, że nikt nie przyjdzie, że jest sam...

– Jak to niedawno, a jak to daleko!

Tak, kiedyś żył naprawdę, kochał, umiał szaleć.

A teraz?... A teraz za młodość całą ze wszystkimi jej burzami miał miliony i – nudę – nudę.

Skrzywił usta do pogardliwego uśmiechu nad sobą, nad własnym stanem duszy i poszedł dalej.

Obszedł park, a wracając spotkał przy bramie długi szereg dziewczynek, za którymi szły jakieś dwie panie, usunął się na bok i spojrzał.

– Anka! – wyrwało mu się z piersi i bezwiednie zdjął kapelusz.

Tak, to była Anka.

Przystąpiła natychmiast do niego z wyciągniętą ręką.

– Dawno pana nie widziałam, dawno! – powiedziała z radością.

Pocałował ją w rękę i nie mógł się na nią napatrzeć.

Tak, to była Anka, ta jego dawna Anka z Kurowa, młoda, piękna, pełna sił i pełna czarującego wdzięku, prostoty i szlachetności.

– Pójdźmy za dziećmi, jeśli ma pan chwilę czasu.

– Cóż to za gromada? – odezwał się cicho.

– Z mojej ochrony.

– Pani ochrony?

– Musiałam coś robić, a przy tym ta praca daje mi tak wiele zadowolenia, że staram się o pozwolenie na otwarcie drugiej.

– Zajmowanie się tymi dziećmi daje pani zadowolenie?

– A nawet zupełnie szczęście, szczęście spełnianego obowiązku i czynienia dobrze, chociaż w tak małym zakresie. A pan... zadowolony?
– spytała ciszej.

Głos jej zadrgał i oczy szybko się przesunęły po jego zżółkłej, bardzo mizernej twarzy.

– Tak... tak... bardzo... – odpowiedział prędko i szorstko; tak mu serce biło gwałtownie, że nie mógł oddychać.

Szli przy sobie w milczeniu, dziewczynki skręcały nad stawy i zaczęły pisklęcymi głosami śpiewać jakąś dziecinną piosenkę, która dźwięczała złotem i jakby szmerem młodych listków i traw.

– Pan taki bardzo mizerny... taki... – szepnęła przymykając oczy, aby ukryć łzy głębokiego współczucia, i z wielką, jakby siostrzaną miłością i bólem spostrzegła jego wpadnięte oczy, wystające kości policzkowe, głębokie zmarszczki i siwiznę na skroniach.

– Niech mnie pani nie żałuje... Mam to, czego chciałem... Chciałem milionów – mam, a że mi do życia nie wystarczają – to moja wina. Tak, to moja wina, że zdobyłem w tej „ziemi obiecanej” wszystko – prócz szczęścia. To moja wina, że cierpię głód.

Powstrzymał nagle gwałtowny potok gorzycy, jaki mu się wyrwał z serca, bo spostrzegł, że po jej twarzy sączą się łzy, a usta drgają z trudem powstrzymywaną boleścią.

I nie mógł mówić widząc te łzy, bo taki żal – taki dziki żal uwiesił mu się ostrymi kłami u serca, że ucisnął jej rękę i odszedł spiesźnie, aby się nie zdradzić z tym, co się w nim działo.

– Za miasto, prędko! – krzyknął szorstko, siadając w dorożkę.

Drżał ze wzruszenia, duszę mu obsiadły mary przypomnień, wypełzłe gdzieś z ciemni mózgu, z najbujniejszych głębin serca, i przesunęły mu się przez mózg w obrazach tak pięknych, tak opromienionych radością, uniesieniem, że całą siłą potężnej woli chciał je powstrzymać, chciał nasycić zgłodniałą duszę, chciał w nich utopić pamięć dnia dzisiejszego, pamięć swojej obecnej nędzy – ale nie powstrzymał, bo na ekranie świadomości z błyskawiczną szybkością rysowały się już i inne obrazy, inne przypomnienia – przypomnienia wszystkich krzywdeń, jakie zrobił Ance, wszystkie swoje winy wobec niej popełnione. Siedział odurzony z przymkniętymi oczyma, martwy prawie i wyteżał wszystkie siły, aby zdusić w sobie jakiś głośny krzyk, którym miał zapchane serce; aby zmóc i to serce, przebudzone jej widokiem; te wszystkie pragnienia szczęścia, jakie się w nim nagle ocknęły z siłą niepowstrzymaną.

– Dobrze mi tak, dobrze! dobrze! – myślał chwilami z jakąś dziką rozkoszą, tarzając się we własnym bólu, w poznaniu własnego stanu i win własnych. Zmógł się wreszcie, pokonał sam siebie, ale to zwycięstwo gorzkie kosztowało go tyle sił, że nie poszedł nawet do żony i syna, tylko zamknął się w swoim gabinecie, odprawił czekającego Mateusza i pozostał sam.

Długo leżał bez ruchu i bez myśli, bo tylko jakaś mgławica, jakies zaczyny myśli wirowały mu pod czaszką i zatapiały go w stan półświadomości.

– Zmarnowałem życie – powiedział naraz, bezwiednie zrywając się z otomany, ta myśl wyłoniła mu się z ciemnej pracy mózgu i szarpnęła go jak hakiem, i olśniła strasznie bolesnym światłem.

Rozglądał się po ciemnym pokoju, jakby nagle oprzytomniał i wszystko ujrzał w nowym świetle.

– Dlaczego? – rzucił zapytanie własnej duszy. Otworzył okno i zaczął rozmyślać.

Gwar coraz cichszy dobiegał słabymi echemi, miasto milkło pogrążone w odpocznieniu i w tej słodkiej kwietniowej nocy wiosennej.

Zielonawa ciemność, rozdzielana rozdrzanymi błyskami gwiazd, otuliła miasto jakby w całun.

Z okien gabinetu widać było ogromny, ciemny rozlew miasta usypiającego, gdzieś tylko wznosiły się świetliste wyspy fabryk pracujących, których głuchy huk, podobny do dalekiego szumu lasów, przynosił wiatr.

– Dlaczego? – myślał znowu skupiając się cały jakby do walki, zwłaszcza z duszą, która mu zaczynała odpowiadać przypomnieniami całego życia, rozsnuwaniem wszystkich zwojów dawno zapadłych w niepamięć – a zmartwychwstających teraz, w tej chwili. Nie chciał, uciekał, rwał się, ale w końcu musiał ulec, musiał patrzeć, musiał słuchać tych wszystkich głosów, jakie się w nim podnosiły, więc pochylił się i z bolesną, okropną ciekawością – przyglądał się samemu sobie. Przeglądał całe istnienie swoje, całe czterdzieści lat – które niby przędza nawinięta na wrzeciono czasu odwijają się przed nim, że mógł rozpatrywać szczegółowo, i rozpatrywał.

Miasto już spało, przyczało się w cieniach i przywarło do ziemi jak polip wszystkimi mackami fabryk, a dalekie, porozrzucane elektryczne słońca błękitnawymi źrenicami patrzyły w noc, stróżowały śpiącego molocha, jak stado żurawi o głowach ognistych.

– No i cóż, jestem, jaki jestem, jaki być musiałem – szepnął hardo i wyzywająco, ale nie pozbył się tym rozbudzonego sumienia, nie stłumił tym głosów podeptanych wierzeń, zdradzonych ideałów, splugawionego egoizmem życia – które krzyczały w nim, że żył tylko dla siebie, że wszystko deptał, aby zadowolnić próżność, aby napaść własną pychę, aby dojść do milionów.

– Tak, jestem egoista, tak, poświęcałem wszystko dla kariery... – powtarzał te słowa tak dobitnie, jakby się nimi sam policzkował, i fala okropnej goryczy, wstydu, poniżenia zalała mu serce.

Poświęcił wszystko i cóż ma teraz? Garść pieniędzy bezużytecznych i ani przyjaciół, ani spokoju, ani zadowolenia, ani szczęścia, ani chęci do życia – nic... nic...

– Człowiek nie może żyć tylko dla siebie – nie wolno mu tego pod grozą własnego nieszczęścia. On o tej prawdzie wiedział, ale teraz dopiero ją odczuł i pojął w całej głębokości.

– Dlatego ja przegrałem własne szczęście – myślał wspominając Ankę i pod wpływem tego przypomnienia napisał do niej długi list prosząc o wskazówki, potrzebne mu do założenia ochrony dla dzieci swoich robotników.

Począł znowu rozmyślać, ale już szukał dróg wyjścia z dzisiejszego stanu do celu jakiegoś na to długie jutro – o którego nudzie myślał z przerażeniem. Godziny płynęły wolno, miasto spało, ale spało niespokojnie, gorączkowo – bo przez pohaftowany światłami nocny тумan, jaki je oblał, przebiegał czasem dreszcz jakiś, to znowu rozlegał się jęk głęboki, przeciągły, bolesny – jakby jęk maszyn spracowanych, ludzi mordowanych lub drzew skazanych na zagładę;

to jakiś krzyk zrywał się z głębi pustych ulic, drgał chwilę i roztopiał się w milczeniu – to jakieś nieodgadnione drganie, pełne błysków tajemniczych, głosów, płaczów, szlochań, śmiechów – cała gama przeszłego czy jutrzejszego życia rozlewała się po mieście i była niby marzeniem sennym tych murów, drzew spowitych w mroki, ziemi zmordowanej...

To chwilami panowała tak głęboka, przerażająca cisza, że można było wyczuć pulsację tego uśpionego olbrzyma, który przywarł do ziemi i spał tak ufnie jak dziecię na piersiach matki.

Tylko daleko, poza murami, hen w polach, dookoła tej „ziemi obiecanej”, w głębiach nieodgadnionych nocy wrzał ruch jakiś, rozlegały się szmery głosów, turkoty, szумы, echa śmiechów, łkań, przekleństw.

Wszystkimi drogami, połyskującymi kałużami wód wiosennych, które biegły ze wszystkich krańców świata do tej „ziemi obiecanej”, wszystkimi ścieżkami, co się wiły wskrós pól zieleniejących i sadów kwitnących, wskrós lasów pełnych zapachów brzoź młodych i wiosny, wskrós wiosek zapadłych, moczarów nieprzebytych – ciągnęły tłumy ludzi, setki wozów skrzypiało, tysiące wagonów leciało jak błyskawice, tysiące westchnień wznosiło się i tysiące rozpalonych spojrzeń rzucało się w ciemność z upragnieniem i gorączką szukając konturów tej „ziemi obiecanej”.

Z równin odległych, z gór, z zapadłych wiosek, ze stolic i z miasteczek, spod strzech i z pałaców, z wyżyn i z rynsztoków ciągnęli ludzie nieskończoną procesją do tej „ziemi obiecanej”. Przychodzili użyźniać ją krwią swoją, przynosili jej siły, młodość, zdrowie, wolność swoją, nadzieje i nędze, mózgi i pracę, wiarę i marzenia.

Dla tej „ziemi obiecanej”, dla tego polipa pustoszały wsie, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swoich skarbów, wysychały rzeki, rozdzielili się ludzie, a on wszystko ssał w siebie i w swoich potężnych szczękach miażdżył i przeżuwał ludzi i rzeczy; niebo i ziemię, i dawał w zamian nielicznej garstce miliony bezużyteczne, a całej rzeszy głód i wysiłek.

Karol rozmyślając chodził i często, i długo patrzył na miasto i w noc, która już na wschodzie poczynała blednąć. Zorze rozsączały się z wolna w zielonawym zmroku, jaskółki zaczęły świergotać pod dachem oranżerii, a chłodny, świeży powiew poranku poruszał z wolna drzewami. Stawało się coraz jaśniej, już najbliższe dachy połyskiwały zamalowaną blachą spod zwojów mgieł, a ruiny fabryki Bauma starego stawały się coraz widoczniejsze, porwane ściany, wybite okna, zrujnowane kominy wylaniały się jakby z ziemi i czerniały smutno połamanym szkieletem.

Borowiecki się uspokoił, już znalazł drogę na jutro, już widział jasno cel dalszego życia – zerwał z samym sobą, podeptał całą swoją przeszłość, czuł się teraz jakby nowym człowiekiem, smutnym, ale silnym i gotowym do walki.

Był bardzo blady, postarzał się znacznie przez tę noc jedną, głęboka zmarszczka ryła mu się przez czoło, a na twarzy osiadł i jakby zastygł wyraz determinacji wykutej dółtem bolesnego poznania.

– Przegrałem własne szczęście!... Trzeba je stwarzać dla drugich – szepnął wolno i mocnym, męskim spojrzeniem, jakby ramionami nie-

złomnych postanowień, ogarnął miasto uśpione i te obszary nieobjęte, wylaniające się z mroków nocy.

Ouarville – Paryż 1897/8

KONIEC